

HEREZJA HORUSA

Dan Abnett

CZAS HORUSA

Ziarno herezji zostało zasiane

Tłumaczył
Michał Kubiak

fabryka słów

Lublin 2012

Horus Rising by Dan Abnett

Cover art by Neil Roberts

This translation © Games Workshop Limited 2012

Czas Horusa © Games Workshop Limited 2006

Przetłumaczone i oddane do użytku na mocy licencji Fabryce Słów

This translation copyright © Games Workshop Ltd 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Games Workshop, logo Games Workshop, Warhammer
i logo Warhammer, Black Library i logo Black Library, BL Publishing
i logo BL Publishing, Warhammer 40,000 i logo Warhammer 40,000, 40K
i wszelkie inne powiązane znaki, nazwy, nazwy miejsc, postacie, lokalizacje,
broń, jednostki, bohaterowie, ilustracje, pojazdy, oznaczenia jednostek,
godła, logo i obrazy ze świata Warhammer i Warhammer 40,000,
to, TM i/lub © Games Workshop Ltd 2000-2012, rejestrowane
w różnych formach w Wielkiej Brytanii i w innych krajach na całym świecie.
Używane w ramach licencji na Fabrykę Słów. Wszelkie prawa zastrzeżone.

<http://blacklibrary.com/>

Wydanie I

isbn 978-83-7574-619-8

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana
ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie,
fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana
w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Niniejsza książka jest fikcją literacką. Wszystkie postaci i zdarzenia
opisane w powieści są fikcyjne i jakiegokolwiek podobieństwo
do realnie istniejących osób lub zdarzeń jest przypadkowe.

Dla Ricka Priestleya,
Johna Blanche i Alana Merretta,
Architektów Imperium



Podziękowania
dla Grahama McNeilla
oraz Bena Countera, dla Nika i Lindsey
oraz dla Geoffa Davisa z GW Maidstone

HEREZJA HORUSA

Nadszedł czas legend

Potężni bohaterowie walczą o władzę nad galaktyką.

Podczas Wielkiej Krucjaty nieprzeliczone armie
Imperatora Ziemi zgmiotły napotkane rasy obcych,
nie pozostawiając po nich nawet śladu na kartach historii.

Nadchodzi nowy wiek dominacji ludzkości.

Lśniące cytadele z marmuru i złota upamiętniają zwycięstwa
Imperatora. Na powierzchniach milionów planet wznoszone
są tryumfalne pomniki, świadectwa heroiczych czynów
największych z jego bohaterów.

Najważniejszymi z nich są Prymarchowie, nadludzkie istoty,
którzy prowadzą armie Kosmicznych Marines Imperatora
do kolejnych zwycięstw i stanowią szczytowe osiągnięcie
jego inżynierii genetycznej. Kosmiczni Marines są
najgroźniejszymi wojownikami, jakich kiedykolwiek
znała galaktyka, a każdy z nich wart jest w walce
stu zwykłych żołnierzy.

Kosmiczni Marines zorganizowani są w wielotysięczne armie
zwane Legionami, które dowodzone przez Prymarchów,
prowadzą w imieniu Imperatora podbój galaktyki.

Największym spośród Prymarchów jest Horus,
Horus Wspaniały, Najjaśniejsza Gwiazda, ulubieniec
Imperatora, który traktuje go jak rodzzonego syna.

Horus Mistrz Wojny, najwyższy wódz wszystkich armii
Imperium, pogromca tysięcy światów i zdobywca galaktyki.

Horus, wojownik bez skazy i niezrównany dyplomata.

Nadszedł czas Horusa, a jego gwiazda wschodzi.

Jak wysoko zdoła się jednak wznieść, zanim upadnie?

~ DRAMATIS PERSONAE ~

Prymarchowie

HORUS Pierwszy Prymarcha, Mistrz Wojny, Naczelny

Wódz Legionu Wilków Luny

ROGAL DORN Prymarcha Imperialnych Pięści

SANGUINIUS Prymarcha Krwawych Aniołów

Legion Wilków Luny

EZEKAIL ABADDON kapitan Pierwszej Kompanii

TARIK TORGADDON kapitan Drugiej Kompanii

IACTON QRUZE zwany „Cichym”, kapitan Trzeciej Kompanii

HASTUR SEJANUS kapitan Czwartej Kompanii

HORUS AKSYMAND zwany „Małym Horusem”, kapitan Piątej Kompanii

kapitan

SERGHAR TARGOST Siódmej Kompanii, Mistrz Łoży

GARVIEL LOKEN kapitan Dziesiątej Kompanii

LUC SEDIRAE kapitan Trzynastej Kompanii

TYBALT MARR zwany „Albo”, kapitan Osiemnastej Kompanii

VERULAM MOY zwany „Lub”, kapitan Dziewiętnastej Kompanii

LEV GOSHEN kapitan Dwudziestej Piątej Kompanii

KALUS EKADDON kapitan, dowódca Catulańskich Zbójów

FALKUS KIBRE zwany „Mężobójcą”, kapitan, dowódca

Terminatorów Justaerin

NERON VIPUS sierżant, drużyna taktyczna Locasta

XAVYER JUBAL sierżant, drużyna taktyczna Hellebore

MALOGHURST zwany „Skrzywionym”, adiutant Mistrza Wojny

Legion Głosicieli Słowa

EREBUS Pierwszy Kapelan

Legion Imperialnych Pięści

SIGISMUND kapitan Pierwszej Kompanii

Legion Dzieci Imperatora

EIDOLON Lord Komandor

LUCJUSZ kapitan

SAUL TARVITZ kapitan

Legion Krwawych Aniołów

RALDORON Mistrz Zakonu

Sześćdziesiąta Trzecia Imperialna Flota Ekspedycyjna

BOAS KOMNENUS dowódca floty Hektor Varvarus głównodowodzący
siłami wojskowymi armii

ING MAE SING Mistrzynie Astropatów

ERFA HINE zwierzchnik navigatorów Navis

SWEQ CHOROGUS Nobilite

REGULUS adept i wysłannik marsjańskiego Mechanicum

Sto Czwierdziesta Imperialna Flota Ekspedycyjna

MATANUAL AUGUST dowódca floty

Inni (obywatele Imperium)

KYRIL SINDERMANN naczelny iterator (archiwista)

EUPHRATI KEELER oficjalna upamiętniaczka, imagistka

IGNACE KARKASY oficjalny upamiętniacz, poeta

MERSADIE OLITON oficjalna upamiętniaczka, dokumentarzystka

PEETER EGON MOMUS naczelny architekt

AENID RATHBONE naczelna Administratrix

Inni (spoza Imperium)

JEPHTA NAUD

naczelny dowódca armii intereksów

DIATH SHEHN

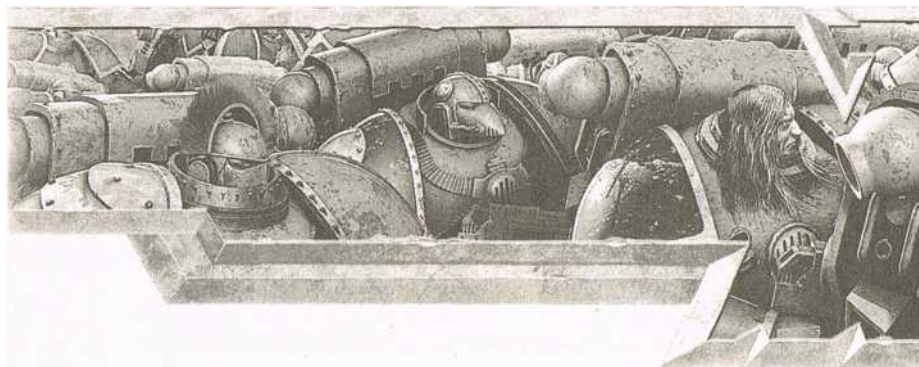
abrokariusz

ASHEROT

sługa z rasy kinebrach, Strażnik Eksponatów

MITHRAS TULL

oficer armii intereksów



Legendy rosną niczym kryształy, według wewnętrznego, powtarzalnego wzorca, ale ich zalążkiem musi być właściwy rdzeń.

sentencja przypisywana upamiętniaczowi Koestlerowi

(ok. M2)

Różnica między bogami i demonami zależy głównie od punktu widzenia.

Prymarcha Lorgar

Światło nauki jest jaśniejsze niż dawna poświata czarnoksiężstwa. Dlaczego więc w jej blasku nie sięgamy wzrokiem dalej?

Sahlonum, sumaturański filozof

(ok. M29)

CZĘŚĆ PIERWSZA

OSZUKANI

Byłem przy tym, jak Horus zabił Imperatora...



JEDEN

KRWAWE NIEPOROZUMIENIE

NIEŚWIADOMI BRACIA

ŚMIERĆ IMPERATORA

Byłem przy tym – mawiał później, zanim śmiech jeszcze na dobre nie zamarł. – Byłem przy tym, jak Horus zabił Imperatora. – Żart był wyborny i niemal zdradziecko dwuznaczny. Zawsze wywoływał wśród jego towarzyszy śmiech.

To była dobra opowieść. Zwykle to Torgaddon, wesołek o donośnym śmiechu i skłonności do błazeńskich żartów, namawiał go do jej przytoczenia. Loken powtarzał ją tyle razy, że niemal snuła się sama.

Zawsze starał się, by słuchacze właściwie pojęli ironię jego opowieści. Być może czuł pewien wstyd za swój udział w owych wydarzeniach, bo krew, którą wówczas rozlali, była rezultatem nieporozumienia. Opowieść o śmierci Imperatora miała wymiar tragiczny i Loken chciał, by słuchacze to dostrzegli. Zazwyczaj jednak całą ich uwagę pochłaniała śmierć Sejanusa.

Oraz puenta.

Według wskazań horologiów działo się to w dwieście trzecim roku Wielkiej Krucjaty. Loken zawsze dbał o osadzenie swej opowieści w stosownym miejscu i czasie. Ich wódz nosił tytuł Mistrza Wojny od roku, od czasu tryumfalnego zakończenia kampanii na Ullanorze, i niecierpliwie wyglądał okazji do potwierdzenia nowego statusu w oczach swych braci.

Mistrz Wojny. Cóż za tytuł... Nadal stanowił nowość, do której nie zdążyli jeszcze przywyknąć.

Był to szczególny czas na podróże międzygwiazdne. Uprawiali swe rzemiosło od dwóch stuleci, teraz jednak po raz pierwszy czuli się do niego nienawykli. Coś się zaczynało. I coś się kończyło.

Statki Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji dotarły do Imperium przez przypadek. Nagła burza w eterze, którą Maloghurst określił później mianem kaprysu losu, wymusiła zmianę kursu. Wyszli z osnowy na skraju układu planetarnego złożonego z dziewięciu światów okrążających żółte słońce.

Obecność ich statków na obrzeżach układu została wykryta i Imperator chciał najpierw wiedzieć, kim są i co ich sprowadza. Następnie starannie poprawił jego zdaniem liczne błędy w ich sygnale zwrotnym.

Potem zażądał hołdu.

Wyjaśnił, że jest Imperatorem Ludzkości. Że ze stoickim spokojem prowadził swój lud przez szalejące w osnowie rzeczywistości burze, przez Erę Zamętu, niezłomnie stojąc u steru i strzegąc praw ludzkiej rasy. Jego misją było nieść płomyk dziedzictwa kultury ludzkości i wśród mroków Długiej Nocy strzec go niczym bezcennego skarbu. Czekał na chwilę, kiedy rozproszona ludzkość na powrót nawiąże kontakt. Radował się, że oto chwila ta nadeszła. Na widok osieroconych statków powracających do serca Imperium jego duszę przepelniała radość. Imperium było gotowe i czekało, zachowane w nienaruszonym stanie. Pragnął przygarnąć sieroty do swego łona i wcielić w życie Wielki Plan Odbudowy, mający przywrócić Imperium Ludzkości przyrodzone miejsce wśród gwiazd.

Mieli tylko złożyć mu hołd jako Imperatorowi. Imperatorowi Ludzkości.

Mówiono, że żądania te rozbawiły wodza. Wysłał Hastura Sejanusa, który miał w jego imieniu powitać Imperatora.

Sejanus był ulubieńcem wodza. Nie był dumny i porywczy jak Abaddon, bezwzględny jak Sedirae, nie odznaczał się też solidnością starego Iactona Qruze. Sejanus był kapitanem doskonałym, równie biegłym w każdej z dziedzin swego rzemiosła. Był zarazem wojownikiem i dyplomata, a przebiegiem służby ustępował tylko Abaddonowi. Jednak przebywając w towarzystwie samego Sejanusa, łatwo było o tym zapomnieć.

– Był wspaniałym człowiekiem – snuł swą opowieść Loken. – Wspaniałym i uwielbianym przez wszystkich. Nikt nie prezentował się w pancerzu szturmowym Wzór IV tak doskonale, jak Hastur Sejanus. O jego cnotach świadczy i to, że do dziś wspominamy jego czyny

i jego osobę. Był najszlachetniejszym bohaterem Wielkiej Krucjaty. – Słuchacze chciwie łowili słowa, którymi Loken opisywał Sejanusa. – Jego pamięć nie zginie, a ludzie będą nadawać swym synom jego imię.

Sejanus wyruszył na pokładzie kapiącego od złota, reprezentacyjnego barku, w asyście najlepszych wojowników Czwartej Kompanii. Imperator udzielił im audiencji w swym pałacu na trzeciej planecie układu.

Żaden nie przeżył.

Zamordowano ich w obliczu siedzącego na złotym tronie Imperatora. Sejanus i jego straż honorowa, Dymos, Malsandar, Gorthoi i reszta, zostali co do jednego wyrżnięci przez Niewidzialnych, elitarną straż Imperatora.

Wszystko wskazywało na to, że Sejanus niewłaściwie się zachował. Okazał brak taktu, sugerując, że w galaktyce jest jeszcze jeden Imperator.

Rozpacz wodza nie znała granic. Kochał Sejanusa jak rodzzonego syna. Razem zmusili do uległości setkę światów. Mimo to jednak, okazując zwykłą w takich razach mądrość i powściągliwość, dał Imperatorowi jeszcze jedną szansę. Wódz nie chciał bowiem uciekać się do wojny i zawsze szukał pokojowych metod rozwiązywania konfliktów. To pomyłka, rozumował, straszna pomyłka. Nadal można uniknąć wojny. Trzeba tylko przekonać tego „Imperatora”.

Loken lubił dodawać, że to wówczas tytułowi Imperatora zaczął towarzyszyć cudzysłów.

Ustalono, że wysłane zostanie drugie poselstwo. Na ochotnika natychmiast zgłosił się Maloghurst. Wódz zgodził się, ale wydał awangardzie floty rozkaz zajęcia pozycji do ataku. Jego intencje były jasne: jedną rękę wyciągał w pokojowym geście, drugą jednak zwinął w pięść. Gdyby drugie poselstwo nie odniosło skutku lub padło ofiarą przemocy, pięść była gotowa do ataku. Tego ponurego dnia, jak opisywał Loken, zaszczyt walki w awangardzie przypadł na drodze losowania oddziałom Abaddona, Torgaddona i Małego Horsa Aksymanda. I samego Lokena.

Na rozkaz wodza rozpoczęły się przygotowania. Statki awangardy skrycie zajęły wysunięte pozycje. Na ich pokładach ustawiono na podwoziach startowych szturmowce desantowe typu Stormbird. Wydano i zatwierdzono broń. W obecności świadków złożono ślubowania bitewne, a namaszczone ciała wojowników okryto płytami pancerzy.

W ciszy i napięciu wojownicy awangardy patrzyli, jak konwój promów z Maloghurstem i jego przybocznymi na pokładach zmierzał w stronę trzeciej planety układu. Baterie artylerii

przeciwlotniczej zmiotły je z nieba. Płonące szczątki statków Maloghursta w smugach dymu odfrunęły w atmosferę, a flota „Imperatora” uniosła się z głębin oceanów, opuściła osłonę chmur i studnie grawitacyjne pobliskich księżyców. Liczyła sześćset statków, uzbrojonych i gotowych do wojny.

Abaddon ujawnił swą pozycję i raz jeszcze, osobiście, błagał „Imperatora” o rozsądek. W odpowiedzi wróg ostrzelał statki Abaddona.

– Panie mój – meldował Abaddon – ten samozwaniec nie chce słuchać. Nie przekonamy go.

– Oświeć go, mój synu. Oszczędź tyłu, ilu będziesz mógł, ale pomścij krew szlachetnego Sejanusa. Wybij zbirów tego „Imperatora” i przyprowadź go do mnie – brzmiała odpowiedź naczelnego wodza.

– I takim to sposobem przynieśliśmy naszym nieświadomym prawdy braciom wojnę – mówił Loken z westchnieniem.



Zmierzchało już, ale niebo było wciąż rozświetlone. Fototropiczne wieże Wysokiego Miasta, za dnia obracające swe okna w stronę słońca, niespokojnie drgały w reakcji na pulsującą na nieboskłonie jasność. Wysoko, w górnych warstwach atmosfery, unosiły się widmowe kształty: statki kosmiczne tańczyły w wirujących grupach, wykreślając ogniem baterii lśniące krótko, pozbawione sensu znaki.

Na powierzchni planety, wokół szerokich bazaltowych platform tworzących podstawę pałacu, padał poziomy deszcz ognia. Wężowo zwijały się strugi pocisków smugowych, migotały strumienie wiązek z broni energetycznej, a pociski z bolterów waliły wokół niczym grad. Na przestrzeni dwudziestu kilometrów kwadratowych grunt pstrzyły szczątki płonących statków desantowych.

Wokół zabudowań pałacu kroczyły czarne, humanoidalne kształty. Z wyglądu i sposobu poruszania przypominały opancerzonych ludzi, były jednak gigantyczne, sięgające stu czterdziestu metrów wysokości. Mechanicum rzuciło do walki sześć Tytanów. Wokół czarnych jak sadza stóp gigantycznych maszyn bojowych parła naprzód szeroka na trzy kilometry fala zbrojnych.

Kosmiczni Marines z Legionu Wilków Luny nacierali niczym przybój. Wśród tysięcy zakutych w lśniące białe pancerze postaci eksplodowały pociski, siekąc wokół kulami ognia i

bijąc w niebo kolumnami brunatnego dymu. Każdy wybuch wstrząsał podłożem i sypał wokół ziemią. Nad głowami wojowników, pomiędzy szeroko rozstawionymi Tytanami, unosiły się statki desantowe, lecące nisko i podmuchami silników zamieniające leniwe smugi dymu w wiry.

Kanały interwoxu w hełmach Astartes pełne były komunikacyjnego jazgotu. Zakłócenia nadawały wydającym rozkazy głosom ostre, szorstkie brzmienia.

Ani Loken, ani jego Dziesiąta Kompania od czasu Ullanoru nie brali udziału w zmasowanej walce. Potyczki i drobne starcia nie stanowiły wyzwania i Loken cieszył się, że jego ludzie nie stracili nic ze swej bojowej sprawności. Nieubłagana dyscyplina ćwiczeń i musztry utrzymywała ich w gotowości równie mocno, jak słowa ślubów bitewnych złożonych kilka godzin wcześniej.

Ullanor był tryumfem wieńczącym długi trud, którego celem było obalenie bestialskiego imperium. Zielonoskórzy byli wrogiem niebezpiecznym i wytrzymałym, ale ich wolę już złamali i zdeptali płomień oporu. Naczelny wódz odniósł zwycięstwo dzięki sprawdzonej strategii: chirurgicznemu uderzeniu na najważniejsze pozycje wroga. Zignorował hordy zielonoskórych, które liczebnością pięciokrotnie przewyższały jego własne siły, i zaatakował tyrana obcych wraz z jego przybocznymi, pozbawiając przeciwnika dowodzenia.

Tę samą filozofię zastosował i tym razem: rozerwij gardło wroga, a jego ciało skona. Loken, jego ludzie oraz maszyny bojowe byli bronią mającą dokonać tego dzieła.

Jednak ta wojna nie przypominała Ullanoru. Nie było krępującego ruchu błota ani wzniesionych z gliny szańców, fortec skleconych z nagiego metalu i drutu, pocisków miotanych eksplozjami czarnego prochu ani ryczących, monstrualnych obcych. To nie było barbarzyńskie starcie, w którym decydowała walka wręcz i brutalna siła.

To była nowoczesna wojna, toczona przeciw cywilizowanym wrogom. Tu człowiek stawał przeciw człowiekowi pośród monolitycznych budowli, pomników zaawansowanej kultury. Wróg dysponował uzbrojeniem nie ustępującym technologicznie wyposażeniu Legionu i potrafił go używać. W zielonkawej poświacie wizjera hełmu Loken widział opancerzonych żołnierzy, którzy ostrzeliwali jego ludzi z broni energetycznej z niższych pięter pałacu. Widział działa samobieżne na podwoziach gaśnicowych, automatyczną artylerię i sunące naprzód na hydraulicznych odnóżach baterie czterech lub nawet ośmiu sprzężonych działek.

Jeśli Ullanor był próbą, ta wojna miała być wyzwaniem. Tutaj równi stawiali czoła równym.

Z jednym wyjątkiem: mimo zaawansowanej technologii wojennej wróg nie miał po swej stronie Astartes, odzianych w pancerze szturmowe Wzór IV. Genetycznie udoskonalonych, dopracowanych w najmniejszych szczegółach, nadludzkich wojowników Imperium, górujących nad każdym wrogiem, z jakim przyszło im walczyć. Póki nie zgasną gwiazdy, a szaleństwo nie zastąpi rozumu, żadne siły zbrojne w galaktyce nie mogły dorównać Legionom. Jak powiedział kiedyś Sedirae: „Astartes pokonać mogą tylko inni Astartes”. Wszystkich to rozbawiło. Nie było powodu, by obawiać się niemożliwego.

Wrogowie wytrwale bronili bram do wewnętrznej części pałacu. Kiedy Loken zdjął hełm, zobaczył ich purpurowe pancerze o srebrzonych brzegach. Byli roslymi mężczyznami o szerokich ramionach i klatkach piersiowych i byli u szczytu sprawności fizycznej. Nawet najroślejszy z nich nie sięgał jednak żadnemu z Wilków Luny choćby do podbródka. Przypominało to walkę z dziećmi, chociaż były to dobrze uzbrojone dzieci.

Przez kłęby dymu i eksplozje, po schodach w górę, Loken prowadził do pałacu pierwszą drużynę złożoną z weteranów Kompanii. Plastikowe podeszwy ich pancernych butów zgrzytały na kamiennych stopniach. Pierwsza drużyna taktyczna Hellebore Dziesiątej Kompanii, giganci w lśniących, perłowobiałych pancerzach z widniejącym na reaktywnych naramiennikach symbolem czarnego wilczego łba. Od strony silnie bronionych bram pałacu szedł ku nim krzyżowy ogień. Nocne powietrze drżało od gorąca fal ciepłych towarzyszących eksplozjom. Jakiś dziwny, automatyczny, pionowo ustawiony moździerz ospale miotał w nich strumieniem granatów.

– Zniszczyć! – Loken usłyszał na kanale intervoxu rozkaz wydany przez brata-sierżanta Jubala. Jubal posługiwał się szorstkim żargonem z Cthonii, planety pochodzenia ich Legionu, który Wilki Luny przyjęły jako język bitewny.

Astartes niosący działko plazmowe drużyny zareagował bez wahania. Na mniej niż pół sekundy wylot lufy jego broni i moździerz połączyła długa na dwadzieścia metrów wstęga oślepiającego światła. Fasada pałacu znikła za huraganem ognia pochłaniającego broń wroga.

Siła eksplozji strąciła z okien pałacu dziesiątki żołnierzy. Kilku z nich wyfrunęło w powietrze, lądując na schodach jak szmaciane lalki.

– Na nich! – warknął Jubal.

Huraganowy ostrzał odbijał się od ich pancerzy. Loken czuł odległe ukłucia pocisków. Brat Calends potknął się i upadł, ale niemal natychmiast powstał.

Loken widział, jak wrogowie pierzchają przed ich natarciem. Uniósł bolter. Na łożu broni widniała rysa, pamiątka po uderzeniu toporem zielonoskórego na Ullanorze. Loken zabronił swym artefaktom ją usuwać. Zaczął strzelać ogniem pojedynczym, czując w ramionach kopnięcia odrzutu. Pociski z bolterów miały wybuchowe rdzenie. Trafieni nimi wrogowie pękali niczym pęcherze lub zgniatane owoce. Nad każdą powaloną postacią zawisała na chwilę różowa mgła krwi z rozerwanych ciał.

– Dziesiąta Kompania! – zakrzyknął Loken. – Za Mistrza Wojny!

Zawołanie nadal zdawało się nowe i nieznane. Loken użył go w boju po raz pierwszy od chwili, kiedy na Ullanorze wódz otrzymał ów zaszczytny tytuł od Imperatora. Prawdziwego Imperatora.

– Luperkal! Luperkal! – nie przerywając natarcia, Wilki odkrzyknęły chórem, przywołując stary przydomek wielbionego wodza. Wtórował im ryk bitewnych syren Tytanów.

Szturmowali pałac. Loken zatrzymał się obok jednej z bram, puścił swych ludzi przodem, by przyjrzeć się natarciu głównych sił Kompanii. Z tarasów i wież pałacu nadal waliła w nich piekielna nawałnica ognia. Daleko za nimi w niebo uniosła się nagle kopuła ostrego, oślepiającego światła. Wizjer hełmu Lokena natychmiast przyciemnił obraz. Ziemia zadrżała i dobiegł go odgłos przypominający grom. Ciężki okręt kosmiczny spadł w płomieniach z nieba i rozbił się na krawędzi Wysokiego Miasta. Fototropiczne wieże drgnęły i obróciły się w stronę wraku, reagując na blask.

Napływały meldunki. Piąta Kompania pod dowództwem Aksymanda zajęła dzielnicę regencyjną oraz rezydencje nad ozdobnymi jeziorami na zachód od Wysokiego Miasta. Ludzie Torgaddona nacierali przez zabudowania części mieszkalnej, niszcząc stojące im na drodze pojazdy pancerne.

Loken spojrział na wschód. W odległości trzech kilometrów, przez sieczoną ostrzałem, pełną ludzi i Tytanów połąć bazaltowych platform, nadciągała Pierwsza Kompania Abaddona, szturmując drugą flankę pałacu. Loken zbliżył obraz. Pośród dymu i ognia na czele odzianych w białe pancerze Legionistów zobaczył ciemne postacie słynnej drużyny Terminatorów Justaerin. Ich pancerze miały kolor połyskliwej czerni, jakby należeli do jakiegoś innego, czarnego Legionu.

– Loken do Pierwszej – nadał. – Dziesiąta zajęła bramy.

Nastała cisza, potem odezwały się zakłócenia, które przebił głos Abaddona:

– Lokenie, Lokenie... Czyżbyś próbował zawstydzić mnie swą pilnością?

– Nigdy, kapitanie – odparł Loken. W Legionie panowała surowa hierarchia oparta na szacunku. Samemu będąc starszym oficerem, Loken wielce poważał kapitana Pierwszej Kompanii jako niezrównanego wojownika i dowódcę. Podobny szacunek odczuwał wobec wszystkich członków Kwadry, choć Torgaddon zawsze zaszczycał go autentyczną przyjaźnią.

Sejanus nie żyje, pomyślał Loken. Charakter Kwadry wkrótce się zmieni.

– Dworuję sobie z ciebie, Lokenie – powiedział Abaddon. Jego głos był tak niski, że niektóre samogłoski ginęły wśród zakłóceń. – Ten z nas, który pierwszy znajdzie fałszywego „Imperatora”, będzie miał honor oświecenia go.

Loken uśmiechnął się do siebie. Rzadko miał okazję ścigać się z samym Ezekaiem Abaddonem. Czuł się wyróżniony. Stopień kapitana był wystarczającym zaszczytem, ale przynależność do grona faworytów wodza była marzeniem każdego oficera.

Loken przeładował bolter i wszedł do pałacu przez bramę, przestępując nad splątanymi ciałami wrogów. Gips na wewnętrznych ścianach popękał i odpadł, pod jego stopami chrzęściły przypominające piasek ziarna gruzu. W powietrzu unosił się dym, a wyświetlacz w helmie reagował nieustannym przełączaniem trybów widzenia w poszukiwaniu wyraźnego obrazu.

Szedł przez westybul, słysząc odbijające się echem odgłosy wystrzałów z dalszych pomieszczeń pałacu. Po lewej dostrzegł leżące w drzwiach ciało jednego z braci Legionistów, dziwnie kontrastujące białą pancerza i rozmiarem z mniejszymi zwłokami wrogów. Pochylał się nad nim Marjex, jeden z konsyliarzy Legionu, który rzucił okiem na zbliżającego się Lokena i pokręcił głową.

– Kto? – spytał Loken.

– Tibor z drugiej drużyny – odparł Marjex. Loken zmarszczył brwi na widok potwornej jamy ziejącej w czaszce Tibora.

– Imperator zna jego imię – powiedział Loken.

Marjex skinął głową i sięgnął do nartecjum po reduktor. Zamierzał usunąć cenne genoziarno Tibora, by na powrót złożyć je w banku genetycznym Legionu.

Loken zostawił konsyliarza z jego zajęciem i ruszył dalej. Niebotyczne ściany kolumnady ozdobione były freskami ukazującymi znajome obrazy Imperatora z głową okoloną aureolą, zasiadającego na złotym tronie. Jacy oni są zaślepieni, myślał Loken, jakie to smutne. Wystarczyłby dzień, jeden dzień z iteratorami, a zrozumieliby wszystko. Nie jesteśmy ich

wrogami. Jesteśmy tacy jak oni i przynosimy im dobrą nowinę wybawienia. Długa Noc zakończyła się. Ludzka cywilizacja znów sięga gwiazd, a na straży czuwa potęga Adeptus Astartes.

W obszernym, srebrzonym korytarzu o łukowatych, rzeźbionych ścianach Loken napotkał członków trzeciej drużyny. Ze wszystkich oddziałów w jego Kompanii właśnie trzecia drużyna taktyczna Locasta była jego ulubioną. Dowodził nią brat-sierżant Neron Vipus, najdawniejszy przyjaciel Lokena.

– Jak nastrój, kapitanie? – zapytał Vipus. Perłowobiałą powierzchnię jego pancerza znaczyły sadza i krwawe zacieki.

– Flegmatyczny, Neronie. A twój?

– Choleryczny. Szczerze mówiąc, jestem wściekły. Przed chwilą straciłem człowieka, dwóch innych jest rannych. Coś zastawia skrzyżowanie korytarzy. Coś ciężkiego i wprost niewiarygodnie szybkostrzelnego.

– Próbowalesz granatów?

– Dwóch lub trzech, bez skutku. Nic tam nie widać. Garvi, wszyscyśmy słyszeli o tych tak zwanych Niewidzialnych. Tych, którzy zabili Sejanusa. Myślę...

– Myślenie zostaw mnie – przerwał Loken. – Kto zginął?

Vipus wzruszył ramionami. Był nieco wyższy od Lokena i ruch ten sprawił, że płyty i obręcze jego pancerza zadźwięczały.

– Zakias.

– Zakias? Nie...

– Rozerwany na strzępy na moich oczach. Czuję ducha, Garvi.

„Czuć ducha”. Stare powiedzenie Legionistów. Okręt wodza nosił nazwę „Mściwy Duch” i doświadczając straty lub napięcia, Wilki lubiły przywoływać ją jak zaklęcie, jak symbol zemsty.

– Za Zakiasa – zawarczał Vipus. – Znajdę tego niewidzialnego łajdaka i...

– Uspokój się, bracie. Nic mi po twojej wściekłości – powiedział Loken. – Zajmij się rannymi. Zobaczę, co da się zrobić.

Vipus skinął głową i wydał rozkazy. Loken przepchnął się obok nich i zbliżył do skrzyżowania korytarzy.

Cztery przejścia spotykały się w wysoko sklepionym pomieszczeniu. Wizjer Lokena pokazywał odczyt niskich temperatur, żadnego ruchu. Pod belkowaniem sklepienia snuł się dym.

Posadzka poznaczona była tysiącem kraterów po kulach. Szczątki brata Zakiasa leżały pośrodku skrzyżowania w parującej kupie strzaskanej plastali i krwawego mięsa.

Vipus miał rację. Nie było widać śladu wroga. Żadnego widma cieplnego, żadnego ruchu. Loken przyjrzał się jednak uważnie i dojrzał stos lśniących mosiądzem łusek, wysypujących się zza grodzi wejściowej naprzeciwko. Czy to tam ukrywał się zabójca?

Loken pochylił się i podniósł kawał gruzu. Cisnął go przed siebie wysokim torem. Usłyszał trzask, a potem skrzyżowanie załała kanonada z działka automatycznego. Seria trwała może pięć sekund, wystrzelono ponad tysiąc pocisków. Loken widział, jak zza grodzi wysypują się dymiące łuski.

Ogień ustał. Skrzyżowanie spowijała zasłona dymu prochowego. Ostrzał wyrwał w posadzce długą bruzdę, rozstrzeliwując przy okazji szczątki Zakiasa na krwawe, pstrzące ściany strzępy.

Loken czekał. Usłyszał zawrozczenie mechanizmu i metaliczny szczęk podajnika amunicji. Czujniki hełmu pokazywały malejące ciepło lufy broni, ale brak ciepła ciała.

– Zasłużyłeś już na medal? – zapytał Vipus.

– To tylko automatyczne działko strażnicze – odparł Loken.

– Cóż, jest to jakaś ulga – powiedział Vipus. – Zarzuciliśmy korytarz tyloma granatami, że zacząłem się zastanawiać, czy owi słynni Niewidzialni nie są też „Nieśmiertelni”. Wezwę drużynę Dewastatorów, żeby...

– Daj mi flarę – przerwał mu Loken.

Vipus odczepił flarę od płyty pancerza na udzie i wręczył ją kapitanowi. Loken przekreślił obudowę i zapalił flarę, po czym cisnął ją korytarzem. Flara odbiła się od posadzki, syjąc iskrami, płonąć białym blaskiem, i przeleciała obok ukrytej broni.

Rozległ się zgrzyt serwowatorów. Ryknęła kanonada, pociski zaczęły podbijać flarę i miotać nią we wszystkie strony wśród gradu kul.

– Garvi... – zaczął Vipus.

Loken już biegł. Przeskoczył skrzyżowanie, wałnął plecami w grodz. Ostrzał trwał nadal. Wychylił się zza narożnika i zobaczył wbudowane we wnękę korytarza działko strażnicze, przysadziste i opancerzone, na czworonożnej podstawie. Jego krótkie, grube lufy nadal skierowane były na flarę.

Loken sięgnął i wyrwał garść kabli serwowatorów. Działko zakrzusło się i zamilkło.

– Czysto! – zawołał Loken. Drużyna Locasta wyszła z ukrycia.

– To, co zrobiłeś, można by nazwać popisywaniem się – nie omieszkał zauważyć Vipus.

Loken poprowadził oddział korytarzem, na końcu którego znajdował się ciąg luksusowych, po królewsku urządzonych apartamentów. Było podejrzanie cicho i spokojnie.

– Dokąd teraz? – zapytał Vipus.

– Idziemy znaleźć tego „Imperatora” – odparł Loken.

Vipus parsknął.

– Tak po prostu?

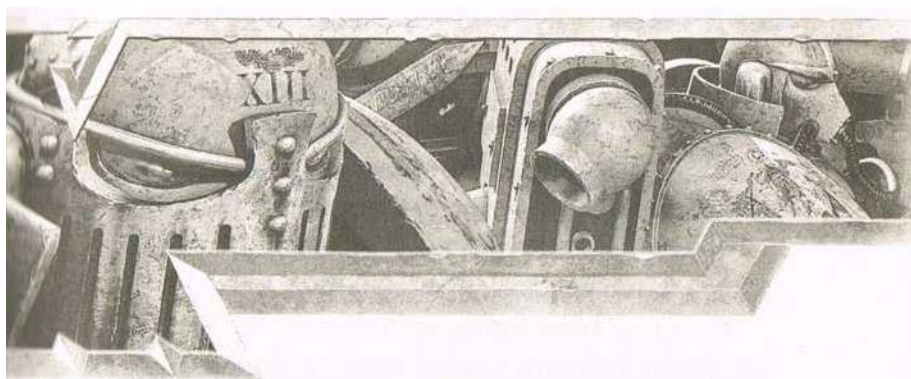
– Kapitan Pierwszej Kompanii założył się ze mną, że nie dotrę do niego pierwszy.

– Sam Pierwszy Kapitan? A odkąd to jesteś z nim w tak zażyłych stosunkach?

– Od kiedy Dziesiąta Kompania wyprzedziła Pierwszą podczas szturm na pałac. Nie martw się, Neronie. Nie zapomnę o was, maluczkich, kiedy już stanę się sławny.

Neron Vipus zaśmiał się, a śmiech ten brzmiał za zasłoną hełmu jak kaszel toczonego suchotami byka.

To, co wydarzyło się potem, nie rozbawiło już nikogo.



DWA

OKO W OKO Z NIEWIDZIALNYMI

U STÓP ZŁOTEGO TRONU

LUPERKAL

– Kapitan Loken?

Podniósł wzrok znad swej pracy.

– To ja – potwierdził.

– Proszę wybaczyć, że pana niepokoję – powiedziała. – Widzę, że jest pan zajęty.

Loken odłożył na bok płytę pancerza, którą polerował, i powstał. Przewyższał ją niemal o metr; na sobie miał tylko przepaskę biodrową. Westchnęła ukradkiem na widok jego imponującej postury. Widziała węzły mięśni, stare blizny. Był przystojny, o jasnych, krótko obciętych włosach w kolorze srebra, bladej i piegowanej skórze i szarych jak deszcz oczach. Cóż za marnotrawstwo, pomyślała.

Bez pancerza nie sposób było ukryć jego fizycznej odmierności. Oprócz potężnej budowy był jeszcze naznaczony gigantyzmem, niemal koński przerost kości twarzy, tak charakterystyczny dla wszystkich Astartes. No i twarda, zwarta skorupa pozbawionego żeber torsu, okrytego napiętą skórą jak płótnem.

– Nie wiem, kim pani jest – powiedział, odkładając szmatkę do garnuszka i wycierając palce.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Jestem Mersadie Oliton, oficjalna upamiętniaczka – przedstawiła się. W jego gigantycznej pięści jej maleńka dłoń niemal znikła. – Przepraszam – odezwała się ze śmiechem.
– Ciągłe zapominam, że tutaj nikt tego nie robi. Chodzi mi o podawanie ręki. To taki staromodny, terrański zwyczaj.

– Nie przeszkadza mi to. Przybyła pani z Terry?

– Opuściłam ją rok temu i za pozwoleniem rady dołączyłam do Krucjaty.

– Jest pani upamiętniaczką?

– Wie pan, co to oznacza?

– Nie jestem głupi – powiedział Loken.

– Oczywiście, że nie – dodała szybko. – Nie chciałam pana urazić.

– Nie uraziła pani.

Przyjrzał się jej. Była mała i delikatna, zapewne także piękna. Loken miał niewiele do czynienia z kobietami. Być może wszystkie były delikatne i piękne. Wiedział dość, by zdawać sobie sprawę, że nie wszystkie miały równie czarną skórę o barwie lśniącego hebanu. Zastanawiał się, czy powodował to jakiś barwnik.

Zastanawiał go także kształt jej głowy. Była bezwłosa, ale nie ogolona. Zdawała się wypolerowana i gładka, jakby nigdy nie porastały jej włosy. Czaszka była w jakiś sposób wydłużona i tworzyła nad karkiem łagodny owal. Wyglądała tak, jakby ukoronowano ją, wynosząc jej człowieczeństwo do królewskiej godności.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

– Słyszałam, że zna pan szczególnie ekscytującą opowieść. Chciałabym upamiętnić ją dla potomności.

– Którą opowieść?

– O tym, jak Horus zabił Imperatora.

Loken zeszywniał. Nie lubił, kiedy ktoś inny niż Astartes używał imienia Mistrza Wojny.

– To było wiele miesięcy temu – powiedział wymijająco. – Nie pamiętam szczegółów.

– Wiem z dobrego źródła, że potrafi pan opowiadać o tym z niemałym kunsztem. Ponoć pańscy bracia bardzo to cenią.

Loken zmarszczył brwi. Kobieta miała, niestety, rację. Od zdobycia Wysokiego Miasta nie tylko proszono, ale wręcz zmuszano go do powtarzania opowieści dziesiątki razy. Sądził, że

powodem była śmierć Sejanusa. Wilki Luny potrzebowały katharsis. Potrzebowały opowieści o tym, jak go pomszczono.

– Ktoś panią do tego namówił, pani Oliton? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Kapitan Torgaddon.

Loken pokiwał głową. To musiał być Torgaddon.

– Co chce pani wiedzieć?

– Znam sytuację ogólną, opowiadali mi o niej inni. Chciałabym jednak usłyszeć pańskie osobiste uwagi. Jak to się odbyło? Na co natknęliście się wewnątrz pałacu?

Loken westchnął i spojrział na stojak, na którym spoczywały elementy jego pancerza wspomaganego. Ledwo zaczął go czyścić. Jego prywatną zbrojownię tworzyło małe, ciemne pomieszczenie, przylegające do objętego zakazem wstępu pokładu desantowego. Ściany pomieszczenia pomalowano na kolor bladej zieleni, a mrok rozświetlały kule jarzeniowe. Na jednej ze ścian wymalowano szablonem kształt imperialnego Orła, poniżej którego widniały kopie przysięg bitewnych Lokena. W powietrzu unosił się zapach smaru i proszku polerskiego. Dla Lokena było to miejsce spokojnej introspekcji, którą zakłóciła jej obecność.

Musiała zdać sobie z tego sprawę, gdyż powiedziała:

– Jeśli przeszkadzam, mogę wrócić później.

– Nie przeszkadza pani. – Usiadł z powrotem na metalowym zydłu, który zajmował wcześniej. – Niech pomyślę... We wnętrzu pałacu natknęliśmy się na Niewidzialnych.

– Dlaczego tak ich nazywano? – zapytała.

– Ponieważ byli niewidzialni – odpowiedział.



Niewidzialni już na nich czekali, a ich przydomek był w pełni zasłużony.

Pierwszy z ludzi Lokena zginął, nie uszedłszy nawet dziesięciu kroków w głąb luksusowych apartamentów. Rozległ się dziwny, głośny, bolesny dla uszu trzask i brat Edrius upadł na kolana, po czym osunął się na ziemię. Został trafiony w twarz z jakiegoś rodzaju broni energetycznej. Biała gładź stopu ceramitu i plastali, tworzącego jego hełm oraz napierśnik, przybrała kształt zdeformowanego krateru przypominającego zastygły воск. Drugi trzask, gwałtowna vibracja powietrza i stojący obok Nerona Vipusa ozdobny stolik obrócił się w pył. Trzeci trzask powalił brata Muriada, łamiąc i odrywając mu lewą nogę jak łodygę trzciny.

Naukowcy fałszywego Imperium opanowali jakąś rzadką i niezwykłą formę technologii pola i uzbroili w nią elitarną gwardię. Ich ciała okrywało pole pasywne, zakrzywiające światło w taki sposób, że nie sposób ich było dostrzec. Mogli też wykorzystywać owo pole aktywnie, w postaci bezlitosnych wyładowań o niszczycielskiej sile.

Mimo że Loken i jego ludzie poruszali się ostrożnie i w pełnej gotowości, atak zaskoczył ich całkowicie. Niewidzialni pozostawali ukryci nawet przed sensorami wizjerów. Kilku z nich po prostu czekało w komnacie na okazję do ataku.

Loken zaczął strzelać, a ludzie Vipusa natychmiast poszli za jego przykładem. Loken pokrył ogniem obszar w swym polu widzenia, rozbijając w drzazgi ozdobne meble i trafiając coś jeszcze. Zobaczył w powietrzu różową mgiełkę i coś upadło z wystarczającą siłą, by przewrócić krzesło. Vipus również trafił, ale chwilę wcześniej brat Tarregus został ugodzony z taką siłą, że jego głowę zdmuchnęło z karku.

Urządzenie kamuflujące ewidentnie działało najlepiej wówczas, kiedy jego użytkownicy pozostawali w bezruchu. Ruch zamieniał ich w na wpół widoczne, rozedrgane widma, przypominające falowanie rozgrzanego powietrza. Loken szybko dostosował się do nowej sytuacji, strzelając do każdego widocznego zawirowania. Nastawił wizjer hełmu na niemal maksymalny kontrast czerni i bieli. Zobaczył napastników wyraźniej, jako sylwetki na tle niewyraźnego tła. Zabił kolejno trzech. Kilku z nich w chwili śmierci straciło swe urządzenia kamuflujące i Loken zobaczył skrwawione zwłoki Niewidzialnych. Ich pancerze były srebrne, ozdobnie wykonane, zadziwiające wprost precyzją ornamentów i symboli. Wysocy i odziani w peleryny z czerwonego jedwabiu Niewidzialni przypominali Custodes, strażników Imperialnego Pałacu Terry. Mimo tego podobieństwa Loken widział w nich tylko morderców, którzy na jedno skinienie swego pana wykonali wyrok na Sejanusie i jego straży honorowej.

Neron Vipus szalał, rozwścieczony stratami w swej drużynie. W owej chwili rzeczywiście „czuł ducha”.

Wyrybywał swym ludziom przejście do wysoko sklepionej komnaty poza strefą zasadzki. Jego bitewna furia dała braciom z drużyny Locasta szansę, ale kosztowała go prawą dłoń, urwaną wyładowaniem energetycznym jednego z Niewidzialnych. Teraz i Loken poczuł furię. Bracia z drużyny Locasta byli i jego przyjaciółmi. Wiedział, że czekają go rytuały żałoby. Nawet na Ullanorze zwycięstwo nie kosztowało ich tak wiele ofiar.

Loken przebiegł obok Vipusa, który stękał z bólu, usiłując zerwać ze zmiażdżonej dłoni pancerną rękawicę. Wbiegł do bocznej komnaty i ostrzelał widmowe postacie, usiłujące zastąpić mu drogę. Gwałtowne szarpnięcie wyrwało mu z rąk bolter, natychmiast dobył więc z pochwy u pasa miecz łańcuchowy. Broń zawyla i ożyła w jego rękach. Siekał niewyraźne, tłoczące się wokół kształty, czując opór na zębatym, wirującym ostrzu. Usłyszał przenikliwy wrzask. Znikąd siknęła krew, pokrywając kroplami ściany komnaty i przód pancerza Lokena.

– Luperkal! – zawarczał i rąbał dalej, tym razem oburącz, wkładając całą siłę w każdy cios. Serwomotory i warstwy mimetycznego polimeru, tworzące sztuczne mięśnie jego wspomaganego pancerza, napięły się. Trzy kolejne zadane oburącz ciosy trafiły w cel. Znów zalała go krew. Rozległ się rozedrgany wrzask i znikąd pojawiły się nagle zwoje różowych, wilgotnych wnętrzności. W sekundę później pole maskujące gwardzisty przestało działać i ukazało jego wybebeszoną postać. Mężczyzna zatoczył się, rozpaczliwie próbując upchnąć wypływające z brzucha wnętrzności.

Niewidzialna energia znów szarpnęła Lokenem, strzaskała krawędź lewego naramiennika, niemal pozbawiła go równowagi. Obrócił się w miejscu i zamachnął mieczem. Zęby ostrza trafiły w coś i wokół posypały się drzazgi metalu. Nagle zobaczył ludzką postać, dzięki zakłóceniom aury maskującej jakby wyciętą z tła, przesuniętą nieco na lewo od miejsca, gdzie spodziewał się ją zobaczyć. Jeden z Niewidzialnych, otoczony iskrami i wyładowaniami energetycznymi martwego już pola, przestał być niewidzialny i zamachnął się na Lokena długą glewią.

Klinga odbiła się od hełmu, a Loken uderzył nisko, wrywając glewię z okrytych srebrzystymi rękawicami dłoni Niewidzialnego i wyginając jej drzewce. W tej samej chwili wykonał wypad, napał ramieniem na gwardzistę i przygwoździł go do ściany z taką siłą, że popękał i osypał się kruchy, pokryty starożytnymi freskami tynk.

Loken cofnął się o krok. Niewidzialny walczył o oddech, jego klatka piersiowa i płuca były niemal zmiażdżone. Wydał z siebie zdławiony, świszczący odgłos i upadł na kolana, opuszczając bezwładnie głowę. Loken machnął mieczem krótkim, wyćwiczonym gestem i zadał cios łaski. Odrąbana głowa potoczyła się po posadzce.

Powoli obrócił się, dzierżąc na powrót uniesiony w pogotowiu, warczący miecz. Posadzka komnaty była śliska od krwi i czarnych strzępów mięsa. Z pobliskich pomieszczeń słyszał odgłosy wystrzałów. Loken przeszedł pomieszczenie i lewą ręką podniósł upuszczony bolter.

Dwa Wilki Luny weszły za jego plecami do komnaty i Loken natychmiast wskazał im pozycje w kolumnadzie po lewej.

– Przegrupować się i naprzód – warknął do mikrofonu. Odpowiedziały mu głosy.

– Neron?

– Jestem jakieś dwadzieścia metrów za tobą.

– Jak ręka?

– Przeszkadzała mi, musiałem ją zostawić.

Loken ruszył naprzód. Na końcu pomieszczenia, obok spływającego krwią ciała wybebeszonego Niewidzialnego, znajdowały się marmurowe schody. Szesnaście stopni prowadziło do imponującego kamiennego portalu, którego futrynę pokrywały skomplikowane, falujące ornamenty.

Loken powoli wszedł po stopniach. Przez portal padały migotliwe plamy światła. Było niezwykle cicho. Ucichł nawet zgłęb toczącej się wokół pałacu walki. Loken słyszał odgłos kropli krwi kapiącej na stopnie z ostrza miecza. Białe marmur znaczył szlak czerwonych plamek.

Przeszedł przez otwarte drzwi.

Wokół niego wznosiły się wewnętrzne ściany wieży. Zrozumiał, że znalazł się w jednej z najokazalszych i najwyższych iglic pałacu. Miała sto metrów średnicy, kilometr wysokości.

Nie, więcej niż kilometr. Znajdował się na obszernej onyksowej platformie, biegnącej pierścieniowato po wewnętrznej stronie ścian wieży. Platform było więcej, w regularnych odstępach ciągnęły się w górę i w dół wieży. Loken wyrzwał poza krawędź i zobaczył, że budowla sięga w głąb ziemi tak samo daleko, jak daleko pnie się wzwyż.

Powoli obchodził platformę, rozglądając się bacznie. Pomiędzy poziomami znajdowały się ogromne okna ze szkła lub innego przezroczystego materiału, przez które widział błyski szalejącej wokół walki. Nie było słycać wybuchów, tylko nagłe, rozmigotane lśnienia eksplozji.

Dotarł do przylegających do ściany schodów prowadzących na wyższy poziom wieży. Powoli ruszył w górę, z platformy na platformę, wyglądając w powietrzu drgań zdradzających obecność Niewidzialnych.

Nic. Żadnego odgłosu, żadnego życia ani ruchu prócz błysków światła zza mijanych okien. Piąte, potem szóste piętro.

Loken poczuł się nagle jak głupiec. Wieża była prawdopodobnie wyludniona. Poszukiwanie i niszczenie niedobitków Niewidzialnych należało pozostawić innym, a on powinien poprowadzić główne siły Dziesiątej Kompanii.

Tylko że... bram do wieży broniono z niezwykłą zaciętością. Spojrzał w górę, przybliżył i wyostrzył obraz niemal do granic możliwości czujników optycznych. Wydało mu się, że ponad trzysta metrów wyżej dostrzegł ruch, na ułamek sekundy namierzony przez czujnik ciepła...

– Neronie?

Cisza. Po chwili:

– Kapitanie.

– Gdzie jesteś?

– U stóp wieży. Silny opór. My... – Rozległ się nagły zgiełk zniekształconych odgłosów wystrzałów i okrzyków. – Kapitanie? Jesteś tam?

– Melduj!

– Silny opór. Utknęliśmy! Gdzie jeste...

Kanał zamarł. Loken i tak nie zamierzał zdradzać swego położenia. Nie był sam. Coś czekało na niego na szczycie wieży.

Przedostatnia platforma. Słyszał dochodzące z góry skrzypienie i zgrzytanie, przypominające odgłos gigantycznego wiatraka. Loken zatrzymał się. Z tej wysokości za szerokimi oknami rozciągał się panoramiczny widok pałacu i Wysokiego Miasta. Widział morze dymu i szalejące pod nim pożary. Niektóre budynki lśniły różowo, odbijając blask ognistego piekła. Widział błyski wystrzałów i tańczące na niebie wiązki z broni energetycznej. Niebo również płonęło, jak lustrzane odbicie ziemi. Uderzenie sił Legionu spowodowało w siedzibie „Imperatora” mordercze straty.

Ale czy dosięgło gardła wroga?

Loken pokonał kilka ostatnich stopni, mocno ściskając broń.

Ostatnia platforma stanowiła podstawę szczytowej części wieży, którą była kopuła z kryształowych szyb osadzonych w ramach stalowych żeber, łączących się i tworzących wieńczący budowlę maszt. Cała konstrukcja raz po raz obracała się ze zgrzytem w obu kierunkach, śledząc błyski światła w mroku nocy. Na platformie stał złoty tron zwrócony tyłem w stronę okien. Do złoczonego siedziska, zwieńczonego wysokim oparciem i wygiętymi podłokietnikami, wiodły trzy złote stopnie.

Tron był pusty.

Loken opuścił broń. Widział, że kopuła wieży obraca się w taki sposób, by tron zawsze zwrócony był w stronę światła. Zawiedziony Loken postąpił krok w stronę siedziska, a potem zatrzymał się. Zrozumiał, że jednak nie był sam.

Po jego lewej stronie stała samotna postać z rękami splecionymi za plecami i wzrokiem wbitym w rozgrywający się w dole wojenny spektakl.

Postać odwróciła się. Był to starszy mężczyzna odziany w sięgającą ziemi fioletową szatę. Jego rzędzące włosy były białe, a twarz wychudła. Patrzył na Lokena błyszczącymi, pełnymi smutku oczyma.

– Nie poddam się – powiedział głosem, w którym brzmiał silny, starodawny akcent. – Nie poddam się, najeźdźco.

– Przyjąłem twój opór do wiadomości – odparł Loken. – Ale bitwa skończona. Widzę, że obserwowalesz stąd jej przebieg, musisz więc to rozumieć.

– Imperium Ludzkości zwycięży wszystkich swych wrogów – odparł starzec.

– Tak – zgodził się Loken. – Zwycięży. Masz na to moje słowo.

Starzec zawahał się, jakby nie zrozumiał.

– Czy mam przed sobą tak zwanego „Imperatora”? – zapytał Loken. Wyłączył silnik miecza i schował go do pochwy, nadal jednak celował do starca z boitera.

– Tak zwanego? – krzyknął mężczyzna. – Tak zwanego? Beztrosko bluźnisz w tym świętym miejscu. Imperator jest Jedynym Imperatorem, zbawcą i obrońcą ludzkiej rasy! A ty... ty jesteś oszustem, złowrogim demonem...

– Jestem człowiekiem, jak i ty.

Starzec parsknął szyderczo.

– Jesteś oszustem o kształtach zdeformowanego, odrażającego olbrzyma. Żaden człowiek nie prowadzi w taki sposób wojny przeciw innym ludziom. – Starzec wzgardliwym gestem wskazał okno.

– To twoja agresja do tego doprowadziła – odparł Loken spokojnie. – Nie chciałeś słuchać, nie chciałeś wierzyć. Zamordowałeś naszych ambasadorów. Sam jesteś sobie winien. Naszą misją jest ponowne zjednoczenie ludzkości rozproszonej wśród gwiazd. W imieniu Imperatora. Staramy się przekonać wszystkich do uległości wobec niego. Większość wita nas jak utraconych braci, ty zaś stawiasz opór.

– Przynosicie tylko kłamstwa!

– Przynosimy prawdę.

– Twoja prawda to plugastwo!

– Panie, sama prawda pozostaje poza moralnością. Zasmuca mnie fakt, że obaj wierzymy w te same słowa, ale odmiennie je rozumiemy. Ta odmienność doprowadziła do rozlewu krwi.

Starzec skurczył się, jakby uszło z niego powietrze.

– Mogliście zostawić nas w spokoju.

– Słucham? – zapytał Loken.

– Skoro wyznajemy tak odmienne filozofie, mogliście nas minąć i zostawić w spokoju.

Jednak nie zrobiliście tego. Dlaczego? Dlaczego postanowiliście nas zniszczyć? Czy jesteśmy aż takim zagrożeniem?

– Ponieważ prawda... – zaczął Loken.

– ...pozostaje poza moralnością. Tak mówisz, najeźdźco, ale służąc tej prawdzie, sam stajesz się amoralny.

Loken nie wiedział, jak odpowiedzieć, i poczuł zaskoczenie. Zbliżył się o krok i rzekł:

– Żądam twojej kapitulacji, panie.

– Rozumiem, że to ty dowodzisz tą inwazją? – zapytał starzec.

– Dowodzę Dziesiątą Kompanią.

– Nie jesteś więc naczelnym dowódcą? Sądziłem, że to ty, skoro wkroczyłeś tu przed swymi żołnierzami. Czekałem na naczelnego dowódcę. Poddam się jemu i tylko jemu.

– Warunki kapitulacji nie podlegają negocjacom.

– Czy nawet tyle nie możecie zrobić? Pozostawić mi odrobiny honoru? Zostanę tutaj, póki twój dowódca osobiście nie zjawi się, by przyjąć moją kapitulację. Sprowadź go tu.

Zanim Loken zdążył odpowiedzieć, w ciszy sali rozległo się głucho, narastające wycie. Starzec cofnął się o krok, potem o drugi. Na jego twarzy widniał strach.

Z głębin wieży wyłoniły się postacie w czarnych pancerzach. Powoli pionowo wlatywały przez puste centrum platformy Dziesięciu Astartes unosilo się dzięki plecakom skokowym. Płomienie wylotowe ich odrzutowych silników wprawiały w drżenie powietrze. Pancerze wojowników były czarne, krawędzie płyt lśniły srebrzystą bielą. Catulańscy Zbóje, drużyna szturmowa weteranów Pierwszej Kompanii. Pierwsi w ataku, ostatni w odwrocie.

Jeden po drugim lądowali na obrzeżu platformy, wyłączając napęd.

Kalus Ekaddon, kapitan drużyny, zmierzył Lokena wzrokiem.

– Kapitan Abaddon śle gratulacje, kapitanie Loken. Jednak nas wyprzedziłeś.

– Gdzie on jest teraz?

– Na dole, zajęty likwidowaniem resztek oporu – odparł Ekaddon. Nastawił interkom na nadawanie. – Tu Ekaddon z Catulańskich Zbójów. Mamy fałszywego „Imperatora”...

– Nie – przerwał mu Loken stanowczo.

Ekaddon znów na niego spojrział. Soczewki jego wizjera były czarne i nie odbijały światła, podobnie jak zasłona hełmu. Skłonił się lekko.

– Proszę o wybaczenie, kapitanie – powiedział z nieznaczną drwiną. – Więzień i zaszczyt jego pojmania przypada oczywiście tobie.

– Nie o to chodzi – powiedział Loken. – Ten człowiek żąda, by jego kapitulację przyjął naczelny wódz.

Ekaddon parsknął, a kilku jego ludzi zaśmiało się otwarcie.

– Niech sobie żąda, łajdak – powiedział. – Spotka go jednak okrutne rozczarowanie.

– Pokonaliśmy dziś starożytne imperium, kapitanie Ekaddon – powiedział Loken z mocą.

– Czy nie stać nas na to, by okazać pokonanym nieco szacunku? Mamy być barbarzyńcami?

– On kazał zabić Sejanusa! – warknął jeden z ludzi Ekaddona.

– Owszem – zgodził się Loken. – Czy mamy więc zabić go w odwecie? Czy Imperator, cześć jego imieniu, nie uczył nas, byśmy okazywali pokonanym wielkoduszność?

– Imperatora, cześć jego imieniu, nie ma tu z nami.

– Jeśli nie jest obecny duchem, to biada naszej Krucjacie.

Ekaddon patrzył na niego przez chwilę, po czym nakazał swemu zastępcy nawiązać kontakt z flotą. Loken dobrze wiedział, że te argumenty nie przekonały Ekaddona. To był kapitan elitarniej drużyny szturmowej Pierwszej Kompanii i miał po swej stronie chwałę i przychyłność wodza, ale Loken dowodził Kompanią i przewyższał go rangą.

– Mistrz Wojny został powiadomiony o twojej prośbie – powiedział Loken do starca.

– Przybędzie tu? Teraz? – zapytał mężczyzna niecierpliwie.

– Będziesz miał okazję go zobaczyć – warknął Ekaddon.

Minutę lub dwie czekali na odpowiedź. Statki desantowe Astartes przelatywały za oknem, ich silniki lśniły płomieniami odrzutu. Blask potężnych eksplozji zalewał niebo na południu blednącym z wolna światłem. W świetle tym Loken obserwował grę cieni na posadzce platformy.

Nagle drgnął. Zrozumiał, dlaczego starzec tak nalegał na to, by wódz przybył osobiście. Magnetycznym zamkiem przypiął bolter do biodra i ruszył w stronę pustego tronu.

– Co ty robisz? – zapytał starzec.

– Gdzie on jest? – krzyknął Loken. – Gdzie się ukrywa? On też jest niewidzialny?

– Nie zbliżaj się! – wrzasnął starzec i rzucił się na Lokena.

Rozległ się głośny huk. Klatka piersiowa starca eksplodowała deszczem krwi, spalonego jedwabiu i skrawków mięsa. Zachwiał się, wychylił poza krawędź platformy, a potem runął w dół jak kamień, łopocząc płonącymi strzępami szaty.

Ekaddon opuścił pistolet.

– Jeszcze nigdy nie zabiłem imperatora – zaśmiał się.

– To nie był „Imperator”! – krzyknął Loken. – Głupcze! „Imperator” od początku się tu ukrywa! – Był już blisko pustego tronu i właśnie sięgał w stronę podłokietnika. Wtedy dostrzegł w fotelu widmowy, niemal doskonale zamaskowany kształt. Zdradziło go tylko nienaturalne zachowanie otaczających tron cieni. Kształt drgnął i cofnął się.

„To pułapka” – zamierzał powiedzieć Loken. Nie zdążył.

Złoty tron zadrżał i wyemitował falę uderzeniową niewidzialnej energii. Było to wyładowanie podobne do tego, jakim posługiwali się Niewidzialni, ale sto razy silniejsze. Energia rozeszła się na wszystkie strony, zbiła Lokena i Catulańczyków z nóg niczym huragan kukurydzy. Szyby okien wypadły z ram i rozprysły się w deszczu wielokolorowych odłamków.

Większość ludzi Ekaddona po prostu zniknęła. Podmuch energii wypchnął ich z wieży i posłał w dół. Jeden z nich zderzył się ze stalową podporą, złamał kark i poleciał w noc niczym szmaciana lalka. Ekaddon, lecąc w tył, zdążył chwycić inny wspornik. Wbił obleczone w plastal palce w metal i walczył, by się utrzymać, szarpany i sieczony podmuchami powietrza, odłamkami szkła, stawiając opór sile grawitacji.

Loken był zbyt blisko tronu, by odczuć pełną siłę wybuchu. Padł jednak na wznak, a podmuch powlókł go po platformie w stronę znajdującej się w centrum przepaści. Metal jego białego pancerza zgrzytał po onyksowej powierzchni. Wyleciał poza krawędź, ale podmuch przeniósł go ponad przepaścią niczym suchy liść i z mocą cisnął o przeciwległą krawędź. Uchwycił się jej, zawisł nad głębią, bezsilnie zamachał nogami, w równym stopniu utrzymując pozycję zarówno dzięki własnej desperackiej sile, jak i energii podmuchu.

Bezlitosne uderzenie niemal pozbawiło go przytomności, ale nie spadł.

Tuż przed nim, przed wbitymi w onyks platformy palcami, zaślśnił nagle oślepiający blask. Świetlny efekt teleportacji stał się nieźnośnie jasny, po czym zamarł. Na krawędzi platformy stał bóg.

Był prawdziwym olbrzymem, przewyższającym każdego z Astartes tak samo, jak Astartes przewyższali ludzi. Jego pancerz był biały, niczym poranne słońce lśnił złotymi, po mistrzowsku wykonanymi zdobieniami. Jego powierzchnię pokrywały rozliczne symbole, wśród których uwagę przyciągało przede wszystkim godło w postaci pojedynczego oka pośrodku napierśnika. Za budzącą grozę postacią łopotał biały płaszcz.

Twarz ponad napierśnikiem pozbawiona była hełmu, skrzywiona w grymasie, absolutnie idealna w swych proporcjach, zalana blaskiem. I piękna, niezwykle piękna.

Przez chwilę bóg stał nieporuszony w obliczu wściekłego podmuchu. Potem uniósł szturmowy bolter i pociągnął za spust.

Tylko raz.

Wystrzał odbił się echem we wnętrzu wieży. Rozległ się zdławiony, niemal zagłuszony podmuchiem mocy krzyk, a potem dźwięki zamarły.

Ściana mocy zniknęła, huragan ustał. O platformę z brzękiem uderzyły odłamki szkła.

Ekaddon runął w dół, na parapet okna. Uchwycił się go pewnie, wdrapał do wnętrza wieży i wstał.

– Panie mój! – powiedział i opadł na jedno kolano, pochylił głowę.

Kiedy napór powietrza zmalął, Loken stracił oparcie. Zaczął zsuwać się po lśniącej onyksem platformie, nie mogąc znaleźć uchwytu dla palców.

Znalazł się na krawędzi. Silna ręka pochwyciła go za nadgarstek i wciągnęła na platformę.

Loken przewrócił się na plecy, drżąc na całym ciele. Spojrzał na platformę i stojący na niej złoty tron. Pozostały z niego tylko szczątki, pozostałe po eksplozji tajemnego mechanizmu energetycznego. Wśród pogiętych płyt metalu i zniszczonych elementów wewnętrznych siedział spalony kościotrup, szczerząc zęby poczerniałej czaszki i opierając zwęglone kości ramion na podłokietnikach tronu.

– Taki los czeka wszystkich tyranów i oszustów – zabrzmiał niski głos.

Loken uniósł wzrok, by spojrzeć na stojącego nad nim boga.

– Luperkal... – wymamrotał.

Bóg uśmiechnął się.

– Po co te formalności, kapitanie – wyszeptał Horus.



– Czy mogę zadać pytanie? – zapytała Mersadie Oliton.

Loken zdjął z kołka w ścianie szatę i założył ją.

– Oczywiście.

– Czy nie mogliśmy pozostawić ich samym sobie?

– Nie. Proszę zadać lepsze pytanie.

– Dobrze. Jaki on jest?

– Kto, pani? – zapytał.

– Horus.

– Z pani pytania wnoszę, że nigdy go pani nie widziała – odparł.

– Jeszcze nie miałam okazji. Czekam na audiencję. Chciałabym jednak wiedzieć, kim według pana jest Horus...

– Myślę, że jest Mistrzem Wojny – powiedział Loken. Ton jego głosu był twardy jak stal.

– Jest wodzem Wilków Luny i zastępcą samego Imperatora, cześć jego imieniu. Jest najpierwszym spośród Prymarchów. I myślę, że śmiertelnicy powinni wypowiadać jego imię ze stosownym szacunkiem.

– Och! – powiedziała. – Przepraszam, kapitanie, nie miałam zamiaru...

– Wiem. Ale jego tytuł brzmi Mistrz Wojny Horus. Jest pani upamiętniaczką. Niech więc pani o tym pamięta.



TRZY

ZMIANA WŁADZY

WŚRÓD UPAMIĘTNIACZY

KWADRA

Trzy miesiące po bitwie o Wysokie Miasto do floty ekspedycyjnej dołączyli pierwsi upamiętniacze. Przybyli z Terry na pokładach statków transportowych. Oczywiście od początku rozpoczętej dwieście standardowych lat temu Wielkiej Krucjaty siłom imperialnym towarzyszyli przeróżni kronikarze i historycy. Były to jednak pojedyncze osoby, ochotnicy lub przypadkowi świadkowie, którzy przyłączyli się do ekspedycji niczym gwiazdny pył do kadłubów okrętów. Ich zapisy były fragmentaryczne i pozbawione ciągłości. Uwieczniali wydarzenia w sposób przypadkowy; ich inspirację stanowiła często artystyczna ambicja, a zachętą był mecenat któregoś z Prymarchów lub Lordów Komandorów, pragnących uwiecznienia swych czynów w poezji, prozie, obrazie lub muzyce.

Po zwycięstwie na Ullanorze i powrocie na Terrę Imperator postanowił, że należy sformalizować proces spisywania dziejów ponownego zjednoczenia ludzkości. Niedawno powołana Rada Terry przystała na to zgodnie, gdyż uchwałę o powołaniu i finansowaniu organizacji upamiętniaczy podpisał sam Malcador Sygilita, Pierwszy Lord Rady. Upamiętniaczy rekrutowano spośród wszystkich warstw społecznych Terry oraz innych ważniejszych światów Imperium, a podstawą wyboru była wyłącznie artystyczna biegłość. Szybko udzielono im

akredytacji oraz przydzielono do ekspedycji biorących czynny udział w poszerzaniu granic Imperium.

Według zapisów Rady Wojennej w Krucjacie brało wówczas udział cztery tysiące dwieście osiemdziesiąt siedem głównych flot ekspedycyjnych. Towarzystwo im ponad sześćdziesiąt tysięcy zgrupowań okrętów, zajętych okupacją podbitych światów lub wcielaniem na nich w życie zasad imperialnego prawa. Kolejne trzysta siedemdziesiąt dwie ekspedycje przechodziły remonty i uzupełniały zapasy, oczekując na nowe rozkazy. W ciągu kilku miesięcy po ratyfikacji uchwały do wszystkich tych grup rozesłano blisko cztery miliony trzysta tysięcy upamiętniaczy.

– Uzbrójmy ich – miał ponoć rzec Prymarcha Kosmicznych Wilków, Leman Russ. – Może zdobędą dla nas kilka światów w przerwach w swej cholernej pisaninie.

Kwaśny nastrój Russa stanowił dobry przykład stosunku wojskowych do upamiętniaczy. Zarówno Prymarchowie, jak i szeregowi żołnierze armii odczuwali niepokój na wieść o decyzji Imperatora, który porzucił osobiste dowodzenie Krucjatą na rzecz odosobnienia w imperialnym pałacu. Nikt nie kwestionował wyboru na jego zastępcę Pierwszego Prymarchy Horusa i nadania mu tytułu Mistrza Wojny. Kwestionowano jednak sens samego wyznaczania następcy.

Powołanie Rady Terry przyniosło dalsze niepokojące wieści. Od początku Wielkiej Krucjaty rządy sprawowała Rada Wojenna, w skład której wchodził Imperator i Prymarchowie. Teraz część ich obowiązków przejął nowy organizm polityczny, w dodatku złożony z cywilów. Rada Wojenna pod wodzą Horusa otrzymała status ciała doradczego i miała skupić się wyłącznie na zadaniach militarnych.

Upamiętniacze nie byli winni temu, że wszędzie witano ich niechętnie. Byli pełni zapału i entuzjazmu i nie mogli się doczekać rozpoczęcia pracy, ale ich obowiązki okazały się trudne do wykonywania. Dopiero później niechęć niezadowolonych przeniosła się na towarzyszących Ekspedycjom administratorów *eaxectro tributi*.

I tak w trzy miesiące po bitwie o Wysokie Miasto upamiętniacze dołączyli do Ekspedycji, gdzie spotkało ich chłodne przyjęcie. Żaden z nich nie wiedział, czego ma się spodziewać, a większość nigdy wcześniej nie opuszczała swych ojczystych planet. Przejawiali niewinność graniczącą z naiwnością oraz wielki, niemal nadmierny zapał. Jednak powszechna niechęć szybko pozbawiła ich tych cech, zastępując je cynizmem i rezerwą.

Kiedy dotarli na miejsce, okręty Sześćdziesiątej Trzeciej Floty Ekspedycyjnej nadal orbitowały wokół świata stołecznego tego układu. Rozpoczął się proces zmiany władzy. Imperialne siły obalały „imperialny” porządek, wprowadzały nową władzę i dzieliły ją pomiędzy dowódców wojskowych floty.

Pomiędzy okrętami Ekspedycji a powierzchnią planety krążyły statki z pomocą humanitarną, a porządek utrzymywały specjalnie w tym celu sprowadzone oddziały Armii Imperialnej. Po śmierci „Imperatora” główny opór załamał się niemal natychmiast, ale w niektórych miastach na zachodzie oraz na trzech innych planetach układu nadal trwały walki. Lord Komandor Varvarus, czcigodny weteran i reprezentant starej szkoły dowodzenia, dzierżył pieczę nad wchodzącymi w skład Ekspedycji siłami armii. Zaprowadzanie porządku po chirurgicznym uderzeniu Astartes nie było dla niego niczym nowym.

– Umierający przeciwnik dogorywa często w drgawkach – stwierdził filozoficznie w rozmowie z Mistrzem Floty. – Naszym zadaniem jest upewnić się, że skończył.

Mistrz Wojny wyraził zgodę na wyprawienie „Imperatorowi” państwowego pogrzebu z honorami. Uznał to za słuszne, gdyż odpowiadało oczekiwaniom i pragnieniom ludu, który chcieli nie zgnieść i złamać, ale przekonać do uległości. Nie brakowało głosów sprzeciwu. Wszak uroczystości pogrzebowe Hastura Sejanusa i braci, którzy stracili życie w walce o Wysokie Miasto, ledwo się zakończyły. Wielu oficerów Legionu, w ich liczbie także sam Abaddon, odmówiło udziału w pogrzebie mordercy Sejanusa. Mistrz Wojny okazał wyrozumiałość, a ich miejsce zajęli inni Astartes wchodzący w skład floty.

Prymarcha Rogal Dorn wraz z dwiema Kompaniami VII Legionu swych Imperialnych Pięści towarzyszył Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji od ośmiu miesięcy. Prowadził też z Mistrzem Wojny rozmowy na temat polityki Rady Wojennej.

Imperialne Pięści nie brały udziału w walkach o planetę, Dorn zgodził się więc, by obie Kompanie uświetniły swą obecnością pogrzeb „Imperatora”. Dzięki temu Wilki Luny nie musiały plamić swego honoru. Kiedy kondukt żałobny „Imperatora” ruszył przez zrujnowane miasto w stronę cmentarza, towarzyszył mu szpaler milczących, odzianych w żółte pancerze Imperialnych Pięści.

Mistrz Wojny przychylił się jednak do zdania najważniejszych kapitanów, a zwłaszcza Kwadry. Na jego rozkaz żadnemu z upamiętniaczy nie zezwolono na udział w pogrzebie.



Ignace Karkasy wszedł do sali wypoczynkowej, powąchał stojące w karafce wino i skrzywił się.

– Świeżo otwarte – powiedziała Keeler cierpko.

– Tak, ale to miejscowy szczep – odparł Karkasy. – Żalotne, małe imperium. Nic dziwnego, że tak łatwo upadło. Kultura mająca za fundament tak okropne wino nie ma prawa długo przetrwać.

– To imperium przetrwało pięć tysięcy lat mroków Długiej Nocy – powiedziała Keeler. – Wątpię, by jakoś wina miała na to jakikolwiek wpływ.

Karkasy nalał sobie kieliszek, wypił łyk i zmarszczył brwi.

– Twierdzę jednak, że Długa Noc musiała wydawać się tu znacznie dłuższa niż gdziekolwiek indziej.

Euphrati Keeler pokręciła głową i wróciła do przerwanej pracy, polegającej na czyszczeniu i ponownym składaniu ręcznego piktera wysokiej rozdzielczości.

– Dochodzi do tego jeszcze kwestia potu – dodał Karkasy.

Zasiadł na sofie i położył na niej stopy, a kieliszek postawił na swej szerokiej klatce piersiowej. Znów upił łyk, skrzywił się i umościł w siedzisku. Karkasy był mężczyzną wysokim i postawnym. Nosił drogie, skrojone na miarę ubrania, pasujące do jego sylwetki. Okrągłą twarz okalała czupryna czarnych włosów.

Keeler westchnęła i uniosła wzrok.

– Kwestia czego?

– Potu, droga Euphrati, potu! Uważnie przyglądam się Astartes. Duzi są, prawda? Chodzi mi o to, że rozmiarami przekraczają wszelkie ludzkie normy.

– To Astartes, Ignace. Czego się spodziewałeś?

– Nie spodziewałem się smrodu potu. Natrętnego, wszechobecnego odoru. Są przecież nieśmiertelnymi obrońcami ludzkości. Spodziewałem się, że pachnieć będą jak młodzi bogowie.

– Naprawdę nie wiem, jak udało ci się uzyskać certyfikat, Ignace.

Karkasy uśmiechnął się szeroko.

– Za sprawą piękna mych utworów i mistrzowskiej umiejętności ubierania myśli w słowa, moja droga. Choć w tym akurat wypadku nie potrzeba żadnego mistrzostwa. Zacząć można tak:

Przed nędzą nas ratują Astartes, przed nędzą,

Lecz jak oni śmierdzą, ależ oni śmierdzą.

Karkasy zachichotał, zadowolony z żartu. Czekał na reakcję Keeler, ta jednak była zbyt pogrążona w swej pracy.

– Szlag! – zakląła, ciskając na stół delikatne narzędzia. – Serwitor! Do mnie!

Jeden z oczekujących w pobliżu cybernetycznych sług zbliżył się na cienkich teleskopowych odnóżach. Podała mu pikter.

– Mechanizm się zaciął. Zanieś go do naprawy.

I przynieś mi zapasowy pikter.

– Tak, pani. – Serwitor ujął urządzenie i oddalił się. Keeler naląła sobie kieliszek wina i oparła się o balustradę.

Na położonym niżej podpokładzie upamiętniacze schodzili się na obiad. Trzysta pięćdziesiąt mężczyzn i kobiet zasiadało do uroczyście nakrytych stołów. Serwitorzy roznosili napoje, słychać było dźwięk gongu.

– Podano już obiad? – zapytał Karkasy, nie ruszając się z sofy.

– Tak – potwierdziła Keeler.

– Czy i tym razem gospodarzem ma być jeden z tych nieszczęsnych iteratorów?

– Tak, znowu Sindermann. Będzie mówił o propagowaniu żyjącej prawdy.

Karkasy zastukał w swój kieliszek.

– To chyba zjem tutaj – powiedział.

– Niedobry z ciebie człowiek, Ignace – odparła Keeler ze śmiechem. – Dotrzymam ci jednak towarzystwa.

Usiadła wygodnie na sofie naprzeciw Karkasego. Była wysoka, smukła i jasnowłosa, o delikatnej twarzy i bladej cerze. Nosila toporne wojskowe buty i połowę spodnie. Jej ubiór uzupełniały czarna kurtka i biała kamizelka podobna do tej, jakie nosili kadeci. Męski strój podkreślał tylko jej kobiecość i urodę.

– Mógłbym napisać o tobie poemat – powiedział Karkasy, wlepiając w nią wzrok.

Keeler parsknęła. Jego zaloty stały się swego rodzaju tradycją.

– Mówiłam ci, że twoje niezdarne awanse nie robią na mnie wrażenia.

– Nie lubisz mężczyzn? – zapytał, odchylając nieco głowę.

– Dlaczego?

– Ubierasz się jak mężczyzna.

– Ty też. Czy to z kolei oznacza, że lubisz mężczyzn?

Karkasy zapadł się głębiej w sofie i ze zboląłą miną bawił się ustawionym na piersi kieliszkiem. Patrzył na wymalowane na sklepieniu antresoli postacie bohaterów. Nie miał pojęcia, kim byli, ale zapewne zajmowali się głównie staniem na stosach ciał poległych, wznoszeniem rąk ku niebu w tryumfalnym geście oraz wydawaniem heroiczych okrzyków.

– Tak to sobie wyobrażałaś? – zapytał cicho.

– Co?

– Kiedy mnie wybrano – powiedział – kiedy dostałem wiadomość, czułem...

– Co takiego?

– Chyba... dumę. Wyobrażałem sobie międzygwiazdne podróże i udział w tworzeniu historii ludzkości. Myślałem, że wzniosłość tych chwil przyniesie natchnienie, dzięki któremu stworzę swe najwspanialsze dzieła.

– A nie jest tak? – zapytała Keeler.

– Wielbieni przez wszystkich wojownicy, których chwałę mamy opisywać, wcale nam w tym nie pomagają.

– Mnie się do pewnego stopnia udało – powiedziała Keeler. – Byłam wcześniej w sali odpraw. Udało mi się zrobić kilka dobrych zdjęć. Poprosiłam o zezwolenie na zejście na powierzchnię planety. Chcę na własne oczy zobaczyć strefę wojny.

– Powodzenia. Pewnie odmówią. Jak dotąd odrzucili wszystkie moje prośby o kontakt.

– To wojownicy, Ig. Od zawsze zajmują się tylko wojną. Nie chcą nas tutaj. Jesteśmy tylko pasażerami, nieproszonymi gośćmi.

– Przynajmniej zrobiłaś zdjęcia – powiedział.

Keeler skinęła głową.

– Chyba im nie przeszkadzam.

– Bo ubierasz się jak mężczyzna. – Uśmiechnął się.

Właz otworzył się i do cichej sali na antresoli weszła Mersadie Oliton. Podeszła wprost do stołu, nalała sobie wina z karafki i wypła je duszkiem. Potem w milczeniu spojrzała na gwiazdy widoczne przez bulaje w burcie statku.

– Co ją ugryzło? – zapytał Karkasy.

– Sadie? – powiedziała Keeler. Wstała i odstawiła kieliszek. – Co się stało?

– Wygląda na to, że kogoś uraziłam – powiedziała Oliton szybko, nalewając sobie drugi kieliszek.

– Uraziłaś? Kogo?

– Nadętego Marine, łajdaka nazwiskiem Loken. Co za drań!

– Rozmawiałaś z Lokenem? – zainteresował się Karkasy, wstając gwałtownie i stawiając stopy na pokładzie. – Z tym Lokenem? Kapitanem Dziesiątej Kompanii?

– Tak – potwierdziła Oliton. – Dlaczego pytasz?

– Od miesiąca próbuję się umówić z nim na spotkanie. Ponoć jest najbardziej niezłomnym ze wszystkich kapitanów. Plotki mówią, że ma zająć miejsce Sejanusa. Jak udało ci się zdobyć pozwolenie na rozmowę?

– Wcale mi się nie udało – przyznała Oliton. – Uzyskałam pozwolenie na przeprowadzenie krótkiego wywiadu z kapitanem Torgaddonem. Uważałam to za niemały sukces, bo wydanie pozwolenia trwało kilka dni. Chyba jednak nie był w nastroju do rozmowy. Na spotkanie przyszedł jego adiutant. Powiedział mi, że Torgaddon jest zajęty, ale że na jego rozkaz ma mnie zaprowadzić na spotkanie z Lokenem. Loken zna ciekawą opowieść, powiedział.

– Rzeczywiście była ciekawa? – nie wytrzymała Keeler.

Mersadie pokiwała głową.

– Lepszej dotąd nie słyszałam. Ale powiedziałam coś, co nie przypadło mu do gustu. W paru słowach sprawił, że poczułam się o, taka malutka. – Gestem pokazała, jak malutka. Wypiła łyk wina.

– Śmierdział potem? – chciał wiedzieć Karkasy.

– Nie, wręcz przeciwnie. Pachniał słodko, olejkami i czystością.

– To może mu mnie przedstawiś?



Usłyszał kroki, potem ktoś zawołał jego imię.

– Garvi?

Loken przerwał ćwiczenia szermiercze i odwrócił się. Przez pręty klatki zobaczył Nerona Vipusa stojącego w drzwiach sali szkoły miecza. Miał na sobie czarne spodnie, wysokie buty i luźną kamizelkę. Jego okaleczona ręka była wyraźnie widoczna. Odciętą dłoń złożono w pojemniku pełnym sterylnej wody, a w nadgarstek wstrzyknięto serum z nanomaszynami, mającymi odbudować staw i przygotować go na mające nastąpić za jakiś tydzień wszczepienie bionicznego augmetyku. Vipus sam amputował sobie dłoń i Loken nadal widział blizny, które pozostawiły zęby miecza łańcuchowego.

– O co chodzi?

– Ktoś chce cię zobaczyć – rzekł Neron.

– Jeśli to kolejny z tych przeklętych upamiętniaczy...

Vipus pokręcił głową.

– Nie tym razem. Chodzi o kapitana Torgaddona.

Loken opuścił miecz i wyłączył mechanizm klatki treningowej. Vipus odszedł na bok. Manekiny treningowe i ruchome ostrza zamarły, a półkule klatki skryły się w sklepieniu i pokładzie. Do sali wszedł Tarik Torgaddon ubrany w luźne szaty i długą kolczugę. Miał surowe rysy twarzy i czarne włosy, a mijając Vipusa, wyszczerzył w uśmiechu idealnie białe zęby.

– Dziękuję, Vipus. Jak tam ręka?

– Goi się, kapitanie. Niedługo mi ją przyszyją.

– To dobrze – powiedział Torgaddon. – Pamiętaj, by do tego czasu podcierać się drugą, co? Zostaw nas samych.

Neron roześmiał się i odszedł.

Torgaddon zachichotał z własnego żartu i wszedł po stopniach wiodących na matę szermierczą, by stanąć naprzeciw Lokena. Zatrzymał się przed ustawionym obok otwartej klatki stojakiem z bronią, wybrał topór o długim stylisku i machnął nim kilka razy w powietrzu.

– Witaj, Garvielu – powiedział. – Słyszałeś już pewnie plotki?

– Słyszałem niejedną plotkę, kapitanie.

– Mówię o plotkach na twój temat. Broń się.

Loken rzucił na pokład ćwiczebny miecz i wybrał ze stojaka tabar, bojowy topór w całości wykonany ze stali, o silnie wygiętym żeleźcu. Uniósł broń w czujnej postawie i stanął naprzeciw Torgaddona.

Torgaddon wykonał zwód, po czym zadał dwa piekielnie silne ciosy. Loken sparował jego uderzenia styliskiem topora. W sali szkoły miecza rozległy się echa uderzeń. Torgaddon nadal się uśmiechał.

– Wróćmy do plotki... – powiedział i ruszył po okręgu.

– Wróćmy – zgodził się Loken. – Plotka mówi prawdę?

– Nie – powiedział Torgaddon. Znów wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. – Pewnie, że mówi prawdę! A może nie...? Chyba jednak tak! – Głośno roześmiał się z udanej psoty.

– Bardzo zabawne – skomentował Loken.

– Uśmiechnij się więc – wyszczał Torgaddon i zadał cios jak kosą, tnąc nietypowo, na krzyż. Loken ledwo zdołał zrobić unik. Musiał wykręcić się spod opadającej klingi, o mało nie stracił równowagi, stanął w szerokim rozkroku.

– Ciekawa technika – powiedział, znowu krążąc, luźno trzymając tabar w nisko opuszczonej dłoni. – Właśnie ją wymyśliłeś?

Torgaddon znów się uśmiechnął.

– Sam Mistrz Wojny mnie jej nauczył – odparł. Również krążył, powoli obracając długim styliskiem topora. Żeleźce odbijało światło skierowanych na matę reflektorów.

Nagle zatrzymał się i wskazał bronią Lokena.

– Nie cieszysz się, Garvielu? Na Terrę! Sam przedstawiłem twoją kandydaturę.

– Jestem zaszczycony i dziękuję, kapitanie.

– Ekaddon mnie poparł.

Loken uniósł brwi.

– No dobra, nie poparł. Ekaddon cię nie cierpi, przyjacielu.

– Z wzajemnością.

– Zuch chłopak.

– Torgaddon ryknął i skoczył. Loken sparował jego cios i skontrował, zmuszając Torgaddona do odskoku na krawędź maty.

– Ekaddon to dupek – powiedział Torgaddon. – Ma ci za złe, że pierwszy dotarłeś na szczyt wieży.

– Ja tylko... – zaczął Loken.

Torgaddon uciszył go uniesionym palcem.

– Dotarłeś na szczyt pierwszy – powiedział cicho, poważnie. – I przejrzałeś podstęp. Ekaddon niech się powiesi, gadaniem niczego nie zmieni. Abaddon poparł twoją kandydaturę.

– Pierwszy Kapitan?

Torgaddon skinął głową.

– Zrobiłeś na nim wrażenie. Wyprzedziłeś go, a chwała przypadła Dziesiątej. Mistrz Wojny rozstrzygnął głosowanie na twoją korzyść.

Loken całkowicie opuścił gardę.

– Sam Mistrz Wojny?

– Chce mieć cię blisko siebie. Kazał, bym ci to powiedział. Jesteś pracowity i honorowy, a on to docenia. Tarik, powiedział mi, jeśli jest ktoś go dzien zając miejsce Sejanusa, powinien to być Loken. Tak właśnie powiedział.

– Naprawdę?

– Nie.

Loken uniósł wzrok i zobaczył, jak Torgaddon naciera na niego, młynkując uniesionym toporem. Loken schylił się, odstąpił w bok i dźgnął go w bok styliskiem. Torgaddon potknął się i wybuchnął śmiechem.

– Tak! Naprawdę tak powiedział. Na Terrę, Garvi, łatwo cię nabrać. Zbyt łatwo. Gdybyś mógł zobaczyć swoją minę!

Loken uśmiechnął się lekko. Torgaddon spojrział na swój topór, po czym odrzucił go na bok, jakby szermierka nagle go znudziła. Broń zadźwięczała o pokład.

– Jaka jest twoja decyzja? – zapytał. – Co mam im powiedzieć? Zgadzasz się?

– Będzie to dla mnie zaszczyt życia, kapitanie.

Torgaddon pokiwał głową, uśmiechnął się.

– Rzeczywiście, będzie. A oto pierwsza lekcja: mów mi Tarik.



Mówiono, że proces wyboru iteratorów był bardziej surowy i skrupulatny niż selekcja Astartes. Powszechne przekonanie głosiło, że zaledwie jeden człowiek na tysiąc może zostać Legionistą, ale iteratorem zostaje jeden na sto tysięcy.

Loken również tak sądził. Przyszły Astartes musiał być odporny, niezwykle sprawny, podatny na terapię genową i inne ulepszenia. Jego szkielet i mięśnie były materiałem, z którego rzeźbiono prawdziwego wojownika.

Przyszły iterator musiał jednak posiadać pewne dary, których nie dało się wytworzyć sztucznie. Musiał mieć intuicję, zdolność wysławiania się, przenikliwość polityczną i niezwykłą wprost inteligencję. Tą ostatnią można było oczywiście wspomagać, cyfrowo lub farmaceutycznie, a wiedzę z zakresu historii, polityki, etyki czy retoryki opanować na drodze nauki. Można było nauczyć człowieka, co ma myśleć i jak wyrażać owe myśli. Jednak nie można było nauczyć go, jak myśleć.

Loken uwielbiał obserwować iteratorów przy pracy. Zdarzało mu się nawet opóźnić wycofanie swej Kompanii z teatru działań tylko po to, by móc towarzyszyć im w podbitych

miastach i przyglądać się, jak przemawiają do tłumów. Wrażenie przypominało wschód słońca, z wolna zalewający światłem pole zboża.

Kyril Sindermann był najlepszym iteratorem, jakiego Loken kiedykolwiek spotkał. Sindermann pełnił funkcję naczelnego iteratora Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji, a jego zadaniem było kształtowanie przesłania niesionego przez propagandzistów. Fakt, że Mistrz Wojny zaszczycał go bliską i głęboką przyjaźnią, był powszechnie znany. Sindermann znajdował się też w zażyłych stosunkach z Mistrzem Ekspedycji i starszymi adiutantami. Sam Imperator znał jego imię.

Kiedy Loken wszedł do sali zgromadzeń w trzewiach „Mściwego Ducha”, Sindermann kończył właśnie odprawę w szkole iteratorów. W amfiteatralnych ławkach zasiadało dwa tysiące mężczyzn i kobiet w prostych, beżowych szatach, chłonąc każde jego słowo.

– Mówię już chyba zbyt długo, czas więc na podsumowanie – powiedział Sindermann. – Ów niedawno rozegrany epizod pozwala nam prześledzić zmiany zachodzące pod retoryczną powierzchnią naszej filozofii. Prawda, którą głosimy, jest prawdą, gdyż my mówimy, że tak jest. Czy to wystarczy?

Wzruszył ramionami.

– Nie sędzę. „Moja prawda jest lepsza od twojej” to postawa uczniów, która nie może stanowić fundamentu do budowy jakiegokolwiek kultury. Sylogizm brzmiący „ja mam rację, a więc ty się mylisz” traci na znaczeniu w kontakcie z najprostszymi zasadami etyki. Nie można na tej podstawie budować ustroju nowego świata. Nam zaś nie wolno i nie będziemy propagować takiego sposobu myślenia. Kim byśmy się wówczas stali?

Rozejrzał się po sali i dostrzegł kilka uniesionych rąk.

– Tak?

– Stalibyśmy się kłamcami.

Sindermann uśmiechnął się. Wokół mównicy ustawiono mikrofony aparatury nagłaśniającej, a jego twarz filmował pikter, wyświetlając go na hololitycznej ścianie. Na ekranie jego uśmiech miał trzy metry szerokości.

– Osobiście myślałem o słowie „demagog”, Memed, ale „kłamca” jest nawet celniejszym określeniem. Brawo. Kłamcy więc. Jako iteratorzy nie możemy sobie nigdy pozwolić na to, by stać się kłamcami.

Sindermann przerwał, napił się wody. Loken usiadł w wolnej ławce z tyłu sali. Sindermann był szczupły i wysoki jak na śmiertelnika, trzymał się dumnie i prosto, a jego szlachetną głowę wieńczyły siwe włosy. Brwi miał czarne jak oznaczenia na naramiennikach Wilków Luny. Przyciągał uwagę samą prezencją, ale jego najważniejszym narzędziem był głos. Głos niski, melodyjny, łagodny i pełen współczucia, wymarzony dla każdego iteratora. Głos niegłośny, czysty, świadczący o rozumności, szczerości, skłaniający do obdarzenia zaufaniem. Głos, jaki mógł mieć jeden kandydat na sto tysięcy.

– Prawda i kłamstwa – ciągnął Sindermann. – Prawda i kłamstwa. Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, że wsiadłem teraz na mego konika? Kolacja nieco się opóźni.

Przez salę przetoczył się śmiech.

– Nasze społeczeństwo kształtują wielkie czyny – mówił. – Największym z nich było całkowite i formalne zjednoczenie Terry przez Imperatora, którego naturalną konsekwencją jest Wielka Krucjata. Jednak największym z naszych osiągnięć intelektualnych było zrzucenie jarzma religii. Zarówno przesady i zabobony, jak i wielkie teologie przez wiele tysięcy lat skłaniały ludzkość do wojen i mordów, toczyły nas niczym zarazy, obciążały jak kajdany. Powiem wam, czym była religia... Albo nie, wy mi to powiedzcie. Słucham.

– Ignorancją.

– Dziękuję, Khanna. Właśnie. Ignorancją. Od najwcześniejszych czasów nasz gatunek dążył do zrozumienia prawideł rządzących kosmosem. Tam, gdzie nie sięgał umysł, pojawiała się ślepa wiara, łatająca luki w rozumowaniu. Dlaczego słońce przebiega nieboskłon? Nie wiem, przypiszę to więc słonecznemu bóstwu pędzącemu w złotym rydwanie. Dlaczego jesteśmy śmiertelni? Nie znam odpowiedzi, ale wierzę, że sprawcą jest szkielec z kosą, który zabiera dusze w zaświaty.

Słuchacze zaśmiali się. Sindermann zszedł z mównicy i zbliżył się do prowadzących na katedrę schodów, wychodząc poza zasięg mikrofonów. Ale choć mówił cicho, jego wyćwiczony głos, narzędzie iteratora, brzmiał wyraźnie i docierał do każdego zakątka sali.

– Wierzenia religijne, wiara w demony i duchy, w zaświaty i inne zjawiska nadnaturalne, służyły tylko temu, byśmy czuli się pewniej w obliczu bezmiaru kosmosu. Wszelkie modlitwy i talizmany miały dawać pocieszenie, były podporą dla intelektu i światłem wśród mroku. Teraz jednak znamy już kosmos, przyjaciele. Przemierzamy go. Zrozumieliśmy naturę rzeczywistości. Zobaczyliśmy gwiazdy od nieznanej dotąd strony i pojęliśmy, że nie napędza ich żaden

mechanizm, że nie ciągną ich żadne rydwany. Zrozumieliśmy, że bóstwa są nam zbędne, nie potrzebujemy więc również demonów, diabłów ani duchów. Największym osiągnięciem ludzkości było przekształcenie się w cywilizację świecką.

Aplauz był szczery i spontaniczny. Odezwało się kilka okrzyków aprobaty. Iteratorów szkolono nie tylko w zakresie retoryki. Umieli również słuchać. Ukryci wśród tłumu, potrafili niczym klakierzy wywołać w nim entuzjazm lub niechęć wobec mówcy. Jego koledzy zatem często dołączali do publiczności, by wspomagać skuteczność przemawiającego.

Sindermann odwrócił się, jakby już skończył, po czym ponownie zwrócił się do słuchaczy, kiedy oklaski już zamierały, i odezwał się głosem jeszcze cichszym, ale i bardziej donośnym:

– Cóż jednak z wiarą? Wiara stanowi wartość nawet mimo braku religii. Musimy przecież w coś wierzyć, prawda? Powiem wam, w czym warto pokładać wiarę. Prawdziwym przeznaczeniem i misją ludzkości jest niesienie kaganka prawdy i rozświetlanie nim najgłębszego nawet mroku. Przynoszenie wolności, jaką daje całkowite zrozumienie rzeczywistości, nawet do najodleglejszych zakątków kosmosu. Naszym zadaniem jest wyzwalenie z łańcuchów ignorancji tych, którzy – jak my niegdyś – trwają w wierzeniach w fałszywych bogów. A wszystko po to, byśmy mogli zająć przeznaczone nam miejsce u szczytu ewolucji świadomego życia. I w tym... tylko w tym warto pokładać wiarę.

Znów rozległ się aplauz i okrzyki entuzjazmu. Sindermann wszedł na mównicę. Wsparł dłonie o rzeźbione w drewnie krawędzie pulpitu.

– W ciągu kilku ostatnich miesięcy obaliliśmy i zgnetliśmy całą kulturę. Zrozumcie dobrze... Nie zmusiliśmy ich do uległości ani współpracy. Zgnetliśmy ich. Złamaliśmy ich wolę. Puściliśmy ich świat z dymem. Wiem to, bowiem Mistrz Wojny spuścił na nich psy wojny, posłał do walki Astartes. Mówmy bez ogródek o tym, czym zajmują się Astartes. Zabijają, ale działając w słusznej sprawie. Widzę jednego z tych szlachetnych wojowników między nami, na tyłach sali.

Wiele głów odwróciło się, by spojrzeć na Lokena. Znów dało się słyszeć aplauz.

Sindermann zaczął energicznie klaskać.

– Głośniej! Nagroźmy go głośniejszymi brawami! – Pod sufit uderzył huragan oklasków. Loken wstał i skłonił się z zakłopotaniem.

Brawa ucichły.

– Ci, których podbiliśmy, wierzyli w Imperium, we władztwo ludzkości – kontynuował Sindermann. – Mimo to zgładziliśmy ich „Imperatora” i zmusiliśmy pozostałych do podporządkowania się. Spaliliśmy ich miasta i strąciliśmy z nieba ich okręty. Czy na pytanie „dlaczego?” jedyną odpowiedzią ma być „ponieważ ja mam rację, a wy się mylicie”?

Opuścił wzrok, jakby się namyślał.

– Wszak mamy rację. A oni się mylą. Musimy starać się wpoić im tę prostą, czystą prawdę. My mamy rację, oni zaś się mylą. Dlaczego? Nie dlatego, że tak mówimy, ale dlatego, że mamy pewność! Nie głosimy tej prawdy dlatego, że pokonaliśmy ich w boju, ale dlatego, że ciąży na nas odpowiedzialność. Nie wolno nam kierować się pobudkami innymi niż fakt, że ponad wszelką wątpliwość przynosimy prawdę i w niej pokładamy naszą wiarę. Oni się mylą. Cała ich kultura powstała na fundamencie kłamstwa. Przynieśliśmy im miecz prawdy i oświecenia. Miejcie w pamięci te słowa i kierujcie się nimi. Idźcie i zanieście im nasze przesłanie.

Z uśmiechem zaczekał, aż ustanie burza oklasków.

– Kolacja wam wystygnie. Koniec zajęć.

Przyszli iteratorzy zaczęli powoli opuszczać salę.

Sindermann wypił łyk wody ze stojącej na pulpicie szklanki i podszedł po stopniach do miejsca, w którym siedział Loken.

– Podobał ci się wykład? – zapytał, siadając obok i wygładzając szatę.

– Mówisz jak sprzedawca zachwalający towary na bazarze.

Sindermann uniósł czarną brew.

– Czasami tak się właśnie czuję, Garvielu.

Loken zmarszczył czoło.

– Nie wierzysz w to, co sprzedajesz?

– A ty?

– Ja niczego nie sprzedaję.

– Sprzedajesz wiarę za mord i przynosisz prawdę pokonanym.

– To walka, nic więcej. Jest celem samym w sobie. Jej znaczenie określono na długo przed tym, zanim wydano mi rozkazy.

– A więc jako wojownik nie posiadasz sumienia?

Loken zaprzeczył ruchem głowy.

– Jako wojownik kieruję się sumieniem ukształtowanym wiarą w Imperatora. Wiarą w naszą sprawę. Jednak jako broń nie posiadam sumienia. Kiedy staję do walki, przestaję rozważać, a zaczynam działać. Wartość mego działania rozważył wcześniej w swym sumieniu nasz wódz. Zabijam do momentu, kiedy otrzymam rozkaz zaprzestania walki, a póki ona trwa, nie kwestionuję jej sensu. Byłoby to nie tylko niestosowne, ale i pozbawione sensu. Skoro wódz podjął decyzję o podjęciu działań wojennych, moim zadaniem jest wprowadzić ją w życie. I czynię to najlepiej jak potrafię. Zadaniem broni nie jest kwestionowanie tego, przeciw komu i dlaczego jej użyto.

Sindermann uśmiechnął się.

– Istotnie, i tak właśnie powinno być. Jednak twoja obecność mnie zastanawia. Nie mieliśmy na dziś zaplanowanych zajęć.

Poza obowiązkami iteratora Sindermann, jako jeden ze starszych doradców Mistrza Wojny, prowadził dla Astartes zajęcia edukacyjne. Legioniści spędzali w podróży pomiędzy strefami wojny wiele czasu i wolą i rozkazem Mistrza Wojny było, by spędzali ten okres na rozwijaniu intelektu oraz zdobywaniu wiedzy. „Nawet najlepszy wojownik winien poznawać inne dziedziny wiedzy” – orzekł Horus. „Nadejdzie taki czas, że wojna dobiegnie końca, i moi wojownicy powinni być gotowi do życia w pokoju. Nie znając nic prócz sztuki wojennej, nie znajdą dla siebie miejsca i staną się zbędni”.

– Nie zaplanowano na dziś zajęć – powiedział Loken. – Chciałem pomówić z tobą nieformalnie.

– Co cię trapi?

– Muszę podjąć pewną decyzję...

– Zaproszono cię do przystąpienia do Kwadry – przerwał mu Sindermann. Loken zamrugnął zaskoczony.

– Skąd wiedziałeś? Czy wszyscy o tym wiedzą?

Iterator uśmiechnął się szeroko.

– Sejanus, niech spoczywa w błogosławionym spokoju, nie żyje, a więc Kwadra potrzebuje jego następcy. Zaskakuje cię, że zwrócono się do ciebie?

– Tak.

– A mnie nie. Tryumfami oręza ustępujesz jedynie Abaddonowi i Sedirae, Garvielu. Mistrz Wojny to widzi. Widzi to również Dorn.

– Prymarcha Dorn? Jesteś tego pewien?

– Mówiono mi, że podziwia twoje spokojne usposobienie. Z jego ust to niemały komplement.

– Czuję się zaszczycony.

– Słusznie. W czym więc leży problem?

– Czy podołam? Czy powinienem się zgodzić?

Sindermann zaśmiał się.

– Odrobinę wiary – powiedział.

– To nie wszystko.

– Słucham.

– Odwiedziła mnie dziś upamiętniaczka. Szczerze mówiąc, rozmowa z nią głęboko mnie zirytowała, powiedziała jednak coś, co zapadło mi w pamięć. Zapytała: „Czy nie mogliśmy pozostawić ich samym sobie?”.

– Kogo?

– „Imperatora” i jego ludu.

– Garvielu, sam znasz odpowiedź na to pytanie.

– W wieży, stojąc z nim twarzą w twarz...

Sindermann zmarszczył brwi.

– Z tym fałszywym, który udawał Imperatora?

– Tak. Zapytał mnie o to samo. *Quartes* w swych *Kwantyfikacjach* uczy nas o ogromie galaktyki, którego osobiście doświadczyłem. Jakie mamy prawo niszczyć osobę albo lud, który kieruje się filozofią inną niż nasza, ale obiektywnie słuszną? Czy nie możemy pozostawić ich w spokoju, zignorować? Galaktyka jest przecież tak ogromna.

– Zawsze najbardziej lubiłem w tobie człowieczeństwo, Garvielu – odpowiedział Sindermann. – Widzę, że ten temat trapi cię od jakiegoś czasu. Dlaczego wcześniej nie przyszedłeś z tym do mnie?

– Miałem nadzieję, że sam o tym zapomnę – przyznał Loken.

Sindermann wstał i skinął na Lokena. Wyszli z sali zgromadzeń i ruszyli jednym z długich korytarzy biegnących równolegle do grzbietu okrętu. Miał on pięć kilometrów długości i przypominał nakryty wysokim sklepieniem kanion, przecinający trzy pokłady niczym nawa starożytnej katedry. Wewnątrz panował półmrok, a ze sklepienia w regularnych odstępach

zwisały wspaniałe sztandary Legionu, upamiętniające zwycięskie kampanie i walczących w nich Astartes. Niektóre spłwiałały z wiekiem, inne ucierpiały w bitewnych zawieruchach. Korytarz był pełen ludzi, a ich głosy wznosiły się pod sufit dziwnym szmerem. Loken widział, jak spacerują położonymi wyżej, jasno oświetlonymi galeriami, z których rozciągał się widok na całe przejście.

– Zacznę od słów, którymi chcę ukoić twoje zmartwienia – zaczął Sindermann. – Byłeś przy tym, jak podczas wykładu objaśniałem to słuchaczom. Sam również w pewien sposób poruszyłeś ten temat, mówiąc o sumieniu. Jesteś bronią, Garvielu. Jednym z najdoskonalszych narzędzi zniszczenia, jakie stworzyła ludzkość. Nie może być w tobie miejsca na wątpliwości lub pytania bez odpowiedzi. Masz rację. Broń nie powinna myśleć, a jedynie wykonywać rozkazy, bo to nie do niej należy decyzja o rozpoczęciu walki. Brzemie podejmowania takich decyzji obarcza Prymarchów i dowódców, my zaś nawet nie jesteśmy w stanie ocenić związanych z nimi zagadnień etycznych. Mistrz Wojny, podobnie jak nasz ukochany Imperator przed nim, nie podejmuje owych decyzji lekkomyślnie, lecz z ciężkim sercem. Wprowadzenie do walki Astartes wymaga pewnej determinacji. Adeptus Astartes stanowią bowiem broń ostateczną i tylko w takich sytuacjach się ją wykorzystuje.

Loken skinął głową.

– Musisz o tym pamiętać. Fakt, że Imperium dysponuje Astartes, a wraz z nimi możliwością zniszczenia każdego wroga, nie stanowi podstawy, by to robić. Wojownicy podobni tobie, Garvielu, powstałi, gdyż są... koniecznością.

– Jesteśmy więc złem koniecznym?

– Koniecznym narzędziem. Siła nie stanowi o racji. Ludzkość niesie wielką, empirycznie stwierdzoną prawdę, przesłanie dla dobra wszechświata. Czasem owo przesłanie bywa ignorowane lub puszczane mimo uszu. Czasami bywa odrzucane, tak jak wydarzyło się to ostatnio. Wtedy i tylko wtedy dziękujemy gwiazdom, że dysponujemy siłą zdolną, by wprowadzić je w życie. Nie mamy racji dlatego, że jesteśmy silni, Garvielu. Nasza siła wynika z racji. Oby ta zasada nigdy nie uległa odwróceniu, bo wówczas biada nam.

Skręcili z korytarza i ruszyli poziomą promenadą w stronę archiwów. Mijali ich serwitorzy z naręczami ksiąg i czytników danych.

– Bez względu na to, czy nasza racja jest słuszna, czy też nie, czy musimy zmuszać innych do jej przyjęcia? Jak spytała upamiętniaczka, czy nie moglibyśmy po prostu pozostawić ich w spokoju?

– Idziesz brzegiem jeziora – powiedział Sindermann. – Widzisz tonącego chłopca. Czy pozwolisz mu utonąć tylko dlatego, że przez własną głupotę wpadł do wody, zanim nauczył się pływać? A może wyciągniesz go na brzeg i pokażesz, jak to się robi?

Loken wzruszył ramionami.

– Uratuję go, oczywiście.

– A gdyby się ciebie bał? Gdyby walczył z tobą ze strachu? Gdyby nie chciał nauczyć się pływać?

– Uratowałbym go mimo to.

Zatrzymali się. Sindermann przycisnęła dłoń do płytki zamka wmontowanego w mosiężną futrynę ogromnych drzwi. Świetlna wiązka odczytała jego linie papilarne i drzwi otworzyły się, wydychając suche, klimatyzowane powietrze zalatujące kurzem.

Razem weszli do Archiwum Trzeciego. Uczni, iluminatorzy i pisarze pracowali w ciszy przy swych pulpitych, od czasu do czasu nakazując serwitorom dostarczenie potrzebnych tomów.

– Twoje wątpliwości są interesujące ze względu na to, co mówią o tobie – odezwał się iterator głosem tak cichym, by tylko wyostrzony słuch Lokena zdołał złowić jego słowa. – Ustaliliśmy już, że jako broń nie musisz podejmować decyzji, gdyż kto inny robi to za ciebie. Ale iskra człowieczeństwa każe ci wątpić, martwić się, współczuć. Zachowałeś bowiem zdolność postrzegania kosmosu z punktu widzenia nie narzędzia, lecz człowieka.

– Rozumiem – powiedział Loken. – Chcesz powiedzieć, że zapomniałem, gdzie moje miejsce. Że przekraczam granice.

– Ależ nie – uśmiechnął się Sindermann. – Mówię, że odnalazłeś swoje miejsce.

– Jak to?

Iterator wskazał gestem stopy książek, jak wieże godzące w zamglone sklepienie Archiwum. Wysoko nad nimi, niczym pszczoły w ulu, unosili się skrzydlaci serwitorzy, wyszukujący i dostarczający starożytne księgi w plastikowych pojemnikach.

– Spójrz na księgi – powiedział.

– Czy powinienem któreś przeczytać? Przygotujesz mi listę?

– Prze czytaj wszystkie. Nawet dwukrotnie. Pochłoń całą wiedzę i wszystkie idee naszych poprzedników, gdyż zyskasz na tym jako człowiek. Pamiętaj jednak, że w żadnym z tych tomów nie znajdziesz odpowiedzi na dręczące cię pytania.

Loken zaśmiał się, zaskoczony. Kilku siedzących najbliżej pisarzy z irytacją podniosło głowy znad swych pulpitów. Zobaczyli, że śmiech należał do Astartes, i szybko spuścili wzrok.

– Czym jest Kwadra, Garvielu? – zapytał szeptem Sindermann.

– Dobrze wiesz...

– Mimo to odpowiedz. Czy to oficjalny organ dowodzenia? Czy posiada formalną władzę? Może to ranga lub stopień?

– Oczywiście, że nie. To nieformalny zaszczyt. Nie posiada oficjalnego znaczenia. Kwadra funkcjonuje tak długo, jak długo istnieje nasz Legion. Składa się z czterech kapitanów uważanych za...

Przerwał.

– Najlepszych? – zapytał Sindermann.

– Skromność nie pozwala mi użyć tego słowa. Raczej za najlepiej nadających się do tej roli. Kwadra stoi poza strukturą dowodzenia Legionu. Jest bractwem czterech kapitanów dobranych w taki sposób, by różnili się usposobieniem i osobowością. Razem stanowią duszę Legionu.

– Ich zadaniem jest stać na straży moralności Legionu, czyż nie? Kształtować jego filozofię. A także, co najważniejsze, stać u boku wodza w postaci doradców, których głosów słucha on w pierwszej kolejności. Być mu przyjaciółmi i towarzyszami, do których może zwrócić się prywatnie, by swobodnie pomówić o dręczących go zmartwieniach i problemach, zanim staną się sprawą stanu lub Rady Wojennej.

– Taka jest funkcja Kwadry – zgodził się Loken.

– Wydaje mi się więc, Garvielu, że w takiej roli sprawdzić się może tylko broń zdolna kwestionować słuszność swego zastosowania. Aby stać się członkiem Kwadry, trzeba wątpić. Trzeba kwestionować. Czy wiesz, co oznaczało niegdyś słowo „oponent”?

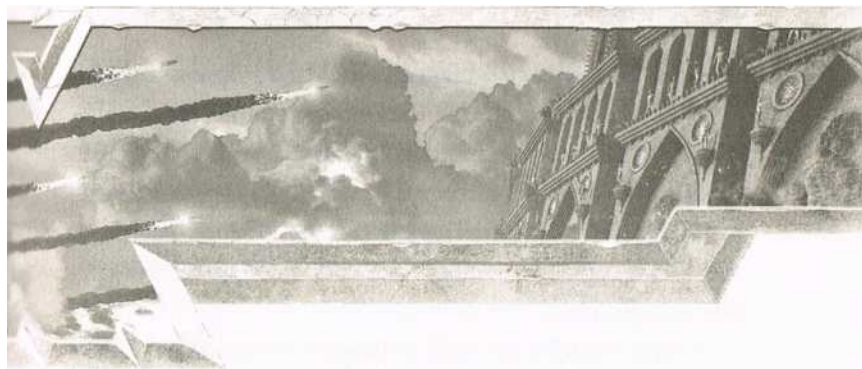
– Nie.

– We wczesnych czasach historii Terry, za panowania dynastii sumaturańskich, na dworach rządzących działali oponenci. Ich zadaniem było wyrażanie odmiennego niż władca zdania, kwestionowanie zastanego porządku. Wyszukiwanie słabych punktów podejmowanych decyzji lub artykułowanie kontrargumentów. Władcy wysoko ich cenili.

– Powinienem więc stać się oponentem? – zapytał Loken.

Sindermann pokręcił głową.

– Powinieneś pozostać sobą, Garvielu. Kwadra potrzebuje twego zdrowego rozsądku i trzeźwości umysłu. Jak dotąd głosem rozsądku był Sejanus, który równoważył porywczosć Abaddona i melancholię Aksymanda. Sejanus jednak zginął, a Mistrz Wojny jak nigdy dotąd potrzebuje równowagi. Przyszedłeś dziś do mnie po błogosławieństwo. Chciałeś wiedzieć, czy powinieneś przyjąć ów zaszczyt. Garvielu, twoje wątpliwości świadczą o skromności i same w sobie są najlepszą odpowiedzią na to pytanie.



CZTERY

WEZWANIE

PO PROSTU EZEKAIL

ZWYCIĘSKA KWADRA

Mersadie Oliton zapytała członków załogi promu o nazwę planety, w stronę której zmierzali. Odpowiedź brzmiała „Terra”, co niewiele jej powiedziało. Mersadie spędziła bowiem większość ze swych dwudziestu dziewięciu lat na powierzchni Terry i ta planeta nią nie była.

Mający jej towarzyszyć iterator również nie okazał się szczególnie pomocny. Nie miał jeszcze dwudziestu lat i był skromnym młodzieńcem o oliwkowej cerze. Nosił imię Memed i był wściekle inteligentny, niemal genialny. Niestety, niespokojny przebieg suborbitalnego lotu źle na niego wpłynął, skutkiem czego spędził większą jego część, wymiotując do plastikowej torby.

Prom wylądował w odległości ośmiu kilometrów od Wysokiego Miasta, na ozdobnym trawniku, po którego obu stronach ciągnęły się rzędy ogłowionych drzew. Zapadał wieczór i na skraju nabiegłego fioletem nieboskłonu widać już było gwiazdy. Wysoko nad nimi przelatywały okręty, błyskając światłami pozycyjnymi. Mersadie zeszła po rampie promu na trawnik i zaczerpnęła pełnego nieznanych zapachów powietrza planety.

Nagle stanęła jak wryta. Bogate w tlen powietrze sprawiło, że poczuła zawrót głowy, pogłębiony dodatkowo myślą o tym, gdzie się znalazła. Po raz pierwszy w życiu stała na powierzchni innej planety. Wydało się jej to uroczystą okazją godną do uczczenia fanfarami. Wiedziała, że należy do pierwszych upamiętniaczy, którym zezwolono postawić stopę na nowo podbitym świecie.

Odwróciła się i spojrzała na panoramę odległego miasta, napawając się jego widokiem i powierzając go sztucznym komórkom pamięci swego mózgu. Mrugnięciem zapisała cyfrowo kilka ujęć i zauważyła, że choć walki zakończyły się kilka miesięcy temu, nad miastem nadal unosi się dym.

– Nazwaliśmy ten świat Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście – powiedział iterator, schodząc po rampie. Lądowanie musiało uspokoić dręczące go mdłości. Mersadie wyczuła w jego oddechu lekki odór wymiocin i cofnęła się nieco.

– Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście? – zapytała.

– Dziewiętnasty świat zmuszony do uległości przez Sześćdziesiątą Trzecią Ekspedycję – wyjaśnił Memed. – Choć oczywiście trudno na razie mówić o pełnym wcieleniu do Imperium. Karta Praw i Powinności nie została jeszcze ratyfikowana, a Lord Gubernator elekt Rakris ma pewne trudności z powołaniem prawomyślnej koalicji parlamentarnej. Na razie jednak musi wystarczyć nazwa Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście. Miejscowi nazywają swój świat „Terrą”, ale nie możemy przecież zachować tego zwyczaju. Z tego, co wiem, wynika, że to właśnie ich przekonanie o tym, że zamieszkują jedyną prawdziwą Terrę, legło u podstaw konfliktu...

– Rozumiem – powiedziała Mersadie i odeszła na bok. Wyciągnęła dłoń i dotknęła kory ogłowionego drzewa. Wydawało się... rzeczywiste. Uśmiechnęła się do siebie i mrugnięciem utrwaliła jego obraz. W jej sztucznie ulepszonym umyśle powstawał już zrab opowieści wraz z kluczowymi obrazami. Zamierzała poprowadzić narrację z własnej perspektywy, a jej głównym motywem uczynić egzotykę doświadczenia, jakim było lądowanie na innej planecie.

– Piękny wieczór – odezwał się iterator, stając u jej boku.

Torby pełne wymiocin pozostawił u stóp rampy, jakby oczekiwał, że ktoś je za niego uprzątnie. Czterej żołnierze, których przydzielono Mersadie w charakterze eskorty, jakoś się do tego nie kwapili. Zbliżyli się do niej z bronią zwisającą z ramion, spoceni w ciężkich aksamitnych płaszczach i wysokich czapkach.

– Pani Oliton? – powiedział dowódca eskorty. – On czeka.

Mersadie skinęła głową i poszła za nimi. Serce waliło jej jak młotem. Cóż za okazja. Jak dotąd to jej przyjaciółka, upamiętniaczka Euphrati Keeler, osiągnęła największe sukcesy w kontaktach z Astartes. To ona miała okazję obserwować działania na terenie położonego na wschodzie miasta Kaentz. To ona też znalazła się najbliżej miejsca, w którym znaleziono Maloghursta. Żywego.

Adiutant Mistrza Wojny, uznany za zmarłego, kiedy jego statki zostały zestrzelone z orbity, katapultował się w kapsule desantowej. Ciężko rannego Astartes pielęgnowała i chroniła rolnicza rodzina zamieszkująca obrzeża Kaentz. Keeler czystym przypadkiem znalazła się w tamtym miejscu i uchwyciła na zdjęciu moment odnalezienia go na farmie. Był to niemalże sukces. Jej pięknie skomponowane zdjęcia obiegiły całą flotę i zebrały wiele pochwał. O Euphrati Keeler zrobiło się nagle głośno, a upamiętniacze przestali być traktowani jak zło konieczne. Kilkoma naciśnięciami migawki piktera Euphrati zrobiła dla sprawy więcej niż ktokolwiek przed nią.

Mersadie miała nadzieję, że i ona będzie miała taką szansę. Wezwano ją na powierzchnię planety. Poproszono o jej obecność. Nie do końca to do niej jeszcze dotarło. Samo wezwanie było wyróżnieniem, ale jeszcze ważniejsze było to, kto ją wezwał, osobiście zatwierdził przepustki, przydzielił eskortę oraz asystę jednego z najlepszych iteratorów Sindermana.

Nie rozumiała jego motywacji. Podczas ich ostatniego spotkania potraktował ją z niechęcią tak brutalną, że była bliska decyzji o rezygnacji i powrocie do domu.

Czekał na nią na zwirowej ścieżce biegnącej pomiędzy szpalerami drzew. Był w pełnym pancerzu i na ten widok poczuła mieszaninę fascynacji i lęku. Pancierz lśnił czystą bielą i antracytem czarnych krawędzi. Hełm z ozdobnym grzebieniem z końskiego włosa zawiesił u pasa. Był potężnym, ponad dwuipółmetrowym, pancernym gigantem.

Poczuła wahanie towarzyszących jej żołnierzy.

– Zaczekajcie tu – powiedziała. Usłuchali z wyraźną ulgą. Żołnierze Armii Imperialnej byli twardzi jak stal, ale nie chcieli mieszać się w sprawy dotyczące Astartes. Zwłaszcza jeśli wojownik należał do uważanego za najpotężniejszy i najbardziej niebezpieczny Legionu Wilków Luny.

– Ciebie to również dotyczy – zwróciła się do iteratora.

– Oczywiście. – Memed zatrzymał się.

– Wezwano mnie osobiście.

– Rozumiem.

Mersadie zbliżyła się do kapitana Wilków Luny. Aby spojrzeć mu w twarz, musiała zadrzeć głowę i osłonić oczy przed zachodzącym słońcem.

– Upamiętniaczko Oliton – powiedział Loken głosem brzmiącym jak echo w dębowej beczce.

– Panie kapitanie. Na wstępie chciałabym przeprosić, jeśli moje słowa podczas naszego ostatniego spotkania uraziły pana...

– Gdybym poczuł się urażony, nie wezwałbym pani tutaj, prawda?

– Chyba nie.

– Właśnie. Pani pytania rozdrażniły mnie, ale przyznaję, że byłem zbyt surowy.

– Byłam zbyt zuchwałą...

– To ta zuchwałość sprawiła, że pomyślałem właśnie o pani – odrzekł Loken. – Nie chcę i nie mogę mówić o tym więcej, ale powinna pani wiedzieć, że to właśnie tamte słowa mnie tu sprowadziły. Dlatego też postanowiłem ściągnąć na planetę i panią. Jeśli zadaniem upamiętniaczy jest skłaniać do przemyśleń, wywiązała się pani z niego doskonale.

Mersadie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Opuściła dłoń. Ostatnie promienie słońca zamigotały w jej oczach.

– Chce pan... żebym była świadkiem jakichś wydarzeń? Żebym coś upamiętniła?

– Nie – zaprzeczył krótko. – To, co ma się tu wydarzyć, ma charakter prywatny. Chciałem jednak, by wiedziała pani, że wydarzy się to po części za pani przyczyną. Kiedy wrócę i jeśli uznam to za stosowne, porozmawiam o tym z panią. Jeśli się pani zgodzi.

– Jestem zaszczycona, kapitanie. I jestem do pańskiej dyspozycji.

Loken skinął głową.

– Czy mam pójść... – zaczął Memed.

– Nie – zaprzeczył Wilk Luny.

– Oczywiście – powiedział Memed szybko, po czym równie szybko oddalił się i poświęcił uwagę pniowi najbliższego drzewa.

– Zadała mi pani właściwe pytania. Dzięki nim uświadomiłem sobie, że i moje pytania są właściwe.

– Naprawdę? Znalazł pan na nie odpowiedzi?

– Nie – odparł Loken. – Proszę tu poczekać – dodał i oddalił się, by po chwili zniknąć pod liściastym lukiem w przystrzyżonym na kształt warownego muru żywopłocie.

Mersadie odwróciła się do czekających żołnierzy.

– Gracie w karty? – zapytała.

Wzruszyli ramionami. Głupie pytanie.

Wyłowiła z kieszeni płaszcza talię kart.



– Znam jedną grę, która wam się spodoba. – Uśmiechnęła się i usiadła na trawie. Żołnierze odłożyli broń i usiedli wokół niej wśród długich, granatowych cieni wczesnego wieczoru.

Ignace Karkasy dał jej tę talię, zanim weszła na pokład promu. Uśmiechnął się wówczas i powiedział: „Żołnierze uwielbiają karty”.

Położony za wysokim żywopłotem zrujnowany ogród wodny zalegała ciemność. Żywopłot oraz okoliczne drzewa, przybierające na tle różowego nieba kształt czarnych grotów, zasłaniały resztki słonecznego światła. Mrok sprawiał niemal wrażenie mgły.

Alejki w ogrodzie były niegdyś wyłożone prostokątnymi płytami polerowanego kamienia. Ścieżki wiodły wokół kwadratowych, płytkich sadzawek, w których kwitły lilie i jasne wodne kwiaty. Oczka wodne okalały wierzby płaczące i paprocie.

Podczas szturm Wysokiego Miasta na teren ogrodu spadły pociski artyleryjskie oraz rakiety powietrze-ziemia, które zniszczyły dużą część roślin. Bombardowanie wyrwało z ziemi odłamki kamiennych płyt, a wiele sadzawek pogłębiały teraz podwodne kratery.

Ukryte źródło nadal jednak pompowało wodę, która wypełniła leje po bombach i płynęła strumykami pomiędzy rozrzuconymi kamieniami. Cały ogród lśnił w mroku niczym lustro wody, z którego wyrastały archipelagi splątanych gałęzi, wyrwanych z ziemi korzeni i niesymetrycznych głazów.

Kilka ocalałych, długich na dwa metry kamiennych bloków przeniesiono. Ich układ był zbyt symetryczny, by mogło tego dokonać bombardowanie. Ułożono z nich pomost ledwie wystający ponad powierzchnię zalewającej ogród wody.

Loken wszedł na niego i ruszył przed siebie. Powietrze pachniało wilgocią, wokół niosło się kumkanie płazów i szelest skrzydełek wieczornych owadów.

Po obu stronach ścieżki, na spokojnej tafli, unosiły się wodne kwiaty, niemal pozbawione kolorów w zapadającym mroku.

Loken nie czuł strachu, gdyż pozbawiono go tej zdolności. Odczuwał jednak ciekawość, oczekiwanie i to one wprawiały oba jego serca w drżenie. Wiedział, że ma przed sobą przełomowy moment. Wierzył, że otworzy on nowy, jasny rozdział w jego życiu i okaże się ważnym krokiem w karierze oficera Legionu. Cały świat wokół niego bardzo się ostatnio

zmienił. Sprawilo to wyniesienie wodza do rangi Mistrza Wojny i towarzysząca mu zmiana w przebiegu Krucjaty. Loken czuł, że i on powinien się zmienić i rozpocząć nowy etap.

Zatrzymał się i spojrział w górę, na wschodzące na purpurowym niebie gwiazdy. Dla niego i reszty ludzkości rozpoczynał się nowy, wspaniały i pełen chwały okres. Ludzkość, podobnie jak jego samego, czekała wspaniała przyszłość.

Dotarł w głąb poszarpanego bombardowaniem ogrodu. Nie sięgały tu ani reflektory lądowiska, ani światła miasta. Słońce zaszło, a okolicę zalały granatowe cienie.

Kamienny pomost urwał się. Dalej była tylko spokojna woda. Trzydzieści metrów przed Lokenem wyrastała z niej wysepka zarośnięta wierzbami płaczącymi. Widział sylwetki drzew na tle nieba.

Zastanawiał się, czy powinien czekać. Wtedy właśnie dojrzał mgnienie światła wśród wierzb. Żółty płomyk zapłonął i zgasł równie nagle, jak się pojawił.

Loken zszedł z pomostu. Woda sięgała mu do kolan. Jego ruch wywołał kręgi na jej lśniącej, czarnej powierzchni. Zaczął brnąć w stronę wysepki, mając cichą nadzieję, że nie trafi na podwodny krater i nie skazi powagi chwili komizmem.

Dotarł do zarośniętego drzewami brzegu i zatrzymał się w płytkiej wodzie, próbując dostrzec coś wśród mrocznej gęstwy gałęzi.

– Podaj nam swe imię – zażądał głos w ciemności. Słowa wypowiedziano w cthońskim, języku jego rodzinnej planety, wojennym żargonie Wilków Luny.

– Nazywam się Garviel Loken.

– Jaka twa szarża?

– Jestem kapitanem Dziesiątej Kompanii XVI Legionu Adeptus Astartes.

– Jakiemu panu ślubowałaś?

– Mistrzowi Wojny i Imperatorowi.

Zapadła cisza, przerywana tylko odgłosami żab i owadów.

Głos znów przemówił. Padły dwa słowa:

– Oświećcie go.

Dał się słyszeć zgrzyt metalu towarzyszący otwieraniu latarni, a potem zalało go światło żółtego płomienia. Wśród porastających brzeg drzew stały trzy postacie. Jedna z nich unosiła w górę lampę.

Aksymand. Trzymający latarnię Torgaddon. I Abaddon.

Wszyscy byli w pancerzach, podobnie jak on sam. Światło grało i tańczyło na powierzchni jasnych płyt.

Wszyscy też zawiesili ozdobione grzebieniami hełmy u pasów.

– Czy ręczysz za to, że człek ten jest tym, za kogo się podaje? – zapytał Abaddon. Pytanie wydawało się dziwne, wszak wszyscy obecni dobrze go znali. Loken zrozumiał, że jest to część ceremonii.

– Ręczę za to – rzekł Torgaddon. – Więcej światła.

Abaddon i Aksymand oddalili się i zaczęli otwierać dziesiątki latarni pozawieszanych na okolicznych krzewach. Kiedy skończyli, wszystkich ich zalewała złota poświata. Torgaddon postawił swą latarnię na ziemi.

Wszyscy trzej zeszli do wody i stanęli przed Lokenem. Tarik Torgaddon był najwyższy, a z jego twarzy ani na chwilę nie schodził uśmiech.

– Odpręż się, Garvi – zachichotał. – Nie gryziemy.

Loken uśmiechnął się w odpowiedzi, ale czuł się niepewnie. Po części powodował to status trzech mężczyzn, ale nie spodziewał się też, że ceremonia będzie miała formę rytuału.

Horus Aksymand, kapitan Piątej Kompanii, był wśród nich najmłodszy i najniższy; Loken przewyższał go wzrostem. Aksymand był krępy, krzepki i przypominał psa bojowego. Jego ogoloną głowę namaszczone olejkami i od jej gładkiej powierzchni odbijało się światło latarni. Wojownik otrzymał imię na cześć wodza, podobnie zresztą jak wielu Legionistów młodszego pokolenia. Tylko on jednak używał go otwarcie.

Jego twarz miała szlachetny wyraz, oczy były szeroko rozstawione, a nos prosty, dzięki czemu w niezwykle sposób przypominał samego Mistrza Wojny. Podobieństwu temu zawdzięczał przydomek Mały Horus.

Mały Horus Aksymand, zarazem piekielny ogar w walce, jak i mistrz strategii, powitał Lokena skinieniem głowy.

Ezekail Abaddon, Pierwszy Kapitan Legionu, postać miał potężną i brutalną. Był wyższy od Lokena, nie dorównywał jednak wzrostem Torgaddonowi. Mimo to jednak zdawał się górować nad obydwoma, a to za sprawą wysoko splecionego końskiego ogona, zdobiącego czubek poza tym ogolonej głowy. Kiedy nie nosił hełmu, związywał czarne włosy srebrną taśmą, skutkiem czego sterczały jak palma. Podobnie jak Torgaddon, Abaddon należał do Kwadry od początku jej istnienia. Rysy jego twarzy, owe szeroko rozstawione oczy i prosty nos, upodabniały

go tak do Mistrza Wojny, jak i do Aksymanda i Torgaddona. Gdyby poczęto ich w tradycyjny sposób, można by uznać ich za braci. Łączyła ich jednak tylko inna, być może silniejsza więź: wspólne dziedzictwo kodu genetycznego wodza oraz braterstwo broni.

Teraz miał do nich dołączyć Loken.

Podobieństwo Wilków Luny do ich Prymarchy było cechą niespotykaną wśród innych Legionów. Uważano je za uboczny skutek cechy genoziarna, ale mimo to sądzono, że Legioniści przypominający rysami Horusa obdarzeni są szczególnym szczęściem. Nazywano ich Synami Horusa. Tytuł ten stanowił wyróżnienie i często zdarzało się tak, że Synowie awansowali szybciej i łatwiej niż ich bracia. Loken wiedział, że wszyscy poprzedni członkowie Kwadry byli właśnie Synami Horusa. Był więc pod tym względem wyjątkiem, gdyż jego rysy stanowiły dziedzictwo bladokórego, kanciastego ludu Cthonii. Pierwszy członek elity Legionu, który zarazem nie był jednym z Synów.

Choć wiedział, że wygląd nie ma nic do rzeczy, cieszył się, że doceniono go za sprawą zasług, a nie przypadkowego podobieństwa fizjonomii.

– Ceremonia będzie skromna – zaczął Abaddon, nie spuszczać wzroku z Lokena. – Zaręczono za ciebie, a wcześniej twoją kandydaturę wysunęły znaczne osoby. Popiera cię zarówno nasz wódz, jak i Lord Dorn.

– Wieść niesie, że pan również, kapitanie – powiedział Loken.

Abaddon uśmiechnął się.

– Niewielu dorównuje ci w dziedzinie rzemiosła wojennego, Garvielu. Obserwowałem cię, a moją opinię potwierdziłeś sam, kiedy zdobyłeś pałac przede mną.

– Miałem szczęście.

– Szczęście nie istnieje – burknął Aksymand.

– Mówi tak tylko dlatego, że sam go nie ma. – Torgaddon wyszczerzył się w uśmiechu.

– Mówię tak dlatego, że szczęście nie istnieje – skontrolował Aksymand. – Dowodzi tego nauka. Istnieją tylko sukcesy i porażki.

– Szczęście bywa wymówką ludzi skromnych. Garviel jest zbyt skromny, by rzec: „Tak, Ezekailu, wyprzedziłem cię. Zdobyłem pałac i odniosłem zwycięstwo, a ty zawiodłeś”. Uważa, że to nie przystoi. Podziwiam i doceniam skromność, ale prawda jest taka, Garvielu, że stoisz tu dlatego, że jesteś wojownikiem o rzadkim talencie. Witaj wśród nas.

– Dziękuję, kapitanie.

– Pora na pierwszą lekcję. Jako członkowie Kwadry jesteśmy sobie równi. Ranga tu nie istnieje. W obecności Legionistów możesz zwracać się do mnie „kapitanie”, ale nie uznajemy formalności we własnym gronie. Mów mi po prostu Ezekail.

– Horus – przedstawił się Aksymand.

– Tarik – dodał Torgaddon.

– Zrozumiałem – odparł Loken – Ezekailu.

– Zasady naszego bractwa są proste – podjął Aksymand. – Objasnimy ci je, ale musisz wiedzieć, że nie ma tu ścisłego podziału obowiązków. Powinieneś jednak przygotować się na to, że odtąd będziesz spędzał więcej czasu z dowódcami oraz u boku Mistrza Wojny. Czy masz zastępcę, który mógłby doglądać Dziesiątej podczas twojej nieobecności?

– Mam, Horusie – rzekł Loken.

– Vipus? – uśmiechnął się domyślnie Torgaddon.

– Myślałem właśnie o nim, ale Jubal jest starszy stopniem i godnością.

Aksymand pokręcił głową.

– Lekcja druga. Słuchaj głosu serca. Jeśli ufasz Vipusowi, uczyn go swym zastępcą. Nie decyduj się na kompromisy. Jubal jest dorosły, jakoś to przeżyje.

– Będziesz miał także inne obowiązki i specjalne powinności... – ciągnął Abaddon. – Straż honorowa, ceremonie, poselstwa, planowanie spotkań. Twoje życie się zmieni. Jesteś na to gotów?

– Jestem gotów – potwierdził Loken.

– W takim razie pora cię naznaczyć – powiedział Abaddon. Wszedł do płytkiej wody i oddalił się poza zasięg światła latarni. Aksymand ruszył za nim, a Torgaddon dotknął naramiennika Lokena i wskazał mu gestem, by do nich dołączył.

Utworzyli krąg, stojąc w czarnej wodzie. Abaddon nakazał im bezruch do chwili, kiedy nie rozejdą się powstałe na powierzchni kręgi. Po chwili stali w toni gładkiej jak lustro, a w kręgu wody pomiędzy nimi odbijała się jasna tarcza wschodzącego księżyca.

– Oto jedyny świadek od zawsze towarzyszący przyjmowaniu członków Kwadry – odezwał się Abaddon. – Księżyc. Symbol naszego Legionu. Jego światło musi towarzyszyć przyjęciu do tego grona.

Loken skinął głową.

– Ten tutaj wydaje się zaledwie imitacją – wymamrotał Aksymand, patrząc w niebo. – Ale wystarczy.

Zgodnie z tradycją światło księżyca musi się w czymś przegłądać. W czasach początku Kwadry, z górą dwieście lat temu, chwytało blask księżyca w wypolerowane zwierciadło lub metalowe lustro. Dziś jednak zadowolamy się lustrem wody.

Loken znów skinął głową. Drażniące, ostre uczucie niepokoju powróciło. Rytuał niebezpiecznie kojarzył się z czarnoksięstwem i wiarą w duchy. Cały obrzęd wydawał się brać początek z przesądów i guseł, jakimi nauczył go gardzić Sindermann.

Poczuł, że musi coś powiedzieć, zanim będzie za późno.

– Jestem człowiekiem wiary – powiedział cicho. – Wierzę w prawdę Imperatora. Nie kłaniam się bałwanom i nie wierzę w duchy. Wyznaję tylko empiryczną jasność Imperialnej Prawdy.

– Mówiłem wam, że jest zasadniczy do szpiku kości – powiedział Torgaddon.

Abaddon i Aksymand zaśmiali się.

– Nie ma tu żadnych duchów, Garvielu – odezwał się Abaddon, uspokajającym gestem kładąc dłoń na ramieniu Lokena.

– Nie próbujemy cię zaczarować – zachichotał Aksymand.

– To po prostu stary zwyczaj, tradycja. Podtrzymujemy ją od zawsze – wyjaśnił Torgaddon. – Robimy tak tylko dlatego, że ma to dla nas znaczenie. To... jakby teatr.

– Właśnie, teatr – zgodził się Abaddon.

– Chcemy, by ta chwila była dla ciebie szczególna, Garvielu – dodał Aksymand. – Chcemy, byś ją pamiętał. Wierzymy, że przyjęcie do Kwadry powinno łączyć się z pewnym ceremoniałem, trzymamy się więc tradycji. Może jest ona teatralna, ale czerpiemy z niej siłę.

– Rozumiem – powiedział Loken.

– Jesteś pewien? – zapytał Abaddon. – Będziesz musiał złożyć przysięgę tak samo wiążącą, jak śluby składane i spisywane przed bitwą. Przysięgasz nam wszystkim i każdemu z osobna, w jasnych i prostych słowach, bez żadnego religijnego elementu. To akt braterstwa, nie pakt z demonem. Stoimy razem skąpani w świetle księżyca, a przysięga tworzy między nami więź, którą zerwać może tylko śmierć.

– Rozumiem – powtórzył Loken. Poczuł się głupio. – Chcę złożyć przysięgę.

Abaddon skinął głową.

– W takim razie pora, by cię naznaczyć. Tariku, wypowiedz imiona.

Torgaddon opuścił głowę i wyrecytował dziewięć imion. Od założenia Kwadry zaszczyt przystąpienia do niej spotkał tylko dwunastu Legionistów. Trzech z nich było obecnych. Loken miał być trzynasty.

– Keyshen. Minos. Berabaddon. Litus. Syrakul. Deradaeddon. Karaddon. Janipur. Sejanus.

– Odeszli w chwale – jednym głosem powiedzieli Aksymand i Abaddon. – Kwadra oplakuje ich śmierć. Tylko śmierć kładzie kres służbie.

„Więź, którą zerwać może tylko śmierć” – przypomniał sobie Loken. Śmierć była jedyną rzeczą, która czekała każdego Astartes. Śmierć w walce. Nie była to kwestia tego, czy ona nastąpi, a jedynie kiedy tak się stanie. Każdy z nich miał kiedyś oddać życie w służbie Imperium. Myśleli o tym ze spokojem. Może stanie się to jutro, może za rok, ale stanie się na pewno.

Towarzyszyła temu oczywiście pewna ironia. Stan wiedzy genetyków i gerontologów wskazywał, że Astartes – podobnie jak Prymarchowie – byli nieśmiertelni. Czas nie odciskał na nich swego piętna, nie mógł ich złamać ani zmęczyć. Mieli żyć wiecznie... pięć tysięcy, dziesięć tysięcy lat, nawet dłużej, niewyobrażalnie długo. Ich życie przerwać mogła tylko wojna.

Byli nieśmiertelni, ale nie niezniszczalni. Mogliby żyć wiecznie, ale żaden z nich nie będzie miał takiej szansy. Nieśmiertelność stanowiła produkt uboczny niezwyklej siły i odporności Astartes, których na drodze manipulacji genetycznej stworzono do wojny. Obdarzono ich więc nieśmiertelnością, ale tylko po to, by mogli zginąć w walce. Taka była kolejność rzeczy. Żyli krótko i intensywnie. Jak Hastur Sejanus, którego zastąpić miał Loken. Tylko wielbiony przez wszystkich Imperator, po tym jak dzieło wojenne pozostawił innym, miał prawdziwie żyć wiecznie.

Loken spróbował wyobrazić sobie przyszłość, ale nie potrafił. Śmierć miała wymazać ich wszystkich z kart historii. Nawet wielki Ezekail Abaddon, kapitan Pierwszej Kompanii, nie będzie żył wiecznie. Musiał bowiem nadejść taki czas, kiedy krwawe konflikty ludzkości potoczą się bez jego udziału.

Loken westchnął. To będzie smutny czas. Ludzie zamarzą o powrocie Abaddona, zaczną przyzywać jego imię. Ale jego już nie będzie.

Próbował wyobrazić sobie własną śmierć. W jego umyśle pojawiły się bajeczne obrazy. Widział siebie walczącego u boku samego Imperatora, ostatkiem sił stawiającego czoła

nieznanym wrogom. Nie mogło zabraknąć tam również Prymarchy Horusa. Będą walczyć i być może obaj zginą, ale ocala Imperatora.

Cóż za chwała. Chwała, jakiej nikt nigdy nie zaznał. Bój, który wryje się w ludzkie umysły tak głęboko, że stanie się kamieniem węgielnym wszystkiego, co nastąpi później. Wielka bitwa, na której oprze się cała ludzka cywilizacja.

A potem, przez chwilę, wyobraził sobie śmierć całkiem inną. Samotną, z dala od towarzyszy broni i Legionu, śmierć od straszliwych ran poniesionych na jakiejś pozbawionej nazwy planecie, w zapomnieniu.

Loken przełknął ślinę. Służył Imperatorowi i nic nie mogło tego zmienić, i będzie mu służył do końca.

– Imiona poległych zostały wypowiedziane – zaintonował Abaddon. – Sławimy i wspominamy Sejanusa, który odszedł jako ostatni.

– Chwała Sejanusowi! – zakrzyknęli Torgaddon i Aksymand.

– Garwielu Lokenie – powiedział Abaddon – prosimy, byś zajął miejsce Sejanusa.

Zgadzasz się?

– Zrobię to z radością.

– Czy złożysz przysięgę bractwa Kwadry?

– Czy będziesz służył Wilkom Luny tak długo, jak nosić będą to zaszczytne miano?

– Tak – powtórzył Loken.

– Czy przysięgasz dochować wierności temu, który jest naszym wodzem i Prymarchą? – zapytał Aksymand.

– Przysięgam.

– I wiecznemu Imperatorowi, który jest ojcem Prymarchów?

– Przysięgam.

– Czy przysięgasz bronić prawdy Imperium Ludzkości przed wszelkim złem? – zapytał Torgaddon.

– Przysięgam.

– Czy przysięgasz stawić czoła każdemu wrogowi, ludzkiemu lub obcemu?

– Przysięgam.

– Czy na wojnie będziesz zabijał za żywych i zmarłych?

– Zabijaj za żywych! Zabijaj za zmarłych! – zawtórowali Abaddon i Aksymand.

– Przysięgam.

– Księżyc biorąc na świadka, czy przysięgasz być bratem swych braci, wszystkich Astartes?

– Przysięgam.

– Bez względu na cenę?

– Bez względu na cenę.

– Przyjmujemy twoją przysięgę, Garvielu. Witaj w Kwadrze. Tariku? Oświeć nas.

Torgaddon wyjął zza pasa flarę i wystrzelił ją w nocne niebo, gdzie wybuchła i zajaśniała jasnym parasolem ostrego, białego blasku.

Kiedy na wodę otaczającą czterech wojowników spadły iskry, wznieśli okrzyki i podali sobie ręce, poklepując się po plecach. Torgaddon, Aksymand i Abaddon kolejno objęli Lokena.

– Teraz jesteś jednym z nas – szepnął mu Torgaddon.

– Jestem jednym z was – powtórzył Loken.



Siedząc później w kręgu latarni, naznaczyli hełm Lokena. Nad prawą soczewką wizjera wyryli znak księżyca w nowiu, symbol braterstwa. Hełm Aksymanda nosił znak półksiężyca, Torgaddon miał symbol miesiąca zmierzającego ku pełni. Znak pełni nosił Abaddon. Dzielili między sobą pełny cykl księżyca. Razem stanowili Kwadrę.

Siedzieli na wysepce, rozmawiali i żartowali, dopóki nie wzeszło słońce.



Grali w karty przy świetle lamp chemicznych. Prosta gra, którą rozpoczęła Mersadie, szybko ustąpiła miejsca grze licytacyjnej, zaproponowanej przez jednego z żołnierzy. Potem dołączył do nich iterator Memed i z niemałym trudem zaczął uczyć starych gry w kielichy.

Potasował i rozdał karty z niezwykłą zręcznością. Jeden z żołnierzy zagwizdał szyderczo.

– Prawdziwy z ciebie szuler – zauważył.

– To stara gra – powiedział Memed. – Na pewno wam się spodoba. Jej historia sięga początków Długiej Nocy. Z moich badań wynika, że cieszyła się popularnością wśród ludów starożytnej Meryki oraz wśród plemion Franków.

Pozwolił im rozegrać kilka rozdań w odkryte karty, by mogli opanować zasady, ale Mersadie miała trudności ze spamiętaniem, które układy kart zwyciężają nad którymi. W siódmej

kolejce była pewna, że rozumiała zasady. Spasowała więc, sądząc, że ma w ręku karty słabsze od Memeda.

– Ależ nie. – Uśmiechnął się. – Wygrałaś.

– Przecież ty znowu masz karete.

Rozłożył jej karty na trawie.

– Nie szkodzi. Rozumiesz dlaczego?

Pokręciła głową.

– Nic już nie rozumiem.

– Kolory odpowiadają istniejącym dawniej klasom społecznym – zaczął Memed tonem wykładowcy – Miecze oznaczają wojowników, kielichy symbolizują duchowieństwo, diamenty lub monety kupców, a pałki robotników...

Jeden z żołnierzy zmełł w ustach przekleństwo.

– Przestań nas pouczać – stwierdziła Mersadie.

– Przepraszam – powiedział Memed z uśmiechem. – Ważne jest to, że wygrałaś. Ja mam karete, ale ty masz asa, monarchę, cesarzową i łotra. Kwadrę.

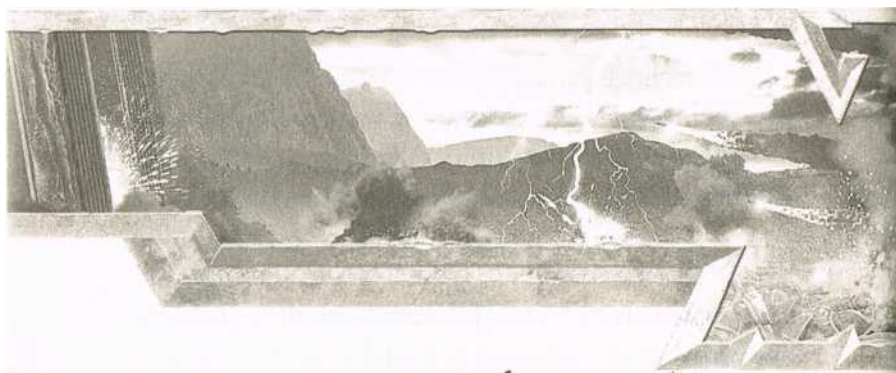
– Co powiedziałeś? – Mersadie wyprostowała się.

– Kwadra – powtórzył Memed, ponownie tasując stare, kwadratowe karty. – Dawniej nazywano tak cztery główne figury. Najsilniejsze. Zwycięską Kwadrę.

Za stojącym za ich plecami, skrytym w mroku żywoplotem rozległ się huk. W niebo wleciała flara, rozświetlając ciemności białym blaskiem.

– Zwycięską Kwadrę... – powtórzyła Mersadie. Zbieg okoliczności oraz przeznaczenie, w które prywatnie wierzyła, właśnie otworzyły przed nią nowe możliwości.

Zapowiadały się zachęcająco.



PIĘĆ

PEETER EGON MOMUS

LECTIO DIVINITATUS

MALKONTENT

Peeter Egon Momus wyświadczał im wielki zaszczyt. Peeter Egon Momus łaskawie postanowił podzielić się z nimi swą wizją odrodzenia Wysokiego Miasta. Peeter Egon Momus, naczelny architekt Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji, miał uroczyście odsłonić plany przemiany podbitego miasta w wieczysty pomnik, upamiętniający wcielenie planety nazwanej Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście do Imperium.

Problem polegał na tym, że stojący w dali Peeter Egon Momus był nie tylko ledwo widoczny, ale niemal nie można go było usłyszeć. Siedzący wśród tłumu Ignace Karkasy pocił się w pełnym pyłu skwarze, wiercił i wyciągał szyję, by cokolwiek dojrzeć.

Zgromadzono ich na placu położonym na północ od pałacu. Dopiero minęło południe i słońce stało nadal w zenicie, prażąc bazaltowe wieże i ulice miasta. Otaczające plac mury dawały wprawdzie nieco cienia, ale powietrze było suche, upalne i duszne. Nawet lekki wiatr przypominał podmuch powietrza z rozgrzanego silnika i wzbijał tylko wszechobecny pył, pozostałość po towarzyszących walkom zniszczeniach. Unosił się w powietrzu niczym zasłona dymna i drażnił wysuszone gardło Karkasego. Wszędzie wokół dało się słyszeć dochodzące z tłumu pokasływania i kichnięcia.

Liczący pięćset osób tłum został starannie dobrany. Trzy czwarte jego liczebności stanowili miejscowi dostojnicy, grandowie, notable, kupcy, członkowie obalonego rządu i inni

przedstawiciele klasy rządzącej Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście, którzy zaprzysięgli wierność nowemu porządkowi. Zaproszono ich, czy może raczej wezwano, po to, by choć oficjalnie brali udział w odnowie planety i społeczeństwa.

Resztę tłumu stanowili upamiętniacze. Dla wielu z nich, w tym i dla Karkasego, była to pierwsza, z dawna wyczekiwana podróż na powierzchnię planety. Zezwolono im na nią, by wzięli udział w zgromadzeniu. Jeśli na to kazali nam czekać tak długo, myślał Karkasy, to ja dziękuję. Nie przybyłem tu po to, by stać wśród tłumu, w upale, i słuchać gładzenia jakiegoś starego piernika.

Tłum zdawał się podzielać jego zdanie. Wszystkim dokuczał gorąc i zniechęcenie. Karkasy nie widział na twarzach miejscowych uśmiechów, a jedynie znudzenie. Postawiono ich przed wyborem: wcielenie i posłuszeństwo wobec Imperium albo śmierć. Posłuszeństwo wymuszono, ale radości wymusić się nie dało. Zostali pokonani, pozbawieni kultury i tradycji, odebrano im dawny styl życia. O ich przyszłości mieli decydować obcy ludzie. Stali przed koniecznością zniesienia trudów i upokorzeń związanych z wcieleniem do Imperium Ludzkości. Od czasu do czasu posłusznie klaskali, ale tylko wtedy, kiedy aplauz wszczynali rozmieszczeni w tłumie iteratorzy.

Widzów zgromadzono wokół wzniesionej specjalnie na tę okazję metalowej sceny. Ustawiono na niej ekrany hololityczne, makiety odzwierciedlające przyszły wygląd miasta oraz dziwaczne, niezwykle skomplikowane przyrządy ze stali i mosiądzu, których Momus używał przy pracy. Zaopatrzone w koła zębate i szprychy precyzyjne instrumenty kojarzyły się Karkasemu z narzędziami tortur.

Może dlatego, że ta prelekcja była istną torturą.

Momus, kiedy już dało się go zauważyć pomiędzy głowami zgromadzonych ludzi, był niskim i zmanierowanym człowieczkiem. Kiedy objaśniał swój projekt, obecni na scenie iteratorzy kierowali soczewki pikterów na omawiane elementy makiet. Obraz wyświetlano na ekranach wraz ze schematami graficznymi. Słońce świeciło jednak zbyt jasno i na ekranach widać było tylko rozmyte, niezrozumiałe obrazy. Aparatura nagłaśniająca również nie działała najlepiej, a to, co dało się usłyszeć, świadczyło dobitnie, że publiczne przemowy nie należą do mocnych stron Momusa.

– ...wiecznie heliolitycznym mieście, stanowiącym hołd złożony słońcu, które tak mocno dziś świeci. Na pewno dostrzegli państwo, jak wspaniałe tu światło, całe miasto światła. Światło

w ciemności, cóż za szlachetny symbol, światło prawdy rozpraszające mroki ignorancji. Jestem pod wielkim wrażeniem technologii fototropicznej, jaką tu zastaliśmy, zamierzam zresztą uwzględnić ją w mych projektach...

Karkasy westchnął. Nigdy nie spodziewał się, że zatęskni za iteratorami, ale ci dranie potrafili przynajmniej przemawiać. Peeter Egon Momus powinien zająć się sterowaniem pikterami i pozostawić prezentację specjalistom.

Znudzony do reszty Karkasy przestał zwracać uwagę na przemowę. Błądził wzrokiem po otaczających plac wysokich murach, bodących błękit nieba geometrycznymi bryłami. Słońce nadawało im różowy kolor, w załomach zaś kryły się smugi czarnego jak dym cienia. Bazalt pokrywały skazy sadzy i kratery po pociskach. Za murami widział wieże pałacu, na których ślady zniszczeń były znacznie wyraźniejsze. Ściany obłaziły z tynku, który wyglądał jak nie do końca zrzucona gadzia wylinka, a puste okna przypominały oczy ślepeca.

Na południe od placu pozycję zajmował Tytan marsjańskiego Mechanicum. Ponury, z grubsza humanoidalny metalowy olbrzym górował nad miastem. Stał absolutnie nieruchomo, niczym wzniesiony w mgnieniu oka posąg ku czci myśli wojennej. Karkasy był zdania, że stanowił znacznie odpowiedniejszy symbol wcielenia i posłuszeństwa planety.

Przez czas jakiś przyglądał się Tytanowi. Weześniej widział podobne tylko na zdjęciach. Uznał, że niemal warto było odbyć podróż na powierzchnię tylko po to, by odczuć bijący od maszyny majestat.

Im dłużej się przyglądał, tym większy odczuwał niepokój. Tytan był tak ogromny, tak przerażający, a jednocześnie tak całkowicie nieruchomy. Karkasy wiedział, że jest zdolny do ruchu, i nagle zapragnął, by obrócił głowę, uczynił krok lub poruszył się w inny sposób. Bezruch maszyny doprowadzał go do szału.

Potem pomyślał, że gdyby Tytan istotnie nagle się poruszył, straciłby nad sobą panowanie, wrzasnął ze zgrozy i mimowolnie padł na kolana.

Z rozmyślań wyrwały go nagle oklaski. Momus musiał powiedzieć coś trafnego, a iteratorzy wzbudzili w tłumie stosowną reakcję. Karkasy również posłusznie klasnął kilka razy w spocone dłonie.

Miał dość. Wiedział, że nie zdoła wytrzymać dłużej wzroku nieruchomego Tytana.

Po raz ostatni rzucił okiem na scenę. Momus plótł już ponad trzy kwadransy. Jedyne element całej prezentacji, który wydawał się Karkasemu interesujący, znajdował się z tyłu sceny,

za Momusem. Byli to dwaj giganci w żółtych pancerzach. Szlachetni Astartes z VII Legionu Imperialnych Pięści, zwani Pretorianami Imperatora. Był przekonany, że są tu tylko po to, by przydać powagi prelekcji. Przypuszczał, że wybrano ich zamiast Wilków Luny ze względu na to, iż znano ich jako mistrzów wznoszenia fortyfikacji i umocnień. Fortece budowane przez Imperialne Pięści zdolne były opierać się szturmom i oblężeniom wroga w nieskończoność. Karkasy wietrzył w tym rękę iteratorów: oto architekci wojny czuwają nad bezpieczeństwem architektów pokoju.

Karkasy miał nadzieję, że któryś z nich przemówi lub skomentuje projekty Momusa, tak się jednak nie stało. Obaj stali w miejscu z bolterami przyciśniętymi do napierśników, przypominając swym nieporuszonym bezruchem Tytana.

Karkasy odwrócił się i zaczął przepychać przez tłum. Kierował się w stronę wyjścia z placu.

Dla bezpieczeństwa tłum obstawiono żołnierzami Armii Imperialnej. Nakazano im wystąpić w mundurach galowych, w których pocili się niemiłosiernie, a skóra na ich twarzach przybrała niezdrową, zielonkawą barwę.

Jeden z żołnierzy zauważył Karkasego i zbliżył się.

– Dokąd pan idzie? – zapytał.

– Umieram z pragnienia – wyjaśnił Karkasy.

– Powiedziano nam, że po prezentacji podane zostaną napoje – odparł żołnierz.

Wypowiedział słowo „napoje” takim tonem, że jasne było, iż prostym żołdakom przyjdzie dalej usychać z pragnienia.

– Dość już widziałem – powiedział Karkasy.

– Prezentacja nadal trwa.

– Mam dosyć.

Żołnierz zmarszczył brwi. Pod daszkiem jego futrzanego czaka widać było perlący się u nasady nosa pot. Pot lśnił również na jego poczerwieniałych z gorąca policzkach i szyi.

– Nie mogę pozwolić, by się pan oddalił. Proszę trzymać się wyznaczonej strefy.

Karkasy uśmiechnął się złośliwie.

– Myślałem, że jesteście tu dla naszego bezpieczeństwa, a nie po to, żeby nas pilnować.

Żołnierz nie dostrzegł ironii.

– Jesteśmy tu dla waszego bezpieczeństwa, proszę pana. Chciałbym zobaczyć pańską przepustkę.

Karkasy wydobyl z kieszeni spodni pomięty plik papierów, ciepłych i wilgotnych w dotyku. Z pewnym zażenowaniem czekał, aż żołnierz je sprawdzi. Nigdy nie lubił stawiać się przedstawicielom władzy, zwłaszcza publicznie. Tłum jednak nie wykazał nawet najmniejszego zainteresowania ich rozmową.

– Jest pan upamiętniaczem? – zapytał żołnierz.

– Tak. Poetą – Karkasy uprzedził nieuniknione pytanie.

Żołnierz podniósł wzrok znad papierów, by spojrzeć mu w twarz, jakby spodziewał się znaleźć na niej jakieś charakterystyczne cechy poetów, podobne do trzeciego oka nawigatora lub numeru seryjnego serwitora. Pewnie nigdy dotąd nie widział poety. Karkasy nie był zaskoczony. Sam nigdy dotąd nie widział Tytana.

– Powinien pan tu zostać – powiedział żołnierz, oddając mu papiery.

– Przecież to bezcelowe – powiedział Karkasy. – Wysłano mnie, bym upamiętnił to wydarzenie. Ale nie tylko nie mogę zbliżyć się do sceny, ale nawet usłyszeć, co ten głupiec ma do powiedzenia. Nie rozumiesz, że to bez sensu? Momus nie jest nawet częścią historii, jest tylko zwykłym gryziopórkiem. Jak mam upamiętniać coś, czego nie słyszę? Zajmuję się rzeczami, które nie mają nic wspólnego z celem mojej wyprawy. Równie dobrze mogłem nie ruszać się z Terry i obserwować Krucjatę przez teleskop.

Żołnierz wzruszył ramionami. Stracił wątek wypowiedzi Karkasego na samym początku.

– Powinien pan zostać. Dla własnego bezpieczeństwa.

– Mówiono mi, że miasto jest bezpieczne – powiedział Karkasy. – Od pełnego wcielenia dzielą nas przecież raptem dni.

Żołnierz nachylił się konspiracyjnie i znalazł tak blisko, że Karkasy poczuł odór, jakim upał przesycił jego wyschnięte usta.

– To oficjalna wersja, ale tak między nami zdradzę panu, że mamy pewne problemy. Rebelianci. Lojaliści. Tak jest we wszystkich podbitych miastach, nawet tych, które poddają się bez walki. Boczne ulice nie są bezpieczne.

– Doprawdy?

– Mówią, że to lojaliści, ale moim zdaniem to tylko ludzie, którzy stracili wszystko i są wściekli.

Karkasy skinął głową.

– Dzięki za ostrzeżenie – powiedział i wrócił między tłum.

Pięć minut później, kiedy gładzenie Momusa niemal doprowadziło Karkasego do rozpacz, powstało małe zamieszanie. Starsza szlachcianka zemdląła i żołnierze szybko wkroczyli, by zanieść ją w cień i przywrócić porządek.

Karkasy wyczekał do chwili, kiedy nikt na niego nie patrzył, i wymknął się z placu, wchodząc w boczne ulice.



Przez jakiś czas przechadzał się pustymi ulicami, na których wysokie okoliczne budynki kładły się długimi cieniami. Żar lejący się z nieba nadal był bezlitosny, ale ruch nieco orzeźwiał. Ulgi nie przynosiły za to gnające ulicami, sporadyczne podmuchy gorącego powietrza. Zamiast tego niosły tyle piasku i pyłu, że Karkasy musiał zamykać oczy i odwracać się tyłem.

Ulice były wyludnione, jeśli nie liczyć rzadkich postaci siedzących w cieniu pustych futryn lub za połamanymi okiennicami. Zastanawiał się, jak zareagowałiby, gdyby się zbliżył, obawiał się jednak spróbować. Zalegająca ulice cisza była przeszywająca, a przerwanie jej wydawało mu się czymś równie niestosownym, co zakłócenie ceremonii pogrzebowej.

Po raz pierwszy od ponad roku był naprawdę sam, po raz pierwszy sam miał okazję decydować, co ze sobą zrobić. Czuł się prawdziwie wolny. Mógł iść gdzie chciał i szybko postanowił z tego skorzystać. Idąc, skręcał w losowo wybrane ulice i szedł, gdzie go oczy poniosły. Przez jakiś czas za punkt orientacyjny służył mu nadal widoczny Tytan, szybko jednak zakryły go wieże i dachy miasta. Pogodził się z tym, bo fakt, że istniała możliwość zgubienia się, również dawał mu poczucie wolności. Zawsze zresztą mógł skierować się na widoczne zewsząd wieże pałacu.

Wiele spośród ulic uległo zniszczeniu podczas walk. Spalone budynki zamieniły się w stosy białego, pylistego żużlu. Z niektórych pozostały tylko piwnice, inne pozbawione zostały dachów, poznaczone śladami po pożarach. Niektórym brakowało ścian, z innych pozostały tylko przypominające teatralne dekoracje fasady.

Chodniki i tłuczniowe drogi znaczyły kratery i dziury po pociskach, tworzące niekiedy dziwne wzory, wyznaczone jakby celowo wedle jakiegoś tajemniczego kodu, ukrytego przed nim tak samo, jak wielkie prawdy o życiu i śmierci. W gorącym, suchym powietrzu unosił się odór jakby pożaru, krwi i odchodów, podobny, a jednocześnie odmienny. Wonie mieszały się, tworząc

charakterystyczny zapach. Karkasy czuł nie tyle swąd płonących budynków, co ich zwęglonych szczątków. To śmierdziała nie krew, ale jej zaschnięty osad. Zapach odchodów pochodził ze zniszczonych bombardowaniami kanałów.

Wzdłuż wielu ulic wałały się sterty dobytku. Leżały tam meble, tobołki odzieży, naczynia kuchenne.

Spora ich część była zniszczona, najwyraźniej wyniesiono je ze zrujnowanych domów. Inne przedmioty wydawały się nietknięte, pieczołowicie ułożone w skrzyniach i kufrach. Karkasy zdał sobie sprawę, że ich właściciele planowali ucieczkę z miasta. Przygotowali swój dobytek do wywiezienia i obecnie zajmowali się poszukiwaniem środków transportu albo też załatwianiem zezwoleń na wyjazd.

Na murach wokół niemal każdej ulicy i placu widniały slogany i hasła. Wszystkie wymalowano ręcznie, w odmiennych stylach, przez osoby o różnym stopniu biegłości w kaligrafii. Niektóre napisy wykonano smołą, inne farbami, jeszcze inne kredą lub węglem drzewnym. Karkasy uświadomił sobie, że do wykonania tych ostatnich użyto zwęglonych drzazg ze spalonych budynków. Wiele haseł było nieczytelnych lub niezrozumiałych. Wiele stanowiły graffiti przeklinające gniewnie najeźdźców i dające wyraz tłącej się nadal iskrze oporu. Nawoływały do zabijania, do powstania, do zemsty.

Na niektórych murach widniały spisy nazwisk osób, które zginęły w owym miejscu, albo też desperackie błagania o wieści na temat zaginionych bliskich. Jeszcze inne napisy stanowiły pełne bólu pamiętki o zmarłych lub słowa modlitw.

Karkasy poczuł fascynację zróżnicowanymi napisami oraz zawartymi w nich emocjami. Po raz pierwszy od opuszczenia Terry obudził się w nim poeta. Czuł ekscytację. Zaczął obawiać się, że w pośpiechu towarzyszącym opuszczeniu Terry muza opuściła go lub że pozostała niczym nielubiana koszula w nierozpakowanych bagażach w jego kabinie.

Teraz czuł, że muza wróciła. Mimo wyschniętego gardła i upału uśmiechnął się. Fakt, że to słowa na murach przywróciły mu zdolność pisania, wydawał się znamienny.

Wyjął z kieszeni notes i pióro. Był tradycjonalistą i wierzył, że żaden wielki utwór nie powstał na ekranie czytnika danych. Omal zresztą nie przyplącił tego bójką z Palisad Hadray. Było to na początku podróży, która miała zaprowadzić ich na statki floty, podczas jednej z nieformalnych kolacji urządzonych po to, by upamiętniacze mogli się wzajemnie poznać. Był

pewien, że wygrałby, gdyby do bójki doszło. Nawet mimo tego, że Palisad Hadray, druga prócz niego „znana poetka” wśród upamiętniaczy Ekspedycji, była kobietą szczególnie dużą i zawziętą.

Karkasy lubił notesy o kartkach z grubego, kremowego papieru. Na początku swej długiej, pełnej sukcesów kariery znalazł w jednym z arktycznych uli Terry rzemieślnika, który specjalizował się w wyrobie papieru tradycyjnymi, starożytnymi metodami. Zakład Bondsmana miał w swej ofercie ładny, pięćdziesięciostronicowy notes w formacie quarto, oprawiony w miękką kozią skórę i z elastyczną opaską w charakterze zamknięcia. Zwał się Bondsman Numer 7.

Karkasy był wówczas wychudłym młodzieńcem i nie przelewało mu się, ale mimo to wydał sporą część swego pierwszego w życiu honorarium na dwieście Bondsmanów Numer 7. Zamówienie dostarczono mu w nawoskowanym pudle wyłożonym bibułą. Zapach notesów kojarzył mu się wówczas z obietnicą geniuszu. Zapisywał je oszczędnie, do ostatniej kartki. W miarę jak rosła jego sława i dochody, często zastanawiał się, czy nie zamówić nowych notesów, ale za każdym razem orientował się, że nie zużył jeszcze nawet połowy. Wszystkie największe jego utwory powstały na kartkach Bondsmanów Numer 7. Napisał w nich *Fanfarę jedności*, wszystkie spośród jedenastu *Pieśni imperialnych*, *Wiersze znad oceanu*, a nawet uznane i wielokrotnie dodrukowywane *Refleksje i ody*, które stworzył w trzydziestym roku życia, które ugruntowały jego reputację i które zdobyły dla niego nagrodę Etiopskiego Lauru.

Na rok przed tym, jak wybrano go do grona upamiętniaczy, po dekadzie, jaką spędził w bezproduktywnym, przygnębiającym zastoju i odcinaniu kuponów od dawnych sukcesów, postanowił odmłodzić swą muzę i zamówić następne pudło notesów. Wówczas z zaskoczeniem stwierdził, że zakład Bondsmana zakończył działalność.

Karkasy miał jeszcze w zapasie dziewięć notesów. Zabrał je wszystkie z sobą, ale poza kilkoma gryzmołami nie napisał w nich dotąd ani słowa.

Na prażonym upale, zapyłonym rogu zniszczonego miasta wyjął z kieszeni płaszcz jeden z nich i zsunął elastyczną opaskę. Wydobył też pióro – odpowiadający jego tradycyjnym gustom starożytny egzemplarz ze stalówką – i zaczął pisać.

Atrament zgęstniał i niemal zastygł, ale Karkasy pisał dalej, kopiując szczególnie fascynujące napisy z murów, miejscami starając się zachować ich formę graficzną.

Z początku przepisywał jeden lub dwa z każdej ulicy, potem zaś notował już jak leci niemal każde hasło i slogan. Czuł przy tym satysfakcję graniczącą z zachwytem. Wyraźnie

odczuwał, jak w jego umyśle zaczyna powstawać wiersz, złożony z czytanych i spisywanych haseł. I był to wiersz nie byle jaki. Po latach nieobecności muza zajęła ponownie miejsce w jego duszy.

Zorientował się, że stracił poczucie czasu. Choć upał i blask nadal były nieznośne, zrobiło się późno, a słońce stało nisko na niebie. Zapisał w tym czasie dwadzieścia stron, blisko połowę notesu.

Poczuł nagłe ukłucie niepokoju. A jeśli pozostało w nim raptem tylko dziewięć tomów geniuszu? Jeśli owo stare pudło Bondsmanów Numer 7 stanowiło limit jego kreatywności?

Zadrzał mimo lepkiego upału i schował pióro wraz z notesem. Stał prażony blaskiem na wyludnionym, zrytym pociskami rogu ulicy i nie miał pojęcia, dokąd pójść.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy udało mu się uciec od Peetera Egona Momusa i jego prezentacji, Karkasy poczuł lęk. Czuł na sobie wzrok ludzi obserwujących go z przypominających oczy ślepeca pustych okien.

Ruszył z powrotem tam, skąd przyszedł, garbiąc się w cieniu murów i świetle późnego popołudnia. Zatrzymał się ledwie raz lub dwa, by zapisać szczególnie zwracające uwagę graffiti.

Szedł czas jakiś i zapewne zataczał koła, ponieważ wszystkie ulice zdawały mu się już identyczne. Wtedy właśnie znalazł jadłodajnię. Zajmowała parter i piwnice dużej bazaltowej kamienicy. Szyldu nie miała, ale woń jedzenia jasno oznajmiała jej obecność. Okiennice były otwarte, a na ulicy ustawiono kilka stołów. Po raz pierwszy od opuszczenia placu zobaczył większą grupę ludzi. Miejscowi w ciemnych płaszczach i szalach chroniących przed słońcem byli tak samo opieszali i nieruchomi, jak nieliczne postacie, które widział wcześniej w ruinach. Wszyscy siedzieli za stołami pod poszarpaną płócienną markizą, pojedynczo lub w małych, cichych grupkach. Pili alkohol z maleńkich szklaneczek lub jedli palcami z niewielkich misek.

Karkasy przypomniał sobie o swym wysuszonym gardle, a żołądek burczeniem dał znać o głodzie.

Wszedł do środka, w cień, grzecznie kłaniając się gościom jadłodajni. Nikt mu nie odpowiedział.

W chłodnym półmroku odnalazł drewniany bar ze stojącym pod ścianą kredensem, zastawionym szklanymi naczyniami i zaopatrzonymi w dzióbki butelkami. Gospodyni knajpy, stara kobieta ubrana w szatę w kolorze khaki, przyjrzała mu się podejrzliwie znad kontuaru.

– Dzień dobry – powiedział.

Odpowiedziała zmarszczeniem brwi.

– Rozumie mnie pani? – zapytał.

Powoli pokiwała głową.

– To dobrze, świetnie. Powiedziano mi, że mówimy w zasadzie identycznymi językami, jeśli nie liczyć różnic w akcencie i dialekcie.

Zamilkł.

Stara kobieta powiedziała coś. Mogło to być pytanie, mogła to też być i klątwa.

– Czy podajecie tu jedzenie? – zapytał i na migi pokazał, o co mu chodzi. Gospodyni nadal niemo wlepiała w niego wzrok. – Jedzenie? – zapytał ponownie.

Tym razem odpowiedziała potokiem gardłowo wymawianych słów. Nie rozpoznał żadnego, ale zrozumiał, że jedzenia albo nie ma, albo też kobieta nie chce mu go podać.

– Może coś do picia? – zapytał. Bez odpowiedzi.

Na migi udał, że pije, a kiedy i to nie wywołało w niej żadnej reakcji, wskazał na stojące za nią butelki.

Odwróciła się i zdjęła z półki szklaną karafkę, jakby wskazał ją konkretnie, a nie cały rząd. Naczynie w trzech czwartych wypełnione było przejrzystym, oleistym płynem. Z trzaskiem postawiła naczynie na blacie, stawiając obok niego szklaneczkę wielkości naparstka.

– Świetnie. – Karkasy uśmiechnął się. – Doskonale. Czy to miejscowy trunek? Ach! Naturalnie, że miejscowy. Zapewne miejscowy specjał? Nie powiesz mi tego, prawda? Bo nie masz pojęcia, co do ciebie mówię?

Patrzyła na niego pustym wzrokiem.

Podniósł karafkę i nalał płynu do naparstka. Trunek spływał równie powoli, co zagęszczony upał atrament z jego pióra. Odstawił karafkę i uniósł kieliszek w toaście.

– Za twoje zdrowie – powiedział wesoło. – I za pomyślność twojego świata. Wiem, że teraz jest ciężko, ale wierz mi, to wszystko dla waszego dobra.

Wypił. Trunek smakował lukrecją i spływał do żołądka łagodnie, rozgrzewając wyschnięte gardło i szybko odzywając się lekkim rauszem w głowie.

– Doskonale – powiedział i nalał sobie ponownie. – Naprawdę bardzo dobre. Nie odezwiesz się do mnie, prawda? Mógłbym zapytać cię o imię, rodowód i inne takie, ale ty i tak będziesz tylko dalej stać i milczeć jak posąg. Albo Tytan.

Opróżnił drugą szklaneczkę i nalał sobie trzecią. Poczł się znacznie lepiej, lepiej, niż czuł się przez kilka ostatnich godzin. Lepiej nawet niż wtedy, gdy na pustych ulicach powróciła do niego muza. Prawda była taka, że alkohol zawsze był Karkasemu towarzyszem bliższym niż muza, choć sam nigdy by się do tego nie przyznał. Nie przyznałby się również do tego, że alkohol od dawna niczym worek kamieni ciągnął jego talent w dół i nie pozwalał mu wznieść się na twórcze wyżyny. Alkohol i muza. Kochał oboje, a każde z nich ciągnęło go w innym kierunku.

Wypił trzecią szklaneczkę i nalał sobie czwartą. Przepęłniło go wewnętrzne ciepło, uczucie znacznie miłsze od panującego na zewnątrz nieznośnego upału. Uśmiechnął się. Widział teraz, jak niezwykle, skomplikowanym i fascynującym miejscem była ta fałszywa Terra. Poczł przyplływ miłości i litości oraz dobrej woli wobec planety. Ten świat, to miasto i ta knajpa nie zostaną zapomniane.

Nagle przypomniał sobie o czymś innym. Przeprósł starą kobietę, nadal patrzącą na niego znad kontuaru niczym zepsuty serwitor, i sięgnął do kieszeni. Miał pieniądze, imperialne monety i plastikowe płytki kredytowe. Ustawił je w stosik na wypolerowanym blacie.

– Wiem, imperialne – powiedział – ale i tak je weź. Iteratorzy powiedzieli mi dziś rano, że waluta imperialna zastąpiła waszą i jest tu od teraz jedynym legalnym środkiem płatniczym. Na Terrę! Nie masz pojęcia, co do ciebie mówię, prawda? Ile jestem winien?

Żadnej odpowiedzi.

Wypił łyk z czwartej już szklaneczki i popchnął po kontuarze stosik pieniędzy.

– Sama zdecyduj ile. Za całą butelkę. – Postukał palcem w ściankę karafki. – Butelka. Ile?

Uśmiechnął się i skinieniem głowy wskazał pieniądze. Stara kobieta spojrzała na stosik, wyciągnęła rękę i wybrała monetę o nominale pięciu kredytów, tę z wyrytym symbolem imperialnego Orła. Przez chwilę przyglądała się jej, po czym splunęła i cisnęła ją Karkasemu w twarz. Moneta odbiła się od jego brzucha i upadła na podłogę.

Karkasy zamrugął i roześmiał się. Ryknął donośnym śmiechem, którego nie potrafił powstrzymać. Stara kobieta wlepiła w niego rozszerzone ze zdumienia oczy.

Podniósł butelkę i szklany naparstek.

– Wiesz co – powiedział – weź wszystko.

Odszedł od baru i znalazł wolny stolik w kącie knajpy. Usiadł, nalał sobie następną szklaneczkę i rozejrzał się. Kilku gości wpatrywało się w niego w milczeniu. Wesoło skinął im głową.

Są tacy ludzie, pomyślał. I natychmiast uświadomił sobie, że to śmieszna myśl, bo przecież bez wątpienia byli to ludzie. Z drugiej jednak strony wcale nimi nie byli. Nosili bezbarwne stroje, a ich zachowanie również było bezbarwne. Podobnie jak rysy twarzy, sposób siedzenia, patrzenia, jedzenia. Wydawali się podobni do zwierząt, stworzeń w ludzkiej skórze, które nauczono naśladować ludzkie zachowanie, ale które nie do końca jeszcze opanowały ową sztukę.

– Czy takie są skutki pięciu tysięcy lat odosobnienia? – zapytał na głos. Nikt mu nie odpowiedział, a kilku gapiów odwróciło wzrok.

Czy pięć tysięcy lat odosobnienia mogło wyrzucić taki wpływ na odległe ośrodki ludzkiej cywilizacji? Karkasy znów się napił. Miejscowi byli przecież biologicznie tacy jak on, jeśli nie liczyć kilku pasm genetycznego dziedzictwa. Kulturowo jednak bardzo się różnili. Ci ludzie żyli, chodzili, pili i wydalali tak samo jak i on. Mieszkali w domach, budowali miasta i pisali na ich murach hasła. Mimo wyjątku w postaci starej kobiety mówili też tym samym językiem. Czas i odległość sprawiły jednak, że rozwój ich cywilizacji przebiegał inaczej. Karkasy widział teraz wyraźnie. Byli jak sadzonka wyrosła pod innym słońcem, podobna do rośliny macierzystej, ale jednak inna. Nawet ich sposób siedzenia za stołami i picia był inny.

Karkasy wstał nagle. Muza niespodziewanie wytrąciła go z miłego stanu upojenia. Ukłonił się starej kobiecie i zabrał szklaneczkę wraz z pustą w trzech czwartych butelką.

– Dziękuję pani.

Chwiejnym krokiem wyszedł na zalaną słońcem ulicę.



Kilka ulic dalej znalazł zrujnowany budynek, niemal zrównany z ziemią przez bombardowanie. Usiadł na bloku bazaltu. Ostrożnie postawił obok siebie butelkę i szklaneczkę, a potem wyjął do połowy zapisany notes, swego Bondsmana Numer 7. Zaczął pisać, przelewając na papier pierwsze strofy wiersza opartego na napisach i hasłach na murach oraz przemysłeniach z knajpy. Przez jakiś czas pisało mu się świetnie, potem jednak natchnienie wyschło.

Nalał i wypił kolejną szklaneczkę, próbując na nowo pobudzić wenę. Maleńkie, podobne do mrówek insekty maszerowały pracowicie wśród gruzów, jakby próbowały odbudować swoje

własne, miniaturowe miasto. Strzepnął jednego z nich ze strony notesu. Kilka innych urządziło ekspedycję badawczą, spacerując po noskach jego butów.

Poczuł, że od samego widoku mrówek swędzi go skóra, postanowił znaleźć sobie inne miejsce i wstał. Zabrał butelkę i szklanekę, z której wypił najpierw kolejny łyk, wyłowiwszy wcześniej pieczołowicie jedną z mrówek.

Po przeciwnej stronie placu widział imponującej wielkości budynek. Zastanawiał się, do czego niegdyś służył. Ruszył w jego kierunku, potykając się raz po raz i niemal tracąc równowagę wśród luźnego gruzu.

Obszedł budynek dookoła, zastanawiając się, do czego mógł służyć. Może był to magistrat, biblioteka albo szkoła? Jakie by nie było jego przeznaczenie, musiał być ważny. Jakimś cudem sam budynek i pokrywające jego fasadę kamienne ozdoby uniknęły zniszczenia, które dotknęło całą okolicę.

Karkasy znalazł wejście, wysoko sklepiony kamienny portal, w którym tkwiły miedziane drzwi. Nie były zamknięte. Wszedł do środka.

We wnętrzu budynku panował tak odświeżający chłód, że niemal się zakrztusił. Znalazł się w jedynej sali budynku, pod żebrowanym sklepieniem wspartym na masywnych kamiennych filarach. Posadzka wyłożona była onyksem, a pod oknami po przeciwnej od wejścia stronie wznosiła się jakaś kamienna konstrukcja.

Karkasy zatrzymał się. Postawił butelkę obok cokołu jednego z filarów i ruszył środkiem sali ze szklaneczką w dłoni. Wiedział, że istnieje słowo określające podobne budynki, i szukał go intensywnie w pamięci.

Przez wąskie okna wpadało światło zabarwione przez kolorowe szybki. Kamienna konstrukcja po przeciwnej stronie to był rzeźbiony pulpit, na którym leżała bardzo duża i bardzo stara księga.

Karkasy z zachwytem dotknął pomarszczonego pergaminu. Księga przyciągała go w taki sam sposób, jak strony Bondsmana Numer 7. Pergamin był stary i wyblakły, pokryty ozdobnym, czarnym pismem i ręcznie malowanymi iluminacjami.

To jest ołtarz, zrozumiał. Jestem w świątyni!

– Na Terre! – zakrzyknął i wzdrygnął się, kiedy jego słowa odbiły się echem w chłodnej ciszy. Z lekcji historii pamiętał nauki o wierzeniach religijnych i świątyniach, ale nigdy wcześniej nie był w jednej z nich. Czuł, że znalazł się w miejscu duchów i bóstw, i miał

wrażenie, że duchy te przyglądają mu się, patrząc z dezaprobatą na intruza. Zaśmiał się z własnej głupoty. Duchy nie istniały. W żadnym zakątku kosmosu nie było żadnego ich śladu. Tak głosiła Imperialna Prawda. Demon mógł zamieszkiwać co najwyżej butelkę i jego żołądek.

Znów spojrział na stronę książki. Wiedział, że ma przed oczyma najważniejszą różnicę pomiędzy obywatelami Imperium i poddanymi fałszywego „Imperatora”. Ci tutaj byli poganami. Trzymali się przesądów, które główna gałąź ludzkości dawno temu porzuciła. Wierzyli w zawarte w księdze obietnice zaświatów i życia po życiu.

Karkasy wiedział, że wśród obywateli Imperium są tacy, którzy tęsknili za dawnymi czasami. Być może było ich nawet wielu. Bóstwa we wszelkich postaciach dawno zostały odrzucone, ale ludzie nadal łaknęli tego, co niewytłumaczalne. Mimo prześladowań wśród kultur Zjednoczonej Ludzkości ciągle powstawały nowe religie. Najbardziej żywe było Wyznanie Imperialne, według którego ludzkość powinna uznać Imperatora za istotę boską, za Boga-Imperatora.

Sam pomysł był oczywiście nie tylko śmieszny, ale również stanowił herezję. Imperator zawsze surowo zabraniał czczenia swojej osoby jako bóstwa. Byli jednak i tacy, którzy uważali, że jego śmierć przyniesie ubóstwienie. Ale Imperator był nieśmiertelny i sam ten fakt zamykał większość dyskusji na ten temat. Mimo swych mocy, możliwości i faktu, że był najwspanialszym przywódcą swego gatunku, nadal był tylko człowiekiem. I przypominał o tym wszystkim tak często, jak mógł. Wydał nawet edykt, który stwierdzał jasno, że Imperator jest Imperatorem wiekuistym i wspaniałym.

Nie jest jednak bogiem i zabrania oddawania sobie boskiej czci.

Karkasy wypił łyk ze szklanego naparstka i odstawił go na krawędzi ambony. *Lectio Divinitatus*. Tak zwano modlitewnik podziemnego ruchu, który prowadził potajemne starania, by wprowadzić kult Imperatora, nawet wbrew jego woli. Mówiło się, że ruch ten wspierają nawet niektórzy dostojnicy Rady Terry.

Imperator bogiem? Karkasy stłumił wybuch śmiechu. Po pięciu tysiącach lat wojny i rozlewu krwi, po wypaleniu z ludzkiej kultury wszelkich bóstw ogniem człowiek, który osiągnął w końcu ten cel, miałby ich zastąpić?

– Jakże głupia jest ludzkość. – Karkasy zaśmiał się, delektując się echem swych słów w pustej świątyni. – Jakże czepia się idei bóstwa. Czy jest nam aż tak niezbędna? Czy bez niej nie potrafimy osiągnąć spełnienia? Czy tak już jesteśmy zbudowani?

Zamilkł, zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedział. Pytanie było dobre i przemyślane. Potem rozejrzał się za swoją butelką.

Pytanie było naprawdę dobre. Może to właśnie największa słabość ludzkości. Może potrzeba wiary w istotę wyższą wynikała z naturalnego impulsu. Być może wiara była niczym próżnia, zasysająca łatwowierność, by wypełnić swą pustkę. A głód duchowej pociechy zapisany był w ludzkich genach.

– Być może jesteśmy przekłęci – powiedział Karkasy do pustej sali. – Być może naszą klątwą jest wieczne pożądanie czegoś, co nie istnieje. Bogowie, duchy i demony nie istnieją. Wymyślamy je więc dla własnej pociechy.

Żaden głos w świątyni nie odpowiedział na jego słowa. Wziął zatem pustą szklaneczkę i wrócił do miejsca, gdzie zostawił butelkę. Nalał sobie i wypił łyk.

Wyszedł ze świątyni na zalaną oślepiającym słońcem ulicę. Upał był tak nieznośny, że znów musiał się napić.

Chwiejnym krokiem ruszył ulicami, oddalając się od świątyni, i wtedy usłyszał huk płomieni. Za zakrętem odkrył grupę rozebranych do pasa imperialnych żołnierzy, którzy miotaczem ognia wypalali z powierzchni muru buntownicze hasła. Musieli pracować od jakiegoś czasu, bo ściany na całej ulicy nosiły ślady płomieni.

– Przestańcie – powiedział Karkasy.

Żołnierze odwrócili się i spojrzeli na niego. Wylot miotacza krztusił się i pluł płomykami. Po jego stroju i zachowaniu poznali, że nie jest jednym z miejscowych.

– Przestańcie – powtórzył.

– Takie mamy rozkazy – powiedział jeden z żołnierzy.

– Co pan tu właściwie robi? – zapytał drugi.

Karkasy pokręcił głową i zostawił ich w spokoju.

Odszedł wąskimi uliczkami, popijając z butelki.

Znalazł plac podobny do tego, na którym niedawno siedział, i usadowił się na bloku bazaltu. Wyjął notes i przebiegł wzrokiem napisane wcześniej strofy.

Były okropne.

Jęknął, a potem ze złością wydarł cenne kartki. Zwinął je w kulkę i cisnął w gruzowisko.

Nagle zdał sobie sprawę, że z objętych cieniem okien i drzwi ktoś się w niego wpatruje. Ledwo dostrzegął ukryte tam postacie, ale wiedział, że to miejscowi.

Wstał i szybko zebrał rozrzucone kulki papieru. Czuł, że nie ma prawa tak bezczęście ruiny. Potem odszedł pośpiesznie, a z ukrycia wynurzyło się kilku wychudzonych chłopców, którzy ciskali za nim obelgi i kamienie.

Nieoczekiwanie znów znalazł się obok knajpy. Nie było widać żadnych gości, ale ucieszył się, bowiem w jego butelce w niewytłumaczalny sposób pojawiło się dno.

Wszedł do mrocznego pomieszczenia. Nie było widać nikogo, zniknęła nawet stara kobieta z baru. Na blacie nadal leżał nietknięty stosik imperialnych pieniędzy.

Na ten widok uznał, że ma prawo wziąć sobie z kredensu drugą butelkę. Troskliwie ściskając ją w rękę, usiadł przy stole i ostrożnie nalał trunku do szklanki.

Nie wiedział, jak długo tak siedział. Ocknął się dopiero wtedy, kiedy usłyszał nad sobą czyjś głos.

Karkasy zamrugnął i uniósł wzrok. Do knajpy weszła grupa żołnierzy, którzy wcześniej wypalali hasła z murów. Pojawiła się też stara kobieta, niosąc jedzenie i napoje. Żołnierze usiedli za stołami, a ich dowódca stał obok Karkasego i patrzył na niego z góry.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał.

– Tak. Tak, tak – zabełkotał Karkasy.

– Pan wybaczy, ale kiepsko pan wygląda. Chyba nie powinien pan włóczyć się po mieście.

Karkasy z mocą pokiwał głową, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu przepustki. Nie mógł jej znaleźć.

– Kazali mi tu być – powiedział. – Kazali mi wysłuchać Eatera Pitona... cholera, źle. Wysłuchać Peetera Egona Momusa i jego projektu nowego miasta. Po to tu jestem. Kazali mi.

Oficer przyglądał mu się uważnie.

– Skoro pan tak mówi. Powiadają, że Momus przedstawił wspaniały projekt odbudowy.

– Ta, wspaniały – odparł Karkasy, próbując sięgnąć po butelkę. Chybił. – Wspaniały jak cholera. Wieczny pomnik naszego zwycięstwa...

– Co pan mówi?

– Nie przetrwa – powiedział Karkasy. – Nie, nie przetrwa. Nic nie trwa wiecznie. Wyglądasz mi na mądrego człowieka, przyjacielu. Jak myślisz?

– Myślę, że powinien pan już pójść – powiedział taktownie oficer.

– Nie, nie... Co myślisz o mieście! O mieście! Nie przetrwa, i niech Terra pochłonie Peetera Egona Momusa! Wszystko obraca się w pył. Z tego, co widziałem, to miasto było wspaniałe, zanim zjawiliśmy się my i zniszczyliśmy je...

– Proszę pana, myślę...

– Wcale nie – przerwał mu Karkasy, kręcąc głową. – Nie myślisz. Nikt nie myśli. To miasto miało trwać wiecznie, ale zniszczyliśmy je, rozbiliśmy w gruz. Niech je sobie Momus odbudowuje, ale kiedyś znowu ktoś je zniszczy, i tak w kółko. Każde dzieło rąk ludzkich musi w końcu upaść. Momus mówi, że to miasto stanie się wiecznym pomnikiem ludzkości. I wiesz co? Myślę, że architekci, którzy projektowali je przed nim, też tak myśleli.

– Proszę pana...

– Ludzkie dzieło zawsze upadnie. Wspomnisz moje słowa. To miasto, miasto Momusa, Imperium...

– Proszę pana...

Karkasy wstał z miejsca, mrugając powiekami i wygrażając żołnierzowi palcem.

– Przestań mi „panować”! Imperium upadnie, kiedy tylko skończymy je budować! Wspomnisz moje słowa! To tak samo nieuniknione jak...

W głowie Karkasego wybuchła naraz błyskawica bólu. Upadł, nie mając pojęcia, co się z nim dzieje. Odległe zdawał sobie sprawę z jakichś okrzyków, poczuł ruch, a potem zaczęły spadać na niego ciosy pięści i kopniaki. Jego słowa rozwścieczyły żołnierzy, którzy rzucili się na niego, choć oficer krzykiem usiłował ich powstrzymać.

Trzasnęła łamana kość. Z nosa Karkasego trysnęła krew.

– Wspomnicie moje słowa! – wykaszał. – Nic, co stworzymy, nie będzie trwało wiecznie! Zapytajcie miejscowych!

Stalowe okucie na nosku wojskowego buta trafiło go w mostek. Rozległ się trzask i usta Karkasego napelniła krew.

– Zostawić go! Dostyc! – krzyczał oficer, próbując powściągnąć swych rozjuszonych ludzi.

Kiedy mu się to w końcu udało, Ignace Karkasy nie był już w stanie mówić.

Ani oddychać.



SZEŚĆ

NARADA

DOBRA ODPOWIEDŹ

DWAJ BOGOWIE W JEDNEJ SALI

Torgaddon czekał na niego w olbrzymim holu za strategium.

– Jesteś wreszcie – powitał go z uśmiechem.

– Jestem – przytaknął Loken.

– Podczas narady padnie pytanie – powiedział Torgaddon ściszym głosem. – Może wydać ci się mało istotne, nie będzie też w oczywisty sposób skierowane do ciebie. Bądź jednak gotów na nie odpowiedzieć.

– Ja

– Nie, mówiłem do siebie. Tak, Garvielu, ty! Pomyśl o tym jak o chrzcie bojowym. Chodźmy.

Lokenowi nie podobało się brzmienie słów Torgaddona, był jednak wdzięczny za ostrzeżenie. Ruszył za nim przez długi hol. Korytarz był wysoki na dwieście metrów i niezwykle wąski. W ściany wbudowano drewniane, rzeźbione kolumny, rozgałęziające się ku szczytowi i wspierające przeszklone sklepienie, przez które widać było gwiazdy. Pomędzy kolumnami ściany zdobiły płyty z ciemnego drewna. Na ich powierzchni znajdowały się miliony linijek ręcznie wymalowanych imion i liczb, iluminowanych płatkami złota. Były to imiona zmarłych Legionistów, żołnierzy, oficerów floty kosmicznej oraz członków Divisio Militaris, którzy polegli podczas Wielkiej Krucjaty w bojach, w których brał udział flagowy okręt floty. Imiona

bohaterów miały trwać wiecznie, podzielone na kolumny wedle miejsc bitew i rejonów sławnych podbojów. Od imion tych pochodziła nazwa korytarza: Aleja Chwały i Żałoby.

Płyty na ścianach holu były w dwóch trzecich zapisane złotymi literami. W miarę jak obaj kapitanowie w lśniących, białych pancerzach zbliżali się do wrót strategium, zapisane płyty zaczęły ustępować miejsca czystym. Minęli grupkę zakapturzonych nekrologistów, skupionych wokół ostatniej, w połowie tylko zapisanej płyty. Zajęci byli pieczołowitym kaligrafowaniem nowych imion, wypisując je oleistym roztworem złotych płatków na ciemnym drewnie. Były to imiona tych, którzy polegli w walce o Wysokie Miasto.

Nekrologiści przerwali pracę i skłonili się przechodzącym kapitanom. Torgaddon nawet na nich nie spojrział, ale Loken odwrócił głowę, by odczytać niedokończone imiona zmarłych. Byli wśród nich bracia z Locasty, których miał nigdy więcej nie ujrzeć.

Czuł ostry zapach oleistego roztworu złota, którym nekrologiści wykonywali swą pracę.

– Nie zostawaj w tyle – mruknął Torgaddon.

Wysokie, lakierowane złotem i szkarłatem wrota zamykały Aleję. Czekali przed nimi Aksymand i Abaddon. Oni również byli w pełnych pancerzach, a hełmy dzierżyli w zagięciu lewego ramienia. Naramienniki Abaddona okrywało czarne wilcze futro.

– Garvielu – powiedział z uśmiechem.

– Nie wypada kazać mu czekać – zaburczał Aksymand. Loken nie był pewien, czy miał na myśli Abaddona, czy samego wodza. – O czym tam gwarzyliście? Zachowujecie się jak przekupki.

– Pytałem tylko, czy Vipus objął już obowiązki zastępcy – wyjaśnił Torgaddon.

Aksymand przeniósł ciężkie spojrzenie swych szeroko rozstawionych oczu na Lokena.

– A ja zapewniłem Tarika, że to już załatwione – dodał Loken. Wyglądało na to, że Torgaddon nie chciał wspominać o udzielonym mu ostrzeżeniu.

– Chodźmy – powiedział Abaddon. Uniósł rękę i dłonią w rękawicy pchnął skrzydło wrót.

Przed nimi ciągnęła się długa na dwadzieścia metrów kolumnada. Czarne filary pokryto srebrnymi ornamentami. Po obu stronach korytarza stali szpalerem Gwardziści Armii Imperialnej, należący do Bizantyjskich Janczarów Varvarusa, dwudziestu pod każdą ścianą. Odziani byli w mundury galowe złożone z długich, kremowych pelis lamowanych złotą nicią oraz wysokich, lśniących chromem hełmów z koszowymi zasłonami zdobionymi szkarłatnymi wstęgami. Przepasani byli podobnymi szarfami. Kiedy członkowie Kwadry wkroczyli do

kolumnady, Janczarzy poczęli prezentować broń. Ozdobne lance energetyczne zawirowały kolejno w ruchu przypominającym efekt kostek domina. Każda para kling po obu stronach korytarza zamierała u boku żołnierzy tuż przed tym, zanim zbliżyli się do nich maszerujący Astartes.

Ostatnia para zamarła w salucie w chwili, kiedy Kwadra wkroczyła na pokład strategium.

Była to ogromna, półkolista platforma wznosząca się ponad mostek. Dużo niżej znajdował się główny pokład dowodzenia, po którym kręciły się tłumy umundurowanych oficerów floty oraz lśniących serwitörów. Z tej wysokości tłum przypominał rój mrówek. Po obu stronach strategium wyrastały podzielone na podpokłady ściany, zdobione złotem i ornamentami z czarnego żelaza. Rzędy platform wznosiły się ku sklepieniu, a na każdej z nich uwijali się oficerowie, operatorzy maszyn liczących oraz astropaci.

Przednią część komory mostka stanowiło ogromne okno, podzielone na części filarami. Można było przez nie podziwiać atramentową czerń kosmosu oraz blask gwiazdnych konstelacji. Spod kopuły dachu zwisały sztandary Wilków Luny oraz Imperialnych Pięści, flankując chorągiew samego Mistrza Wojny: godło w kształcie pojedynczego, rozwartego oka. Na chorągwi wyszyto złotą nicią motto: „Jam jest Strażnikiem Imperatora i Okiem Terry”.

Loken z dumą przypominał sobie moment wręczenia Mistrzowi Wojny owego majestatycznego symbolu godności podczas wielkiego tryumfu wieńczącego zwycięską kampanię na Ullanorze.

Podczas dziesięcioleci służby tylko dwa razy miał okazję stać na mostku „Mściwego Ducha”: po raz pierwszy, kiedy uroczyście przyjmował awans na kapitana, a później, by oficjalnie objąć dowodzenie Dziesiątą Kompanią. Rozmiary mostka zawsze zapierały mu dech w piersi. Nie inaczej było i tym razem.

Sam pokład strategium był platformą z giętych metalowych prętów, pośrodku której znajdował się prosty podest z niewykończonego kamienia, mierzący metr wysokości i dziesięć metrów średnicy. Rozmawiając z podwładnymi, wódz zawsze stał, rezygnując z tronu lub siedziska. Metalowa galeria otaczająca podest była częściowo zacieniona za sprawą zwisających nad nią balkonów, które rzędami pokrywały ściany. Loken spojrzał w górę i dojrzał grupki starszych iteratorów, taktyków, kapitanów okrętów floty ekspedycyjnej oraz innych notabli. Wszyscy zebrali się, by zobaczyć naradę. Wzrokiem poszukał Sindermanna, w tłumie nie udało mu się jednak odnaleźć jego twarzy.

Wokół podestu stało już kilka postaci. Lord Komandor Hektor Varvarus, marszałek armii Ekspedycji, wysoki i pedantyczny arystokrata w czerwonych szatach, omawiał z dwoma adiutantami w mundurach galowych zawartość czytnika danych. Mistrz Floty Boas Komnenus czekał, niecierpliwie postukując stalowymi palcami o krawędź podestu. Był przysadzistym, przypominającym niedźwiedzia starcem, którego zwiotczałe członki ujęto w świetnej roboty stalowo srebrzysty egzozskielec. Nosił szaty w kolorze głębokiego granatu. Starannie wykonane z augmetyku optycznego soczewki raz po raz z klekotem zmieniały ostrość, zastępując jego już dawno ośleplę oczy.

Ing Mae Sing, Mistrzynie Astropatów Ekspedycji, stała po lewej ręce Komnenusa. Była wychudła jak upiór, ślepa, odziana w białą szatę z kapturem. Za nią wokół podestu stał Zwierzchnik Navis Nobilite, Nawigator Chorogus, a jeszcze dalej inni dostojnicy i oficerowie, jak Mistrz Voxu, Mistrz Doradców, starszy taktyk, starszy heraldyk oraz przeróżni wysłannicy gubernatora.

Każdy z nich, jak zauważył Loken, położył przed sobą na podeście jakiś osobisty przedmiot: rękawicę, czapkę mundurową, urzędową buławę.

– Kwadra pozostaje w cieniu – powiedział Torgaddon, gestem zatrzymując Lokena na krawędzi zacienionej części pokładu. – Tu jest nasze miejsce. Pozostajemy na uboczu, ale zawsze obecni.

Loken skinął głową i pozostał wraz z Torgaddonem i Aksymandem w symbolicznym cieniu rzucanym przez balkony. Jeden Abaddon wstąpił w krąg światła i zajął swe miejsce przy podeście, pomiędzy

Varvarusem, który skłonił się uprzejmie, i Komnenusem, który tego nie zrobił. Abaddon postawił swój hełm na krawędzi podestu.

– Przedmiot leżący na podeście oznacza prośbę o posłuchanie – wyjaśnił Torgaddon Lokenowi. – Ezekail przemawiać będzie jako Pierwszy Kapitan, nie członek Kwadry.

– Czy kiedyś pojmę wszystkie te zawilości? – zapytał Loken.

– Wykluczone – powiedział Torgaddon. Zawiesił głos, po czym uśmiechnął się. – Oczywiście, że pojmiesz.

Loken zauważył jeszcze jedną stojącą na uboczu postać. Człowiek ten, jeśli w istocie był to człowiek, stał obok relingu strategium, spoglądając w dół w ziejącą przepaść mostka.

Wydawało się, że jest w większym stopniu maszyną niż człowiekiem. Wśród bajecznie zdobionego szkieletu ze złota i stali pozostały zaledwie nieliczne elementy tkanki.

– Kto to? – zapytał szeptem.

– Regulus – odpowiedział lakonicznie Aksymand. – Adept Mechanicum.

Więc tak wyglądają, pomyślał Loken. Podobne mu istoty dowodziły niezwycięzonymi Tytanami.

– Zachowaj ciszę – ostrzegł Torgaddon, dotykając ramienia Lokena.

Po przeciwnej stronie platformy otworzyły się przeszklone wrota. Najpierw zabrzmiał głośny śmiech, a potem na pokład strategium wkroczyła potężna postać pogrążona w ożywionej, przerywanej śmiechem rozmowie z maleńką osobą, starającą się nadążyć za krokami olbrzyma.

Wszyscy przyklęknęli na jedno kolano. Loken słyszał szmer klękających na balkonie powyżej. Boas Komnenus klęknął niespiesznie, gdyż jego egzoszkielet był starożytnym mechanizmem i nie pozwalał na gwałtowne ruchy. Adept Regulus również klęknął niespiesznie, ale nie ze względu na ograniczenia swego szkieletu, tylko dlatego, że czynił to z wyraźną niechęcią.

Mistrz Wojny Horus rozejrzał się po pokładzie, uśmiechnął i jednym skokiem znalazł na podeście. Stał pośrodku kamiennego dysku i raz jeszcze powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

– Przyjaciele – powiedział – wystarczy tych formalności. Wstańcie.

Zgromadzeni w sali powstali i spojrzeli na niego.

Jak zwykle wspaniały, pomyślał Loken. Wcielony półbóg, potężny, ale zręczny, w białym, złożonym pancerzu i płaszczu z wilczego futra. Nie nosił hełmu i zebrani mogli podziwiać jego gładko ogoloną, niemal posągową twarz o szlachetnych rysach, lśniąca opalenizną, blaskiem szeroko rozstawionych oczu, bielą zębów. Uśmiechał się do wszystkich kolejno, każdego witał też skinieniem głowy.

Miał w sobie żywotność porównywalną z siłą natury, z huraganem lub lawiną, żywotność wydestylowaną i zamkniętą w ludzkiej postaci. Powoli obrócił się, a z jego twarzy nie schodził uśmiech, którym witał i pozdrowiał niektórych przyjaciół.

Prymarcha spojrzał na stojącego w cieniu Lokena i na sekundę jego uśmiech pojaśniał jeszcze bardziej. Wojownik poczuł dreszcz lęku, przyjemny i ożywczy. Tylko Mistrz Wojny potrafił wywołać w Astartes to uczucie.

– Przyjaciele – zaczął Horus, a jego głos brzmiał jak płynący miód, jak dźwięcząca stal, jak szept. – Moi drodzy przyjaciele, towarzysze broni Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji, obawiam się, że oto znowu nadeszła pora...

Pod kopułą rozległ się śmiech zebranych.

– ...pora na naradę. Dziękuję wam wszystkim, że zgodziliście się ścierpieć nudę kolejnego spotkania. Obiecuję, że nie zatrzymam was ani chwili dłużej, niż będzie to konieczne. Najpierw jednak...

Horus zeskoczył z podestu i pochylił się, by troskliwie otoczyć ramieniem drobne barki mężczyzny, który towarzyszył mu podczas wejścia na pokład. Jakby ojciec prezentował braciom małego synka. Objęty mężczyzna przybrał zbolaty grymas, mający być uśmiechem, ale wyrażający raczej desperację niż przyjemność i zaszczyt.

– Najpierw – powiedział Horus – chciałbym pomówić o moim drogim przyjacielu, stojącym przed wami Peeterze Egonie Momusie. Nie mógłbym... przepraszam, cała ludzkość nie mogłaby życzyć sobie zdolniejszego i bardziej utalentowanego architekta. Peeter opowiadał mi właśnie o swych planach odbudowy Wysokiego Miasta i muszę powiedzieć, że są one cudowne i niezwykle.

– Doprawdy, panie mój, nie wiem, co... – Momus odchrząknął, grymas na jego twarzy zdrztał. Naczelnny architekt Ekspedycji trząsł się na całym ciele, drżał pod ciężarem uwagi tak znacznych osób.

– Nasz pan, Imperator, osobiście przysłał nam Peetera – powiedział Horus. – Poznał się na jego zaletach. Zrozumcie, proszę, że nie zależy mi na podboju. Podbój powoduje taki bałagan. Zgodzisz się ze mną, Ezekailu?

– Tak, panie – mruknął Abaddon.

– Jak możemy z rozproszonych, zagubionych siedlisk ludzkich stworzyć na powrót harmonijną całość, skoro przynosimy tylko podbój? Naszym obowiązkiem jest pozostawić naszych braci w lepszej kondycji niż ta, w jakiej ich zastaliśmy, oświeconych blaskiem Imperialnej Prawdy, odnowionych jako obywatele prowincji naszego wspaniałego Imperium. Nasza Ekspedycja, podobnie jak wszystkie pozostałe, musi pamiętać o przyszłości. To, co pozostawimy po sobie, stanowić będzie wieczyste świadectwo naszych intencji. Dzieje się tak szczególnie w wypadku światów jak ten, gdzie przyniesienie nowiny Imperialnej Prawdy wymagało zbrojnej interwencji. Musimy pozostawić po sobie dziedzictwo. Imperialne miasta

stanowić muszą pomniki nowej ery ludzkości oraz pamiątki po tych, którzy oddali życie za jej urzeczywistnienie.

Peeter, mój drogi przyjaciel Peeter, doskonale to rozumie. Zachęcam was wszystkich do odwiedzenia jego pracowni i obejrzenia znajdujących się tam wspaniałych projektów. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy jego geniusz uświetniał będzie wszystkie miasta wybudowane w trakcie naszej Krucjaty.

Rozległy się oklaski.

– Wszy-wszystkie nowe miasta... – Momus aż się zakrzusił.

– Peeter jest najlepszym człowiekiem do tego zadania – zakrzyknął Horus, całkowicie ignorując słowa architekta. – Całkowicie podzielam jego wizję architektury jako metody uświetniania naszych osiągnięć. Uważam, że jak nikt inny rozumie to, w jaki sposób duch Krucjaty może przejawiać się w konstrukcjach ze szkła, stali i kamienia. To, co budujemy, jest dużo ważniejsze od tego, co najpierw burzymy. Nasze dokonania muszą na wieczność pozostać przedmiotem podziwu, by ludzie mówili: „Naprawdę świetna robota. Oto istota Imperium, bez której jesteśmy zaledwie cieniami”. To zadanie Peetera. Nagroźmy go brawami!

Pod kopułą ogromnej sali rozległa się burza oklasków. Przyłączyło się do niej wielu oficerów z niższych poziomów. Kiedy sługa wywiódł oszołomionego Peetera Egona Momusa z pokładu strategium, jego wzrok wydawał się zamglony.

Horus na powrót wskoczył na podest.

– Zaczynajmy... Szanowny adeptcie?

Regulus zbliżył się do krawędzi podestu i ostrożnie położył na nim wypolerowane do połysku kółko zębate. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał mechanicznie i nieludzko, jak elektryczny wiatr wiejący wśród lasu stalowych drzew.

– Mistrzu Wojny, panie mój, Mechanicum wyraża swe zadowolenie z tej planety. Badania nad przejętą tu technologią są niezwykle ciekawe. Odkryta technologia broni fazowej oraz grawitacyjnej poddawana jest właśnie w naszych kuźniach analizie inżynierskiej. Ostatnie raporty donoszą, że udało się uzyskać trzy nieznanne dotąd wzorce konstrukcyjne.

Horus klasnął w dłonie.

– Chwała naszym niestrudzonym braciom, adeptom Mechanicum! Powoli odzyskujemy zaginione elementy ludzkiej wiedzy. Imperator będzie zachwycony. Podobnie, jak sądzę, jak wasi zwierzchnicy na Marsie.

Regulus skinął głową, podniósł swoje kółko zębate i odstąpił od podestu.

Horus rozejrzał się.

– Rakris? Mój drogi Rakris?

Lord Gubernator elekt Rakris, tłustawy człowiek w szarych szatach, położył wcześniej swe urzędowe berło na podeście, zaznaczając chęć udziału w dyskusji. Składając raport, bawił się nim. Horus wysłuchał go cierpliwie, od czasu do czasu zachęcając mówiącego kiwnięciami głowy. Rakris przemawiał nazbyt długo i monotonicznie i Lokenowi było go żal. Był to jeden z generałów Varvarusa. Wybrano go na urząd gubernatora, aby nadzorował siły okupacyjne, mające przekształcić Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście w pełnoprawną planetę Imperium.

Rakris był zawodowym żołnierzem i choć przyjął zaszczyt, jasne było, że perspektywa pozostania z dala od głównych sił Ekspedycji napawa go lękiem. Wyglądał blado i niezdrowo, rozmyślał zaś pewnie o nieodległym w czasie momencie, kiedy to Ekspedycja odleci dalej, pozostawiając go jego obowiązkom. Rakris pochodził z Terry i Loken wiedział, że odlot floty będzie dla niego oznaczał zesłanie. Godność gubernatora miała stanowić dla bohaterów wojennych ostateczną nagrodę, taki los wydawał się jednak Lokenowi nie do pozazdroszczenia. Władanie światem w samotności i zapomnieniu...

Na zawsze.

Krucjata nie miała przecież w planach szybkiego powrotu na podbite planety.

– ...w istocie, panie mój – mówił Rakris – minąć może wiele dziesięcioleci, zanim świat ten stanie się pełnoprawną częścią Imperium. Opór jest bardzo silny.

– Jak dużo czasu dzieli nas od pełnej zgodności z prawem imperialnym? – zapytał Horus, rozglądając się po sali.

Odpowiedział mu Varvarus:

– Od pełnej zgodności, panie? Dziesięciolecia, jak powiedział drogi Rakris. Na południowej półkuli działa ruch oporu, którego jak dotąd nie udało się nam zdusić. Ten świat nie uzyska certyfikatu zgodności do chwili, kiedy nie zdławimy buntu.

Horus pokiwał głową.

– Zostaniemy więc tutaj tak długo, aż nie wykonamy zadania. Nasza dalsza podróż musi ulec wstrzymaniu. Wielka szkoda... – Prymarcha zamyślił się, a uśmiech na chwilę zszedł z jego twarzy. – A może ktoś z was ma inną sugestię?

Zawiesił głos i spojrzął na Abaddona. Pierwszy Kapitan zawahał się na sekundę i rzucił szybkie spojrzenie w zalegający pod balkonami cień.

Loken zdał sobie sprawę, że o takim właśnie pytaniu wspomniał Torgaddon. Mistrz Wojny pragnął zasięgnąć rady poza oficjalną strukturą dowodzenia Ekspedycji. Chciał usłyszeć zdanie wewnętrznego kręgu swego Legionu.

Torgaddon trącił Lokena, ale było to zbędne. Loken wyszedł z cienia i stanął obok Abaddona.

– Mistrzu Wojny, panie mój – odezwał się Loken. Zaskoczyło go brzmienie jego własnego głosu.

– Kapitanie Loken – powiedział Horus, a w jego oczach błysnęła radość. – Rady Kwadry zawsze są mile widziane.

Kilku zgromadzonych, w tej liczbie również Varvarus, pomrukami wyraziło swą aprobatę.

– Panie mój, początkowa faza działań wojennych przeprowadzona została szybko i sprawnie – zaczął Loken. – Chirurgiczne uderzenie awangardy wymierzone w gardło nieprzyjaciela zminimalizowało straty i zniszczenia, jakich obie strony mogłyby doznać w wypadku dłuższego konfliktu. Walka z prowadzącymi wojnę partyzancką powstańcami kosztowałaby czas, środki i trud. Mogłaby ciągnąć się latami, uszczuplając stan wojsk Lorda Komandora Varvarusa oraz kładąc się cieniem na pozytywnym wrażeniu, jakie wywołają początki rządu Lorda Gubernatora. Ani Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście, ani samej floty nie stać na taką wojnę. Proszę wybaczyć moją śmiałość, ale uważam, że jeśli celem uderzenia chirurgicznego było podbicie planety za jednym zamachem, cel ten nie został osiągnięty. Nasza praca nie została zakończona. Rozkaż, panie, by Legion ją zakończył.

Wokół rozległy się pomruki.

– Chcesz więc, bym spuścił Wilki Luny ze smyczy? Czy tak, kapitanie? – zapytał Horus.

Loken pokręcił głową.

– Nie cały Legion, panie. Jedynie Dziesiątą Kompanię. Jako pierwsi wtargnęliśmy do pałacu i spotkała nas za to pochwała. Nie zasłużyliśmy na nią jednak, bo nasze zadanie nie zostało wykonane.

Horus pokiwał głową, jakby poruszyły go słowa Lokena.

– Varvarusie?

– Armia zawsze z radością wita wsparcie ze strony szlachetnego Legionu. Jak zauważył pan kapitan, buntownicy mogliby nękać moich ludzi miesiącami i spowodować w tym czasie poważne straty. Kompania Wilków Luny zgmiotłaby ich doszczętnie, kończąc tym samym bunt.

– Rakris?

– Rozwiązałoby to problem i zdjęło z moich barków niemały ciężar, panie mój – powiedział Rakris i uśmiechnął się. – Być może to rozłupywanie orzechów młotem, ale jednoznacznie i dobitnie zaznaczyłoby nasze zwycięstwo i szybko zakończyło sprawę.

– Pierwszy Kapitanie?

– Kwadra mówi jednym głosem, panie – powiedział Abaddon. – Doradzam jak najszybsze zakończenie konfliktu, aby mieszkańcy Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście mogli żyć w spokoju. My zaś powrócimy wówczas do naszej Krucjaty.

– Niech więc tak się stanie – zgodził się Horus, znowu uśmiechając się szeroko. – Oto mój rozkaz. Kapitanie, niech Dziesiąta Kompania stanie w gotowości i złoży przysięgi bitewne. Będziemy z niecierpliwością wyczekiwać wiadomości o waszym sukcesie. Dziękuję, że zechciałeś wyrazić się krótko, trafiając zarazem w sedno tego niełatwego problemu.

Rozległ się pełen aprobaty aplauz.

– A zatem otwierają się przed nami nowe możliwości – ciągnął Horus. – Możemy rozpocząć przygotowania do następnej fazy. Nasz ukochany Imperator będzie zachwycony, że nasza flota wkrótce wyruszy w dalszą drogę. Wkrótce sam go o tym zawiadomię. – Horus spojrzał na ślepą Mistrzynię Astropatów, która skinęła głową w milczeniu. – Powinniśmy teraz omówić dalsze możliwości. Zamierzałem sam je wam przedstawić, ale jest ktoś, kto nalegał, bym pozwolił to uczynić jemu.

Wszyscy zebrani odwrócili się, by spojrzeć na otwierające się ponownie szklane drzwi. Prymarcha zaczął klaskać i wkrótce aplauz ogarnął rzędy balkonów. Na pokład strategium wszedł, utykając, Maloghurst. Było to pierwsze publiczne wystąpienie adiutanta Mistrza Wojny od czasu jego powrotu z powierzchni planety.

Maloghurst był nie tylko weteranem Legionu Wilków Luny, ale i Synem Horusa. Pełnił niegdyś funkcję kapitana i mógł być może awansować do stopnia dowódcy Pierwszej Kompanii, gdyby nie otrzymał godności adiutanta Mistrza Wojny. Miał przenikliwy umysł, wiele doświadczenia oraz talent do działań wywiadowczych i intryg, niezmiernie przydatny podczas pełnienia jego obowiązków. Za tą to sprawą nadano mu kiedyś przydomek Skrzywiony. Nie

wstydział się go. Legion chronił Mistrza Wojny fizycznie, on jednak zapewniał mu ochronę polityczną. Był mu doradcą i przewodnikiem, zdolnym wyprzedzić lub zablokować działania politycznych przeciwników, i charakteryzował się niezwykłym wyczuleniem na wszelkie niuansy i napięcia wśród kadry dowódczej Ekspedycji.

Nigdy go szczególnie nie lubiano, bowiem nawet wedle standardów Astartes był człowiekiem zamkniętym w sobie. Nigdy też nie czynił zbytnich wysiłków, by zmienić ten stan rzeczy. Większość zainteresowanych uważała go za postać neutralną, za doradcę lojalnego wyłącznie wobec Horusa. Nikt też nie był na tyle lekkomyślny, by go nie doceniać.

Splot okoliczności jednak sprawił, że naraz stał się popularny, niemal wielbiony. Uznano go za zmarłego, lecz odnaleziono żywym, co w związku ze śmiercią Sejanusa uznano za pewną pociechę. Zdjęcia zrobione przez Euphrati Keeler, które obiegiły całą flotę, utrwaliły jego obraz jako szlachetnego, rannego bohatera. Zgromadzeni powitali zatem Maloghursta entuzjastycznie, wznosząc okrzyki na cześć jego męstwa i determinacji. Przypadek zrobił z niego uwielbianego bohatera.

Loken był pewien, że adiutant dostrzeże ironię sytuacji i zamierza w pełni ją wykorzystać.

Maloghurst stanął wśród zgromadzonych. Jego obrażenia były na tyle poważne, że jak dotąd nie mógł oblec się w pancerz Legionisty. Zamiast tego przybrał białą szatę z emblematem wilczego łba na plecach. Złota brosza w kształcie godła Mistrza Wojny, rozwartego oka, spinała ją pod szyją. Nadal utykał i chodził, wspierając się na metalowym kosturze. Jego plecy zniekształcał garb, a twarz, bladą teraz i wychudłą, znaczyły zmarszczki bólu i wysiłku. Pozostałości po ranach ciętych na gardle i lewej stronie głowy pokrywała syntetyczna skóra.

Loken z zaskoczeniem spostrzegł, że Maloghurst naprawdę był teraz skrzywiony. Dawny, kpiący przydomek wydał mu się nagle niedelikatny i prostacki.

Horus zszedł z podestu i objął adiutanta. Varvarus i Abaddon również zbliżyli się, by powitać go gorącymi uściskami. Maloghurst uśmiechnął się i pozdrowił ich skinieniem głowy, po czym pomachał zgromadzonym na balkonach, by podziękować im za powitanie.

Aplauz ucichł, a Maloghurst oparł się ciężko o bok podestu, na którym zgodnie z ceremoniałem położył swój kostur. Zamiast powrócić na swe miejsce na podeście, Mistrz Wojny cofnął się nieco, oddając głos swemu adiutantowi.

– W ostatnich dniach – zaczął Maloghurst głosem twardym, choć drżącym z wysiłku – zaznałem luksusu wypoczynku. – Ze wszech stron rozległ się śmiech, do którego dołączyły

oklaski. – Bezczyenne leżenie jest zmorą każdego wojownika, ale dzięki temu miałem możliwość przeanalizowania zgromadzonych w ciągu ostatnich miesięcy raportów naszych zwiadowców. Bezczyenne leżenie i odpoczynek są czymś, czym należy cieszyć się w sposób umiarkowany, dlatego też nalegałem, by umożliwiono mi zaprezentować rezultaty owej analizy temu zgromadzeniu. Imperator świadkiem, że nigdy nawet nie śniłem, że zagrozi mi śmierć z nudów.

Znowu odpowiedział mu pełen aprobaty śmiech. Loken uśmiechnął się również. Maloghurst istotnie w pełni wykorzystywał nowo zyskany status. Był niemal... sympatyczny.

– Zacznijmy od przyjrzenia się trzem możliwościom, które się przed nami rysują – ciągnął adiutant, wydobywszy różdżkę kontrolną i gestykulując nią oszczędnie.

Jego gest włączył umieszczone pod pokładem projektory hololityczne i nad strategium pojawiły się uformowane ze światła kształty, doskonale widoczne z każdego miejsca pomieszczenia. Pierwszy z nich stanowił obraz planety, wokół której orbitowała flota. Obraz opatrzony był obliczeniami spodziewanego nachylenia ekliptyki oraz precesji globu. Obracająca się kula nagle skurczyła się, aż pozostała tylko częścią układu planetarnego, również opatrzonego uwagami i obliczeniami, zawieszzonego w przestrzeni niczym utkane ze światła tellurium. Potem i ono skurczyło się do rozmiarów znikomego fragmentu wielkiej mozaiki gwiazd.

– Po pierwsze – kontynuował Maloghurst – należy przyjrzeć się temu oto miejscu, obszarowi osiem-pięć-osiem jeden-siedem, czyli konstelacji sąsiadującej z naszym obecnym położeniem. – Grupa gwiazd na świetlnej mapie zajaśniała. – Jest to najbardziej oczywisty następny cel dla naszej Ekspedycji. Statki zwiadowcze meldują o istnieniu osiemnastu interesujących dla nas układów gwiazdnych, z których dwanaście winno zawierać złoża cennych surowców. Brak tam jednak śladów życia. Poszukiwania wprowadzić się jeszcze nie zakończyły, ale mimo to pragnę zasugerować, że nasza Ekspedycja powinna ominąć ten obszar. Układy owe należy zaznaczyć w spisach podążających za nami imperialnych pionierów.

Znów machnął różdżką i inna konstelacja poczęła świecić jaśniejszym blaskiem.

– Niniejszy obszar, oddalony od nas o jakieś... Mistrzu?

Boas Komnenus odchrząknął.

– Dziewięć tygodni standardowych czasu podróży, zgodnie z ruchem spiralnym galaktyki.

– Dziewięć tygodni, dziękuję. – Maloghurst skinął głową. – Ledwo zaczęliśmy badać ten obszar, ale istnieją istotne przesłanki, że w jego obrębie istnieje kultura lub kultury posiadające zdolność podróży międzygwiazdnych.

– Aktywna? – zapytał Abaddon. Wśród gwiazdnych pustkowi zbyt często zdarzało się, że statki imperialnych Ekspedycji natrafiały na szczątki dawno wymarłych cywilizacji.

– Zbyt wcześnie, by to stwierdzić, Pierwszy Kapitanie – odrzekł Maloghurst. – Zwiadowcy donoszą jednak, że znaleźli tam pewne artefakty podobne do tych odkrytych pięć lat temu na siedem-dziewięć-trzy-jeden-pięć.

– A więc nie jest to ludzka kultura? – zapytał Regulus.

– Zbyt wcześnie, by to stwierdzić – powtórzył Maloghurst. – Obszar ten oznaczony jest kodem tymczasowym, sądzę jednak, że bardziej interesująca dla wszystkich obecnych będzie jego dawna, terrańska nazwa. Gwiazdozbiór Strzelca.

– Straszliwy Sagitarius – wyszeptał Horus, a na jego twarzy pojawił się uśmiech zachwyty.

– Dokładnie tak, panie mój. Rejon ten wymaga oczywiście dalszych badań. – Okulawiony adiutant machnął różdżką i powiększył trzecią konstelację. – A oto i trzecia możliwość, położona najdalej, biorąc pod uwagę ruch spiralny galaktyki.

– Osiemnaście standardowych tygodni – odpowiedział Boas Komnenus, zanim ktokolwiek zdążył zapytać.

– Dziękuję, Mistrzu. Nasi zwiadowcy jeszcze go nie zbadali, otrzymaliśmy jednak wieści od Sto Czwartej Ekspedycji, dowodzonej przez Khitasa Frome z Krwawych Aniołów. Ekspedycja napotkała opór. Raporty są niekompletne, ale rozpoczęto działania wojenne.

– Opór ze strony ludzi? – zapytał Varvarus. – Mówimy o zaginionych koloniach?

– O obcych – odparł Maloghurst krótko. – Stawiają dość silny opór. Wysłałem do Sto Czwartej Ekspedycji zapytanie, czy potrzebują naszego wsparcia. Ich Ekspedycja jest znacznie mniejsza niż nasza. Jak dotąd nie otrzymałem odpowiedzi. Możemy uznać za priorytet zbadanie sytuacji i zwiększenie sił imperialnych w tym obszarze.

Po raz pierwszy od początku narady uśmiech znikł z twarzy Mistrza Wojny.

– Pomówię o tym z moim bratem Sanguiniusem – powiedział. – Nie pozwolę, by jego ludzie ginęli pozbawieni wsparcia. – Spojrzał na Maloghursta. – Dziękuję za tę prezentację, adiutancie. Wszyscy doceniamy twoją pracę oraz zwięzłość raportu.

Znów rozległ się aplauz.

– Jeszcze jedno, panie mój – powiedział Maloghurst. – Jest pewna osobista kwestia, którą pragnę wyjaśnić. Wiem, że znany jestem jako Maloghurst Skrzywiony z powodu... pewnych cech

mojej osobowości, z których zapewne wszyscy obecni zdają sobie sprawę. Choć niektórzy mogliby uznać to za dziwne, zawsze cieszył mnie ów tytuł. Sztuka polityki pociąga mnie, nie ukrywam tego zresztą. Kilku moich asystentów pocięło niedawno pewne wysiłki, by zaprzestano używania tego przydomku, sądząc zapewne, że w moim obecnym stanie mógłby się mi wydać obraźliwym lub okrutnym wyzwiskiem. Chciałbym, by wszyscy tu obecni wiedzieli, że tak nie jest. Moje ciało zostało złamane, mojemu umysłowi jednak nic nie dolega. Poczytałbym za obrazę, gdyby zaprzestano używania mego przydomku z grzeczności. Nie cenię zanadto współczucia i nie chcę litości. Jestem skrzywiony cieleśnie, ale sprawny umysłowo. Nie obrażajcie mnie więc i nazywajcie tak, jak dotąd.

– Dobrze powiedziane – zawołał Abaddon i zaczął klaskać. Zgromadzeni dołączyli do niego, bijąc brawo równie żywiłowo jak wówczas, kiedy Maloghurst wszedł na pokład strategium.

Adiutant wziął kostur, wsparł się na nim i odwrócił w stronę Mistrza Wojny. Horus uniósł obie ręce, prosząc o ciszę.

– Dziękujemy Maloghurstowi za prezentację możliwości dalszej eksploracji. Mamy wiele do rozważenia. Zamykam naradę, oczekuję jednak od wszystkich uwag i sugestii, które składać należy do końca dnia jutrzejszego czasu floty. Zachęcam do analizy tych możliwości i prezentacji jej wyników. Spotkamy się pojutrze o tej samej porze. To wszystko.

Spotkanie zakończyło się. Górne balkony pustoszały, brzmiać nadal szmerem rozmów, a zgromadzeni na pokładzie strategium zebrali się w małe grupy. Mistrz Wojny prowadził cichą rozmowę z Maloghurstem i adeptem Mechanicum.

– Dobra robota – szepnął Torgaddon do Lokena.

Loken wypuścił wstrzymywany oddech. Nie zdawał sobie sprawy, jak wielkie napięcie towarzyszyło mu od chwili, kiedy otrzymał wezwanie na naradę.

– Rzeczywiście, dobrze powiedziane – rzekł Aksymand. – Popieram twoje uwagi, Garvielu.

– Powiedziałem tylko to, co czułem. Improvizowałem – przyznał Loken.

Aksymand zmarszczył brwi, jakby nie był pewien, czy to nie żart.

– Ciebie to otoczenie nie onieśmiela, Horusie?

– Z początku zapewne tak – odparł lekko Aksymand. – Ale po pierwszej czy drugiej naradzie można się przyzwyczaić. Zorientowałem się, że łatwiej jest, kiedy patrzy się na jego stopy.

– Stopy?

– Stopy Mistrza Wojny. Spójrz mu w oczy, a całkiem zapomnisz, co chciałeś powiedzieć.

– Aksymand uśmiechnął się nieznacznie. Mały Horus po raz pierwszy okazał Lokenowi nieco cieplejsze uczucia.

– Dzięki. Będę o tym pamiętał.

Abaddon dołączył do nich w cieniu balkonów.

– Wiedziałem, że dokonaliśmy właściwego wyboru – powiedział, ściskając dłoń Lokena.

– Trafiać w samo sedno, tego właśnie oczekuje od nas Mistrz Wojny. Dokonywać jasnej oceny sytuacji. Dobrze się spisałeś, Garvielu. Teraz spisz się równie dobrze w polu.

– Tak zrobię.

– Potrzebujesz pomocy? Mogę pożyczyć ci moich Justaerinów.

– Dziękuję, ale Dziesiąta da sobie radę.

Abaddon skinął głową.

– Przekażę Falkusowi, że jego Mężobójcy nie dorastają do twych wymagań.

– Nie rób tego – powiedział szybko Loken, zaniepokojony perspektywą urażenia Falkusa Kibre, kapitana elitarnych Terminatorów Pierwszej Kompanii. Pozostali członkowie Kwadry wybuchli śmiechem.

– Powinieneś zobaczyć swoją minę – rechotał Torgaddon.

– Ezekail łatwo cię podpuścił – wtórował mu Aksymand.

– Ezekail wie, że Garviel szybko przestanie być tak podatny na żarty – powiedział Abaddon.

– Kapitanie Loken? – Lord Gubernator elekt Rakris zbliżył się do ich grupy. Abaddon, Aksymand i Torgaddon odstąpili na bok, by zrobić mu przejście. – Kapitanie Loken – powtórzył Rakris – chciałbym tylko powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczny. Za to, że zechciał pan zgłosić swą Kompanię i że przemówił pan tak dobitnie. Żołnierze Lorda Varvarusa robią co w ich mocy, ale są tylko ludźmi. Jeśli nie zostaną podjęte zdecydowane działania, nasza władza na planecie będzie zagrożona.

– Dziesiąta Kompania zaradzi temu problemowi, Lordzie Gubernatorze – zapewnił go Loken. – Ma pan na to moje słowo.

– Ponieważ armia nie da sobie rady? – Wszyscy odwrócili się i zobaczyli, że rozmowę słyszał Lord Komandor Varvarus.

– N-nie zamierzałem sugerować... – zająknął się Rakris.

– Nikt nie zamierzał pana obrazić, Lordzie Komandorze – powiedział Loken.

– Nie obrażę się – odparł Varvarus, wyciągając w jego kierunku otwartą dłoń. – Starym terrańskim zwyczajem, kapitanie Loken...

Loken uścisnął podaną dłoń.

– Przypomniano mi o nim ostatnio – powiedział.

Varvarus uśmiechnął się.

– Chciałbym powitać pana w naszym gronie, kapitanie. I zapewnić, że nie powiedział pan niczego niestosownego. Na południowej półkuli moi ludzie giną jak muchy. Sądzę, że dowodzę najlepszą armią spośród wszystkich sił należących do Ekspedycji, zdaję sobie jednak sprawę, że składa się ona z ludzi, zwykłych ludzi. Potrafię rozpoznać sytuację, która wymaga interwencji Astartes. Ta jest właśnie taka. Kiedy znajdzie pan czas, proszę odwiedzić mój sztab. Z chęcią udzielię panu wszelkich informacji.

– Dziękuję, Lordzie Komandorze. Zjawię się dziś po południu.

Varvarus skinął głową.

– Proszę o wybaczenie, Lordzie Komandorze – odezwał się Torgaddon. – Kwadra jest potrzebna gdzie indziej. Mistrz Wojny udał się do kwater i oczekuje naszej obecności.



Członkowie Kwadry przez przeszklone drzwi podążyli za Mistrzem Wojny do jego prywatnej kwatery. Było to obszerne, wygodnie urządzone pomieszczenie, znajdujące się poniżej balkonów strategium, na lewej burcie okrętu. Jedną ze ścian zajmowało okno wychodzące na morze gwiazd. Maloghurst i Mistrz Wojny weszli do środka pierwsi. Członkowie Kwadry stanęli w cieniu, czekając na wezwanie.

Loken aż zeszywniał na widok trzech mężczyzn schodzących spiralnymi schodami z balkonu do komnaty. Dwaj pierwsi byli Astartes. Nosili żółte, lśniące pancerze Imperialnych Pięści. Trzeci był od nich znacznie większy. Kolejny bóg.

Rogal Dorn, Prymarcha Imperialnych Pięści, brat Horusa.

Dorn powitał Mistrza Wojny ciepło i cała trójka zasiadła na kanapach z czarnej skóry. Przed nimi, przez szklaną ścianę, roztaczał się widok na bezmiar kosmosu. Serwitorzy podali im napoje.

Rogal Dorn był istotą ze wszech miar dorównującą Horusowi. Wraz ze switą złożoną z Imperialnych Pięści od kilku miesięcy podróżował na statkach Ekspedycji, wkrótce jednak miał udać się w swoją drogę. Wzywały go inne powinności i inne Ekspedycje. Loken słyszał, że Prymarcha Dorn dołączył do nich na prośbę Horusa, który pragnął szczegółowo omówić zakres kompetencji i obowiązków związanych z tytułem Mistrza Wojny. Odkąd Imperator nadał mu ów zaszczyt, Horus radził się w tej sprawie wszystkich swych braci. Tytuł Mistrza Wojny wywyższył go i odsunął od nich. Kilku Prymarchów miało więc pewne obiekcje i głęboko skrywało żal. Dotyczyło to zwłaszcza tych, którzy uważali, że zaszczytny tytuł należał się właśnie im.

Prymarchowie byli równie zdolni do zawiści i małostkowości, jak wszyscy rywalizujący ze sobą bracia.

Horus włożył wiele wysiłku w uspokojenie sytuacji, załagodzenie obaw i wątpliwości, odbudowanie zaufania i odzyskanie ich przychylności. Niemalże zasługi na tym polu, jak zwykle, miał zapewne przebiegły Maloghurst. Horus chciał, by żaden z jego braci nie poczuł się urażony bądź pominięty, zdanie wszystkich miało dla niego znaczenie. Niektórzy, jak Sanguinius, Lorgar i Fulgrim, od początku popierali jego nowe stanowisko. Inni, jak Angron i Perturabo, wpadli w szał zazdrości i tylko mistrzowska dyplomacja Mistrza Wojny zdołała ukoić ich wściekłą zawiść. Nieliczni, jak Russ i Lion, przyjęli cyniczną postawę i zachowywali się tak, jakby nie byli zaskoczeni rozwojem wypadków.

Jeszcze inni zaś, jak Guilliman, Khan i Dorn, przyjęli dekret Imperatora spokojnie, uznając go za naturalną i oczywistą decyzję. Horus zawsze był najbardziej błyskotliwy, najpierwszy, najbardziej przez Imperatora ulubiony. Nie wątpili w jego kwalifikacje, bo żaden z Prymarchów nie dorównywał Horusowi ani osiągnięciami, ani bliskością więzi z Imperatorem. To na radzie owych najbardziej statecznych i rozsądnych braci zależało Horusowi najbardziej. Dorn i Guilliman stanowili uosobienie niezłomnego oddania sprawie Imperium i przejawiali militarny geniusz, widoczny w tym, z jaką troską dowodzili swymi Legionami. Horus pragnął ich aprobaty tak samo, jak każdy młody człowiek pragnie jej od swych starszych i bardziej doświadczonych braci.

Rogal Dorn był wśród swych braci Prymarchów chyba najbardziej błyskotliwym militarnym umysłem. Dyscypliną dorównywał Guillimanowi, odwagą zaś Lionowi, a przy tym potrafił myśleć elastycznie, wygrywać bitwy dzięki nagłym natchnieniom i wojowniczemu zapałowi, które takim wodzom, jak Leman Russ i Khan, przyniosły tak wiele zwycięstw.

Pod względem liczby sukcesów podczas Krucjaty Dorn ustępował tylko Horusowi, jednak tam, gdzie Horus cechował się pewnością siebie i fantazją, Dorn wykazywał wytrwałość, a miast charyzmy Horusa posługiwał się rezerwą, oszczędnością i rozważą. Dlatego to Horus był oczywistym kandydatem na Mistrza Wojny.

Podobnie jak ich Prymarchę, Imperialne Pięści także charakteryzowała nieustępliwa wytrwałość, dlatego też stali się mistrzami prowadzenia oblężeń i wznoszenia fortyfikacji. Mistrz Wojny powiedział kiedyś żartem, że choć nikt nie potrafi jak on szturmować fortec, nikt też nie potrafi bronić ich jak Rogal Dorn. „Gdybym przypuścił szturm na bronioną przez ciebie twierdzę, wojna trwałaby w nieskończoność, bo najlepsi broniliby się przed najlepszymi”. Imperialne Pięści uosabiały nieporuszony opór wobec niepowstrzymanej siły Wilków Luny.

Dorn spędzał miesiące na pokładach statków Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji jako milczący obserwator. Wiele godzin mijało mu na rozmowach z Mistrzem Wojny, ale Loken widywał go niekiedy, gdy ten obserwował ćwiczenia Legionu lub pracował nad wojennymi przygotowaniem. Nigdy nie miał okazji ani poznać go osobiście, ani tym bardziej rozmawiać z nim, a komnata wodza była najmnijszym pomieszczeniem, w jakim przyszło im razem przebywać.

Przyglądając się, jak dwie niemal mityczne istoty prowadzą spokojną dyskusję, Loken czuł się zaszczycony, że mógł znaleźć się w pobliżu jako świadek ich zwykłej, ludzkiej rozmowy. Maloghurst wydawał się w porównaniu z nimi taki maleńki.

Prymarcha Dorn nosił wypolerowany pancerz, ozdobny jak wieko grobowca, lśniący miedzianym odcieniem złota i czerwienią, ostro kontrastujący z olśniewającą bielą pancerza Horusa. Jego głowę otaczały podobne do aureoli, rzeźbione w metalu orle skrzydła, podobny motyw zdobił też jego napierśnik i naramienniki. Na osłonach ramion i nóg wygrawerowane zostały imperialne Orły i wieńce. Szerokie ramiona okrywał płaszcz z czerwonego aksamitu, obszyty złotą nicią. Twarz miał poważną, nie uśmiechał się nawet wtedy, kiedy Mistrz Wojny wplatał żarty w swą wypowiedź, a jego włosy miały kolor czystej bieli.

Dwaj Astartes, którzy towarzyszyli mu wcześniej na balkonie, zbliżyli się do Kwadry. Abaddon, Torgaddon i Aksymand dobrze znali tę dwójkę, ale Loken widywał ich tylko przelotnie. Abaddon dokonał prezentacji. Sigismund, kapitan Pierwszej Kompanii Imperialnych Pięści, olśniewał pysznym herbem w barwach czerni i bieli. Towarzyszył mu Efried, kapitan Trzeciej Kompanii. Astartes powitali się uroczyście gestem dłoni ułożonych na piersi w znak imperialnego Orła.

– W pełni podzielam twoje zdecydowanie – powiedział Lokenowi Sigismund natychmiast po powitaniu.

– Bardzo mnie to cieszy. Obserwowaliście nas z balkonów?

Sigismund skinął głową.

– Wroga należy odnaleźć i zniszczyć, a potem ruszać dalej. Tyle jeszcze pozostało do zrobienia, że nie możemy pozwolić sobie na opóźnienia i marnowanie czasu.

– Tyle światów trzeba jeszcze wcielić do Imperium – zgodził się Loken. – Pewnego dnia jednak dane nam będzie odpocząć.

– Nie – odparł krótko Sigismund. – Krucjata nie zakończy się nigdy. Nie wiedziałeś?

Loken pokręcił głową.

– Nie powiedziałbym...

– Nigdy – z naciskiem powtórzył Sigismund. – Im dalej docieramy, tym więcej przestrzeni przed nami, tym więcej nowych światów do podbicia. Kosmos jest nieskończony, podobnie jak nasza chęć podboju.

– Nie zgodzę się – powiedział Loken. – Pewnego dnia wojna się zakończy. Nastaną czasy pokojowych rządów. Taki jest nadrzędny cel naszych starań.

Sigismund wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Doprawdy? Być może. Ja jednak wierzę, że podjęliśmy się zadania niewykonalnego. Taka jest ludzka natura. Zawsze będzie następny cel, nowe możliwości.

– Zapewne jednak potrafisz, bracie, wyobrazić sobie chwilę, kiedy wszystkie znane światy zostaną zjednoczone pod władzą Imperatora. Czy nie to marzenie staramy się zrealizować?

Sigismund spojrzał Lokenowi w twarz.

– Bracie Loken, wiele dobrego słyszałem o tobie. Nie przypuszczałem, że odkryję w tobie taką naiwność. Spędzimy całe życie na walce o utworzenie Imperium, a nasze ostatnie chwile –

na walce o jego przetrwanie. Wśród gwiazd jest tyle mroku, że nawet kiedy osiągniemy jedność Imperium, nie zaznamy spokoju. Będziemy zmuszeni do walki, aby nie stracić tego, co z takim trudem stworzyliśmy. Pokój jest próżną nadzieją. Być może pewnego dnia nasza Krucjata otrzyma inną nazwę, ale naprawdę nigdy się nie zakończy. W odległej przyszłości istnieć będzie tylko wojna.

– Myślę, że się mylisz.

– Jakże jesteś naiwny – zadrwił Sigismund. – A ja sądziłem, że Wilki Luny są z nas wszystkich najbardziej agresywne. Chcecie, żeby inne Legiony tak właśnie o was myślały, prawda? Chcecie uchodzić za najbardziej przerażających wojowników, jakich wydała ludzkość.

– Nasza reputacja broni się sama, kapitanie.

– Podobnie jak reputacja Imperialnych Pięści. Mamy się spierać o to, który Legion jest najmocniejszy?

– To proste. Wilki z Fenrisa – wtrącił się Torgaddon. – A to dlatego, że są kompletnie niepczytalni. – Uśmiechnął się szeroko, chcąc rozładować nabrzmiałe napięcie. – Jeśli oczywiście chcemy porównywać Legiony zdrowe na umyśle, rzecz jest bardziej skomplikowana. Ultramarines Prymarchy Guillimana nieźle walczą, ale też jest ich cholernie wielu. Głosiciele Słowa, Białe Szramy i Imperialne Pięści również nie mają się czego wstydzić. Ale Wilki Luny? Sigismundzie, naprawdę wierzysz, że w uczciwej walce mielibyście z nami szansę? Ty i reszta twoich pachołków przeciwko najlepszym z najlepszych?

Sigismund roześmiał się.

– Jeśli dzięki temu przekonaniu spokojnie śpisz, Tariku, myśl tak dalej. Na Terrę, cieszymy się, że nigdy nie będziemy mieli okazji sprawdzić twojej teorii w praktyce.

– Brat Sigismund nie powiedział ci jeszcze, Garvielu, że jego Legion ominie cała chwała – powiedział Torgaddon. – Zostali odwołani. Sam Sigismund nie jest tym szczególnie uradowany.

– Tarik nieco mija się z prawdą – parsknął Sigismund. – Na rozkaz Imperatora mamy powrócić na Terrę i pełnić straż w pałacu, przy jego osobie. Wybrał nas na swych Pretorianów. I kto teraz jest szczególnie uradowany, Wilku?

– Ja – powiedział Torgaddon. – Będę zdobywał laury na wojnie, a wy będziecie tyć, gnuśnić i doglądać domowych ognisk.

– Wycofujecie się z Krucjaty? – zapytał Loken. – Słyszałem plotki.

– Imperator chce, byśmy umocnili Pałac Terry i tam strzegli szańców. To jego słowa po tryumfie na Ullanorze. Przez ostatnie dwa lata domykaliśmy nasze sprawy, by móc wypełnić jego rozkazy. A więc tak, wracamy do domu, na Terrę. I tak, reszta Krucjaty odbędzie się bez nas. Myślę jednak, że kiedy już wykonamy swe zadanie i otrzymamy pozwolenie na opuszczenie Terry, przy Krucjacie pozostanie jeszcze wiele do zrobienia. Nie wy ją zakończycie, Wilki Luny. Kiedy Imperialne Pięści dalej będą walczyć, gwiazdy dawno już zapomną wasze miano.

Torgaddon położył zartobliwie dłoń na jelcu miecza łańcuchowego.

– Sigismundzie, naprawdę chcesz, bym spuścił ci lanie za twą bezczelność?

– A zasłużył?

Za ich plecami wyrósł nagle Rogal Dorn.

– Czy Sigismund zasłużył na lanie, kapitanie Torgaddon? Zapewne tak. Odpuść mu jednak w imię braterstwa. Łatwo go posiniaczyć.

Wszyscy roześmieli się po słowach Prymarchy. Na ustach Dorna zagościł cień uśmiechu.

– Pozwól, Lokenie – powiedział i skinął.

Wojownik podążył za olbrzymim Prymarchą w przeciwległy róg komnaty. Słyszał, jak Sigismund i Efried nadal przekomarzają się z kapitanami Kwadry, Horus zaś pogrążony był w rozmowie z Maloghurstem.

– Rozkazano nam powrócić do domu – powiedział Dorn tonem zwykłej rozmowy. Mówił cicho, a głos miał niezwykle łagodny, niczym fale liżące odległą plażę, była w nim jednak też siła i obietnica sztormu. – Imperator poprosił, byśmy umocnili jego siedzibę, a kimże ja jestem, by kwestionować potrzeby Imperatora? Cieszę się jednak, że dostrzega szczególne zalety VII Legionu.

Dorn spojrział na Lokena z góry.

– Nie jesteś nawykły do towarzystwa takich jak ja, prawda, Loken?

– Nie, panie.

– I to mi się w tobie podoba. Ludzie tacy jak Ezekail i Tarik spędzają w towarzystwie waszego wodza tak dużo czasu, że traktują to jak codzienność. Ty jednak rozumiesz, że Prymarchowie różnią się od ludzi, a nawet od Astartes. I nie mam tu na myśli fizycznej siły. Mówię o odpowiedzialności.

– Tak, panie.

Dorn westchnął.

– Nikt nie jest taki jak Imperator, Lokenie. W tym pustym wszechświecie brak bogów, którzy mogliby dotrzymać mu towarzystwa. Dlatego też stworzył nas, półbogów, abyśmy stali u jego boku. Nigdy do końca nie pojąłem własnej istoty. Czy to cię dziwi? Widzę, do czego jestem zdolny i czego się ode mnie oczekuje, i przesywa mnie dreszcz. Sam fakt mojego istnienia czasem mnie przeraża. Czy myślisz, że twój pan, Horus, czuje podobnie?

– Nie sądzę, panie – odparł Loken. – Pewność siebie jest jedną z jego najważniejszych zalet.

– Zgadza się z tobą i cieszy mnie to. Nikt nie byłby lepszym Mistrzem Wojny niż Horus. Ale człowiek, nawet Prymarcha, jest tylko tak dobry, jak stojący za nim doradcy. Szczególnie wtedy, kiedy jest tak pewny siebie. Bliscy mu ludzie muszą bowiem czasem hamować go i sprowadzać na ziemię.

– Mówisz o Kwadrze, panie?

Rogal Dorn pokiwał głową. Spojrzał przez ścianę z pancernego szkła na roziskrzony gwiazdami bezmiar.

– Wiesz, że obserwowałem cię od jakiegoś czasu? Że poparłem twoją kandydaturę?

– Mówiono mi o tym, panie. Jestem zakłopotany, lecz i zaszczycony.

– Mój brat Horus potrzebuje szczerego głosu, głosu rozsądku. Kogoś, kto rozumie skalę i ważność naszego przedsięwzięcia. Kto nie jest zblazowany towarzystwem półbogów. Sigismund służy mi w ten właśnie sposób. Dzięki niemu nie popadam w zakłamanie. Powinieneś podobnie służyć swemu panu.

– Będę się starał... – zaczął Loken.

– Chcieli przyjąć Luca Sedirae lub Iactona Qruze. Wiedziałaś o tym? Rozważali obie kandydatury. Sedirae to żądny krwi morderca, podobnie jak Abaddon. Zgodziłby się na wszystko, mogąc zyskać wojenną sławę. A Qruze... nazywacie go Cichym, prawda?

– Tak, panie.

– Qruze to pochlebca. Zgodziłby się na wszystko, byle nie wypaść z łaski. Kwadra potrzebuje kogoś o niezależnym umyśle.

– Oponenta.

Dorn uśmiechnął się szczerze.

– Właśnie tak, jak za czasów dawnych władców! Oponenta. Twa edukacja dobrze ci służy. Mój brat Horus potrzebuje głosu rozsądku, by powściągnąć swój zapal do działania w

zastępstwie Imperatora. Niektórzy nasi bracia, którym wybór Horusa zaćmił rozum zawiścią, muszą zobaczyć, że nie nadużywa władzy. Dlatego też zaręczyłem za ciebie, Garvielu Lokenie. Przeanalizowałem przebieg twojej służby oraz twój charakter i doszedłem do wniosku, że Kwadra cię potrzebuje. Nie zrozum mnie opacznie, ale jak na Astartes, jesteś bardzo ludzki.

– Obawiam się, panie, że napełniłeś moją głowę komplementami do tego stopnia, że hełm może przestać na nią pasować.

Dorn skinął głową.

– Wybacz mi, jeśli cię zakłopotalem.

– Mówiłeś, panie, o odpowiedzialności. Teraz nagle poczułem jej ciężar.

– Jesteś silny, Lokenie. Jak przystało na Astartes. Wytrzymaj.

– Wytrzymam, panie.

Dorn odwrócił się w stronę Lokena. Ostrożnie oparł na jego ramionach swe olbrzymie dłonie.

– Bądź sobą, to wszystko. Mów, co myślisz, bo masz rzadką okazję, by to czynić. A ja będę mógł wrócić na Terrę uspokojony, że losy Krucjaty znalazły się we właściwych rękach.

– Nie wiem, czy nie pokładasz we mnie zbyt wielkich nadziei, panie – powiedział Loken.

– Właśnie zachowałem się jak Sedirae, dążąc do wojny...

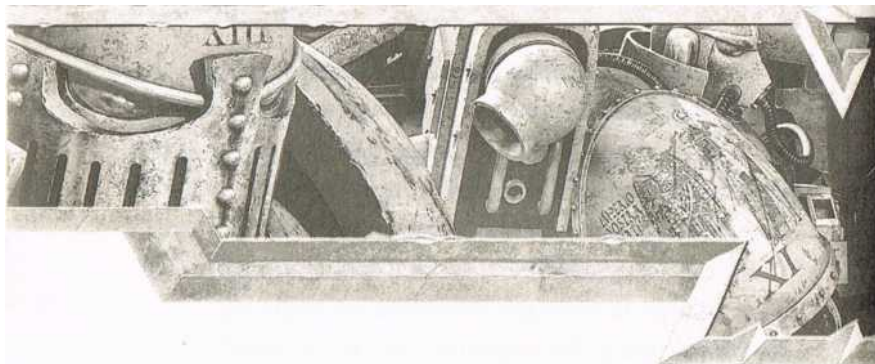
– Słyszałem, co mówiłeś. Przedstawiłeś swe powody. To część twojej nowej roli. Czasem będziesz doradzał, czasem zaś będziesz musiał pozwolić, by Mistrz Wojny cię wykorzystywał.

– Wykorzystywał?

– Rozumiesz chyba, jak Horus posłużył się tobą dziś rano?

– Jak, panie?

– Kwadra ma go wspierać, Lokenie. Horus chce być widziany jako rozjemca i zwolennik pokoju, bo taki jego obraz zjednuje mu popularność w całym Imperium. Dlatego dziś rano chciał, by propozycja wysłania Legionu do walki wyszła od kogoś innego.



SIEDEM

ŚLUBY BITEWNE

KEELER ROBI ZDJĘCIE

TAKTYKA GROZY

– Proszę się nie rozchodzić – mówił iterator. – Proszę trzymać się blisko grupy i bez wyraźnej zgody nie sporządzać żadnych nagrań ani zdjęć, dozwolone są tylko notatki odręczne. Czy to jasne?

Wszyscy przytaknęli.

– Dostaliśmy dziesięć minut i nie możemy ich przekroczyć. To prawdziwy przywilej.

Iterator, błąd trzydziestolatek nazwiskiem Emont, posiadał najpiękniejszy głos, jaki Euphrati Keeler kiedykolwiek słyszała. Udzielił grupie jeszcze jednej rady.

– Proszę pamiętać, że to niebezpieczne miejsce, miejsce wojny i wojowników. Proszę zachować ostrożność i nie zapominać, gdzie się znajdujemy.

Odwrócił się i poprowadził ich długim holem w stronę potężnego wjazdu. Wokół dźwięczały narzędzia elektryczne. Upamiętniacze nigdy wcześniej nie mieli okazji zwiedzać tej części okrętu. Rejony wojskowe objęte były zakazem wstępu dla każdego, kto nie posiadał ważnego zezwolenia, ale nawet z nim wstęp na pokład desantowy był surowo wzbroniony.

Grupa składała się z sześciu osób. Oprócz Keeler był tam jeszcze imagista, mężczyzna nazwiskiem Siman Sark, malarz Francisko Twell, kompozytor symfonii Tolemew Van Krasten oraz dwóch dokumentarzystów, Avrius Carnis i Borodin Flora. Carnis i Flora zajęci byli sprzeczką na temat „podejścia do tematu i kompozycji”.

Wszyscy upamiętniacze mieli na sobie solidne, chroniące przed wpływem pogody stroje. Wszyscy też nieśli torby ze sprzętem. Keeler była niemal pewna, że ich przygotowania okażą się daremne, bo mimo wszystko nie uzyskają pozwolenia na wejście. I tak mieli szczęście, że udało im się dotrzeć aż tutaj.

Przerzuciła pas torby przez ramię, a ulubiony pikter zawiesiła na szyi. Idący na czele grupy Emont zatrzymał się przed dwoma strzegącymi wjazdu Wilkami Luny i pokazał im pisemne zezwolenie.

– Wydane przez adiutanta Mistrza Wojny – usłyszała jego słowa Keeler.

W porównaniu z dwoma pancernymi olbrzymami odziany w beżową szatę Emont wydawał się bardzo kruchy i delikatny. Musiał zadrzeć głowę, by móc spojrzeć na Astartes. Obaj strażnicy przejrżeli papiery, wymienili jakieś uwagi, dające się słyszeć tylko jako trzaski wewnętrznego kanału komunikacyjnego voxu, po czym pozwolili im wejść.

Pokład desantowy był ogromnym pomieszczeniem mającym kształt długiego korytarza, którego środkiem biegły rampy startowe oraz tory platform załadowniczych. Keeler wiedziała, że jest to tylko jeden z sześciu pokładów desantowych okrętu, dlatego jego ogrom robił jeszcze większe wrażenie. Na przeciwległym krańcu, w odległości pół kilometra, przez migotliwą ścianę pola energetycznego widzieli czerń kosmicznej próżni.

Hałas był nieznośny i niósł się echem pod sklepieniem pokładu. Stukotały i powarkiwały narzędzia elektryczne, jęczały motory podnośników, turkotały na torach platformy załadowne. Huczały zamykane pokrywy włazów statków desantowych, a ich silniki reaktywne dudniły i wyły. Wszędzie panował gorączkowy ruch: załogi spieszyły do maszyn, technicy i mechanicy dokonywali ostatecznych kontroli i wprowadzali ostateczne poprawki, a serwitorzy odłączali pompy paliwowe. Długie składy wagonów z amunicją rozwoziły swój ładunek. Powietrze pachniało gorącym metalem, olejem i spalinami.

Na platformach startowych stało sześć stormbirdów. Ciężko opancerzone statki mogły latać w próżni, ale ich aerodynamiczne kształty pozwalały także na działania w atmosferze. Stały w dwóch rzędach, po trzy w każdym, ze skrzydłami w położeniu startowym, jak gotowe do polowania sokoły. Na tle bieli kadłuba widniały dumne godła: symbole Wilków Luny oraz Oko Horusa.

– ...popularnie zwane stormbird – mówił iterator prowadzący grupę. – Dokładnie mówiąc, są to statki wzoru Warhawk VI. Większość Ekspedycji używa mniejszych, zbudowanych wedle

standardowego wzorca konstrukcyjnego Thunderhawk. Kilka egzemplarzy stoi tam, po lewej, pod plandekami. Legion stara się jednak utrzymywać stare, ciężkie maszyny w służbie. Wilki Luny używają ich od początku Wielkiej Krucjaty, być może nawet dłużej. Wyprodukowano je w zakładach Bloku Yndonezyjskiego, a po raz pierwszy użyto w walce z plemionami Panpacyfiku, podczas Wojen o Zjednoczenie. W dzisiejszej operacji weźmie udział dwanaście tych statków. Sześć wystrzelonych zostanie z tego pokładu, a sześć z rufowego pokładu desantowego numer dwa.

Keeler uniosła pikter i zrobiła kilka szybkich zdjęć stojących w rzędzie maszyn. Przyklękła, by uzyskać niskie, majestatyczne ujęcie.

– Powiedziałem: żadnych zdjęć! – warknął Emont, ruszając w jej stronę.

– Nie sądziłam, że mówisz poważnie – odparła gładko Keeler. – Mamy tylko dziesięć minut, a ja jestem imagistką. Miałabym marnować tu czas, nie robiąc zdjęć?

Emont wyglądał na zdenerwowanego. Zamierzał chyba coś powiedzieć, ale dojrzał, że Carnis i Flora oddalają się od grupy, nadal tocząc swoją sprzeczkę.

– Nie rozchodzić się! – krzyknął i pobiegł za nimi, chcąc ich zagonić jak owce do stada.

– Masz jakieś dobre zdjęcia? – zapytał Sark.

– Proszę cię, ja nie robię innych zdjęć! – odparła.

Zaśmiał się i wyjął z plecaka własny pikter.

– Mnie zabrakło odwagi, ale masz rację. Co niby mielibyśmy tutaj robić, jeśli nie możemy wykonywać swojej pracy?

Zrobił kilka zdjęć. Keeler lubiła Sarka. Wiedziała, że przed opuszczeniem Terry wyrobił sobie reputację niezłego imagisty. Wątpiła, by tutaj miał okazję jeszcze ją poprawić. Potrafił komponować świetne portrety, ale zdjęcia reportażowe były jej specjalnością.

Dwaj dokumentarzyści osaczyli Emonta i zasypali go gradem pytań, na które starał się odpowiadać. Keeler zastanawiała się, gdzie podziąła się Mersadie Oliton. Upamiętniacze niemal bili się o miejsca w sześciuosobowej grupie i Keeler, dzięki swej sławie, udało się zarezerwować jedno dla Mersadie. Mówiono, że nie obeszło się też bez wpływu kogoś postawionego wysoko w hierarchii Legionu. Kiedy jednak grupa zebrała się rano, Mersadie nie zjawiała się na czas, a jej miejsce w ostatniej chwili zajął Borodin Flora.

Lekceważąc instrukcje iteratora, Euphrati oddaliła się od grupy w poszukiwaniu lepszych ujęć. Oto emblemat Wilków Luny wymalowany szablonem na klapie hamulca

aerodynamicznego. Dalej dwaj pokryci smarem serwitorzy, usiłujący naprawić uszkodzony przewód. Zmęczeni członkowie obsługi pokładowej, ocierający pot z czoła i z trudem łapiący oddech obok załadowanego właśnie wagonu z amunicją. Lśniący metalicznie wylot lufy działka w zasobniku pod skrzydłem.

– Próbuje pani pozbawić mnie pracy? – zapytał nadchodzący Emont.

– Nie.

– Muszę nalegać, aby trzymała się pani grupy – powiedział. – Wiem, że cieszy się pani łaską dowództwa Legionu, ale istnieją pewne nieprzekraczalne granice. Po tym, co wydarzyło się ostatnio na powierzchni...

– Co to takiego było?

– Kilka dni temu. Nie słyszała pani?

– Nie.

– Jakiś upamiętniacz wymknął się eskorcie i wpakował w kłopoty. Wybuchł skandal, który zirytował ważne osoby. Naczelnny iterator musiał się nieźle nagimnastykować, by nie zawieszono wszystkich działań upamiętniaczy.

– Aż tak źle?

– Nie znam szczegółów. Proszę to dla mnie zrobić i trzymać się grupy.

– Masz bardzo piękny głos – powiedziała Keeler. – Możesz mnie nim prosić o wszystko. Emont zarumienił się.

– Kontynuujmy zwiedzanie.

Kiedy się odwrócił, zrobiła jeszcze jedno zdjęcie. Uchwyciła iteratora w nieporządnej szacie i z pochyloną głową, stojącego na tle zapracowanych załóg i groźnych desantowców.

– Iteratorze! – zawołała. – Czy udzielono nam pozwolenia na uczestnictwo w desancie?

– Nie sędzę – powiedział smutnym głosem. – Przykro mi, ale wiedziałbym o tym.

Nad pokładem poniosł się nagle dźwięk fanfar, a zaraz potem Keeler usłyszała i poczuła dudnienie. Przypominało odgłos wielkiego bębna lub młota uderzającego rytmicznie w kowadło.

– Wszyscy na bok. Natychmiast! Na bok! – zawołał Emont, próbując zebrać grupę pod ścianą.

Dudnienie rozlegało się teraz bliżej i było głośniejsze. Keeler zrozumiała, że to odgłos kroków, pancernych butów uderzających o pokład.

Na pokład desantowy pomiędzy oczekujące stormbirdy weszło trzystu Astartes. Wszyscy byli odziani w pełne pancerze i maszerowali w idealnym rytmie. Na czele kolumny szedł chorąży, dzierżący wysoko sztandar Dziesiątej Kompanii.

Na ich widok Keeler zabrakło tchu w płucach. Było ich tak wielu i byli tak ogromni, tak doskonali. Drżącymi rękami uniosła pikter i zaczęła robić zdjęcia wyruszających do wojny olbrzymów w białych pancerzach, tak identycznych i jednolitych, spokojnych i precyzyjnych jak wojenna maszyna.

Na dany rozkaz Astartes zatrzymali się jednocześnie, z ogłuszającym hukiem uderzających o pokład pancernych butów. Zamarli niczym posągi, między którymi rozeszli się adiutanci, rozdzielając zadania. Kolejne drużyny wykonywały gładki zwrot i kierowały się do wyznaczonych desantowców.

– Złożyli wcześniej śluby bitewne – szeptał cicho Emont.

– Może pan wyjaśnić? – zapytał Van Krasten.

Emont skinął głową.

– Każdy żołnierz Imperium na początku służby przysięga dochować wierności Imperatorowi. Astartes nie są pod tym względem wyjątkiem. Nikt nie wątpi, że dochowają swej przysięgi, ale mimo to przed każdą misją składają dodatkowo śluby bitewne, które nakładają na nich obowiązki związane z nadchodzącym starciem. Ślubują wykonać powierzone im zadania. Sądzę, że można określić to mianem rytualnego odnowienia ślubów złożonych Imperatorowi. Astartes uwielbiają rytuały.

– Nie rozumiem – powiedział Van Krasten. – Złożyli przecież przysięgę...

– Przysięgę wierności i obrony prawdy Imperium i światła Imperatora, tak – powiedział Emont. – Ale, jak sama nazwa wskazuje, śluby bitewne dotyczą pojedynczych bitew i konkretnych czynów.

Van Krasten skinął głową.

– Kto to? – spytał Twell, wskazując palcem oficera, którego płaszcz z wilczego futra wskazywał na rangę kapitana. Przechadzał się on między zdążającymi do statków drużynami Astartes.

– To Loken – wyjaśnił Emont.

Keeler uniosła pikter.

Loken był bez hełmu, a jego jasne, krótko ostrzyżone włosy okalały bladą i piegowatą twarz. Szare oczy wojownika wydawały się olbrzymie. Mersadie mówiła jej o Lokenie. Plotki głosiły, że stał się nie lada osobistością, jednym z czterech wybrańców.

Euphrati uchwyciła na zdjęciu moment, kiedy kapitan zajęty był rozmową z podwładnym, a potem scenę, gdy gestem nakazywał serwitorom odsunięcie się od rampy. Był niezwykle modelem. Nie musiała martwić się kompozycją zdjęć, bo Loken wypełniał swą osobą każde ujęcie.

Nic dziwnego, że zrobił na Mersadie takie wrażenie, pomyślała i raz jeszcze próbowała zrozumieć, dlaczego Oliton przepuściła podobną okazję.

Kiedy już niemal wszyscy jego ludzie znaleźli się na pokładach desantowców, kapitan odwrócił się do chorążego. Z widocznym na twarzy uczuciem przywiązania i oddania dotknął rąbka sztandaru, a Keeler zrobiła kolejne znakomite zdjęcie. Następnie zwrócił się w stronę pięciu opancerzonych postaci, które zbliżyły się ku niemu po opustoszałym nagle pokładzie.

– Niezwykłe – wyszeptał Emont. – Naprawdę niezwykle. Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, jakie macie szczęście, będąc świadkami tego, co się tu za chwilę wydarzy.

– A co się wydarzy? – zapytał Sark.

– Kapitan składa śluby bitewne jako ostatni. Wysłuchają ich i poświadczą dwaj inni kapitanowie, ale wraz z nimi zjawili się też pozostali członkowie Kwadry.

– To jest Kwadra? – zapytała Keeler, nie przestając robić zdjęć.

– To Pierwszy Kapitan Abaddon, kapitan Torgaddon i kapitan Aksymand. Są też z nimi kapitanowie Sedirae i Targost – szeptał Emont, bojąc się podnieść głos.

– Który z nich to Abaddon? – zapytała Keeler, nie odrywając oka od obiektywu.



Loken klęknął na jedno kolano.

– Nie musieliście... – zaczął.

– Chcieliśmy zrobić to jak należy – przerwał mu Torgaddon. – Luc?

Luc Sedirae, kapitan Trzynastej Kompanii, wyjął pasek pergaminu, na którym zapisano słowa ślubowania.

– Przybyłem, by cię wysłuchać – powiedział.

– A ja, by zaświadczyć – odezwał się Targost.

– A my będziemy cię rozśmieszać – dodał Torgaddon. Abaddon i Mały Horus zaśmiali się cicho.

Ani Targost, ani Sedirae nie byli Synami Horusa. Targost, kapitan Siódmej Kompanii, był człowiekiem o surowych rysach, a na jego czole widniała głęboka blizna. Luc Sedirae, bohater wielu wojen, miał wygląd uśmiechniętego i przystojnego awanturnika o jasnych włosach i błękitnych oczach. W uśmiechu pokazywał zęby, jakby w każdej chwili gotów był ugryźć. Sedirae uniósł pasek pergaminu.

– Garvielu Lokenie, czy bierzesz na siebie obowiązki dowódcy? Czy ślubujesz prowadzić swych ludzi do walki i zwycięskiej chwały bez względu na zaciekłość i kunszt wroga? Czy ślubujesz zgnieść buntowników na planecie Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście bez względu na to, jak silny opór będą stawiać? Czy ślubujesz przynieść chwałę XVI Legionowi oraz Imperatorowi?

Loken położył obie dłonie na trzymanym przez Targosta bolterze.

– Ślubuję na tę broń.

Sedirae skinął głową i podał Lokenowi pergamin ze słowami ślubowania.

– Zabijaj za żywych, bracie – powiedział. – Zabijaj za zmarłych. – Odwrócił się i odszedł.

Targost przypiął bolter do biodra, uczynił znak Orła i podążył za nim.

Loken wstał i przymocował pasek pergaminu do krawędzi prawego naramiennika.

– Spraw się dobrze, Garvielu – rzekł Abaddon.

– Cieszę się, że mi o tym przypomniałeś – powiedział Loken z kamienną twarzą. – Zamierzałem właśnie zawalić sprawę.

Abaddon zawahał się, zbity z tropu. Torgaddon i Aksymand roześmieli się.

– Widzisz, Ezekail? Już nie tak łatwo go podejść – zadrwił Aksymand.

– Sam się zresztą prosiłeś – dodał Torgaddon.

– Wiem, wiem – warknął Abaddon, a potem spojrzał na Lokena. – Nie zawieź wodza.

– Nigdy – odparł Loken i ruszył w stronę czekającego stormbirda.



– Nasz czas dobiegł końca – odezwał się Emont.

Keeler nie dbała o to, bo ostatnie zdjęcie, jakie udało się jej zrobić, było wprost wyjątkowe. Przedstawiało kapitanów Kwadry wraz z Sedirae i Targostem, stojących w skupieniu nad klęczącym Lokenem.

Emont wyprowadził upamiętniaczy z pokładu desantowego i powiódł ich w stronę znajdującego się nad lukiem pomostu obserwacyjnego, skąd mogli oglądać startujące stormbirdy. Słyszeli wprawiający pokład w wibrację, narastający ryk silników poddawanych ostatniej kontroli przed startem. Kiedy szli długim korytarzem w stronę pomostu, kolejno zamykały się za nimi ciężkie włązy, odcinając stopniowo ów dźwięk.

Pomost obserwacyjny miał kształt długiej komory, w której jedną ścianę wyłożono pancernym szkłem. Wewnętrzne oświetlenie przyciemniono, by mogli lepiej widzieć statki desantowe startujące w mroku próżni.

Widok był wspaniały. Stali tuż nad ogromnymi wrotami luku startowego, wokół którego migały lampy ostrzegawcze. Nad nimi wznosił się ogrom kadłuba okrętu, przypominającego wieże i zabudowania gotyckiego miasta. Dalej rozciągała się czarna pustka kosmosu.

Obserwowali śmigające wokół małe statki naprawcze i towarowe, odbywające rutynowe loty na powierzchnię planety lub na inne okręty floty. Z pomostu obserwacyjnego widzieli pięć statków, które niczym olbrzymie potwory o smukłych cielskach wisały na orbicie w odległości kilku kilometrów od nich. Można je było dojrzeć tylko dzięki światłu odległego słońca układu, opromieniającego sylwetki okrętów złotym blaskiem.

Daleko pod nimi znajdowała się Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście. Obecnie byli nad ciemną stroną planety, ale linia terminatora pełzła powoli po jej powierzchni, przynosząc szarawy świt. Keeler widziała niewyraźny blask światełek uspiionych miast.

Widok zapierał dech w piersi, ale wiedziała, że nie ma sensu go uwieczniać. Grube, hartowane szkło, odległość i słabe oświetlenie zepsułyby każde ujęcie.

Usiadła z dala od pozostałych i na wyświetlaczu piktera zaczęła przeglądać zrobione wcześniej zdjęcia.

– Czy mogę? – zapytał ktoś.

Spojrzała w górę, wyteżyła wzrok i dopiero po chwili rozpoznała w mroku twarz Sindermana, naczelnego iteratora.

– Oczywiście – powiedziała.

Wstała i skierowała wyświetlacz w jego stronę, kciukiem przewijając utrwalone klatki. Sindermann patrzył uważnie, wyciągając szyję, by lepiej widzieć zdjęcia.

– Ma pani niezwykle oko, panno Keeler. O, to ujęcie jest szczególnie udane! Załoga uwieczniona przy swej ciężkiej pracy. Przemawia do mnie szczerą tego obrazu. Tak wiele zdjęć z działań Ekspedycji jest pozowanych i nienaturalnych.

– Lubię uwieczniać ludzi, którzy nie zdają sobie sprawy z mojej obecności.

– To zdjęcie jest po prostu wspaniałe. Uchwyciła pani Garviela takim, jaki jest.

– Zna go pan osobiście?

– Dlaczego pani pyta?

– Nazwał go pan imieniem, nie wymieniając tytułu ani rangi.

Sindermann uśmiechnął się.

– Mogę chyba powiedzieć, że kapitan Loken jest moim przyjacielem. W każdym razie mam taką nadzieję. Z Astartes nigdy nic do końca nie wiadomo. Ich relacje z nami, śmiertelnikami, mają przedziwny charakter. Ale my dwaj spędzamy razem dużo czasu i często rozmawiamy.

– Jest pan jego mentorem?

– Raczej nauczycielem, a to jest różnica. Dysponuję wiedzą, której on nie posiada, pomagam mu więc się uczyć. Nie oznacza to jednak, że mam na niego jakiś wpływ. Och, panno Keeler! To ujęcie jest wspaniałe! Najlepsze, jakie dotąd widziałem.

– Też tak uważam. Jestem z niego bardzo zadowolona.

– To, w jaki sposób stoją, jak pokornie klęczy wśród nich Garviel... I jak pięknie uchwyciła ich pani na tle sztandaru Kompanii!

– To akurat przypadek – przyznała się Keeler. – Sami wybrali to miejsce.

Sindermann delikatnie nakrył jej dłonie swoimi. Wydawał się autentycznie wdzięczny za umożliwienie mu obejrzenia zdjęć.

– To ujęcie stanie się sławne, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Będzie się je drukować w podręcznikach do historii tak długo, jak długo trwać będzie Imperium.

– To tylko zdjęcie – zaprotestowała słabo.

– Nie, to świadectwo. Doskonały przykład tego, do czego zdolni są upamiętniacze. Miałem okazję przeglądać rezultaty dotychczasowej pracy wielu pani kolegów, które zostały włączone do archiwalnych zasobów Ekspedycji. Część jest... dość miernej jakości i stanowi dowód dla osób, które twierdzą, że upamiętniacze marnują czas, fundusze i przestrzeń na okrętach. Część jest jednak nadzwyczajna i pani zdjęcia do niej właśnie należą.

– Jest pan bardzo uprzejmy.

– Tylko szczerzy, panno Keeler. Wierzę, że jeśli ludzkość nie zadba o właściwe udokumentowanie swych osiągnięć, to nasza misja zakończy się tylko połowicznym sukcesem. A skoro już przy szczerości jesteśmy, proszę pozwolić za mną.

Zaprowadził ją do zebranej przy panelu obserwacyjnym grupy. Dołączyła do nich jeszcze jedna osoba, pogrążona teraz w rozmowie z Van Krastenem. Był to adiutant Mistrza Wojny, Maloghurst. Kiedy się zbliżyli, odwrócił się w ich stronę.

– Kyril, chcesz im sam powiedzieć?

– To był pański pomysł, adiutancie. Przyjemność oznajmienia go powinna zatem również należeć do pana.

Maloghurst skinął głową.

– Po rozmowach z dowództwem Ekspedycji udało mi się wynegocjować dla sześciu wybranych upamiętniaczy zgodę na towarzyszenie siłom szturmowym oraz na obserwację ich działań na powierzchni planety. Polećcie jednym z lądowników pomocniczych.

Zgromadzeni chórem wyrazili swój zachwyt.

– Dyskusje na temat zezwolenia upamiętniaczom na dostęp do pola walki były długie i zażarte – dodał Sindermann. – Szczególnie ważnym ich elementem była kwestia zapewnienia cywilom bezpieczeństwa w strefie wojny. Powiem szczerze, że istnieją również pewne obawy dotyczące tego, co przyjdzie wam zaobserwować. Astartes toczą wojnę w sposób często szokujący i wielu uważa, że obrazów takich nie należy rozpowszechniać publicznie, by nie tworzyć negatywnego obrazu Krucjaty.

– Obaj jesteśmy przeciwnego zdania – powiedział Maloghurst. – Prawda, nawet szokująca i szpetna, nie może być złem. Wszyscy powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, jak przebiega nasza misja i jaki jest jej cel. I tu zaczyna się wasze zadanie. Dojrzała kultura musi być oparta na szczerości. Ponadto odwaga Astartes powinna być należycie uczczona, ale nie możemy tego zrobić, jeśli nikt nie jest jej świadkiem. Wierzę w moc pozytywnej propagandy, do czego przekonały mnie w znacznym stopniu zdjęcia wykonywane do tej pory przez obecną tu pannę Keeler. Obrazy i relacje o zwycięstwach oraz cierpieniach sił Imperium mają w sobie moc zjednywania ludzkich serc. Potrafią spajać nasze społeczeństwo i napełniać je dumą z naszych osiągnięć.

– Korzystny jest też fakt, że operacja zakrojona jest na niewielką skalę – włączył się Sindermann. – Astartes rzadko powierza się zadanie zaprowadzania porządku. Działania powinny zająć ledwie dzień lub dwa, a ryzyko poniesienia strat jest bardzo niewielkie. Chcę jednak podkreślić, że pewne niebezpieczeństwo nadal istnieje. Musicie przez cały czas okazywać posłuszeństwo wobec eskorty i nie oddalać się bez zezwolenia. Będę wam towarzyszył na osobiste polecenie Mistrza Wojny. Słuchajcie moich poleceń i wykonujcie je bezzwłocznie.

Nadal będziemy więc podlegali obserwacji i kontroli, pomyślała Keeler. Pokażą nam tylko to, co uznają za stosowne. Ale to mimo wszystko wspaniała szansa!

Nie mogła uwierzyć, że Mersadie z niej nie skorzysta.

– Patrzcie! – krzyknął Borodin Flora.

Wszyscy obrócili się w stronę szyby.

Stormbirds opuszczały luk startowy. Wystrzelone z wnętrza okrętu i oświetlone promieniami słońca przypominały ogromne stalowe strzały. W majestatycznym szyku obróciły się wśród mroku próżni i spadły w stronę planety, pędzone błękitnymi płomieniami odrzutu silników.



Loken szedł centralnym przejściem desantowca lecącego na czele szyku, trzymał się nisko umieszczonych poręczy. Wilki Luny, z bronią zabezpieczoną w uchwytach transportowych, siedziały unieruchomione pasami w fotelach. Z zasłon ich hełmów nie dało się wyczytać żadnych emocji. Statek trząsał i szarpał, wchodząc ostrym torem w górne warstwy atmosfery.

Loken dotarł do kokpitu i szarpnął za uchwyt włazu. Wewnątrz siedziało dwóch operatorów zwróconych plecami do siebie i twarzami do rzędów monitorów na ścianach. Za nimi leżało w swych kolebkach dwóch serwitorów, na stałe podłączonych do sterów maszyny. W kokpicie panował mrok, rozjaśniany tylko światłem ekranów i lekkim blaskiem wpadającym przez przednie iluminatory.

– Kapitanie? – odezwał się jeden z operatorów.

– Co się dzieje z siecią voxu? – zapytał Loken. – Otrzymałem meldunki na temat zakłóceń łączności.

– My też to zauważyliśmy – powiedział operator, manipulując przyrządami. – Inne statki mają ten sam problem. Naszym zdaniem to zakłócenia atmosferyczne.

– Które zagłuszają nasz vox?

– Tak, kapitanie. Nasłuch okrętu flagowego niczego podobnego nie zanotował. Przypuszczamy, że to echo akustyczne odbite od powierzchni planety.

– Odbiór stale się pogarsza – stwierdził Loken. Raz jeszcze spróbował wyregulować komunikator w hełmie. Szum zakłóceń był nadal słyszalny, teraz jednak zaczęły się w nim pojawiać dźwięki przypominające stłumione słowa.

– Czy to jakiś język? – zapytał.

Operator pokręcił głową.

– Nie wiemy. Przyrządy reagują jak na zwykłe zakłócenia. Być może odbieramy transmisje radiowe z jednego z miast na południowej półkuli. Może to też być częstotliwość armii.

– Potrzebujemy czystego kanału voxu – powiedział Loken. – Zróbcie coś.

Operator wzruszył ramionami i dotknął kilku pokręteł.

– Mogę spróbować przefiltrować sygnał przez buforę łączności. Może to oczyści kanał...

W uszach Lokena rozległ się wściekły szum zakłóceń, a potem zapadła cisza.

– Teraz lepiej – stwierdził. Wtedy usłyszał głos, wcześniej zagłuszany przez szum. Był odległy, niemożliwie cichy, ale wypowiadał słowa.

– ...innego imienia nie poznasz...

– Co to było? – zapytał Loken. Wysiłił słuch, ale głos był ledwie rozpoznawalny, przypominał szelest jedwabiu.

Operator łączności przekrzywił głowę, usiłując dosłyszeć coś w słuchawkach. Znów dotknął kilku pokręteł, zaledwie o włos zmieniając ich położenie.

– Być może uda mi się... – zaczął. Kolejny raz dotknął przyrządów i nagle słowa stały się wyraźne. – Co to jest, na Terrę...?

Loken wsłuchał się w dźwięk brzmiący jak powiew suchego, pustynnego wiatru.

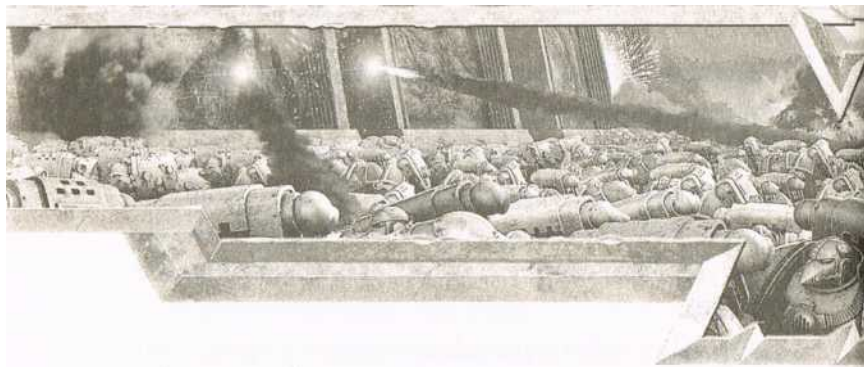
– Samus. Innego imienia nie poznasz. Samus jest śmiercią i końcem. Samus. Jam jest Samus. Samus jest wszędzie. Samus to człowiek, który stoi za tobą. Samus ogryzie twe kości. Strzeż się! Samus jest blisko!

Głos ucichł. Kanał voxu wypełniła martwa cisza, przerywana jedynie trzaskami zakłóceń.

Operator bez słowa zdjął słuchawki i spojrzał na Lokena. Na twarzy technika, w rozszerzonych oczach był strach. Kapitan cofnął się nieco, zaskoczony uczuciem, którego nie znał, a które wywołało w nim odrazę.

– N-nie wiem, co to było – odezwał się operator.

– Ja wiem – powiedział Loken. – Wróg stosuje taktykę grozy.



OSIEM

JEDNOSTRONNA WOJNA

SINDERMANN NA PIASKU I TRAWIE

JUBAL

Po śmierci „Imperatora” i upadku wiekowego, scentralizowanego rządu powstańcy znaleźli schronienie wśród gór na południowej półkuli. Zajęli pasmo wzniesień zwanych w lokalnym dialekcie Szeptunami. Powietrze było na tej wysokości rozrzedzone i ubogie w tlen, a promienie wschodzącego słońca odbijały się w ścianach ponurych, zamglonych szczytów, nadając im wygląd iglic z zielonego lodu.

Stormbirdy spadły na łańcuch górski z granatowego bezmiaru nieba, ciągnąc za sobą złote smugi płomieni z osłon termicznych. Zamieszkujący prymitywne górskie wioski ludzie wyrastali w atmosferze przesądów i mitów, dlatego też uznali ogniste znaki na niebie za omen. Wielu poddało się rozpacz, wielu poszukało schronienia w świątyniach.

Wierzenia religijne Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście, silne nawet w stolicy i większych miastach planety, były wśród górskich osiedli zakorzenione jeszcze głębiej. Bieda ledwo pozwalała ludziom przeżyć, a brak wykształcenia i ciemnota tylko wzmacniały ślepą wiarę. Armia Imperialna napotkała trudności przy wykorzenianiu owego prymitywnego fanatyzmu już na początku okupacji. Kiedy niebo przecięły ogniste smugi, niepokój mieszkańców wsi zaczął wymykać się spod kontroli.

Z rykiem silników stormbirdy wylądowały na płaskowyżu białych skał wulkanicznych, pięć tysięcy metrów poniżej najwyższych szczytów, na których leżała twierdza buntowników.

Lądowaniu towarzyszyły chmury sproszkowanego pumeksu, uniesione podmuchem dysz hamujących.

Niebo miało kolor bieli, podobnie jak ośnieżone szczyty i wiszące nad łańcuchem górskim miękkie, białe obłoki. Za płaskowyżem rozciągały się urwiska, przepaście i zasnuwane pylistą mgłą lodowe kaniony, dalej zaś widać było lśniące w świetle poranka szczyty niższych gór. Astartes Dziesiątej Kompanii opuścili przedziały desantowe statków i wyszli w mroźne, rozrzedzone powietrze. Zajęli płaskowyż szybko i sprawnie i Loken nie miał żadnych zastrzeżeń dotyczących ich wojennej dyscypliny.

Na kanałach komunikacyjnych voxu nadal co jakiś czas odzywał się Samus. Jego głos brzmiał niczym szept wśród górskiego wichru.

Zaraz po opuszczeniu statków Loken wezwał dowódców drużyn. Stanęli przed nim Vipus z Locasty, Jubal z Hellebore, Rassek, dowódca Terminatorów, Talonus z Pithraes, Kairus z Walkure i ośmiu innych.

Wszyscy zebrali się wokół, ustępując pierwszeństwa zasłużonemu Xawyerowi Jubalowi.

Loken nigdy nie miał trudności z odczytywaniem nastrojów podwładnych. Od razu wiedział, że Jubal źle przyjął awans Vipusa. Loken poszedł bowiem za radą Kwadry i podążył za głosem serca, mianując Nerona Vipusa swym zastępcą. Miał on dowodzić Dziesiątą Kompanią, kiedy obowiązki Kwadry wymagały obecności Lokena. Vipus cieszył się popularnością wśród swych współpracowników, ale Jubal jako sierżant pierwszej drużyny poczuł się urażony decyzją Lokena. Nie istniała żadna reguła mówiąca, że sierżant pierwszej drużyny Kompanii jest automatycznie zastępcą kapitana. Numery drużyn były tylko oznaczeniami. Ale wiązała się z nimi tradycja. Jubal czuł się znieważony. Kilukrotnie mówił o tym Lokenowi.

Loken wspomniawszy słowa Małego Horusa: „Jeśli ufasz Vipusowi, uczyn go swym zastępcą. Nie decyduj się na kompromisy. Jubal jest dorosły, jakoś to przeżyje”.

– Nie traćmy czasu – Loken zwrócił się do swych podoficerów. – Terminatorzy prowadzą. Rassek?

– Moja drużyna jest gotowa, kapitanie – odparł lakonicznie zagadnięty. Jak wszyscy ludzie z jego drużyny specjalnej, Rassek nosił potężny pancerz Terminatora, dopiero niedawno wprowadzony do uzbrojenia Astartes. Dzięki swojej pozycji oraz godności Mistrza Wojny, jaką nosił ich Prymarcha, Wilki Luny stały się jednym z pierwszych Legionów, który otrzymał nowe pancerze. Niektóre Legiony nadal ich nie posiadały.

Pancerz Terminatora stworzono do frontalnego szturmu, wyposażając go w dodatkowe warstwy ochronnego ceramitu, co jednocześnie znacznie powiększało rozmiary użytkownika. Noszący go Astartes stawał się powolnym i niezdarnym, lecz niemożliwym do zatrzymania czołgiem na dwóch nogach. Poświęcał całą swą szybkość, zręczność i swobodę ruchów, w zamian otrzymując odporność na najsilniejszy nawet ostrzał.

Rassek górował nad zebranych niczym Prymarcha nad Astartes lub Astartes nad śmiertelnikami. W osłony ramion i rękawice jego pancerza wbudowano ciężkie uzbrojenie.

– Otworzycie i oczyścicie nam drogę przez mosty – powiedział Loken i urwał. Nadszedł moment, by zastosować szczyptę dyplomacji. – Jubal, Hellebore będzie towarzyszyć Terminatorom w pierwszej fali ataku.

Jubal skinął głową, wyraźnie zadowolony z rozkazu. Grymas niezadowolenia, jaki od wielu tygodni nie schodził z jego twarzy, zniknął.

Żaden z zebranych nie nosił hełmu, mimo że człowiek tak wysoko nie mógłby oddychać ubogim w tlen powietrzem. Ulepszone płuca Astartes pracowały jednak bez wysiłku. Loken dojrzał uśmiech na twarzy Nerona Vipusa i wiedział, że ten domyśla się znaczenia jego rozkazu. Loken pozwalał Jubalowi zdobyć nieco chwały, by nie czuł się pominięty i odstawiony na boczny tor.

– Do dzieła. Luperkal! – zakrzyknął Loken.

– Luperkal! – odpowiedzieli podoficerowie i rozeszli się do drużyn, zakładając hełmy.

Kolejne oddziały Kompanii rozpoczęły marsz w stronę naturalnych grobli i mostów skalnych łączących płaskowyż z wysokimi szczytami.

Z położonego poniżej płaskowyżu miasteczka Kasherri dotarli tymczasem żołnierze pułków Armii Imperialnej, dla ochrony przed chłodem i rozrzedzonym powietrzem odziani w ciężkie płaszcze i wyposażeni w aparaty tlenowe.

– Kasherri wcielone, panie kapitanie – zameldował Lokenowi ich dowódca. Jego głos rwał się i dochodził zza maski aparatu tlenowego wraz z ciężkim oddechem. – Wróg wycofał się do górskiej fortecy.

Loken skinął głową, wpatrując się w strome, zalane białym światłem turnie.

– Zajmiemy się nimi – powiedział.

– Są dobrze uzbrojeni, panie kapitanie – ostrzegł oficer. – Próbowaliśmy zdobyć skalne mosty, ale za każdym razem odpychali nas nawałą ognia artyleryjskiego. Nie sądzę, by było ich

tam wielu, ale mają przewagę wysokości. Podejście do fortecy trzymają w krzyżowym ogniu i urządzają tam jatki. Mamy podstawy przypuszczać, że dowodzi nimi jeden z Niewidzialnych, jakiś Rykus albo Ryker. My...

– Zajmiemy się nimi – powtórzył Loken. – Nie muszę znać imienia wroga, którego zabiję. Odwrócił się.

– Jubal. Vipus. Formować szyk i naprzód.

– Tak po prostu? – spytał cierpko oficer. – Od sześciu tygodni tu tkwimy, wykrwawiając się powoli, ponosząc niewyobrażalne straty, a wy...

– My jesteśmy Astartes – przerwał mu Loken. – Możecie odejść.

Oficer pokręcił głową i zaśmiał się smutno, a potem mruknął coś pod nosem.

Loken odwrócił się gwałtownie i postąpił krok w jego kierunku. Żołnierz cofnął się niespokojnie. Nikt nie lubił, by spoglądały na niego pozbawione emocji soczewki hełmu Wilka Luny.

– Co powiedziałeś? – zapytał Loken.

– Ja... nic, panie kapitanie.

– Co powiedziałeś?

– Powiedziałem: „To miejsce jest nawiedzone”.

– Jeśli wierzysz, że to miejsce jest nawiedzone, przyjacielu, przyznajesz się tym samym do wiary w duchy i demony.

– Nie, panie! Nic podobnego!

– Mam nadzieję – powiedział Loken. – Nie jesteśmy jakimiś barbarzyńcami.

– Chciałem tylko powiedzieć, że w tych górach jest coś dziwnego – powiedział żołnierz, z trudem łapiąc oddech. Jego twarz pod maską aparatu tlenowego poczerwieniała i spotniała. – Miejscowi nazywają je Szeptunami. Rozmawiałem z kilkoma z nich w Kasherri. To stara nazwa, panie kapitanie. Bardzo stara. Miejscowi wierzą, że niektórzy słyszą tu głosy i wołania, kiedy wokół nie ma żywej duszy. To stara legenda.

– Przesady. Wiemy, że mają tu liczne świątynie i religię, że tkwią w ciemności i zabobonach. Dlatego przynosimy im oświecenie i wyprowadzamy z mroków ignorancji.

– Więc czym są te głosy?

– To znaczy?

– Wszyscy je słyszeliśmy. Sam je słyszałem. Odezwały się, kiedy tylko wkroczyliśmy w te góry. Szepty w nocy, a kiedy człowiek jest sam, to nawet i w biały dzień. Szepty na kanałach voxu. Samus do nas mówi.

Loken zmierzył oficera spojrzeniem. Przytwierdzony do jego naramiennika pergamin ślubów bitewnych trzepotał na wietrze.

– Kim jest Samus?

– Niech mnie kule biją, nie wiem, kapitanie. – Żołnierz wzruszył ramionami. – Wiem jednak na pewno, że w ciągu ostatnich paru dni na kanałach voxu słychać głosy. Wszystkie powtarzają to samo. Grożą.

– Chcą nas przestraszyć – stwierdził Loken.

– Cóż, chyba im się udało.



Loken szedł pomiędzy smaganymi wichrem stormbirdami. Samus znów mamrotał swe groźby suchym jak martwy liść głosem.

– Samus. Innego imienia nie poznasz. Jam jest Samus. Samus jest wszędzie. Samus to człowiek, który stoi za tobą. Samus ogryzie twe kości.

Kapitan musiał przed sobą przyznać, że propaganda wroga była skuteczna. Tajemnicze szepty niepokoiły i pewnie w przeszłości odstraszały najeźdźców z innych stron Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście. Zapewne „Imperator” osiągnął władzę nad całą planetą właśnie dzięki złowróbnym szeptom i niewidzialnym wojownikom.

Jednak Astartes prawdziwego Imperatora nie dadzą się nabrać na tak prymitywne sztuczki.

Kilku Wilków Luny, do których podszedł, stało w bezruchu, wsłuchując się w mamrotanie.

– Nie zwracajcie na to uwagi – powiedział im Loken. – To tylko sztuczki. Ruszajmy.

Powolni Terminatorzy Rasseka zbliżyli się do skalnych mostów, łukowatych formacji granitu i zaschniętej lawy, które łączyły płaskowyż i niebotyczne szczyty gór. Były naturalnym tworem pozostawionym przez dawno stopniałe lodowce.

Płaskowyż i mosty skalne znały zwłoki, zmumifikowane przez górskie powietrze. Oficer nie kłamał. Setki żołnierzy oddały życie, próbując zdobyć szturmem górską fortecę. Ostrzał był tak silny, że ich towarzysze nie byli w stanie nawet zabrać ciał poległych.

– Naprzód! – rozkazał Loken.

Terminatorzy unieśli boltery szturmowe i ruszyli

w stronę mostów, roztrzając i miażdżąc kości oraz przegniłe tuniki olbrzymimi pancernymi butami. Natychmiast powitał ich ogień z niewidocznych wśród turni kryjówek. Pociski z jękiem odbijały się rykoszetem od specjalnie wzmocnionych pancerzy. Terminatorzy weszli prosto w zmasowany ostrzał, poświęcając mu tyle samo uwagi, co człowiek idący pod wiatr. Zapora ogniowa, która na długie tygodnie zatrzymała napór armii i kosztowała tyle ofiar, nie zmusiła wojowników Legionu nawet do zwolnienia kroku.

Loken z żalem zdał sobie sprawę, że krew wiernych żołnierzy Imperium rozlano niepotrzebnie. Szturm od początku należało powierzyć Astartes.

W połowie mostu pierwsze szeregi drużyny Terminatorów otworzyły ogień. Boltery i uzbrojenie wbudowane w pancerze wojowników zasypały skały nawałą pocisków wybuchowych i wiązkami laserów. Ukryte dotąd pozycje ogniowe wroga eksplodowały i wypadły z nich połamane, splątane szczątki ludzkie. Runęły w ziejącą niżej przepaść wraz deszczem kamieni i lodu.

Samus znów się odezwał:

– Samus. Innego imienia nie poznasz. Samus. Samus jest końcem i śmiercią. Samus. Jam jest Samus. Samus jest wszędzie. Samus to człowiek, który stoi za tobą. Samus ogryzie twe kości. Strzeż się! Samus jest blisko!

– Naprzód! – krzyczał Loken. – I niech ktoś uciszy tego bękarta!



– Kim jest Samus? – zapytał Borodin Flora.

Upamiętniacze wraz eskortą złożoną z żołnierzy armii i serwitorów opuścili lądowisk w miasteczku Kasher. Powitał ich lodowaty mróz. Przed nimi wznosiły się zamglone szczyty.

Okolica została zabezpieczona przez żołnierzy Varvarusa i towarzyszące im maszyny bojowe. Upamiętniacze czuli zawroty głowy i z trudem łapali oddech. Keeler zajęta była kalibrowaniem przesłony piktera, by zrównoważyć wszechobecną jasność górskiego poranka. Jednocześnie starała się uspokoić oddech. Czowała irytację. Wylądowali w bezpiecznej strefie, daleko od terenu operacji Astartes. Wokół nie było nic wartego zobaczenia. Prowadzono ich jak na smyczy.

Miasteczko było posępnym skupiskiem długich drewnianych domów, położonych w wąwozie u stóp wierchów. Wyglądało tak, jakby od stuleci nic się tu nie zmieniło. Jedynymi obiektami wartymi zdjąć były wiejskie chaty lub nieruchome pojazdy bojowe. Tylko jasne światło miało w sobie niezwykłą czystość. Padała lekka mżawka. Część serwitorów obciążono bagażem upamiętniaczy, reszta zaś walczyła z wiatrem, starając się utrzymać nad ich głowami otwarte parasole. Keeler zdała sobie sprawę, że muszą przypominać grupę znudzonych arystokratów, chcących zaznać smaku ryzyka, ale raczej na odległość.

– Gdzie są Astartes? – zapytała. – Kiedy zobaczymy strefę wojny?

– Mniejsza o to – przerwał jej Flora. – Kim jest Samus?

– Samus? – zapytał ze zdziwieniem Sindermann. Oddalił się nieco od grupy, by z punktu obserwacyjnego nad przepaścią – piaszczystego i zarośniętego dziwną białą trawą – podziwiać zamgloną gardziel wąwozu. Wydawał się przytłoczony, jakby miał przemawiać do wypełniającej cały wąwóz publiczności.

– Ciągle słyszę to imię – wyjaśnił Flora i podszedł do niego. Oddychał z trudem. W jedno ucho wetkniętą miał słuchawkę, z której nasłuchiwał transmisji wojskowej sieci voxu.

– Ja też je słyszałem – jeden z żołnierzy eskorty odezwał się zza zaszelej parą maski aparatu tlenowego.

– To tylko zakłócenia voxu – powiedział drugi.

– Słysząc je było jeszcze przed lądowaniem – skwitował dowódca eskorty. – Nie zwracajcie uwagi.

– Słyszałem, że słysząc to tutaj od wielu dni – powiedział Van Krasten.

– To nic ważnego – uciął Sindermann. Był bardzo blady i wyglądał tak, jakby w każdej chwili miał zemdleć z niedotlenienia.

– Kapitan mówił, że to taktyka grozy – wtrącił pierwszy z żołnierzy.

– Kapitan miał zapewne rację – zgodził się Sindermann. Wyjął czytnik danych i połączył się z archiwum floty. Po chwili na nos i usta założył maskę aparatu tlenowego, po czym chciwie wciągnął haust ze zbiornika na biodrze.

Po kilku chwilach przeglądania archiwum odezwał się:

– Ciekawe.

– Co takiego? – zapytała Keeler.

– Nie, nic szczególnego. Kapitan miał rację. Proszę, rozproście się nieco i rozejrzyjcie po okolicy. Żołnierze chętnie odpowiedzą na wasze pytania. Nie zapomnijcie obejrzeć maszyn bojowych.

Upamiętniacze spojrzeli po sobie i zaczęli się rozchodzić. Każdemu z nich towarzyszył posłuszny serwitor z parasolem i dwóch ponurych, zmokniętych żołnierzy.

– Równie dobrze mogliśmy wcale nie opuszczać okrętu – stwierdziła Keeler.

– Góry są jednak wspaniałe – zauważył Sark.

– Gdzieś mam góry, góry są na każdej planecie. Posłuchaj.

Posłuchali oboje. Wąwozem toczył się grzmiący huk: odgłos rozgrywającej się niedaleko walki. Keeler skinęła głową w kierunku, z którego dochodził dźwięk.

– Tam właśnie powinniśmy być. Zapytam iteratora, po co tu tkwimy.

– Powodzenia – rzucił za nią Sark.

Sindermann oddalił się od grupy i stał teraz pod okapem dachu jednej z chat. Nadal śledził jakiś tekst na ekranie czytnika. Górski wiatr kołysał żdźbłami trawy wyrastającej z łąchy piasku. Deszcz bębnił po dachach domostw.

Keeler podeszła do Sindermanna. Dwaj żołnierze i serwitor z parasolem ruszyli za nią. Odwróciła się.

– Darujcie sobie – powiedziała. Zatrzymali się i pozwolili jej odejść.

Zanim dotarła do miejsca, w którym stał iterator, sama musiała zaczerpnąć tlenu z własnego zbiornika. Sindermann wydawał się całkowicie pochłonięty tekstem na ekranie. Zaciekawiona postanowiła na razie odłożyć swe skargi.

– Coś nie gra, prawda? – zapytała cicho.

– Nie, nie, wszystko w porządku.

– Już pan wie, czym jest Samus, mam rację?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Rzeczywiście. Uparta jesteś, Euphrati.

– Od urodzenia. Czego się pan dowiedział?

Sindermann wzruszył ramionami.

– To głupie – powiedział, pokazując jej czytnik. – Imię Samusa oraz nazwa Szeptunów pojawia się w zapisach historycznych tej planety. Wygląda na to, że dla mieszkańców Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście te góry to miejsce święte. I nawiedzone. Rzekoma bariera

między światem realnym i duchowym ma być tu najcieńsza. Intrygujące. Zawsze fascynują mnie wierzenia i przesady prymitywnych ludów.

– Co znalazł pan w archiwach?

– Cóż... To zabawne. Komuś, kto wierzyłby w takie rzeczy, mogłoby wydawać się przerażające. Znalazłem zapisy mówiące, że Szeptuny są jedynym na całej planecie miejscem, gdzie duchy mogą poruszać się między ludźmi i do nich przemawiać. Samus jest jakoby władcą owych duchów. Miejscowe bardzo stare legendy głoszą, że jeden z imperatorów pokonał i poskromił tu wcielenie koszmarnego zła, demona imieniem Samus. Spójrz, tu właśnie jest ów fragment. W najdawniejszych erach Terry my również znaleźliśmy imiona demonów, takich jak Seytan czy Tearmat. Samus jest ich miejscowym odpowiednikiem.

– Samus jest więc duchem? – wyszeptała Keeler, czując nagły i nieprzyjemny zawrót głowy.

– Właśnie. Dlaczego pytasz?

– Ponieważ od chwili, kiedy wylądowaliśmy, słyszę jego syczący szept. Z tym że ja nie mam ze sobą voxu.



Za skalnymi mostami buntownicy wzniesli obronne fortyfikacje z kamieni i metalowych płyt. Wypłuczyska prowadzące do fortecy znajdowały się w polu rażenia ciężkich dział. Rebelianci zamknęli wąskie przesmyki, zastawiając miny pułapki; zabezpieczyli przejścia zasiekami z drutu kolczastego pod wysokim napięciem, zaspawanymi na glucho metalowymi wrotami czy barykadami z bloków betonu i ciężkich, żelaznych słupów. Posiadali też kilka automatycznych działek strażniczych i przewagę położenia: wszędzie wokół rozciągały się przepaście i połączenie gładkiego, uniemożliwiającego wspinaczkę lodu. Poza tym mieli jeszcze wiarę w to, że czuwa nad nimi ich bóg. Dzięki temu zatrzymali żołnierzy Varvarusa na sześć tygodni.

Tym razem nie mieli najmniejszych szans.

Nie potrafili nawet opóźnić natarcia Wilków Luny. Niepomni na huraganowy ostrzał i eksplozje pocisków artyleryjskich Terminatorzy roznieśli kamienne mury i rozpruli stojące im na drodze wrota. Pancernymi szponami zdusili iskrę elektrycznego życia w automatycznych działkach strażniczych i naporem potężnych ramion obalili barykady. Za nimi na teren twierdzy wdarła się reszta Kompanii, nieustannym ogniem wzbijając wokół kłęby dymu.

Sama forteca wbudowana została w szczyt góry. Z zewnątrz widać było część jej dachu i bastionów obronnych, jednak większa część budowli leżała za grubymi na setki metrów skałami. Wilki Luny wtargnęły przez rozdarte bramy. Drużyny szturmowe wzniosły się na plecach skokowych wzdłuż skalnej ściany i jak stada białych drapieżnych ptaków spadły na odkryte dachy, otwierając w nich wyrwy. Wewnętrzne schrony fortecy zadrżały od eksplozji, wyrzucając w przepaście gruz i kaskady lodu.

Wnętrze fortecy było istnym labiryntem wydrążonych w czarnej skale tuneli i starożytnych chodników, wśród których był nieustanny wicher. Wszędzie zalegały stosy ciał. Loken kroczył wśród nich i czuł żal. Zabici zostali oszukani przez własną kulturę, bo ta zmusiła ich do stawienia oporu, który ściągnął na nich gniew Astartes. Sami zgotowali sobie zagładę.

Wszechobecny wicher niósł tunelami koszarne wrzaski, przerywane hukami wystrzałów z bolterów. Loken nie liczył nawet, ilu już zabił. Nie znajdował w zabijaniu żadnego powodu do chwały, kierował nim tylko obowiązek. Wojenne narzędzie woli Imperatora wymierzyło chirurgicznie precyzyjny cios.

Grad pocisków rykoszetem odbił się od jego pancerza. Nie myśląc o tym, co robi, odwrócił się i unicestwił atakujących, dwóch zdesperowanych mężczyzn w kolczugach. Trafieni pociskami z boltera dosłownie rozprysnęli się, a ściany tunelu zalała krew i strzępy ciał. Loken nie mógł pojąć, dlaczego obrońcy nadal walczyli. Gdyby zechcieli się poddać, przyjąłby ich kapitulację.

– Tam – rozkazał i jedna z drużyn taktycznych wkroczyła do wskazanej przez niego komory.

Ruszył za nimi i wówczas zauważył na podłodze rannego buntownika, jęczącego i wstrząsanego drgawkami. Zalany własną krwią, śmiertelnie ranny mężczyzna spojrzał na Lokena szklistym wzrokiem i coś wyszeptał.

Loken przyklęknął obok i podtrzymał głowę wroga swą potężną dłoń.

– Co powiedziałeś?

– Pobłogosław mnie...

– Nie mogę.

– Proszę, zmów modlitwę, poleć moją duszę bogom...

– Nie mogę. Bogowie nie istnieją.

– Proszę... bogowie zaświatów odrzucają mnie, jeśli umrę bez błogosławieństwa.

– Przykro mi – powiedział Loken. – Umierasz. To wszystko.

– Pomóż mi – kontynuował mężczyzna z wysiłkiem.

– Oczywiście – powiedział Loken.

Wydobył nóż szturmowy, standardowy model używany przez wszystkich Astartes, przypominający starożytny, krótki gladius. Nacisnął przełącznik i szara klinga zaślniła od spowijającego ją pola siłowego. Krótkim ruchem zadał cios łaski. Potem ostrożnie położył odciętą głowę obok mężczyzny.

Następna komora była obszerna, o nieregularnym kształcie. Z czarnego sklepienia spływała woda ze stopionego lodu, tworząc połyskujące od wilgoci stalaktyty i stalagmity. W centrum podłogi wykuto sadzawkę, w której zbierała się woda. Prawdopodobnie był to jeden z głównych zbiorników fortecy. Drużyna, którą Loken posłał przodem, otoczyła sadzawkę kręgiem.

– Meldować – rzucił.

Jeden z Wilków Luny spojrział na niego.

– Co to jest, kapitanie? – zapytał.

Loken dołączył do nich nad sadzawką i zobaczył mnóstwo butelek, flaszek i karafek, które ustawiono wokół brzegu w taki sposób, by zbierać do nich skapującą ze stropu wodę. W pierwszej chwili pomyślał, że w ten sposób gromadzono jej zapas, ale leżały tam i inne przedmioty. Monety, brosze, dziwne lalki z gliny, czaszki małych ssaków i gadów. Woda kapiała i zraszała wszystko. Wiele przedmiotów musiało leżeć tu od dawna, Loken widział bowiem, że lśnią od mineralnego osadu. Na skalnej płaszczyźnie ponad sadzawką wykuto starożytne, częściowo już zatarte litery. Loken nie potrafił i nie chciał ich odczytać. Niektóre znaki sprawiały, że czuł dziwny niepokój.

– To świątynia – powiedział krótko. – Wiecie, jacy są miejscowi. Wierzą w duchy i składają im ofiary.

Astartes popatrzyli po sobie, nie do końca rozumiejąc.

– Wierzą w coś, co nie istnieje? – zapytał jeden z nich.

– Zostali oszukani – wyjaśnił Loken. – Dlatego tu jesteśmy. Zniszczcie to – rozkazał i odszedł.



Atak trwał sześćdziesiąt osiem minut. Kiedy dobiegł końca, z fortecy pozostały dymiące ruiny. Wiele z komór i umocnień zostało wysadzonych i słońce po raz pierwszy oświetlało ich wnętrza naturalnym blaskiem. Nie zginął ani jeden Wilk Luny. Nie ocalał ani jeden buntownik.

– Ilu? – zapytał Loken.

– Nadal liczymy ciała, kapitanie – odparł Rassek. – Jak dotąd dziewięćset siedemdziesięciu dwóch.

Podczas szturmów we wnętrzu fortecy odkryto ponad trzydzieści świątyń, sadzawek otoczonych ofiarami. Loken nakazał zniszczyć wszystkie.

– Bronili ostatniego bastionu swej wiary – odezwał się Neron Vipus.

– Na to wygląda – odparł Loken.

– Złości cię to, Garvi?

– Złości mnie bezsensowna śmierć. Złości mnie to, że ci ludzie oddali życie za wiarę w coś, co nie istnieje. Za nic. Wzbudza to we mnie odrazę. Kiedyś i my tacy byliśmy, Neron. Fanatycznie wierzyliśmy w kłamstwa, które sami stworzyliśmy. Imperator wskazał nam drogę i wyprowadził z pułapki tego szaleństwa.

– Ciesz się więc, że nią podążyliśmy – powiedział Vipus. – I pamiętaj, że choć przelewamy ich krew, nasi zagubieni bracia poznają w końcu prawdę. Niech ci to będzie pociechą.

Loken skinął głową.

– Żal mi ich – dodał. – Muszą być przerażeni.

– Nami?

– Oczywiście, ale nie o tym mówię. Przeraża ich prawda, którą przynosimy. Staramy się nauczyć ich, że w galaktyce nie ma sił potężniejszych niż światło, grawitacja i ludzka wola. Nic dziwnego, że kurczowo trzymają się swych bożków i duchów. Pozbawiamy ich bezpiecznej ignorancji, w której trwali do naszego przybycia. Wierzyli, że czuwające nad nimi duchy zapewnią im bezpieczeństwo. Że istnieją zaświaty, życie po życiu. Że po śmierci czeka ich nieśmiertelność duszy.

– Teraz zaś spotkali prawdziwych nieśmiertelnych – dokończył Vipus. – Trudna lekcja, ale wyjdzie im w końcu na dobre.

Loken wzruszył ramionami.

– Sądzę, że po prostu im współczuję. Pocieszali się tajemnicą, a my im ją zabraliśmy. W zamian dajemy im tylko twardą rzeczywistość, w której życie jest krótkie i pozbawione wyższego celu.

– Jeżeli o wyższym celu mowa – wtrącił Vipus – powinieneś nadać komunikat do floty, powiedzieć im, że skończyliśmy. Iteratorzy nawiązali łączność przez vox. Proszą o zezwolenie na udostępnienie pola bitwy obserwatorom.

– Udziel zezwolenia. Skontaktuję się z flotą i przekażę im dobre wieści.

Vipus odwrócił się, po czym zatrzymał.

– Przynajmniej ten głos w końcu się zamknął...

Loken skinął głową. Samus zamilkł pół godziny wcześniej, choć podczas szturmu nie znaleziono żadnego sprzętu nadawczego.

Intervox Lokena zatrzeszczał.

– Kapitanie?

– Jubal? Słucham.

– Kapitanie, ja...

– Co? Co takiego? Powtórz, Jubal.

– Przepraszam, kapitanie. Musisz to zobaczyć. Ja... chcę, żebyś to zobaczył. To Samus.

– Co? Jubal, gdzie jesteś?

– Namierz mój lokalizator. Znalazłem coś. Znalazłem... Samus. Samus jest końcem i śmiercią.

– Co znalazłeś, Jubal?

– Ja... znalazłem... kapitanie, Samus tu jest.



Loken pozostawił Vipusowi nadzór nad pracami porządkowymi i zszedł w głąb fortecy wraz z siódmą drużyną, kierując się na popiskiwanie lokalizatora Jubala. Siódmą drużyną taktyczną Brakespur dowodził sierżant Udon, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Lokena.

Lokalizator zaprowadził ich w dół, do ogromnej kamiennej studni położonej głęboko w sercu góry. Weszli do komnaty przez zardzewiałą żelazną bramę wbudowaną w skalną niszę. Przejmująco wilgotna komnata była naturalnym kominem w trzewiach góry: nachylnym uskokiem wznoszącym się ponad głęboką, mroczną przepaścią. Nad sięgającą w głąb planety

otchłanią zbudowano w starożytnych czasach łukowato wygięte kamienne schody. Po lśniących od wilgoci ścianach kawerny spływała woda. W niewidocznych szczelinach wyl i jęczał wiatr.

Xavyer Jubal stał samotnie nad krawędzią przepaści. Zbliżając się wraz z siódmą drużyną, Loken zastanawiał się, gdzie podziela się reszta drużyny Hellebore.

– Xavyer? – zawołał Loken.

Jubal obejrzał się.

– Kapitanie, znalazłem coś cudownego.

– Co takiego?

– Widzisz? – zapytał Jubal. – Widzisz te słowa?

Loken spojrział we wskazanym kierunku. Zobaczył tylko wodę spływającą po pokrytej wapiennym osadem ścianie.

– Jakie słowa?

– Tam! Tam!

– Widzę tylko wodę – powiedział Loken. – Płynącą wodę.

– Tak, tak! Słowa zapisane są w wodzie! W płynącej wodzie! Pojawiają się i znikają, pojawiają i znikają. Teraz widzisz? Słowa zmywa woda, ale one wracają.

– Xavyer? Dobrze się czujesz? Obawiam się, że...

– Patrz, Garvielu! Patrz na słowa! Czy nie słyszysz słów wody?

– Słów wody?

– Kap, kap, kap. Jedno imię. Samus. Innego imienia nie poznasz.

– Samus?

– Samus. Samus jest końcem i śmiercią. Ja...

Loken spojrział na Udonę i jego ludzi.

– Wyprowadźcie go – powiedział cicho.

Udon skinął głową. On i czterech Astartes zawiesiło boltery na biodrach. Wystąpili naprzód.

– Co wy robicie? – zapytał ze śmiechem Jubal. – Grozicie mi? Na Terrę, Garvielu, nie rozumiesz? Samus jest wszędzie!

– Gdzie Hellebore, Jubal? – warknął Loken. – Gdzie reszta twojej drużyny, sierżancie?

Jubal wzruszył ramionami.

– Oni też nie widzieli – stwierdził i spojrział w stronę krawędzi. – Myślę, że nie rozumieli.

A to takie oczywiste. Samus to człowiek, który stoi za tobą.

– Udon. – Loken skinął na sierżanta.

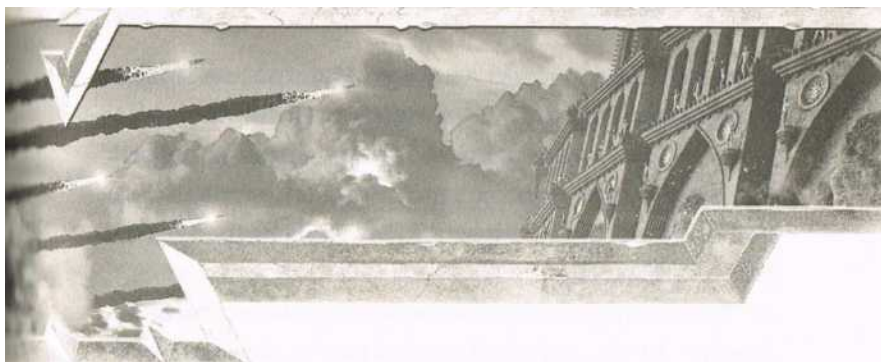
Udon podszedł do Jubala.

– Chodźmy, bracie – powiedział bez gniewu w głosie.

Jubal poderwał gwałtownie bolter. Bez ostrzeżenia strzelił Udonowi w głowę, odłamki czaszki, krew i mózg wyprysły przez otwór w hełmie. Wojownik padł na twarz. Dwóch jego ludzi skoczyło naprzód i bolter Jubala znów zagrzemiał, wybijając w ich napierśnikach ogromne dziury. Obaj upadli.

Jubal spojrział na Lokena zza zasłony wizjera.

– Jam jest Samus – zachichotał. – Strzeż się! Samus jest blisko!



DZIEWIEĆ

TO, CO NIEWYOBRAŻALNE

DUCHY SZEPTUNÓW

ZGODNE UMYŚLY

Dwa dni przed szturmem na Szeptuny Loken zgodził się na kolejny prywatny wywiad z upamiętniaczką Mersadie Oliton. Od chwili wstąpienia do Kwadry udzielił jej już dwóch takich wywiadów, a jego podejście do upamiętniaczki znacząco się w tym czasie zmieniło. Choć temat nie został nigdy otwarcie poruszony, Mersadie czuła, że Loken wybrał ją na swą osobistą pamiętnikarkę. W noc ceremonii wstąpienia do Kwadry powiedział jej, że może podzielić się z nią swymi wrażeniami, była jednak zaskoczona gorliwością, z jaką to uczynił. Spisała już blisko sześć godzin jego opowieści – opisów szczególnie trudnych operacji wojskowych, refleksji na temat zalet i wad różnych rodzajów uzbrojenia oraz wspomnień tryumfów i zwycięstw jego współpracowników. Pomiedzy wywiadami porządkowała notatki w swej kwaterze, układając z nich zarys struktury długiego wywiadu rzeki. Miała nadzieję z czasem uzyskać kompletny obraz historii Ekspedycji oraz ogólny zapis wrażeń Lokena, zebranych podczas uczestniczenia w innych Ekspedycjach Wielkiej Krucjaty.

Ilość materiału urosła do ogromnych rozmiarów, brakowało w nim jednak zarysu postaci samego Lokena. Podczas ostatniego wywiadu po raz kolejny próbowała dowiedzieć się czegoś o nim jako człowieku.

– Z tego, co wiem, wynika, że Astartes nie znają uczucia, które my, śmiertelnicy, nazywamy strachem?

Loken zamyślił się, zmarszczył czoło. Zajęty był polerowaniem jednej z płyt pancerza. Mersadie miała wrażenie, że jest to jego ulubiony sposób spędzania wolnego czasu. Wzywał ją do swych prywatnych kwater, polerował pancerz i mówił, a ona słuchała. Upamiętniaczka zaczęła kojarzyć szczególnie zapach proszku do polerowania z brzmieniem jego głosu i snutymi opowieściami. Przez ponad sto lat służby zbierało się ich niemało.

– Ciekawe pytanie – powiedział.

– Czy odpowiedź jest równie ciekawa?

Loken wzruszył ramionami.

– Astartes nie znają strachu. Uczucie to jest dla nas wręcz niewyobrażalne.

– Ponieważ trening uczy was, jak go kontrolować?

– Trening uczy nas dyscypliny, ale zdolności odczuwania strachu pozbawia się nas jeszcze przed narodzinami. Jesteśmy na niego odporni.

Mersadie zanotowała w pamięci, by usunąć jego ostatni komentarz. Miała wrażenie, że odzierał on Astartes z części otaczającej ich aury heroizmu. Zdolność przewycięzania strachu była cechą każdego bohatera, ale w odporności na to uczucie nie było niczego heroicznego. Zastanawiała się też, jak wpływa na człowieka usunięcie z umysłu zdolności odczuwania pewnej emocji. Czy pozostaje po niej pustka? Czy cierpiała na tym zdolność odczuwania innych emocji? Czy strach usuwano czysto niczym skalpelem, czy też wrywano z korzeniami, wraz z częścią innych uczuć? Tłumaczyłoby to fakt, że Astartes wyróżniali się na każdym polu z wyjątkiem osobowości.

– Wróćmy do naszej rozmowy – powiedziała. – Podczas naszego ostatniego spotkania obiecał pan opowiedzieć mi o wojnie przeciw nadzorcom. To było dwadzieścia lat temu, prawda?

Nadal patrzył na nią, lekko mrużąc oczy.

– O co chodzi? – zapytał.

– Nie rozumiem.

– Zmieniłaś temat. Nie spodobała ci się moja odpowiedź.

Mersadie odchrząknęła.

– Nie, nie w tym rzecz. Po prostu...

– Tak?

– Mogę być z panem szczerą?

– Naturalnie – powiedział, cierpliwie wycierając szmatkę do polerowania o brzegi naczynia z proszkiem.

– Miałam nadzieję, że dowiem się o panu czegoś bardziej osobistego. Opowiedział mi pan już tak wiele, kapitanie, zdradzając szczegóły, które wzbogaciłyby każdy podręcznik historii. Potomność dowie się więc, którą ręką Iacton Qruze włada mieczem, jaki był kolor nieba nad Miastami Klasztornymi na planecie Nabatae, jak przebiega atak z wykorzystaniem stworzonej przez Białe Szramy taktyki kleszczy, jaka jest liczba nitów na naramienniku standardowego pancerza Wilków Luny, ile ciosów toporem trzeba było, by powalić ostatniego z Książąt Omakkadu, oraz tego, pod jakim kątem je zadano... – Spojrzała mu w oczy. – Ale nie dowie się nic o panu, kapitanie. Wiem, co pan widział, ale nie wiem, co pan czuł.

– Co czułem? A któż mógłby być tym zainteresowany?

– Ludzkość to emocjonalna rasa, kapitanie. Przyszłe pokolenia, dla których upamiętniamy te wydarzenia i fakty, łatwiej je rozumieją, jeśli zostaną osadzone w kontekście emocjonalnym. Na przykład mniej będzie interesował ich przebieg walk o Ullanor, a bardziej to, co pan czuł podczas walki.

– Chcesz powiedzieć, że moje opowieści są nudne?

– Ależ nie – zaprzeczyła szybko i zauważyła jego uśmiech. – Niektóre z pańskich historii zawierają opisy fantastycznych zdarzeń i zachwycających miejsc, ale pan sam nie wydaje się odczuwać zachwyty. Czy brak zdolności odczuwania strachu pociąga za sobą niezdolność odczuwania piękna? Zaskoczenia? Doniosłości chwili? Czy nigdy nie widział pan czegoś, co odebrałoby panu mowę? Zaszokowało lub zaniepokoiło?

– Owszem – powiedział. – Wiele razy odczuwałem niezwykłość kosmosu, która wzbudzała we mnie oszołomienie i zadziwienie.

– Proszę więc mi o tym opowiedzieć.

Zacisnął wargi i zastanowił się.

– Ogromne kapelusze – zaczął.

– Co proszę?

– To było po wcieleniu planety Sarosel do Imperium. Obywatele urządzili uroczyste parady. Wcielenie przebiegło dobrowolnie i chętnie, bez kropli przelanej krwi. Święto trwało osiem tygodni. Uliczni tancerze nosili ogromne kapelusze ze wstążek, papieru i trzciny, a każdy z nich miał niezwykły kształt: łodzi, pięści z mieczem, smoka, słońca. Były tak szerokie, jak

rozpiętość moich ramion. – Loken obrazowo rozłożył ręce. – Nie wiem, w jaki sposób udawało im się utrzymać ich ciężar, nie tracąc równowagi, ale całymi dniami tańczyli na ulicach stolicy, a wszystkie te krzykliwe kształty unosiły się i wirowały, jakby niosła je powoli płynąca fala powodzi. Nie było widać spod nich ludzi. To był niezwykle widok.

– Wierzę.

– Wszyscy się śmialiśmy. Śmiał się nawet Horus.

– Czy to była najdziwniejsza rzecz, jaką pan widział?

– Ależ nie, nie. Pomyślmy... Wojna o Keylek, to nas wszystkich zadziwiło. Było to osiemdziesiąt lat temu. Keylekidzi to rasa groteskowych obcych, których można by opisać mianem gadokształtnych. Bardzo sprawni wojownicy, stawili opór już przy pierwszym kontakcie. Ich świat był surowym miejscem. Pamiętam szkarłatne skały i wodę w kolorze indygo. Nasz wódz – na długo przed tym, zanim został Mistrzem Wojny – spodziewał się długiej i trudnej kampanii, bo keylekidzi byli stworzeniami roslymi i silnymi. Najmniejszy z ich wojowników padał dopiero po trzecim lub czwartym trafieniu z boltera. Przybyliśmy zatem na tamtą planetę, by ją podbić, ale oni nie chcieli walczyć.

– Jak to?

– Nie potrafiliśmy zrozumieć zasad, według których walczyli. Później dowiedzieliśmy się, że keylekidzi uważali wojnę za najbardziej odrażające zajęcie rasy rozumnej. Walczyli więc wedle ściśle określonych reguł. Na powierzchni ich planety co kilkaset kilometrów znajdowały się prostokątne budowle, właściwie nakryte płaskim dachem pola bez ścian. Nazwaliśmy je jatkami. Keylekidzi walczyli wyłącznie w owych wyznaczonych miejscach, tak bowiem nakazywała im tradycja. Toczenie wojen w jakiegokolwiek innej części planety było zakazane. Czekali, aż przybędziemy do jatek i stoczymy walny bój.

– Niezwykłe! I co się stało?

– Zniszczyliśmy ich – powiedział Loken zwięźle.

– Ach tak – powiedziała Mersadie, przekrzywiając swą wydłużoną głowę.

– Pojawiły się opinie mówiące, że powinniśmy stanąć do walki na ich warunkach – ciągnął Loken. – Tak miało być bardziej honorowo. Maloghurst zauważył jednak, że i my mamy zasady, których wróg nie przestrzega. A był to wróg niebezpieczny i gdybyśmy go nie zniszczyli, w dalszym ciągu stanowiłby zagrożenie. Jak długo zajęłoby im porzucenie starych obyczajów?

– Czy zachowały się wizerunki keylekidów?

– Sądę, że jest ich sporo. Wypchane zwłoki jednego z ich wojowników wystawione są w Muzeum Podboju na tym okręcie. Pytałaś o moje uczucia. Kiedy patrzę na owo trofeum, odczuwam smutek. Wspomniałaś o nadzorcach, miałem o nich opowiedzieć. To była długa kampania, która również nappełniła mnie smutkiem.

Loken opowiadał, a Mersadie słuchała, od czasu do czasu mrugnięciem utrwalając jego obraz w sztucznych komórkach swego mózgu. Loken był skupiony na polerowaniu pancerza, ale w jego ruchach wyczuwała smutek. Nadzorcy, mówił, byli rasą maszyn, a prawo imperialne nie dopuszczało istnienia sztucznej inteligencji. Sztuczne życie było zabronione tak przez Radę Imperium, jak i Mechanicum. Nadzorcami władał Arcydroid, a zamieszkiwali wielkie, zrujnowane miasta planety Dahinta. Miasta owe niegdyś były pełne niezwykle pięknych dzieł sztuki, ale czas dawno odebrał im świetność. Wśród stosów próchna i zgnilizny biegali nadzorcy, na próżno walcząc z ogarniającym je rozkładem.

Po długiej i ciężkiej wojnie maszyny zostały ostatecznie zniszczone, w dużej mierze dzięki nieocenionemu wsparciu Mechanicum. Dopiero wówczas odkryto smutny sekret planety.

– Nadzorcy byli dziełem ludzkiego geniuszu – powiedział Loken.

– Zbudowali ich ludzie?

– Tak, tysiące lat temu, być może podczas Wieku Technologii. Dahinta była ludzką kolonią, domem zaginionej gałęzi naszej rasy. Ludzie stworzyli tam zadziwiającą, pełną cudów kulturę, wzniesli wspaniałe miasta i służyły im myślące maszyny. Jednak w pewnym momencie z nieznanych nam przyczyn wymarli. Ich starożytne miasta pozostały puste, jeśli nie liczyć nieśmiertelnych nadzorców. Było to przedziwne, ogromnie przygnębiające miejsce.

– Czy maszyny nie rozpoznały ludzi?

– Napotkały tylko Astartes. My nie przypominamy ludzi, którzy nimi władali.

Mersadie zawahała się na chwilę.

– Zastanawiam się, czy i ja zobaczę tyle niezwykłych miejsc i wydarzeń podczas Ekspedycji – powiedziała po chwili.

– Mam nadzieję, że tak będzie i że wprawia cię one nie w przygnębienie, ale w radość i zdumienie. Powiniennem kiedyś opowiedzieć ci o Wielkim Tryumfie na Ullanorze. Było to wydarzenie warte upamiętnienia.

– Chętnie posłucham.

– Teraz nie mam czasu, czekają na mnie obowiązki.

– Może więc ostatnia, krótka opowieść? O czymś, co nappełniło pana zdumieniem.

Loken zamyslił się.

– Było coś takiego, niespełna dziesięć lat temu. Znaleźliśmy martwy świat, na którym kwitło niegdyś życie. Zamieszkiwali go przedstawiciele jakiegoś gatunku, który albo wymarł, albo przeniósł się na inną planetę. Pozostał po nich system podziemnych schronień, przypominających wyschnięty plaster miodu. Przeszukaliśmy całość dokładnie, nie pomijając żadnej komory ani korytarza. Znaleźliśmy tylko jedną rzecz wartą uwagi. Została ukryta na najgłębszych poziomach, w kamiennym bunkrze dziesięć kilometrów pod powierzchnią planety. Była to mapa. Ogromna i trójwymiarowa kula o średnicy ponad dwudziestu metrów, stanowiąca wprost niezwykle szczegółowy, geofizyczny obraz całej planety. Z początku nie wiedzieliśmy, jaki przedstawia świat, ale Imperator, uwielbiany przez wszystkich, rozpoznał go natychmiast.

– Co to było?

– Terra. Kompletna mapa Terry, doskonała w najmniejszych szczegółach. Była to jednak Terra sprzed eonów, zanim zbudowano kopce miast, zanim rozpętały się wielkie wojny. Terra, której linie brzegowe i oceany dawno zmieniły położenie.

– To... rzeczywiście zadziwiające.

Loken skinął głową.

– W tej jednej, zapomnianej komnacie zrodziło się tyle pytań bez odpowiedzi. Kto sporządził mapę?

I po co to zrobił? W jakim celu przed eonami nawiedzili Terrę? Po co przez pół galaktyki wieźli ze sobą jej mapę? I dlaczego ukryli ją w głębinach swej planety jak najcenniejszy skarb? To było niewyobrażalne. Gdybym potrafił odczuwać strach, panno Oliton, czułbym go wówczas. Nie potrafię wyobrazić sobie niczego, co przejęłoby moją duszę większym niepokojem.



To było niewyobrażalne.

Czas zwolnił, jakby zatrzymany siłami grawitacji całego wszechświata. Loken poczuł się ciężki niczym ołów, powolny, niezdarny, niezdolny do sensownego działania. Nie potrafił nawet pojąć tego, co właśnie zobaczył.

Czy to właśnie był strach? Czy czuł jego gorzki smak? Czy w taki sposób groza paraliżowała śmiertelników?

Sierżant Udon, którego hełm zamienił się w zdeformowaną puszkę białego ceramitu, leżał martwy u jego stóp. Obok niego spoczywało dwóch innych

Astartes, zastrzelonych z minimalnej odległości, martwych lub śmiertelnie ranionych.

Przed Lokenem zaś stał Jubal z uniesionym bolterem.

Szaleństwo. Niewyobrażalne szaleństwo. Astartes zwrócił się przeciw Astartes. Wilk Luny zamordował swych braci. Wszystkie prawa braterstwa i honoru, w których pokładał wiarę Loken, rozwiały się jak pajęczna nić. Szaleństwo tej chwili, tej niewyobrażalnej zbrodni, musiało położyć się długim cieniem na historii Legionów.

– Jubal? Coś ty zrobił?

– Nie Jubal. Samus. Jam jest Samus. Samus jest wszędzie. Samus to człowiek, który stoi za tobą.

W głosie Jubala była rozedrgana nuta, przypominająca zdławiony chichot. Loken wiedział, że Wilk Luny zaraz strzeli ponownie. Pozostali wojownicy drużyny Udon, podobnie jak on osłupiali, zrobili krok naprzód, ale nie unieśli bolterów. Nawet mając przed oczyma skutki czynu Jubala, żaden z nich nie potrafił złamać kodeksu Astartes i strzelić do brata. Loken też nie potrafił.

Odrzucił bolter i skoczył na Jubala.

Xavyer Jubal, dowódca drużyny taktycznej Hellebore i jeden z najlepszych podoficerów Dziesiątej Kompanii, zaczął strzelać. Pociski z boltera uderzyły wahających się nadal Astartes. Kolejny hełm eksplodował w deszczu krwi, odłamków kości i drzazg ceramitu i kolejny brat runął jak kłoda. Obok niego upadło jeszcze dwóch, trafionych w klatkę piersiową i brzuch.

Loken zderzył się z sierżantem i zmusił go do kroku w tył, próbując przygwoździć mu ramiona do boków. Jubal szarpnął się z nagłą furią.

– Samus! – zawył. – Samus jest końcem i śmiercią! Samus ogryzie twe kości!

Obaj uderzyli w skalną ścianę z ogromną, przyprawiającą o odrętwienie siłą. Prysnał kruszony kamień. Jubal nadal nie puszczał boltera. Loken pchnął przeciwnika pod ścianę i obydwu zalała lodowata woda.

– Jubal!

Kapitan trzasnął go w twarz z siłą, która urwałaby zwykłemu człowiekowi głowę. Jego pięść uderzała w hełm i napierśnik Jubala, raz, drugi, piąty. W jaskini rozchodził się huk przypominający uderzenia młota o kowadło. Ceramitowy wizjer pękł. Kolejne uderzenie, poparte

całą wagą ciała, zachwiało Jubalem. Loken wykorzystał to, wyrwał mu bolter, cisnął narzędzie zbrodni w przepaść.

Ale sierżant jeszcze się nie poddał. Chwyił Lokena za ramiona i uderzył nim o ścianę. Od impetu ciosu sypnęły się kamienie i skalne odłamki. Jubal nie puścił, uderzył raz jeszcze, miotając Lokeniem jak workiem pełnym kamieni. W głowie kapitana zajaśniała błyskawica bólu, poczuł w ustach smak krwi. Próbował wyzwolić się z uścisku, ale Jubal zasypał go gradem ciosów, po których hełm kapitana raz za razem uderzał o ścianę.

Doskoczyli pozostali, krzykiem i szarpaniem próbując ich rozdzielić.

– Trzymać go! – krzyknął Loken. – Nie pozwólcie mu uciec!

Mówił do Astartes, których siłę wzmacniały sztuczne mięśnie pancerza wspomaganego. Byli silni, silni jak młodzi bogowie, ale nie mogli wykonać rozkazu kapitana. Jubal oswobodził pięść i jednym ciosem zmiotł jednego ze współbraci z nóg. Pozostało trzech, z których dwaj uczepili się pleców Jubala jak żywy płaszcz, próbując powalić go zapaśniczym chwytem. Jubal uniósł obydwu i rzucił ich na ziemię.

Loken widział jego siłę, niewyobrażalną siłę kogoś, kto zdolny jest strząsać z siebie Astartes jak manekiny treningowe.

Jubal odwrócił się w stronę jedyne go pozostałego na nogach brata, a ten rzucił się na niego.

– Strzeż się! Samus jest blisko! – zawył szalony Astartes, a w jego głosie był rechot.

Uderzył na wprost dłonią o usztywnionych palcach, które przebiły obojczyk pancerza jak ostrze włóczni. Z gardła atakującego trysnęła krew, bijąc na napierśnik. Jubal wyrwał dłoń, a jego brat upadł na kolana, krztusząc się i charcząc. Krew sikała obficie, pulsowała z rozdartego gardła.

Loken przestał myśleć i po prostu rzucił się na Jubala. Ogarnięty szałem Astartes obrócił się w miejscu i uderzył potężnie na odlew. Jednym ciosem posłał go na ziemię.

Siła razu była ogromna, dalece przekraczała siłę, jaką mógł dysponować nawet Astartes. Uderzenie rozbiło rękawicę Jubala i naramiennik Lokena, na który ten przyjął cios. Kapitan na ułamek sekundy przestał widzieć, pociemniało mu przed oczyma. Kiedy odzyskał wzrok, zdał sobie sprawę, że leci w powietrzu. Jubal uderzył z taką siłą, że posłał go na krawędź przepaści.

Loken uderzył w łukowate schody. Niemal odbił się od nich i poleciał dalej, ale zdołał się przytrzymać, wbijając palce w kamień i złościąc w nim rysy. Jego nogi bezradnie zawisły nad

otchłanią. Woda spływała na niego rzadkim deszczem, schody były śliskie od wilgoci i mineralnego osadu. Palce Lokena zaczęły tracić oparcie. Przypomniawszy sobie, jak w podobny sposób zawisł nad przepaścią w wieży „Imperatora”, i zawarczał z wściekłości i frustracji.

Furia pozwoliła mu podciągnąć się w górę. Furia i przysięga, że nie zawiedzie Mistrza Wojny. Nie w taki sposób. Nie w obliczu tak przerażającej zbrodni.

Wciągnął się na schody i wstał. Kładka była wąska, dwaj ludzie nie zdołaliby się na niej minąć. Pod nim ziała czarna jak kosmos gardziel przepaści. Kończyny drżały mu z wysiłku.

Zobaczył, jak Jubal szarżuje na niego, wyciągając nóż bojowy. Ostrze zajaśniało od pola siłowego.

Loken dobył własnego noża. Woda z lodowca zasyczała parą na krótkiej, przeznaczonej do pchnięć klindze.

Jubal wbiegł po kamiennych stopniach, tnąc krzyżowo, od ucha. Nadal krzyczał i wył głosem, który w niczym nie przypominał jego własnego. Wymierzył Lokenowi dziki cios, ten ostatni cofnął się, wskakując na wyższy stopień schodów. Następne ciosy sparował. Spod ścierających się kling sypały się iskry, w jaskini poniosło się echo metalu uderzającego o metal. Wysokość nie dawała w tej walce przewagi i Loken musiał uginać kolana i garbić się, by móc parować ciosy przeciwnika.

Noże bojowe nie były bronią pojedynkową. Krótkie, obosieczne klingi przeznaczone były do zadawania pchnięć w bitewnym zamieszaniu. Brakowało im zasięgu i subtelności. Jubal rąbał jak toporem, zmuszając przeciwnika do obrony. Ostrza cięły strumienie wody, sycząc i wzbijając obłoczki pary.

Loken był zawsze dumny ze swej wojennej dyscypliny oraz mistrzowskich umiejętności w walce każdą bronią. Jego sesje w klatkach treningowych trwały zazwyczaj od sześciu do ośmiu godzin. Oczekiwał, że wszyscy bracia w jego Kompanii będą szli w jego ślady. Wiedział zatem, że Xavyer Jubal był mistrzem w walce sztyletem i toporem, ale wprawnie posługiwał się też i mieczem.

Ale nie dziś. Jubal albo odrzucił wszystkie swe umiejętności i całą wprawę w posługiwaniu się orężem, albo też fala szaleństwa wymyła je z jego pamięci. Zaatakował jak maniak, tnąc i dźgając dziko. Loken również zmuszony był zrezygnować z szermierczej postawy, z wysiłkiem blokując i parując ciosy i pchnięcia. Trzykrotnie udało mu się zepchnąć Jubala w dół o stopień lub dwa, ale ten za każdym razem znów przypuszczał zaciekły atak, zmuszając do

wspinania się po stopniach. W pewnej chwili Loken musiał podskoczyć, by uniknąć niskiego cięcia. Ładując, ledwo odzyskał równowagę. Schody były zdradziecko śliskie od lejącej się na nie srebrnymi strumieniami wody, kapitan musiał więc walczyć nie tylko z Jubalem, ale i z niebezpieczną nawierzchnią.

Koniec nastąpił nagle i gwałtownie. Jubal minął gardę Lokena i aż po jelec wbił klingę noża w jego lewy naramiennik.

– Samus jest blisko! – zakrzyczał, ale lśniące ostrze uwięzło na dobre.

– Samus jest martwy – powiedział Loken i pchnął w odsłonięty napierśnik. Klinga przebiła pancerz bez oporu i przeszła go na wylot.

Jubalem targnął dreszcz. Puścił rękojeść noża, pozostawiając go w naramienniku. Otwartymi, drżącymi dłońmi sięgnął w stronę twarzy Lokena. Jego gest nie był drapieżny, ale delikatny, jakby prosił o łaskę lub o pomoc. Woda spływała po białych płytach pancerzy obu Astartes.

– Samus – wydyszał.

Loken wyrwał nóż.

Jubal zachwiał się i zakołysał. Krew brocząca z rany natychmiast rozcieńczała płynącą nieustannie wodą, plamiąc różowo napierśnik i taszki pancerza.

Sierżant przechylił się w tył i spadł ze schodów, ciężko mlóćąc powietrze bezwładnymi kończynami. Pięć metrów od podstawy kładki odbił się od stopni i zamarł z nogami zwieszonymi nad przepaścią. Stopniowo zaczął zsuwać się w dół pod własnym ciężarem. Loken usłyszał chrobot pancerza na śliskich kamiennych schodach.

Skoczył w dół i w ostatniej chwili złapał za krawędź lewego naramiennika. Powoli wciągnął ciało z powrotem na kamienny pomost. Ledwo mu się to udało, bo Jubal zdawał się ważyć miliardy ton.

Trzej ocaleli Astartes z drużyny Brakespur stali u stóp pomostu i obserwowali jego wysiłki.

– Pomóżcie mi! – krzyknął Loken.

– Mamy go ratować? – zapytał jeden.

– Po co? – dodał drugi.

– Pomóżcie mi – warknął Loken. Nawet nie drgnęli. Zdesperowany Loken wbił nóż w prawe ramię Jubala, przygważdżając je do kamiennych schodów. Wilk Luny przestał się zsuwać. Kapitan wciągnął go na pomost.

Zdjął pogięty hełm i wypłuł zmieszaną ze śliną krew.

– Wezwijcie Vipusa – rozkazał. – Natychmiast.



Kiedy dotarli na płaskowyż, niewiele pozostało do zobaczenia. Słońce zachodziło. Euphrati zrobiła kilka zdjęć stornbirdów i bijącej w niebo nad twierdzą kolumny dymu, nie spodziewała się jednak, by wyszły dobre. Wszystko tutaj wydawało się nijakie i pozbawione życia. Nawet górskie krajobrazy były nijakie.

– Czy możemy zobaczyć pole bitwy? – zapytała Sindermana.

– Mamy czekać.

– Czy coś się stało?

Pokręcił głową na znak, że nie wie. Jak cała ich grupa, Sindermann również korzystał z aparatu tlenowego, ale tylko on wyglądał na tak bladego i zmęczonego.

Było dziwnie cicho. Do statków desantowych powracały grupy Wilków Luny, płaskowyż zaś zabezpieczali żołnierze Armii Imperialnej. Upamiętniacze wiedzieli, że Astartes odnieśli decydujące zwycięstwo, nie było jednak widać po nich śladu radości.

– To kwestia rutyny – powiedział Sindermann, kiedy Euphrati go o to zapytała. – Dla Legionu taka bitwa to w zasadzie tylko ćwiczenia, operacja wymagająca użycia niewielkich środków, o czym zresztą uprzedzałem, zanim wyruszyliśmy. Przykro mi, jeśli czujesz się rozczarowana.

– Nie jestem rozczarowana – zaprzeczyła. Po prawdzie jednak odczuwała pewien zawód. Nie była pewna, czego się spodziewała, ale emocje związane z lotem na powierzchnię i wydarzenia w Kasherri pobudziły jej wyobraźnię. Teraz zaś okazało się, że przybyli za późno, by cokolwiek zobaczyć.

– Carnis chciałby przeprowadzić wywiad z powracającymi wojownikami – odezwał się Siman Sark. – Poprosił, bym zrobił w tym czasie kilka zdjęć. Zgodzą się?

– Myślę, że tak – westchnął Sindermann. Wezwał podoficera armii, by ten zaprowadził Carnisa i Sarka do Astartes.

– Uważam – powiedział głośno Tolemew Van Krasten – że najbardziej stosowną formą byłby tu poemat symfoniczny. Sądzę, iż pełna symfonia stanowiłaby przerost formy nad treścią.

Euphrati pokiwała głową, nie do końca rozumiejąc jego słowa.

– Najlepsza będzie tonacja minorowa, e- lub a-moll. Mam już tytuł. Nazwę utwór *Duchy Szepcunów* lub *Głos Samusa*. Co o tym sądzisz?

Wlepiała w niego wzrok.

– Żartuję – powiedział i uśmiechnął się smutno. – Nie mam pojęcia, jak niby powinienem przetworzyć te wydarzenia na muzykę. Wszystko jest takie ponure i nijakie.

Euphrati Keeler brała dotąd Van Krastena za nadętego typa, ale teraz poczuła do niego nieco sympatii. Kiedy się odwrócił i oddał melancholijnej obserwacji góry i bijącego w niebo dymu, pod wpływem impulsu uniosła pikter.

– Zrobiłaś mi zdjęcie? – zapytał.

Skinęła głową.

– Masz coś przeciwko temu? To, w jaki sposób patrzyłeś na szczyt, świetnie oddawało nastrój, jaki udzielił się nam wszystkim.

– Ale ja jestem przecież upamiętniaczem – powiedział. – Czy powinienem być częścią twojej relacji?

– Wszyscy jesteśmy jej częścią. Jako upamiętniacze lub nie – odparła. – Robię zdjęcia tego, co zwróci moją uwagę. Kto wie, może w ramach rewanżu, komponując następną ze swych uwertur, poświęcisz mi choć refrenik? Może coś rozpisanego na flety?

Oboje się zaśmiali.

Zbliżył się do nich jeden z Wilków Luny.

– Jestem Neron Vipus – powiedział, splatając dłonie w znak Orła. – Kapitan Loken przesyła wyrazy szacunku i prosi Mistrza Sindermana o stawienie się.

– To ja – odezwał się stary iterator. – Czy coś się stało, sierzancie?

– Mam rozkaz doprowadzić pana do kapitana – odparł Vipus krótko. – Proszę ze mną.

Kiedy odchodzili, Sindermann musiał podbiegać, by nadążyć za krokami olbrzyma.

– Co się dzieje? – zapytał Van Krasten ściszym głosem.

– Nie wiem – odpowiedziała Keeler. – Przekonajmy się.

– Chcesz iść za nimi? To nie jest dobry pomysł.

– Ja pójdę – wtrącił się Borodin Flora. – Nikt nam nie rozkazał, by zostać tutaj.

Rozejrzeli się. Twell zasiadł oparty plecami o dziobową płożę jednego ze stormbirdów i rysował coś węglem w małym szkicowniku. Carnis i Sark byli zajęci przeprowadzaniem wywiadów.

– A więc chodźmy – powiedziała Euphrati Keeler.



Vipus poprowadził Sindermana przez zrujnowaną fortecę. W ponurych tunelach i komorach wył i gwizdał wiatr. Żołnierze Armii Imperialnej zabierali zwłoki z położonych najbliższej wyjścia komnat i zrzucali je w przepaść, ale mimo to wciąż mijali wiele rozerwanych na strzępy ciał. Vipus za każdym razem powtarzał: „Przykro mi, że musi pan to oglądać” albo „Proszę odwrócić wzrok, to nieprzyjemny widok”.

Sindermann nie potrafił odwrócić wzroku. Choć od wielu lat był lojalnym iteratorem Imperium, po raz pierwszy zdarzyło mu się znaleźć na polu bitwy zaraz po jej zakończeniu. Widok ciał i zniszczeń przerażał go, wypalał się na stałe w jego pamięci. Zewsząd czuł mdlący odór krwi i wnętrzności. Dotąd nie potrafił sobie nawet wyobrazić, by można było zredukować człowieka do porąbanych, rozprutych i spalonych zwłok. Teraz na własne oczy widział ściany lepkie od krwi i tkanki mózgowej, odłamki kości z wypływającym z nich szpikiem, części ciała jak śmieci na zakrwawionej posadzce.

– Na Terrę – wzdychał raz za razem.

A więc do tego zdolni byli Astartes. Taka była rzeczywistość Krucjaty Imperatora: ludzkie cierpienie na skalę przekraczającą wszelkie wyobrażenie.

– Na Terrę – powiedział znowu. Kiedy doprowadzono go przed oblicze oczekującego w jednej z górnych komór twierdzy Lokena, słowo „Terra” zaczęło w jego ustach przypominać inne.

Terror.

Loken stał w obszernej, mrocznej komnacie obok jakiejś sadzawki. Po jednej ze ścian czarnej skały spływała woda, a powietrze pachniało wilgocią i minerałami.

Lokenowi towarzyszyło dwunastu sposepniałych Wilków Luny, w tym jeden groźny olbrzym w pancerzu Terminatora. Sam kapitan był bez hełmu, a twarz pokrywały mu sińce. Jego lewy, przeбитo krótkim mieczem naramiennik leżał na ziemi.

– To, czego tu dokonaliście... – zająknął się Sindermann. – Chyba nie do końca zdawałem sobie sprawę, do czego jesteście zdolni, teraz jednak...

– Milcz – Loken przerwał mu obcesowo. Spojrzał na obecnych Wilków Luny i odprawił ich skinieniem głowy. Wyszli, mijając Sindermana bez słowa. – Ale zostań w pobliżu, Neronie – rzucił jeszcze za sierżantem. Vipus kiwnął głową i wyszedł.

Komnata pozostała niemal pusta. Sindermann zobaczył leżące obok sadzawki ciało Wilka Luny. Bez hełmu, z plamami krwi na białym pancerzu, martwe i nieruchome. Jego ramiona były ciasno przywiązane do boków.

– Nie rozumiem... – zaczął. – Nie rozumiem, kapitanie. Powiedziano nam, że nie było żadnych strat.

Loken powoli kiwnął głową.

– I tak właśnie powiemy. Taki będzie oficjalny komunikat. Dziesiąta zajęła fortecę czysto. Podczas walki nie doszło do żadnych strat. I taka jest prawda. Żaden z buntowników nie zdołał nie tylko zabić, ale nawet ranić nikogo z moich ludzi. A my zabiliśmy wszystkich. Blisko tysięcy.

– Ale ten człowiek...?

Loken spojrzał na Sindermana. Na jego twarzy malował się niepokój, jakiego iterator nigdy dotąd u niego nie widział.

– Co tu się stało, Garvielu? – zapytał.

– Wydarzyło się coś... – zaczął Loken – coś... tak niewyobrażalnego, że... ja...

Urwał i spojrzał na spętane zwłoki Jubala.

– Muszę złożyć meldunek, ale nie wiem, co powiedzieć. Nie mam żadnego punktu oparcia. Cieszę się, że to właśnie ty tu jesteś, Kyril. Od lat służysz mi radą.

– Chciałbym wierzyć, że...

– Potrzebuję twojej rady.

Sindermann zbliżył się o krok i położył dłoń na ramieniu olbrzymiego wojownika.

– Możesz mi zaufać w każdej sprawie, Garvielu. Jestem do twojej dyspozycji.

Loken spojrzał na niego badawczo.

– To rzecz poufna. Ścisłe tajna.

– Rozumiem.

– Straciliśmy ludzi. Sześciu braci z drużyny Brakespur, w tym Udon. Jeden jest ranny, walczy o życie. A Hellebore... Drużyna Hellebore zniknęła bez śladu i obawiam się, że oni również zginęli.

– To niemożliwe. Buntownicy nie mogli przecież...

– Nie buntownicy. Xavyer Jubal – przerwał Loken i wskazał na leżące na ziemi ciało. – To on ich zabił.

Iterator zachwiał się jak uderzony. Zamrugał.

– Co zrobił? Przepraszam, Garvielu, wydawało mi się, że powiedziałeś...

– Że zabił moich ludzi. Jubal zabił sześciu Astartes. Na moich oczach zastrzelił z boltera lub zatłukł pięściami sześciu z Brakespur, a gdybym nie zakłuł go nożem, zabiłby również mnie.

Pod Sindermannem ugięły się nogi. Znalazł płaski głaz i usiadł na nim ciężko.

– Na Terrę.

– Tak, masz rację. Zgroza. Astartes nie walczą z Astartes. Nie zabijają się nawzajem. To przeciwne naturze, przeciwne naszym prawom. Zaprzecza lojalności, jaką Imperator wszczepił w nasz kod genetyczny.

– Musiała zajść jakaś pomyłka – powiedział Sindermann.

– Nie ma mowy o pomyłce. Widziałem na własne oczy, jak ich zabijał. Oszalał. Był opętany.

– Co takiego? Odwołujesz się do przesądów, Garvielu. Opętanie to zabytek języka, relikw z czasów spirytualizmu...

– Był opętany, powtarzam. Twierdził, że jest Samusem.

– Och...

– A więc słyszałeś już to imię?

– Słyszałem szept. Ale to była tylko wroga propaganda, prawda? Mówiono nam, że stosują taktykę grozy...

Loken dotknął sińców na twarzy, poczuł ból.

– Też tak sądziłem. Iteratorze, zapytam cię o to tylko raz. Czy duchy istnieją?

– Nie, kapitanie. Absolutnie nie.

– Tego nas uczono, a nauka ta przyniosła nam wyzwolenie od przesądów. Czy mimo to mogą jednak istnieć? Ten świat jest pełen świątyń i zabobonów. Czy mogłyby tu istnieć duchy?

– Nie – odpowiedział Sindermann stanowczo. – Nie ma duchów, demonów ani zjaw. Nigdzie, w żadnym zakątku kosmosu. Tak mówi Imperialna Prawda.

– Przystudiowałem zapisy archiwalne, Kyril – odparł Loken. – Mieszkańcy tego świata nadali imię Samus władcy demonów. Legenda mówi, że uwięziono go w tych górach.

– To tylko legenda, Garvielu. Mit. Podczas naszych podróży wśród gwiazd wiele się nauczyliśmy. Najważniejszą zaś nauką jest to, że nawet najbardziej tajemnicze wydarzenia zawsze znajdują racjonalne wytłumaczenie.

– Astartes wznosi oręż przeciw swym braciom i zabija sześciu z nich, twierdząc, że jest demonem z piekła rodem. Znajdź racjonalne wytłumaczenie.

– Uspokój się, Garvielu. Znajdę.

Loken nie odpowiedział. Sindermann podszedł do ciała Jubala i mu się przyjrzał. Szeroko rozwarte oczy były wywrócone białkami do góry i nabiegłe krwią. Skóra na twarzy napięła się i wyschła, jakby wojownik postarzał się o wiele tysięcy lat. Na cienkiej jak pergamin powierzchni widać było dziwne znaki, przypominające skupiska znamion.

– Te znaki – rzekł Sindermann. – Czy to może być ślad po infekcji?

– Co takiego?

– Może to wirus albo toksyny? Zaraza?

– Astartes są na nie odporni.

– Na większość z nich, ale nie na wszystkie. Myślę, że to jakaś zaraza, która wyniszczyła Jubala. Choroby potrafią nie tylko zniekształcić i zniszczyć ciało, ale i doprowadzić do szaleństwa.

– W takim razie dlaczego tylko on zachorował?

Sindermann wzruszył ramionami.

– Może w jego kodzie genetycznym istniała ukryta wada?

– Jednak zachowywał się jak opętany – powiedział kapitan, podkreślając ostatnie słowo.

– Wszyscy słyszeliśmy propagandę wroga. Jeśli umysł Jubala trawiła gorączka, mógł po prostu powtarzać zasłyszane słowa.

Loken zastanowił się przez chwilę.

– W twoich słowach jest sens, Kyril – powiedział.

– Oczywiście.

– Zaraza to rozsądne wyjaśnienie. – Loken pokiwał głową.

– Przeżyłeś dziś tragedię, Garvielu, ale nie miał w tym udziału żaden demon ani duch. A teraz bierz się do pracy. Ten obszar należy objąć kwarantanną i sprowadzić konsyliarzy. Mogą powstać następne ogniska zarazy. Śmiertelnicy tacy jak ja mogą nie być na nią odporni, a zwłoki nieszczęsnego Jubala to wciąż źródło ewentualnej epidemii.

Sindermann raz jeszcze spojrzął na ciało.

– Na Terrę – rzekł. – Cóż za strata.

Jubał uniósł głowę, z trzaskiem rwąc wysuszone ścięgna, i spojrzął na Sindermanna przekrwionymi oczyma.

– Strzeż się – wycharczał.



Euphrati Keeler przestała robić zdjęcia i schowała pikter. Obrazy, które widzieli w tunelach twierdzy, nie nadawały się do uwieczniania. Nie wiedziała, że ludzkie ciało można aż tak uszkodzić. Mimo maski aparatu tlenowego czuła w gardle unoszący się w powietrzu smród krwi i miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

– Chcę wracać – powiedział Van Krasten. Drżał i wyglądał na całkiem rozstrojonego. – Nie ma tu żadnej inspiracji. Zaraz zwymiotuję.

Euphrati była skłonna się z nim zgodzić.

– Nie – zaprzeczył Borodin Flora głosem zduszonym, lecz twardym jak stal. – Musimy zobaczyć wszystko. Jesteśmy wybrańcami pośród upamiętniaczy. To nasz obowiązek.

Euphrati była niemal pewna, że Flora ledwo powstrzymuje torsję, ale musiała przyznać mu rację. Przybyli tu po to, by wykonać swój obowiązek. Ich powinnością było uwiecznienie przebiegu Krucjaty Ludzkości. Bez względu na to, jak ów przebieg wyglądał.

Wyjęła pikter z futerału i zaczęła robić zdjęcia. Nie skupiała się na ciałach zmarłych, bo nie pozwalała jej na to przyzwoitość, ale raczej starała się uwiecznić okoliczności ich śmierci. Fotografowała krew na ścianach, płożący się nisko w wąskich tunelach dym, stosy walających się wszędzie pustych łusek po pociskach.

Mijały ich grupy żołnierzy niosących trupy. Niektórzy przyglądali się im ciekawie.

– Zgubiliście się? – zapytał jeden.

– Nie, skądże. Mamy zezwolenie – wyjaśnił Flora.

– I jesteście tu z własnej woli? – zdziwił się żołnierz.

Euphrati zrobiła im kilka zdjęć. Uchwyciła w zasadzie same podświetlone od tyłu sylwetki. Zbierali rozrzucone na skrzyżowaniu tuneli części ciał. Widok zmroził jej krew w żyłach i miała nadzieję, że jej fotografie wywrą podobne wrażenie na odbiorcach.

– Chcę wracać – powtórzył Van Krasten.

– Nie oddalaj się, bo się zgubisz – ostrzegła Euphrati.

– Chyba zwymiotuję – wyznał Van Krasten.

Zaczął się dławić i wtedy właśnie w tunelu odezwał się echem przejmujący, koszmarny wrzask.

– Co to, u diabła, było? – wyszeptała Euphrati.



Jubal powstał. Pętające go liny napięły się i pękły. Zakrzyczał raz, potem drugi. Nieprzytomny wrzask odbił się echem w komnacie.

Sindermann spanikował, zatoczył się do tyłu. Loken doskoczył i spróbował obezwładnić zmartwychwstałego szaleńca.

Jubal machnął ciężko jedną ręką i trafił go w pierś. Kapitan, odrzucony siłą ciosu, wpadł do sadzawki, rozpryskując wodę.

Jubal obrócił się, pochylił. Z jego obwisłej zuchwy ciekła ślina, przekrwione oczy obracały się jak tarcze żyrokompasu.

– Błagam... nie... – zajęczał Sindermann, nadal się cofając.

– Strzeż. Się. – Słowa wypełzły z zaślinionej gardzieli jak dwa robaki.

Jubal postąpił niezdarny krok naprzód. Coś się z nim działo, coś bardzo złego wypaczało jego postać. Puchł w oczach tak szybko, że jego pancerz zaczął odkształcać się i pękać, odpadały od niego kolejne elementy. Wzdęte od gangreny i węzlastych guzów ramiona nie mieściły się pod pancerzem. Napięta skóra miała bladoczerwone odcienie. Twarz zniekształcała opuchlizna, a z gnijących warg zwisał długi, wijący się język.

Sierżant uniósł mięsiste, nabrzmiące ramiona w tryumfalnym geście, pokazując wrośnięte, zagrzybiałe i szerniałe paznokcie, zagięte na kształt szponów.

– Samus jest blisko – wybełkotał.

Sindermann upadł na kolana przed spotworniałym olbrzymem. Jubal cuchnął, śmierdząc rozkładem i zgnilizną. Zrobił następny chwiejny krok. Całą jego postać zasnuwała mętna, żółtawa poświata, jakby nie do końca znajdował się w tym miejscu i czasie.

Pocisk z boltera trafił go w prawe ramię i eksplodował w kontakcie z korowatą skorupą, jaka pokryła jego skórę. We wszystkie strony bryznęła ropa i strzępy mięsa. Stojący w wejściu do komnaty Neron Vipus złożył się do drugiego strzału.

Istota, która była niegdyś Xavyerem Jubalem, chwyciła Sindermana i cisnęła nim w Vipusa. Obaj upadli, uderzając o ścianę tunelu. Próbując złapać Sindermana i złagodzić jego upadek, Neron upuścił broń.

Potwór wyszedł z komnaty i minął ich, pozostawiając za sobą ohydne ślady krwi i bezbarwnego płynu.



Euphrati zobaczyła, co idzie w ich kierunku, i nie potrafiła się zdecydować, czy wrzasnąć ze strachu, czy unieść pikter. W końcu zrobiła i jedno, i drugie. Van Krasten zwiotczał, stracił kontrolę nad organizmem i osunął się w kałużę własnych odchodów. Borodin Flora zaczął się cofać, bezgłośnie poruszając ustami.

Tunelem zbliżał się do nich potwór, który był niegdyś Xavyerem Jubalem. Napuchły i wstrętne; pod jego skórą wzbierały rakowate guzy. Urósł do takich rozmiarów, że resztki pancerza ciągnęły się za nim jak metalowe łańcuchy. Na jego ciele widoczne były setki dziwnych znamion. Twarz przybrała formę psiego pyska, w którym ludzkie zęby sterczały pod dziwnymi kątami, ustępując miejsca cienkim, przezroczystym niemal kłom. Kłów było wiele, tak wiele, że niemal w całości wypełniały pysk. Oczy potwornego giganta przypominały kałuże krwi.

Jubala otaczały rozedrgane, spazmatyczne promienie żółtego światła, rzucające wokół niewyraźne cienie i kształty. Jego ruchy wydawały się przez to nieregularne, jak na źle zmontowanym i nadmiernie przyspieszonym filmie.

Porwał z ziemi Tolemew Van Krastena i rąbnął nim o ścianę tunelu jak szmacianą lalkę, z każdym uderzeniem masakrując go i rozbryzgując wokół, aż na ziemię upadło coś, co tylko poniżej mostka przypominało jeszcze człowieka.

– Na Terre! – wrzasnęła Keeler i zwiotowała.

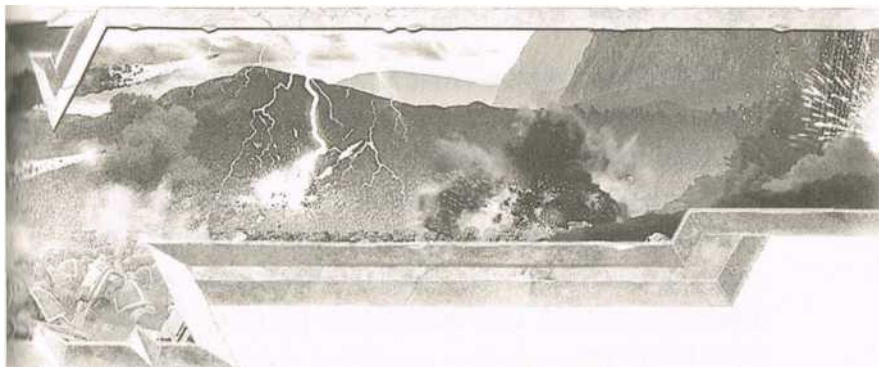
Borodin Flora stanął przed nią i zagroził potworowi drogę, zasłaniając się dłońmi splecionymi w znak Orła.

– Idź precz! – zakrzyknął. – Precz!

Monstrum pochyliło się, niewyobrażalnie szeroko otworzyło okropny pysk, pokazując wypełniające go niezliczone igłowate kły, i odgryzło Borodinowi Florze głowę wraz z górną połową ciała. To, co pozostało, runęło na ziemię, sikając wokół tętniczą krwią.

Euphrati Keeler osunęła się na kolana. Zgroza odebrała jej siły do ucieczki. Czowała spokój, głównie dlatego, że przestała kojarzyć, co się wokół niej dzieje. W ostatnich chwilach życia

pocieszyła się myślą, że w obliczu śmierci i wymykającej się rozumowi grozy udało się jej nie utracić godności i nie zmoczyła się pod siebie.



DZIESIĘĆ

MISTRZ WOJNY I JEGO SYN

MIMO ZACIEKŁOŚCI I KUNSZTU WROGA

OFICJALNA ODMOWA

– Zabiłeś to coś?

– Tak – powiedział Loken, patrząc w gliniane klepisko i błędząc myślami gdzieś daleko.

– Jesteś pewien?

Loken podniósł głowę, wyrwany z zamyślenia.

– Muszę mieć pewność – powtórzył Abaddon. – Na pewno to zabiłeś?

– Tak.

Kapitan siedział na prostym, drewnianym stołku wewnątrz jednej z chat w Kasher. Na zewnątrz zapadła noc, przynosząc ze sobą uporczywe wycie wiatru w wąwozie i wśród szczytów Szeptunów. Izbę rozświetlał chybotliwy blask tuzina oliwnych lamp.

– Zabiliśmy to. Ja i Neron. Wpakowaliśmy w to pięćdziesiąt pocisków z bolterów, ogniem ciągłym. W końcu rozprysło się i zaczęło płonąć. To, co zostało, spaliliśmy miotaczem ognia.

Abaddon skinął głową.

– Ile osób o tym wie?

– O ostatniej walce? Ja, Neron, Sindermann i ta upamiętniaczka, Keeler. Rozstrzelaliśmy to, zanim zdążyło przegryźć ją na pół. Wszyscy pozostali świadkowie nie żyją.

– Co im powiedziałaś?

– Nic, Ezekailu.

– To dobrze.

– Nic im nie powiedziałem, bo nie wiem, co miałbym powiedzieć.

Abaddon wziął zydel i usiadł twarzą w twarz z Lokenem. Obaj byli w pancerzach, bez hełmów. Abaddon pochylił nisko głowę, by zajrzeć Lokenowi w oczy.

– Jestem z ciebie dumny, Garvielu. Słyszysz? Dobrze się sprawiłeś.

– Cóż takiego niby zrobiłem? – zapytał ponuro kapitan.

– Opanowałeś sytuację. Powiedz mi, czy przed tym, jak Jubal wstał, ktoś jeszcze wiedział o zbrodni?

– Ci bracia, którzy przeżyli masakrę drużyny Brakespur. Wszyscy moi podoficerowie. Potrzebowałem ich rady.

– Pomówię z nimi – mruknął Abaddon. – To nie może się roznieść. Przyjmijmy twoją wersję wydarzeń. Odnieśliśmy zwycięstwo, chwalebne, choć nie wyjątkowe. Dziesiąta zgmiotła opór buntowników, ale dwie drużyny poniosły straty. Taka jest jednak wojna, ofiar należy się zawsze spodziewać. Buntownicy bronili się do ostatka, zaciekle i mężnie, a drużyny Hellebore i Brakespur wzięły na siebie impet kontrataku i go powstrzymały. Dzięki temu Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście poczyniła krok na drodze do pełnego wcielenia. Chwała Dziesiątej Kompanii, chwała Wilkom Luny, chwała Mistrzowi Wojny. Reszta pozostanie sprawą znaną tylko w wewnętrznym kręgu. Czy Sindermannowi można ufać?

– Oczywiście, choć nadal jest roztrzęsiony.

– A tej upamiętniaczce? Keener, czy tak?

– Keeler. Euphrati Keeler. Jest w szoku. Nie znam jej. Nie wiem, jak się zachowa, ale nie ma pojęcia, co ją zaatakowało. Powiedziałem, że było to zwierzę. Nie widziała... przemiany Jubala i nie wie, że to on.

– Dobre i to. W razie konieczności wydam jej zakaz nagłaśniania tych wydarzeń. Może jednak wystarczy rozmowa. Powtórzę bajeczkę o dzikim zwierzęciu i powiem, że utajniamy sprawę ze względu na morale. Upamiętniacze nie mogą wokół tego węszyć.

– Dwóch upamiętniaczy zginęło.

Abaddon wstał.

– W tragicznym wypadku podczas lądowania. Znali ryzyko. Smutne, ale to zaledwie przypis do relacji o wzorowo przeprowadzonej operacji.

Loken podniósł wzrok na kapitana Pierwszej Kompanii.

– Mamy zapomnieć, że do tego doszło, Ezekailu? Ja nie potrafię. I nie chcę.

– Mówię tylko, że to, co się stało, objęte jest tajemnicą wojskową. Chodzi o bezpieczeństwo i morale, Garvielu. Widzę, jak jesteś wstrząśnięty. Pomyśl, jak wielki strach wywołałaby plotka. Zniszczyłaby zaufanie, złamała ducha członków Ekspedycji, rzuciła cień na całą Krucjatę albo nawet na reputację Legionu.

Drzwi otwały się z hukiem i na chwilę do wnętrza chaty wtargnął wiatr. Loken nie podniósł wzroku. W każdej chwili spodziewał się powrotu Vipusa z nowymi rozkazami.

– Zostaw nas, Ezekailu – powiedział głos.

To nie był Vipus.

Horus nie miał na sobie pancerza. Ubrany był w prosty, ciepły strój, kolczugę i futrzany płaszcz. Abaddon skłonił się i szybko opuścił chatę.

Loken zerwał się na nogi.

– Usiądź, Garvielu – odezwał się cicho Horus. – Formalności nie będą potrzebne.

Loken powoli opadł na zydeł, a Mistrz Wojny przyklęknął obok niego. Był tak potężnie zbudowany, że kiedy klęczał, jego głowa znajdowała się na wysokości głowy siedzącego wojownika. Zdjął rękawice z czarnej skóry i oparł prawą dłoń na ramieniu Lokena.

– Chcę, byś zrzucił ciężar, który cię trapi, mój synu – powiedział.

– Staram się, panie mój, ale nie potrafię się go pozbyć.

Horus skinął głową.

– Rozumiem.

– Zawiodłem cię, panie – ciągnął Loken. – Ezekail mówi, że dla dobra propagandy będziemy robili dobrą minę do złej gry, ale nawet jeśli prawda nie wyjdzie na jaw, będę wiedział, że sprawiłem ci zawód i ściągnąłem na siebie hańbę.

– W jaki sposób?

– Zginęli ludzie. Brat zwrócił się przeciw braciom. To niewybaczalny grzech, niewyobrażalna zbrodnia. Powierzyłeś mi zadanie zajęcia tej fortecy, a ja doprowadziłem do katastrofy i zmusiłem cię do osobistego przybycia, aby...

– Dostyc – szepnął Horus.

Sięgnął do naramiennika Lokena i zdjął z niego pergamin ze słowami bitewnego ślubowania. Odczytał je na głos.

– Garvielu Lokenie, czy bierzesz na siebie obowiązki dowódcy? Czy ślubujesz prowadzić swych ludzi do wojny i zwycięskiej chwały bez względu na zaciekłość i kunszt wroga? Czy ślubujesz zgnieść buntowników na planecie Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście bez względu na to, jak silny opór będą stawiać? Czy ślubujesz przynieść chwałę XVI Legionowi oraz Imperatorowi?

– Zaczne słowa – powiedział Loken.

– Istotnie. Sam je ułożyłem. Wypełniłeś ślubowanie, Garvielu?

– Słucham, panie?

– Czy zgmiotłeś buntowników na planecie Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście mimo stawianego przez nich oporu?

– Cóż... Tak.

– Czy poprowadziłeś swych ludzi do wojny i zwycięskiej chwały mimo zaciekłości i kunsztu wroga?

– Tak...

– Nie znajduję więc w tobie winy, synu. Weź sobie do serca ostatnie zdanie: „Mimo zaciekłości i kunsztu wroga”. Kiedy nieszczęsny Jubal zmienił się w potwora, czy poddałeś się? Rzuciłeś do ucieczki? Nie okazałeś odwagi? Czy też stawiałeś czoło jego szalonej zbrodni, mimo tego, że nie potrafiłeś jej pojąć?

– Walczyłem, panie – przyznał Loken.

– Na Tron Terry, jeszcze jak walczyłeś. Jeszcze jak, kapitanie Loken! Porzuć wstyd, bo ci on nie przystoi. Służyłeś mi dziś ze wszystkich sił, mój synu. Żałuję tylko tego, że twe zasługi nie mogą zostać rozgłoszone.

Loken chciał odpowiedzieć, ale zmilczał. Horus wstał i zaczął przechadzać się po izbie. Znalazł butelkę wina na półce i nalał sobie kieliszek.

– Rozmawiałem z Kyrilem Sindermannem – powiedział, po czym wypił łyk wina i skinął głową, jakby zaskoczony jakością rocznika. – Biedny Kyril. Cóż za koszarne przeżycie. Wspomniał nawet o demonach, dasz wiarę? Sindermann, arcyprorok świeckiego racjonalizmu! Napomniałem go oczywiście. Powiedział mi jednak, że i ciebie trapi myśl o demonach.

– Kyril z początku przekonał mnie, że to skutek zarazy, ale widziałem, jak duch... demon... opętał Xavyera Jubala i zamienił go w potwora, a jego duszę zwrócił przeciw braciom.

– Nie, Garvielu. Nie widziałeś – powiedział Horus.

– Panie?

Horus uśmiechnął się.

– Pozwól, że cię oświecę i wyjaśnię, co widziałeś. To sekret, znany tylko nielicznym, choć Imperator, wielbiony przez wszystkich, wie na ten temat najwięcej. Jest to najściślej strzeżony sekret, Garvielu, i muszę wiedzieć, czy potrafisz go dochować. Zdradzę ci jego naturę, by ukoić twój umysł, ale tylko wtedy, jeśli zapewnisz mnie, że nikomu go nie wyjawisz.

– Przyrzekam – powiedział Loken.

Mistrz Wojny wypił łyk wina.

– Widziałeś osnowę, Garvielu.

– Osnowę?

– Oczywiście. Znamy moc osnowy rzeczywistości i zawarty w niej Chaos. Wiemy, że potrafi zmieniać ludzi. Wiemy też, że jej mroczne odmęty zamieszkują ohydne stwory. Sam je wszak widziałeś. Na Erridas, na Syrinx, na krwawym wybrzeżu Tassilonu! W osnowie bytują istoty, które można łatwo wziąć za demony.

– Panie, ja... – Loken zająknął się. – Uczono mnie o naturze osnowy. Jestem przygotowany, by stawiać czoła czającym się w niej potwornościom. Walczyłem z nieczystymi stworami, które wypełzają z bram Empireum, i tak, wiem, że osnowa potrafi skazić i wypaczyć człowieka. Widziałem to na własne oczy, ale dotyczyło to wyłącznie psioników. Świadomie podejmują ryzyko. Nigdy nic podobnego nie spotkało Astartes.

– Czyżbyś w pełni pojął, jak działa osnowa, Garvielu? – zapytał Horus. Uniósł kieliszek, by w świetle lampy przyjrzeć się kolorowi wina.

– Nie, panie.

– Ja też nie, mój synu. Nawet Imperator, wielbiony przez wszystkich, nie pojął tego w pełni. Niechętnie to przyznaję, ale taka jest prawda, a prawda jest dla nas najważniejsza. Przestrzeń osnowy jest dla nas cennym narzędziem komunikacji i transportu. Bez niej nie byłoby Imperium Ludzkości, nie istniałyby bowiem skróty między gwiazdami. Wykorzystujemy tę przestrzeń, ale nie mamy nad nią całkowitej kontroli. To nieujarzmiony obszar, który toleruje naszą obecność, lecz nie próbę narzucania własnej woli. W osnowie zawarta jest fundamentalna dla materii wszechświata moc, ani dobra, ani zła, ale pierwotna i niebezpieczna. Wykorzystujemy ją na własne ryzyko.

Mistrz Wojny wysączył kielich i odstawił go.

– Duchy. Demony. Słowa te sugerują istnienie sił wyższych, diabelskich inteligencji, archetypów zła, snujących intrygi o kosmicznej skali. Sugerują istnienie i ukryte działanie boga lub bogów. Sugerują wreszcie istnienie sił czarnoksiężskich i namacalnie złych, nadnaturalnych, w które wiarę udało się nam porzucić dzięki światłu nauki i rozumu.

Horus spojrział na Lokena.

– Duchy. Demony. Zjawiska nadnaturalne. Czarnoksiężstwo. Wszystkie te słowa wyszły z użycia ze względu na ich implikacje i skojarzenia. To jednak nadal tylko słowa. To, co dziś widziałeś... nazwij to duchem, jeśli chcesz. Nazwij demonem. Słowa te oddają naturę rzeczy, ale ich użycie nie jest w stanie zanegować fundamentalnej prawdy o wszechświecie, jaki znamy. W pozbawionym bogów kosmosie mogą więc istnieć demony, Garvielu. Pod warunkiem że rozumiemy, co kryje się pod tym mianem.

– Osnowa?

– Osnowa. Po co tworzyć nowe nazwy na jej zagrożenia, skoro istnieje całe bogactwo słów starych i równie trafnych? Używamy słów „ksenosi” oraz „obcy” na określenie nieludzkich bestii, na które zdarza nam się natrafiać. Istoty zamieszkujące osnowę to również obcy, ale nie są to byty fizyczne lub organiczne. Istnieją pomiędzy wymiarami i wywierają na naszą rzeczywistość wpływ, który może się nam zdawać czarnoksiężstwem. Używajmy więc wszystkich znanych nam słów na ich określenie. Zwijmy je demonami, zwijmy duchami lub odmieńcami. Pamiętać musimy tylko, że wśród niezmiernych mroków wszechświata nie kryją się żadni bogowie, żadne arcydiabły ani królowie piekieł. W kosmosie nie istnieje zjawisko absolutnego zła. Kosmos jest zbyt wielki, zbyt sterylny, by dopuszczać istnienie czegoś tak teatralnego. Istnieją tylko nieludzkie rasy, które stawiają nam opór i których przeznaczeniem jest ginąć z naszej ręki. Orki. Gykoni. Tushepta. Keylekidzi. Eldarzy. Jokaero... Oraz istoty osnowy, najbardziej ze wszystkich niezwykle, gdyż władają niepojętymi dla nas mocami.

Loken wstał. Powiódł wzrokiem po izbie i usłyszał dochodzące z zewnątrz zawrodożenie górskiego wichru.

– Widziałem psioników w mocy osnowy, panie – powiedział. – Byłem świadkiem, jak wzbierało w nich zepsucie, jak rozkład za życia rozdymał ich ciała. Nigdy jednak nie widziałem, by coś podobnego przydarzyło się człowiekowi wolnemu od psionicznej skazy.

I nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego spotkać może Astartes.

– To możliwe – odparł Horus z uśmiechem. – Czy to cię zaskakuje? Przykro mi. Nie rozgłaszamy tego. Energia osnowy opanować może wszystko. Dziś odniosła szczególne zwycięstwo. Te góry nie są nawiedzone, jak chcą legendy, ale osnowa niemal dotyka tu materii rzeczywistości. Ten właśnie fakt doprowadził do powstania legend. Ludzie od zawsze szukali metod okiełznania osnowy i niektórym, jak na przykład mieszkańcom tych gór, to się udawało. Użyli tej mocy przeciwko tobie, a biedny Jubal stał się ich narzędziem.

– Dlaczego właśnie on?

– A dlaczego nie? Miał do ciebie żal, że pominąłeś go przy promocji, a żal wzbudził gniew. Gniew zaś sprawił, że był słaby i podatny na oddziaływanie osnowy. Przypuszczam, że buntownicy mieli nadzieję, że wyzwolona przez nich moc zbierze krwawe żniwo, ale Dziesiąta Kompania okazała się na to zbyt silna. Samus był tylko głosem dobiegającym z dziedziny Chaosu, który na krótki czas przylgnął do Jubala. Skutki mogły być oplakane. Sprawileś się nadzwyczaj dobrze.

– Jesteś tego pewny, panie?

Horus znów się uśmiechnął. Widok tego uśmiechu nappełnił serce Lokena ciepłem.

– Mistrzynie Astropatów Ing Mae Sing doniosła mi o znacznym zwiększeniu aktywności osnowy w tym rejonie zaraz po waszym lądowaniu. Fakty nie podlegają dyskusji. Miejscowi użyli swej prymitywnej wiedzy na temat osnowy, którą uważali zapewne za magię, aby użyć grozy Empireum jako broni.

– Dlaczego więc tak niewiele mówi się nam na temat osnowy, panie? – zapytał Loken, spoglądając prosto w oczy Horusa.

– Dlatego że tak niewiele o niej wiemy – odparł Mistrz Wojny. – Czy wiesz, dlaczego jestem Mistrzem Wojny, synu?

– Ponieważ jesteś najbardziej godny tego tytułu, panie.

Horus zaśmiał się, pokręcił głową i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek wina.

– Zostałem mianowany Mistrzem Wojny, ponieważ Imperator jest zajęty, Garvielu. Nie wrócił na Terrę dlatego, że Krucjata go zmęczyła, ale dlatego, że czeka tam na niego ważna praca.

– Ważniejsza od Krucjaty?

Horus skinął głową.

– Tak mi powiedział. Po Ullanorze uznał, że może pozostawić Krucjatę w rękach Prymarchów, a samemu zamierza zająć się dziełem dalece ważniejszym.

– Czym tedy? – Loken oczekiwał, że Horus wyjawii mu jakąś wykraczającą poza granice umysłu prawdę.

Ale Mistrz Wojny go zaskoczył.

– Nie wiem. Nie powiedział tego ani mnie, ani nikomu innemu.

Horus zamilkł. Przez chwilę ciągnącą się jak wieczność słyhać było tylko szarpiący okiennicami chaty wiatr.

– Nawet mnie... – wyszeptał. Loken wyczuł wówczas w nim wielki żal, zranioną dumę, że nawet on nie był godzien, by dopuścić go do tajemnicy.

Po sekundzie Mistrz Wojny znów się uśmiechał, a wyraz mrocznej zadumy zniknął z jego twarzy bez śladu.

– Nie chciał mnie obarczać sekretem – powiedział żywo. – Nie jestem jednak głupcem i potrafię snuć przypuszczenia. Jak powiedziałem, bez osnowy nie byłoby Imperium. Jesteśmy skazani na korzystanie z niej, a mimo to wiemy na jej temat niebezpiecznie mało. Uważam, że Imperator mianował mnie Mistrzem Wojny, aby samemu oddać się badaniom nad zgłębieniem tajemnic osnowy. Dla dobra ludzkości pragnie zdobyć nad nią całkowitą kontrolę. To właśnie zaprzęta jego nieskończenie wielki umysł. Pojął, że bez pełnego i ostatecznego zrozumienia Immaterium ludzkość skazana będzie na porażkę i upadek bez względu na to, ilu światów byśmy nie opanowali.

– A jeśli mu się nie uda? – zapytał Loken.

– Uda mu się – odparł Mistrz Wojny krótko.

– A jeśli to nam się nie uda?

– I nam się uda – powiedział Horus. – Ponieważ jesteśmy jego wiernymi sługami i synami. I ponieważ nie możemy go zawieść.

Spojrzał na swój w połowie pusty kieliszek i odstawił go na bok.

– Przybyłem tu w poszukiwaniu demonów, ale znalazłem je tylko na dnie butelki – zażartował. – Niech to będzie nauką dla nas obu.



W milczeniu wojownicy Dziesiątej Kompanii wysiadali ze stygnących statków szturmowych i szli przez pokład desantowy w stronę koszarów. Towarzyszył im tylko stukot uderzających o pokład pancernych butów.

W nakrytych sztandarami Legionu trumnach niesiono ciała poległych braci z drużyny Brakespur. Niesiono tak także trumny Flory i Van Krastena, którym jako cywilom nie przysługiwały wojskowe honory.

Bicie w Dzwon Powrotu oznajmiło powrót Kompanii, niosąc się echem w ładowni. Astartes uczynili znak Orła i zdjęli hełmy.

Loken udał się samotnie do swej zbrojowni, wzywając służebnych artefaktów. W dłoni niósł przeбитą nożem Jubala lewy naramiennik.

Wszedł do zbrojowni i już miał cisnąć przykrą pamiątkę w kąt, gdy zdał sobie sprawę, że nie jest sam.

W cieniu stała Mersadie Oliton.

– Panno Oliton – powitał ją, odkładając uszkodzony naramiennik.

– Przepraszam, kapitanie, nie chcę się narzucać, ale adiutant pozwolił mi zaczekać na pański powrót. Chciałam z panem porozmawiać. I przeprosić.

– Za co? – zapytał Loken, wieszając poobijany hełm na haku stojaka na pancerz.

Zbliżyła się o krok. Jej czarna skóra i dostojnie wydłużona głowa lśniły w świetle lamp.

– Za to, że zmarnowałam daną mi szansę. Był pan tak dobry i zgłosił moją kandydaturę do udziału w wyprawie na powierzchnię planety, a ja nie stawiałam się na czas.

– Powinnaś się z tego cieszyć.

Zmarszczyła brwi.

– Coś mnie zatrzymało. Widzi pan, mój przyjaciel, poeta i upamiętniacz Ignace Karkasy, narobił sobie kłopotów i potrzebował mojej pomocy. Zabrało mi to tyle czasu i straciłam okazję do towarzyszenia Dziesiątej Kompanii.

– Niczego nie straciłaś – powiedział Loken i zaczął zdejmować pancerz.

– Chciałabym też porozmawiać z panem o kłopotach Karkasego. Nie śmiem prosić, ale sądzę, że ktoś o pańskiej pozycji mógłby mu pomóc.

– Słucham.

– I ja słucham, kapitanie – powiedziała Mersadie.

Podeszła bliżej i położyła swą maleńką dłoń na jego ramieniu. Kiedy zrywał z siebie płyty pancerza, w jego ruchach było tyle wściekłych emocji, że chciała go choć odrobinę uspokoić.

– Jestem upamiętniaczką, kapitanie – powiedziała. – Pańską upamiętniaczką, jeśli mówiąc to, nie wydam się panu zbyt zuchwałą. Czy chciałby pan opowiedzieć mi, co zaszło na powierzchni? Czy chce pan podzielić się ze mną swymi wspomnieniami?

Loken spojrzał na nią, a jego oczy miały barwę deszczu. Cofnął się przed jej dotykiem.

– Nie – powiedział.

CZEŚĆ DRUGA
**BRATERSTWO W KRAINIE
PAJĄKÓW**



JEDEN

MIŁOŚĆ I ODRAZA

TEN ŚWIAT TO RZEŻNIA

GŁÓD CHWAŁY

Nawet po tym, jak zabił wielu megarachnidów, Saul Tarvitz nie potrafił określić, gdzie kończą się ich ciała, a zaczyna broń. Ich biologia mieszała się z technologią w taki sposób, że obu elementów nie można było odróżnić. Nazwane megarachnidami stawonogi nie nosiły pancerzy ani broni. Ich zbroje były na stałe zrosnięte z rączymi skorupami, a broń stanowiła przedłużenie kończyn, tak samo naturalne, jak palce u rąk dla człowieka.

Tarvitz odczuwał do nich zarazem odrazę i miłość. Odrazę wzbudzało w nim ich wynaturzone dążenie do nieludzkiej perfekcji. Kochał ich jednak za to, że jako wrogowie stanowili prawdziwe wyzwanie. Pokonanie ich stanowić miało dla Dzieci Imperatora krok w stronę pełnego uwolnienia drzemiącego w nich potencjału. Jak powiedział kiedyś Lord Komandor Eidolon: „Tylko przeciwnik dysponujący realną siłą i zaciętością stanowi prawdziwy sprawdzian naszych umiejętności”.

Tarvitz jednak zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Tym razem na szali ważyło się coś więcej niż tylko sprawność bojowa Legionu. Astartes, ich współbracia, napotkali pewne trudności. Dzieci Imperatora wyruszyły im na pomoc, a choć nikt głośno nie użył tego słowa, ich zadaniem było przeprowadzenie operacji ratunkowej. Nikt nie ośmieliłby się jednak otwarcie sugerować, że Krwawe Anioły mogłyby potrzebować ratunku.

Oficjalnie ich misję określono więc jako „posiłki”. Trudno jednak dotrzeć do czegoś, czego nie można znaleźć. Od sześćdziesięciu sześciu godzin znajdowali się na powierzchni Rzeźni. Nie znaleźli nawet śladu sił Sto Czterdziestej Ekspedycji.

Co gorsza, sami również zaczęli się gubić.

Lord Komandor Eidolon rozkazał przeprowadzenie desantu siłami pełnej Kompanii. Wejście w atmosferę było trudne, znacznie trudniejsze, niż mówiły pesymistyczne wszak prognozy. Koszmarnie silne prądy atmosferyczne rozrzuciły kapsuły desantowe jak plewy na wietrze, spychając je z kursu i utrudniając lądowanie. Tarvitz wiedział, że wiele z nich dotarło do powierzchni planety z uszkodzeniami. Na miejscu okazało się, że jest jednym z dwóch kapitanów dowodzących nieco ponad trzydziestoma ludźmi, co stanowiło około jedną trzecią liczebności Kompanii. Tylko tylu Astartes udało się przegrupować po lądowaniu. Z powodu zakłóceń powodowanych przez burze w górnych warstwach atmosfery nie mogli skontaktować się z flotą, Eidolonem ani żadnym innym oddziałem.

Zakładając, że Eidolon wraz z innymi przeżył desant.

Cała sytuacja groziła sromotną porażką, porażka zaś nie była czymś, co Dzieci Imperatora brały pod uwagę. Żeby więc przekuć ją w sukces, należało przystąpić do realizacji zadania, dlatego też Astartes rozeszli się w tyralierę w poszukiwaniu braci, których mieli wspomóc. Istniała nadzieja, że podczas patrolu poszukiwawczego uda się im natknąć na inne drużyny Kompanii lub choćby znaleźć jakiś punkt umożliwiający orientację w terenie.

Okolica, w której znaleźli się po lądowaniu, była niepokojąca. Pod szklistym, białym nieboskłonem, smaganym błyskawicami wzbudzonych przez megarachnidy burz ochronnych, rozciągała się łagodnie pofalowana równina pokryta rdzawym pyłem tlenku żelaza. Wznosiły się nad nią gigantyczne łądygi w kolorze brudnego lodu. Każda z nich miała średnicę męskiego uda i wysokość dwudziestu metrów. Wszystkie posiadały suchą i twardą powierzchnię i szumiały łagodnie, smagane radioaktywnym wiatrem, ale przy powierzchni ich liczebność i rozmiary sprawiały, że odgłos ten brzmiał jak nieustanny, przeciągły jęk.

Astartes poruszali się w pełnym jęków lesie jak wszy w polu zboża.

Nad ich głowami wyniosłe łądygi oskarżycielsko wskazywały w burzliwe i rozjarzone brudnobiałym blaskiem niebo. Rosły tak gęsto, że widoczność została ograniczona do kilku metrów w każdą stronę.

Podstawy większości łądyg do wysokości metra gęsto pokrywały nabrzmiące czarne larwy, przypominające worki wielkości ludzkiej głowy. Stworzenia nie były groźne, po prostu tkwiły na łądygach, przypuszczalnie wysysając z nich składniki odżywcze. Czyniąc to, wydawały z siebie dziwny, sykliwy odgłos, który łączył się z zawodzeniem lasu.

Bulle zasugerował, że larwy mogą stanowić młodzieńczą formę rozwoju megarachnidów i przez pierwszych kilka godzin systematycznie niszczyli je ogniem i żelazem. Szybko jednak okazało się, że jest to męczące i beznadziejne zadanie. Larwy były wszędzie i w końcu postanowili przestać je niszczyć. Nie chcieli też, by tryskający z pękających ciał żrący i cuchnący płyn uszkodził ostrza mieczy i płyty pancerzy.

Lucjusz, drugi obok Tarvitz kapitan oddziału, znalazł pierwsze drzewo. Wezwał ich natychmiast, by im je pokazać. Powstało z czegoś, co przypominało biały, zwapniały kamień i górowało nad otaczającym je morzem łądyg. Miało kształt grzyba o szerokim na pięćdziesiąt metrów kopulastym kapeluszu, a jego niski, krępy pień liczył dziesięć metrów średnicy. Kapelusz stanowił półkulę splątanych cierni w kolorze wyblakłej kości, z których niektóre osiągały dwa lub trzy metry długości.

– Do czego to służy? – zastanawiał się głośno Tarvitz.

– Do niczego – powiedział Lucjusz. – To zwykłe drzewo. Nie służy żadnemu celowi.

Lucjusz był jednak w błędzie.

Był młodszy od Tarvitz, choć obaj żyli dość długo, by zdążyć zobaczyć już niejedno. Przyjaźnili się, choć była to przyjaźń niełatwa, bo Saul i Lucjusz reprezentowali przeciwne cechy charakterystyczne dla ich Legionu. Obaj dążyli więc do perfekcji, jak na Dzieci Imperatora przystało, ale tam gdzie Saul był ostrożnym realistą, tam Lucjusz był ambitnym ryzykantem.

Tarvitz dawno już zdał sobie sprawę z tego, że Lucjusz pewnego dnia przewyższy go stopniem i wojenną chwałą. Miał nawet szansę osiągnąć godność Lorda Komandora i wejść do silnie zhierarchizowanego, wewnętrznego kręgu dowódców Legionu. Tarvitz nie dbał o to. Był oficerem liniowym, urodzonym, by prowadzić swych ludzi do walki, i nie pragnął zaszczytów. Zadowalał się możliwością czczenia swego Prymarchy oraz ukochanego przez wszystkich Imperatora, znając swe miejsce w szeregu i wypełniając obowiązki z niezachwianym oddaniem.

Lucjuszowi zdarzało się czasem po przyjacielsku drwić z niego i twierdzić, że Tarvitz szuka uznania wśród szeregowych Legionistów, gdyż nie potrafi znaleźć go wśród oficerów. Tarvitz zawsze zbywał te żarty śmiechem, gdyż wiedział, że Lucjusz go nie zrozumie. Saul

Tarvitz czerpał bowiem dumę z bezwzględności przestrzegania kodeksu Legionu. Wiedział, że jego prawdziwym przeznaczeniem jest służyć na polu walki, w pierwszej linii, z bronią w ręku. Czuł, że pragnąc więcej, pozwoliłby sobie na arogancję i nigdy nie osiągnął wymarzonej perfekcji. Tarvitz miał zasady i gardził tymi, którzy porzucali własne w imię ścigania niemożliwych do osiągnięcia celów.

Była to kwestia nie tyle poczucia wyższości, co czystości ideałów, bo to właśnie Dzieci Imperatora ceniły najwyżej i tego też Astartes z innych Legionów nigdy nie potrafili zrozumieć.

Niecały kwadrans po odkryciu drzewa, jednego z wielu wyrastających z jękliwego morza traw, zaatakował ich pierwszy z megarachnidów.

Jego nadejście zwiastowały trzy zjawiska: larwy na okolicznych łądych przestały nagle syczeć, łądygi zawibrowały jak porażone prądem, a potem Astartes usłyszeli dziwny, świergotliwy odgłos, który zbliżał się z każdą sekundą.

Podczas pierwszego starcia Tarvitz nie miał czasu przyjrzeć się wrogom. Pojawili się nagle, świergotząc i terkocząc wypadli z lasu łądyg, a ich ruchy rozmazywały się w srebrzyste smugi. Chaotyczna walka trwała dwanaście sekund, wypełnionych odgłosami wystrzałów, okrzykami i dziwnym, ciężkim łomotaniem. Potem wrogowie znikli tak samo szybko, jak się pojawili, łądygi przestały wibrować, a larwy podjęły swój syk.

– Widziałeś ich? – zapytał Kercort, zmieniając magazynek boltera.

– Coś widziałem... – przyznał Tarvitz zajęty tą samą czynnością.

– Durellen i Martius nie żyją – odezwał się nonszalancko Lucjusz, zbliżając się do nich z trzymanym w dłoni dziwnym przedmiotem.

Tarvitz nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Nie żyją? Tak... po prostu? – zapytał. Walka nie trwała przecież na tyle długo, by mogli w niej polec dwaj weterani Legionu.

– Nie żyją – potwierdził Lucjusz. – Możesz sam zobaczyć ich zwłoki. Leżą o, tam. Nie byli dość szybcy.

Trzymając broń w pogotowiu, Tarvitz precyzyjnie się między rozkołysanymi łądychami, z których część połamały i zwały pociski boltera. Zobaczył dwa ciała towarzyszy, leżące na pokrytej szczątkami roślin czerwonej ziemi. Ich piękne, purpurowo-złote pancerze były rozerwane i pocięte, wypływała z nich krew.

Wstrząśnięty widokiem poległych Tarvitz odwrócił wzrok od krwawej jatk.

– Znajdź Varrasa – rozkazał Kercortowi, który oddalił się w poszukiwaniu konsyliarza.

– A my zabiliśmy kogoś? – chciał wiedzieć Bulle.

– Ja coś trafiłem – pochwalił się z dumą Lucjusz – ale nie mogę znaleźć ciała. Ale zostawił po sobie to. – Pokazał trzymany w ręce przedmiot.

Była to kończyzna lub też końcowa jej część. Smukła, o twardej powierzchni i długa na metr, przypominała lekko zakrzywioną klingę z pokrytego cynkiem żelaza. Czubek był niezmiernie ostry, a całość wąska, nieprzekraczająca grubością męskiego nadgarstka. Długie ostrze kończył bulwiasty staw, łączący je z grubszym segmentem kończyny. Również tę część pokrywał szary, cętkowany metal. Urywała się ona gwałtownie w miejscu, w którym oderwał ją strzał Lucjusza. W przekroju widać było metalową powłokę okrywającą naturalną chitynową skorupę i widoczne w środku różowe, lśniące wilgocią mięso.

– Czy to ramię? – zapytał Bulle.

– Raczej miecz – poprawił go Katz.

– Miecz wyrastający ze stawu? – parsknął Bulle. – Z mięsem w środku?

Lucjusz ujął kończynę tuż ponad stawem i stanął w pozycji szermierczej, prezentując ostrze. Ciął najbliższą łodygę i czysto przerabiał ją na wskroś. Potężna, wyschnięta roślina przełamała się i runęła na ziemię, ciągnąc za sobą inne łodygi.

Lucjusz zaśmiał się, ale jego śmiech przerwał okrzyk bólu. Upuścił kończynę. Nawet u podstawy, tuż nad stawem, krawędź była ostrzejsza od brzytwy. Siła jego chwytu wystarczyła, by przegryźć pancerną rękawicę.

– Zacięła mnie – poskarżył się Lucjusz, oglądając rozcięcie.

Tarvitz przyjrzał się leżącej na czerwonym piachu kończynie.

– Nic dziwnego, że potrafia rąbać nas na kawałki.

Pół godziny później, kiedy łodygi znów zadrgały, Tarvitz po raz pierwszy stanął oko w oko z megarachnidem. Zabił go, ale walka była bardzo wyrównana, choć trwała ledwie kilka sekund.

Po tym spotkaniu Saul Tarvitz zaczął rozumieć, dlaczego Khitas Frome nazwał planetę Rzeźnią.



Ogromny okręt wojenny wyprysnął ze smugi nierzeczywistego światła jak przebijający powierzchnię morza wieloryb. Dokonał retranslacji z przestrzeni osnowy do pograżonej w ciszy,

fizycznej pustki kosmosu. Towarzyszył temu wstrząs i drżenie kadłuba. Według wskazań pokładowego horologium translacja nastąpiła po dwunastu standardowych tygodniach, a nie osiemnastu, jak było pierwotnie planowane, co skróciło wydatnie czas podróży. Taka oszczędność czasu wymagała zaangażowania środków, jakimi dysponował tylko Mistrz Wojny.

Przez następne sześć milionów kilometrów snuły się za nim świetliste macki widma silników plazmowych, opływające kadłub niczym podnawki kręcące się wokół rekina. Potem po stronie rufy rozbłysły stroboskopowo znaki, że z osnowy wychodzą pozostałe okręty konwoju: dziesięć lekkich krążowników i pięć statków przewożących żołnierzy. Spóźnione jednostki uruchomiły silniki i ociążale poczęły formować szyk wokół okrętu flagowego. Kiedy się zbliżyły, flagowiec uruchomił własny napęd i poprowadził konwój naprzód.

W stronę Sto Czterdzieści Dwadzieścia. Planety znanej jako Rzeźnia.

Detektory dalekiego zasięgu zabrzęczały, wykrywając magnetyczne i elektryczne widma statków zakotwiczonych na wysokiej orbicie wokół czwartej planety układu, znajdującej się w odległości osiemdziesięciu milionów kilometrów od okrętu flagowego. Żółte, gorące słońce dęło wokół wichrem silnie naładowanych cząstek.

Idący na czele flotyli okręt flagowy nadał standardowe protokoły powitania w postaci transmisji voxu, video, kodów Rady Wojennej oraz komunikatów astrotelepatycznych.

– Tu „Mściwy Duch” z Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji. Mamy pokojowe zamiary i przynosimy poselstwo Imperatora Ludzkości. Zamknijcie przedziały artyleryjskie i przejdźcie w tryb gotowości. Czekamy na odpowiedź.

Na mostku „Mściwego Ducha” Mistrz Komnenus stał przy stanowisku dowodzenia i czekał. Na mostku panowała dziwna – zważywszy jego rozmiary i liczbę personelu – cisza. Słyszał było tylko szmer przytłumionych głosów i szum instrumentów. Sam okręt wyrażał głośnie protesty. Z jego olbrzymiego kadłuba dobiegały trzaski i metaliczne jęki towarzyszące rozprężaniu się poszycia po ogromnych przeciążeniach grawitacyjnych retranslacji.

Boas Komnenus znał większość owych odgłosów, jak zna się starych przyjaciół, i potrafił niemal bezbłędnie je przewidywać. Służył na okręcie flagowym od dawna i poznał go tak dobrze, jak ciało ukochanej kobiety. Czekał w napięciu na fałszywą nutę w jękach statku, na syreny alarmowe oznajmiające dekompresję kadłuba.

Na razie jednak problemów nie było. Spojrzał pytająco na Mistrza Voxu, który pokręcił głową. Przeniósł wzrok na Ing Mae Sing, która mimo ślepoty doskonale zdawała sobie sprawę z jego spojrzenia.

– Nie odpowiadają, Mistrzu – powiedziała.

– Powtórzyć komunikaty – rozkazał. Chciał usłyszeć odpowiedź na sygnał, bardziej jednak chciał poznać położenie swego okrętu. Ustalenie go po wyjściu z osnowy trwało już zbyt długo. Komnenus zabębnił stalowymi palcami na krawędzi głównej konsoli i obecni na mostku oficerowie wstrzymali oddech. Znali ową oznakę zniecierpliwienia i bali się jej.

Na mostek wspiął się pospiesznie adiutant, niosąc płytkę z danymi. Miał chyba zamiar przeprosić za opóźnienie, ale Komnenus spojrzał na niego tylko, a mechanizm optycznego augmetyku zawarczał. Warkot ten stanowił ostrzeżenie. „Nie waż się odzywać niepytany”. Adiutant podał mu płytkę.

Komnenus odczytał jej zawartość, skinął głową i zwrócił ją adiutantowi.

– Zapisać w dzienniku pokładowym – powiedział.

Adiutant został na mostku tylko tak długo, by jeden z oficerów pokładowych utrwalił w dzienniku pozycję okrętu. Potem pospieszył po schodach na górę, na pokład strategium. Zasalutował i wręczył płytkę oficerowi pełniącemu wachtę, który przyjął ją, odwrócił się i przeszedł dwadzieścia metrów do szklanej tafli wrót wiodących do sanktuarium Mistrza Wojny. Tam wręczył płytkę dowódcy ochrony, olbrzymiemu Astartes w złotym pancerzu straży. Ten odczytał jej zawartość, skinął głową i otworzył wrota. Czekał już za nimi posepny jak zwykle Maloghurst, który odebrał przesyłkę od adiutanta, przeczytał ją i zamknął wrota.

– Nasze położenie zostało potwierdzone i zapisane w dzienniku pokładowym – oznajmił Maloghurst. – Jesteśmy nad Sto Czterdzieści Dwadzieścia.

Mistrz Wojny siedział w fotelu z wysokim oparciem, z którego przez pancerną szybę mógł podziwiać bezmiar morza gwiazd. Odetchnął z ulgą.

– Potwierdzam przyjęcie danych nawigacyjnych. Polecam zapisać moje potwierdzenie w dzienniku pokładowym – powiedział.

Rozległo się skrzywienie gęsich piór, którymi otaczający go skrybowie zapisali jego słowa, po czym skłonili się i wyszli.

– Maloghurście – Mistrz Wojny spojrzał na swego adiutanta – przekaz Boasowi moje podziękowania i gratulacje.

– Tak, panie.

Mistrz Wojny wstał z fotela. Miał na sobie pełen pancerz paradny, aż lśniący od złota i perłowej bieli. Na ramionach nosił płaszcz z purpurowej, łuskowanej skóry wielkiego gada. Na napierśniku widniało godło rozwartego Oka Terry. Odwrócił się i spojrzał na dziesięciu zgromadzonych w centrum komnaty oficerów Astartes. Każdy z nich poczuł, że pozbawione powiek Oko patrzy właśnie na niego.

– Czekamy na rozkazy, panie – odezwał się Abaddon. Podobnie jak pozostali kapitanowie miał na sobie pancerz szturmowy i długi, sięgający pokładu płaszcz, a grzebieniasty hełm trzymał w zgięciu lewego ramienia.

– Dotarliśmy na miejsce i żyjemy – powiedział Torgaddon. – Rzecz zaczęła się więc pomyślnie.

Przez twarz Mistrza Wojny przemknął uśmiech.

– Masz rację, Tariku. – Kolejno spojrzał w oczy każdego z obecnych oficerów. – Przyjaciele, wygląda na to, że przyjdzie nam stoczyć wojnę z obcymi. Cieszy mnie ta perspektywa. Jestem dumny z naszych osiągnięć na Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście, ale walki, które tam stoczyliśmy, stanowiły bolesną konieczność. Nie czerpię radości ze zwycięstwa odniesionego nad przedstawicielami naszego własnego gatunku, nawet wtedy, kiedy uparcie trzymają się swej zabobonnej kultury. Żołnierz we mnie wzbrania się przed odczuwaniem takiej radości, a to z kolei odbiera mi chęć do toczenia wojny. Wszyscy jednak jesteśmy wojownikami. Zostaliśmy stworzeni po to, by walczyć, do tego przygotowały nas trening i wojskowa dyscyplina. Oprócz was dwóch – dokończył Horus z drwiącym uśmiechem, wskazując ruchem głowy Abaddona i Sedirae. – Wy bowiem zabijacie, dopóki nie każę wam przestać.

– I nawet wtedy musisz podnosić głos, panie – dodał Torgaddon. Wszyscy się roześmiali.

– Perspektywa wojny z obcymi napawa mnie radością – ciągnął Mistrz Wojny, nie przestając się uśmiechać. – To wróg niebezpieczny, ale i nieskomplikowany. Okazja do prowadzenia wojny w sposób nieskrępowany, bez wyrzutów sumienia ani żalu. Okazja, by znów być tylko wojownikami, a nie dyplomatami i politykami.

– Wiwat! – zakrzyknął stary Iacton Qruze, jak zwykle poważny i uroczysty. Zawsze miał Torgaddonowi za złe jego ciągle żarty. Pozostali kapitanowie wyrazili aprobatę w sposób bardziej powściągliwy.

Horus wyprowadził ich ze swego sanktuarium na pokład strategium i zatrzymał się tam w otoczeniu swych zaufanych dowódców, czterech członków Kwadry oraz innych kapitanów. Byli tam więc Sedirae, dowódca Trzynastej Kompanii, Qruze z Trzeciej, Targost z Siódmej, Marr z Osiemnastej, Moy z Dziewiętnastej oraz Goshen z Dwudziestej Piątej.

– Pora na odprawę taktyczną – powiedział Mistrz Wojny.

Maloghurst czekał w pogotowiu. Poruszył różdżką kontrolną i nad podestem pojawiły się szczegółowe obrazy hololityczne. Odzwierciedlały ogólną charakterystykę układu planetarnego, w którym się znajdowali. Hololityczne modele zawierały wykresy orbit oraz pozycje poruszających się i zakotwiczonych okrętów. Horus spojrział na wyświetlany obraz i sięgnął dłonią w jego kierunku, a czujniki wbudowane w rękawicę pozwoliły mu obracać go i powiększać wybrane elementy.

– Dwadzieścia dziewięć statków – powiedział. – Myślałem, że Sto Czerdziesta Ekspedycja złożona była tylko z osiemnastu jednostek?

– Takie otrzymaliśmy dane, panie – odparł Maloghurst.

Kiedy tylko opuścili sanktuarium, wszyscy przeszli na cthoński, by zachować zamierzenia taktyczne w tajemnicy przed zgromadzonymi na mostku postronnymi. Choć Horus nie wychował się na Cthonii i w odróżnieniu od większości Prymarchów nie dorastał na planecie pochodzenia swego Legionu, mówił cthońskim płynnie. Co więcej, wysławiał się nawet z odpowiednim akcentem, ostrym i silnie palatalizowanym, i wymawiał samogłoski tak samo jak bandyci z Zachodniej Półkuli, członkowie najdzikszej kasty Cthonii. Loken początkowo przypuszczał, że uczyć go musiał jeden z owych bandytów, teraz jednak zaczął w to wątpić. Wiedział już, że Horus nigdy nie robił niczego przez przypadek i sądził, że jego prosty akcent był celowym zabiegiem, mającym zbliżyć go do pochodzących najczęściej z nizin społecznych Legionistów.

Maloghurst spojrział na czytnik danych podany przez jednego z oficerów pokładowych.

– Potwierdzam, flota Sto Czerdziestej Ekspedycji liczyła osiemnaście statków.

– Skąd więc wzięły się dodatkowe? – zapytał Aksymand. – Czy to okręty wroga?

– Oczekujemy na wyniki analizy widma, kapitanie – wyjaśnił Maloghurst. – Jak dotąd nasze wezwania i komunikaty pozostały bez odpowiedzi.

– Przekaż Mistrzowi Komnenusowi, by wyrażał się z większym... naciskiem – powiedział Mistrz Wojny.

– Czy mam nakazać mu, by sformował szyk bojowy, panie?

– Zastanowię się.

Maloghurst pokuśtykał po schodach w dół, by przekazać życzenia Horusa Komnenusowi.

– Czy powinniśmy sformować szlak bojowy? – zapytał Horus swych dowódców.

– Czy dodatkowe widma mogą oznaczać obecność jednostek obcych? – zastanawiał się na głos Qruze.

– Ich szlak nie wygląda na rozmieszczenie bojowe, Iactonie – odparł Aksymand. – Ponadto Frome nie wspominał nic na temat jednostek obcych.

– To nasze statki – powiedział Loken.

Mistrz Wojny spojrzał na niego.

– Tak sądzisz, Garvielu?

– Wydaje mi się to oczywiste, panie. Skaner pokazuje jednostki na wysokiej orbicie w rozmieszczeniu typowym dla sił imperialnych. A zatem ktoś inny musiał również odpowiedzieć na wezwanie... – Loken urwał i ukrył uśmiech zakłopotania. – Choć oczywiście ty doskonale o tym wiesz, panie.

– Zastanawiałem się tylko, czy ktoś jeszcze rozpozna rozmieszczenie jednostek – uśmiechnął się Horus. Qruze pokręcił głową i również się uśmiechnął, zakłopotany własną pomyłką.

Mistrz Wojny skinął w stronę unoszącego się nad podestem trójwymiarowego obrazu.

– Co to za okręt, ten duży? To wszak nic innego jak bark bojowy.

– „Mizerykordia”? – zaryzykował Qruze.

– Ależ nie, „Mizerykordia” jest tutaj. A to co znaczy? – Horus pochylił się i palcem wskazał rzędy liter i cyfr przebiegające przez hololityczny model. – Czujniki mówią, że to... muzyka. Albo coś bardzo podobnego. Kto nadaje muzykę?

– Przekazniki orbitalne – wtrącił się Abaddon, patrząc na własny czytnik danych. – Sto Czterdziesta Ekspedycja doniosła o obecności trzydziestu takich przekazników w całym układzie. Technologia ich budowy wskazuje na obcych. Transmisje powtarzają się, ale nie potrafimy ich przetłumaczyć.

– Doprawdy? Mają więc przekazniki orbitalne, ale nie statki kosmiczne? – Horus sięgnął i ruchem dłoni powiększył analizę sygnału transmisji. – To ten nieprzetłumaczalny komunikat?

– Tak mówi raport Sto Czterdziestej Ekspedycji.

– A my uwierzyliśmy im na słowo? – zapytał Mistrz Wojny.

– Tak sędę, panie.

– Na pewno nie jest to bełkot – powiedział Horus, intensywnie wpatrując się w lśniący wyświetlacz. – Spróbujemy to rozszyfrować. Niech analitycy zaczną od poszukiwań standardowych bloków numerycznych. Z całym szacunkiem dla załogi Sto Czterdziestej Ekspedycji, nie zamierzam po prostu uwierzyć im na słowo. Jak dotąd narobili tu straszego bałaganu.

Abaddon skinął głową i odszedł na bok, by przekazać rozkazy Mistrza Wojny jednemu z oficerów pokładowych.

– Powiedziałaś, że komunikat przypomina muzykę, panie – rzekł Loken.

– Rzeczywiście. Co z tego?

– To interesujące określenie.

Mistrz Wojny wzruszył ramionami.

– Kod jest matematyczny, ale zawiera też pewne rytmiczne powtórzenia. Zbyt regularne, by były dziełem przypadku. Muzyka i matematyka stanowią dwie strony jednej monety, Garvielu. Ktoś celowo ułożył ten komunikat w taki sposób. Imperator raczy wiedzieć, jaki idiota w Sto Czterdziestej Flocie uznał, że nie da się tego przetłumaczyć.

Loken skinął głową.

– Doszedłeś do tego na podstawie samej tylko obserwacji, panie?

– Czy to nie oczywiste?

W tej chwili wrócił Maloghurst.

– Mistrz Komnenus potwierdza, że wszystkie jednostki na orbicie są imperialnego wyrobu – powiedział, wręczając Mistrzowi Wojny następną płytkę. – W ciągu kilku ostatnich tygodni przybyło w ten rejon wiele jednostek, do których dotarło wezwanie o pomoc. Większość z nich to transportowce z oddziałami Armii Imperialnej w drodze ku gwieździe Carrollisa, ale największy okręt to „Dumne Serce”, III Legion, Dzieci Imperatora. Pełna Kompania pod dowództwem Lorda Komandora Eidolona.

– A więc wyprzedzili nas. Jak sobie radzą?

Maloghurst wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że... nie najlepiej, panie.



Oficjalna nazwa planety w Rejestrze Imperialnym brzmiała Sto Czterdzieści Dwadzieścia. Dwudziesty świat, jaki wcieliła do Imperium Sto Czterdziesta Ekspedycja. Nazwa była jednak nieścisła, bo do wcielenia jak dotąd nie doszło. Dzieci Imperatora mimo to od początku posługiwały się tą nazwą, gdyż rezygnacja z niej stanowiłaby obrazę dla honoru Krwawych Aniołów.

Przed przybyciem na planetę Lord Komandor Eidolon dokonał szczegółowej odprawy. Pierwsze komunikaty Sto Czterdziestej Ekspedycji były jasne i treściwe. Khitas Frome, kapitan dowodzący trzema Kompania mi Krwawych Aniołów, które stanowiły zbrojne ramię Ekspedycji, zameldował o obecności wrogo nastawionych obcych już w kilka dni po tym, jak jego ludzie wylądowali na planecie. Opisał obcych jako „niezwykle sprawnych wojowników, przypominających poruszające się w pozycji wyprostowanej owady, ale zakute lub zbudowane z metalu. Każdy dwukrotnie przewyższa wzrostem człowieka, wszyscy są też bardzo agresywni. W przypadku napotkania większych liczebnie sił wroga istnieje możliwość, że będziemy potrzebować posiłków”.

Jego późniejsze meldunki były już nieregularne i niejasne. Walki z obcymi stawały się „coraz cięższe i bardziej zaciekle”, a „liczebność wroga zwiększała się”. Tydzień później meldunki już wyraźnie podszyte były tonem niepokoju. „Rasa, którą tu napotkaliśmy, stawia opór, którego nie potrafimy przełamać. Nie reagują na próby komunikacji. Wylewają się ze swych nor i atakują z godną podziwu sprawnością. Ich umiejętności bojowe są niemal imponujące, choć tak bardzo się od nas różnią. Są godnymi przeciwnikami, o których warto wspomnieć w annałach Legionu”.

Kiedy minął następny tydzień, komunikaty stały się bardzo proste. Wysyłał je Mistrz Floty w zastępstwie kapitana Frome.

„Zaciekłość obcych jest niebywała, mają nad nami przewagę. Zajęcie planety wymagać będzie zaangażowania sił całego Legionu. Prosimy o posiłki”.

Ostatni komunikat, jaki dwa tygodnie później nadał Frome, składał się głównie z szumu i niemożliwego do rozszyfrowania hałasu. Sens jego słów pochłonęły zakłócenia. Zrozumiałe było tylko ostatnie zdanie. Każdemu z wypowiedzianych słów towarzyszył wprost nieludzki wysiłek.

„Ten. Świat. To. Rzeźnia”.

Nazwa ta przylgnęła do planety.

Kontyngent Dzieci Imperatora był skromny, w jego skład wchodziła bowiem zaledwie jedna Kompania pod dowództwem Lorda Eidolona. Przybyli na pokładzie barku bojowego „Dumne Serce”. Po odbyciu krótkiej kontroli wcielonych niedawno światów w pasie Satyr Lanxus, siły Eidolona zmierzały ku gwiazdzie Carrollisa, by wraz z Prymarchą i resztą Legionu rozpocząć ofensywę w Mniejszej Gromadzie Bifold. Podczas podróży przechwycono jednak próby o wsparcie nadawane przez Sto Czterdziestą Ekspedycję. Siły Eidolona znajdowały się najbliżej. Lord Komandor natychmiast zwrócił się do Prymarchy z prośbą o zmianę kursu, by pospieszyć na pomoc.

Fulgrim zgodził się natychmiast. Dzieci Imperatora nigdy nie pozostawiłyby bratniego Legionu Astartes na pastwę niebezpieczeństwa, Eidolon otrzymał więc błogosławieństwo i prawo decydowania o przebiegu operacji. Inne siły również zmierzały w stronę planety. Wieści głosiły, że w drodze był silny kontyngent Krwawych Aniołów oraz sam Mistrz Wojny w asyście okrętów wydzielonych z Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji.

Jednostki imperialne znajdujące się najbliżej mogły dotrzeć na miejsce w kilka dni. Siły Lorda Eidolona stanowiły tylko wsparcie tymczasowe.

Bark bojowy Eidolona dołączył do jednostek Sto Czterdziestej Ekspedycji na orbicie Sto Czterdzieści Dwadzieścia. Ekspedycja była mała, składała się z zaledwie osiemnastu statków transportowych i eskorty sławnego barku bojowego „Mizerykordia”. Jej ramię zbrojne stanowiły trzy Kompanie Krwawych Aniołów pod dowództwem kapitana Frome oraz cztery tysiące żołnierzy Armii Imperialnej z ciężkim sprzętem, ale bez wsparcia Mechanicum.

Matanual August, Mistrz Sto Czterdziestej Floty, powitał Eidolona i jego oficerów na pokładzie barku. August był wysoki i szczupły, nosił rozwidloną, siwą brodę i był bardzo zdenerwowany.

– Dziękuję za szybkie przybycie, panie – zwrócił się do Eidolona.

– Gdzie Frome? – zapytał Eidolon obcesowo.

August bezradnie wzruszył ramionami.

– Gdzie więc dowódca kontyngentu armii?

Znowu żalosne wzruszenie ramion.

– Wszyscy są na planecie.

Świat nazwany Rzeźnią był szarawą, zamgloną kulą, pokrytą plamami szalejących w atmosferze burz. Ekspedycję przyciągnęły transmisje nadawane przez przekaźniki orbitalne,

które oznaczały obecność ras rozumnych. Po przybyciu do układu planetarnego uwagę skoncentrowano na czwartej planecie, jedynej, która posiadała atmosferę. Czujniki wykazywały silną obecność form życia, choć na sygnały nadawane przez Ekspedycję nikt nie odpowiedział.

Pierwszą falę zrzutu stanowiło pięćdziesięciu Krwawych Aniołów. Zniknęli bez śladu. Spokojne dotąd warunki pogodowe uległy gwałtownemu pogorszeniu z chwilą, kiedy ich statki desantowe weszły w atmosferę. Burze rozszalały się jak gwałtowna reakcja alergiczna organizmu i pochłonęły zrzut w całości. Pogarszające się warunki atmosferyczne uniemożliwiły komunikację z powierzchnią planety. Następnym pięćdziesięciu Astartes podzieliło los braci i również przepadło bez śladu.

Wówczas właśnie Frome i oficerowie floty domyślili się, że formy życia zamieszkujące Sto Czterdzieści Dwadzieścia potrafią w jakiś sposób kontrolować pogodę i używać jej jako broni. Potężne fronty burzowe, nazwane później „burzami osłonowymi”, pochłonęły statki i unicestwiły pierwsze dwie fale desantu. Frome zdecydował się na użycie kapsuł desantowych, jedynych pojazdów zdolnych przetrwać zrzut w podobnych warunkach. Sam poprowadził trzecią falę atakujących i od tej chwili wszelkie nadawane przez niego komunikaty stały się niekompletne, nawet mimo tego, że na powierzchni towarzyszył mu astrotelepata.

Sytuacja przedstawiała się ponuro. August raz za razem wysyłał na powierzchnię oddziały Astartes oraz żołnierzy armii mających wspomóc kapitana Frome, ale te albo przepadały w burzy, albo okazywały się niewystarczające. Wywołane przez obcych burze obronne nie ustawały. Nie było żadnych czytelnych zdjęć z powierzchni planety, żadnych danych ze skanerów topograficznych, żadnych sposobów komunikacji. Sto Czterdzieści Dwadzieścia przypominała czelusć, z której nie wracał nikt.

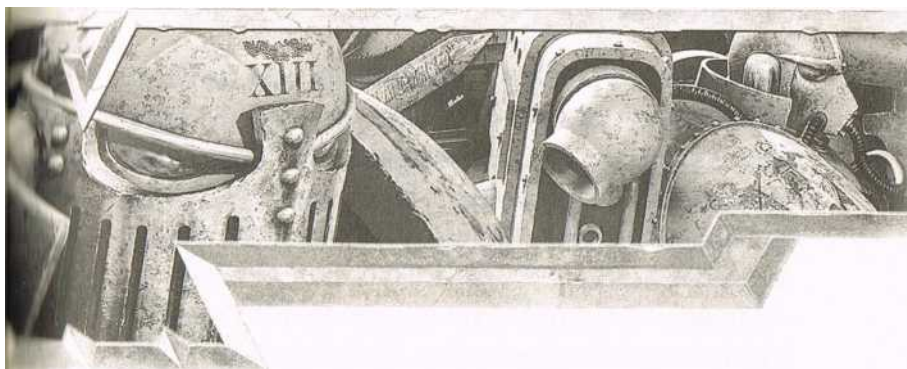
– Wchodzimy na ślepo – powiedział Eidolon do swych oficerów. – Dokonamy zrzutu w kapsułach desantowych.

– Być może powinien pan zaczekać, Lordzie Komandorze – zasugerował August. – Mamy meldunki, że na pomoc kapitanowi Frome przybywa nowy kontyngent Krwawych Aniołów, a Wilki Luny są zaledwie kilka dni drogi stąd. Być może lepiej byłoby zaczekać...

Jego słowa przeważyły szalę. Tarvitz wiedział, że Lord Eidolon nie miał zamiaru dzielić się chwałą z Legionem Mistrza Wojny. Zamierzał popisać się doskonałą sprawnością bojową swej Kompanii i uratować Krwawe Anioły... bez względu na to, czy słowo „ratunek” było

poprawne, czy też nie. Przewagi oręza jego ludzi staną się wzorem dla innych Legionów i będą mówiły same za siebie.

Eidolon bezzwłocznie wydał rozkaz zrzutu.



DWA

NATURA WROGA

ŚLAD

PRZEZNACZENIE DRZEW

Megarachnidzi osiągnęli trzy metry wysokości i mieli po osiem kończyn. Z zastraszającą szybkością poruszali się na czterech tylnych, pozostałych używając jako broni. Ich ciała, o jedną trzecią przewyższające masą ludzkie, były podzielone na owadzie segmenty. Pomiędzy czterema szeroko rozstawionymi tylnymi kończynami wisiały niewielkie i zwarte odwłoki, z opancerzonego tułowia wyrastały cztery kończyny przednie, a płaska i szeroka głowa o kształcie klina wyposażona była w masywne żuwaczki, pomiędzy których wydobywał się charakterystyczny świergot. Głowę opancerzały im grzebieniaste wyrostki i nie znajdował się na niej żaden widoczny organ wzroku. Cztery górne kończyny wyglądały tak samo, jak znalezione przez Lucjusza trofeum. Były to długie na ponad metr, pokryte metalem klingi. Zresztą każda część ciała megarachnidów wydawała się grubo opancerzona cętkowanym, niemal gruzłowatym metalem. Wyjątek stanowił grzebień na głowie, który był chyba ich naturalnym chitynowym wyrostkiem i miał kolor wyblakłej kości.

Podczas kolejnych starć Tarvitz zaczął zauważać różnice pomiędzy grzebieniami poszczególnych osobników. Wydawały się świadczyć o statusie, bo im starszy i większy był wojownik, tym bardziej okazały nosił grzebień.

Saul zabił pierwszego megarachnida pociskami z boltera. Obcy wypadł na nich pomiędzy rozwibrowanych łądyg i jednym cięciem górnej kończyny odrąbał Kercortowi głowę. Nawet stojąc w miejscu, wojownik wydawał się rozsmazany w smugę, jakby jego metabolizm i

całe życie przebiegało w znacznie szybszym tempie niż u pochodzących z Chemos Dzieci Imperatora. Tarvitz otworzył ogień i trzy pierwsze wystrzelone przez niego pociski wygięły i naruszyły pancerz megarachnida. Czwarty roztrzaskał mu głowę w rozbryzgu białawej mazi i odłamków grzebienia. Wojownik zachwiał się i potknął, zamachał klingami odnóży i upadł, zanim to jednak nastąpiło, rozległ się inny dźwięk.

Był to odgłos bezgłowego, sikającego krwią ciała Kercorta, upadającego na pokrytą rdzawym pyłem ziemię.

Od pierwszego uderzenia megarachnida do śmierci Legionisty minęło tak niewiele czasu, że nieszczęsny Kercort ledwo zdążył upaść.

Drugi megarachnid był tuż za pierwszym. Rozmigotane ostrza wyrwały Tarvitzowi bolter z rąk i naznaczyły jego napierśnik głębokimi bruzdami, przecinając widniejące na nim godło imperialnego Orła. Tej zniewagi nie można było puścić płazem. Spośród wszystkich Legionów tylko Dzieci Imperatora otrzymały z jego rąk honor noszenia na piersi tego symbolu. Cofając się wśród huku bolterów i okrzyków walczących, Tarvitz poczuł, jak urażona duma Legionisty zamienia się w nim we wściekłość. Błyskawicznie dobył miecza energetycznego i włączył pole siłowe, po czym oburącz zadał cios znad głowy. Długa, ciężka klinga odbiła się od grzebienia obcego, odłupując drzazgi żółtawej chityny, i Tarvitz został zmuszony do niemal tanecznego odskoku poza zasięg czterech ostrych jak brzytwa odnóży.

Drugi cios okazał się celniejszy. Ostrze miecza o włos minęło kostny grzebień i wrąbało się głęboko w szyję megarachnida, w miejscu gdzie głowa łączyła się z tułowiem. Tarvitz naparł na ostrze i pogłębił cięcie, rozrąbując ciało obcego aż do mostka. Bryznęła biała posoka, Tarvitz wyszarpnął klingę, a megarachnid zadrżał, pojmując powoli fakt własnej śmierci. Umierał długo. Drgającymi odnóżami sięgnął jeszcze w stronę twarzy Tarvitz i dotknął jego hełmu dwiema klingami po każdej stronie wizjera. Dotyk był niemal delikatny, a kiedy obcy upadł, osuwające się ze zgrzytem klingi pozostawiły na purpurowej powierzchni metaliczne rysy.

Ktoś krzyczał. Ktoś strzelał z boltera ogniem ciągłym, rozrzucając wokół odłamki niebotycznych łodyg.

Trzeci z wrogów skoczył na Tarvitz, ale ten działał odruchowo i bez wahania. Ciął potężnie, czerpiąc siłę ze skrzytu bioder, i rozrąbał megarachnida na pół. Trysnęła jasna posoka i górna połowa ciała obcego runęła na ziemię. Odwłok wraz z resztą tułowia przez chwilę szedł jeszcze, sikając wokół mlecznobiałym płynem. Potem i on zderzył się z łodygą i upadł.

Walka zakończyła się. Łodygi przestały wibrować, a ohydne larwy znów zaczęły świstać i brzęczeć.



Przemierzali las łodyg od dziewięćdziesięciu godzin i stoczyli w tym czasie dwadzieścia osiem starć z megarachnidami, tracąc przy tym siedmiu Astartes. Parli naprzód mechanicznie, niemal jak w transie. Nie było żadnej strategii, żadnego celu taktycznego. Nie udało im się nawiązać żadnego kontaktu z Krwawymi Aniołami, Lordem Eidolonem ani innymi oddziałami wchodzącymi w skład ich Kompanii. Poruszali się po prostu przed siebie i co kilka kilometrów odpierali ataki megarachnidów.

Saul Tarvitz uznał, że oto ma okazję brać udział w wojnie w czystej postaci. Przeciwnik był nieskomplikowany, ale wymagający i nieustannie sprawdzał granice ich sprawności i wytrzymałości. Doświadczenie przypominało trening, lecz skutki błędu były tu zabójcze. Dopiero kilka dni później Tarvitz zrozumiał, jakie skupienie towarzyszyło mu podczas marszu przez las łodyg. Jego instynkt wyostrzył się w tym czasie jak klingi-odnóża megarachnidów. Nieustannie wytężał uwagę, nie mogąc pozwolić sobie nawet na moment dekoncentracji, bo wróg atakował zawsze niespodziewanie, zawsze błyskawicznie, zawsze znikąd. Oddział na przemian albo szedł, albo walczył. Nie było miejsca na odpoczynek ani namysł. Tarvitz nigdy wcześniej ani później nie zaznał już wojny tak skondensowanej, nieskażonej filozofią ani polityką. On i jego bracia stanowili oręż w ręku Imperatora, megarachnidzi zaś uosabiali wrogi, stojący na drodze ekspansji ludzkości kosmos.

Niemal wszyscy spośród pozostałych przy życiu Astartes zrezygnowali z bolterów na rzecz mieczy lub noży. Powalenie megarachnida pociskami trwało zbyt długo. Broń biała stanowiła oręż pewniejszy, pod warunkiem że walczący był dość szybki, by trafić pierwszym ciosem, i dość silny, by owym ciosem zabić.

Z pewnym zaskoczeniem Tarvitz zorientował się, że Lucjusz inaczej podchodzi do tych starć. Podczas marszu wielokrotnie przechwalał się, że bawi się z wrogiem.

– To jak walka z czterema szermierzami naraz – mówił zachwycony. Tarvitz wiedział, że Lucjusz jest urodzonym szermierzem, jak dotąd nigdy niepokonanym w pojedynku.

Tarvitz i myślący podobnie do niego Astartes ćwiczyli na przemian różną bronią, by zbliżyć się do perfekcji we władaniu każdym jej rodzajem. Lucjusz skupiał się na mieczu i czynił

z szermierki sztukę. Frustrujący dla innych kapitanów był jednak fakt, że jego umiejętności strzeleckie też nie wymagały ćwiczeń.

Lucjusz pysznił się tym, że osobiście zużył cztery klatki ćwiczebne. Zdarzało się, że inni sławetni szermierze Legionu, jak Ekhelon czy Brazenor, stawali do sparingu przeciw Lucjuszowi tylko po to, by poprawić technikę. Mówiono też, że nawet sam Eidolon często wybiera go jako partnera treningowego.

Lucjusz nosił antyczny, długi miecz, zabytek z czasów Wojen o Zjednoczenie, wykuty w uralskich kuźniach klanu Terawatt. Miecz był idealnie wyważonym i wyostrzonym arcydziełem i Lucjusz zazwyczaj używał go w tradycyjny sposób, z tarczą w lewej ręce. Opleciona drutem rękojeść była niezwykle długa i umożliwiała przejście z chwytu jednoręcznego na dwuręczny, na szermiercze młyńce oraz przesuwanie dłoni na rękojeści w zależności od ciosu: w stronę głowicy, do zamaszystego cięcia, lub w stronę jelca, do precyzyjnego pchnięcia.

Obecnie Lucjusz przewiesił tarczę przez plecy i dzierżył kończynę megarachnida w lewej dłoni jak drugi miecz. By się znów nie pokaleczyć, obwiązał dolną część kończyny paskami cienkiej blachy powlekającej tarczę. Maszerował przez niekończący się las łodyg z pochyloną czujnie głową, chciwie wypatrując okazji do walki.

Podczas dwunastego z rzędu ataku Tarvitz po raz pierwszy zobaczył go w walce. Megarachnid zaatakował, a Lucjusz sparował ciosy jego czterech kling błyskawicznymi uderzeniami dwóch mieczy. Tarvitz wyraźnie widział, że Lucjusz miał co najmniej trzy okazje do zadania śmiertelnego ciosu. Nie mógł tego nie zauważyć, musiał więc celowo je zlekceważyć, nie chcąc, by zabawa skończyła się zbyt wcześnie.

– Weźmiemy później jednego lub dwa żywcem – powiedział Tarvitzowi po walce bez cienia ironii w głosie. – Będę je trzymał na łańcuchu w klatkach treningowych. Przydadzą się do ćwiczeń.

– To przecież ksenosi. Obcy – skarcił go Tarvitz.

– Nie mogę doskonalić swych umiejętności bez przeciwnika, który stanowiłby dla mnie prawdziwe wyzwanie. Nie znam człowieka, który byłby takim wyzwaniem. A ty?

– To nadal obcy – powtórzył Saul.

– Być może wolą Imperatora jest, by te stwory pozwoliły nam doskonalić się w sztuce wojennej? – zastanowił się głośno Lucjusz.

Tarvitz był dumny z faktu, że nie potrafił nawet wyobrazić sobie działania umysłu obcego. Miał jednak całkowitą pewność, że jeśli megarachnidzi służyli jakiemś wyższemu, nieznanemu celowi, nie było nim doskonalenie umiejętności walki Astartes. Przez chwilę zastanawiał się, czy obcy posiadają język lub kulturę w ludzkim rozumieniu tego słowa. Może tworzyli sztukę i uprawiali naukę? Może posiadali uczucia? A może, choćby tak właśnie było, człowiek nie potrafił nawet tego rozpoznać?

Czy do atakowania Dzieci Imperatora skłaniały ich powody emocjonalne, czy też reagowały po prostu na obecność intruzów jak owady społeczne reagują na wtargnięcie do mrowiska? Przyszło mu do głowy, że być może dla megarachnidów oni, ludzie, byli ohydnyimi obcymi.

Myśl była niepokojąca. Megarachnidzi musieli przecież dostrzegać wyższość ludzkiej rasy, przejawiającą się choćby w budowie ciała? Może powodem agresji była zwykła zazdrość szpetnych obcych?

Lucjusz nie przestawał mówić, z zachwytem objaśniając finezyjny obrót nadgarstka, którego zdążył się nauczyć w starciach z megarachnidami. Demonstrował nową technikę na pniu jednej z łądyg.

– Widzisz? Ugięcie i obrót. Pchnięcie nadchodzi od góry, a obrót wprowadza je pod gardę przeciwnika. Przeciw człowiekowi byłby to bezużyteczny manewr, ale tutaj jest wręcz niezbędny. Chyba napiszę na ten temat traktat szermierczy. Nazwę ten manewr „Lucjuszem”. Trafna nazwa, nie sądzisz? I pięknie brzmi!

– Rzeczywiście pięknie – przyznał Tarvitz.

– Znalazłem coś! – zawołał ktoś na kanale intervoxu. Był to Sakian. Pospieżyli, by do niego dołączyć. Stał na skraju nieporośniętej łądygami polany, całkiem niespodziewanie rozciągającej się na kilku kilometrach czerwonej ziemi.

– Co to takiego? – zapytał Bulle.

Tarvitz zastanawiał się, czy polana została celowo oczyszczona z łądyg, nie było jednak żadnych śladów, że te kiedykolwiek tu rosły, choć ze wszystkich stron gołą, rdzawą ziemię otaczał ich wysoki las.

Astartes jeden po drugim wychodzili na polanę. Wrażenie było niepokojące. Marsz przez las jednakowych łądyg oznaczał brak poczucia pokonywania odległości, ale polana stanowiła niespodziewany punkt orientacyjny w terenie. Nie wiedzieli, co robić dalej.

– Tutaj! – zawołał Sakian. Klęczał w odległości dwudziestu metrów od ściany lasu i przyglądał się czemuś, co leżało na ziemi. A Tarvitz uświadomił sobie, że zmiana w charakterystyce terenu nie była jedynym powodem ich wezwania.

– Co to? – zapytał, podchodząc.

– Chyba wiem, co znalazłem, kapitanie. Waham się jednak powiedzieć to na głos. Leżało tutaj, na ziemi – odrzekł Sakian i podał znaleziony przedmiot Tarvitzowi.

Znalezisko stanowił z grubsza trójkątny, nieco wypukły kawałek zielonego szkła o zaokrąglonych krawędziach, mierzący w najdłuższym miejscu jakieś dziewięć centymetrów. Tarvitz natychmiast zrozumiał, czym jest owo znalezisko, gdyż patrzył na nie przez dwa niemal identyczne przedmioty.

Była to soczewka wizjera hełmu Astartes.

Jaka siła zdolna była wydusić ją z ceramitowej obsady?

– To dokładnie to, o czym myślisz.

– Ale nie z hełmu jednego z naszych.

– Nie, nie sędzę. Kształt się nie zgadza. Soczewka pochodzi z hełmu Wzór III.

– A więc Krwawe Anioły?

– Tak. Krwawe Anioły. – Był to pierwszy fizyczny dowód na to, że ktoś przed nimi postawił na polanie stopę.

– Rozproszyć się! – rozkazał Tarvitz pozostałym. – Przeszukać teren!

Szukali przez dziesięć minut. Nie znaleźli niczego. Nad nimi szybko nadciągała szczególnie gwałtowna burza osłonowa, jakby przyciągnięta ich obecnością. Ciężkie chmury przecięły świetliste nitki błyskawic. Światło słoneczne przybrało żółtawą barwę, a zakłócenia atmosferyczne odezwały się trzaskami na kanale intervoxu.

– Jesteśmy tu odsłonięci – mruknął Bulle. – Wracajmy do lasu.

Tarvitz to rozbawiło. Bulle mówił tak, jakby gąszcz łądyg stanowił bezpieczne schronienie.

Gigantyczne rozwidlone błyskawice rozdarły nieboskłon nitkami żółtobiałych rozbłysków, smagając odsłoniętą ziemię polany. Choć istniały tylko przez nanosekundę, wydawały się stałymi obiektami, jak odwrócone korzeniami do góry ciemiste drzewa. Trzej Astartes, wśród nich Lucjusz, zostało trafionych. Bezpieczni w pancerzach Wzór IV zbyli

wstrząsy śmiechem. Przez kilka następnych sekund płyty ich pancerzy pokrywała błękitna siatka wyładowań elektrycznych.

– Bulle ma rację – powiedział Lucjusz. Jego głos był z trudem słyszalny wśród trzasków zakłóceń. – Ja też chcę wrócić do lasu. Chcę polować. Nie zabiłem niczego od dwudziestu minut.

Kilku spośród Astartes okrzykami i uderzeniami pięści o tarcze wyraziło aprobatę dla wojowniczych słów Lucjusza.

Tarvitz znów spróbował nawiązać łączność z Lordem Eidolonem lub kimkolwiek innym, ale zakłócenia atmosferyczne nadal uniemożliwiały komunikację. Uważał, że Astartes jest zbyt mały, by dzielić siły, ale irytowała go brawura Lucjusza.

– Rób, jak chcesz, kapitanie – powiedział drażliwym tonem. – Ja chcę sprawdzić, co to jest. – Wskazał na widoczne w odległości trzech lub czterech kilometrów białe, bulwiaste kształty.

– To drzewa – stwierdził Lucjusz.

– Tak, ale...

– Dobrze, dobrze... – Lucjusz ustąpił.

W grupie, którą dowodzili, pozostało dwudziestu dwóch Astartes, którzy utworzyli tyralierę i ruszyli przez polanę. Przynajmniej płaski i pozbawiony łądyg teren pozwalał im z wyprzedzeniem dostrzec nadciągające megarachnidy.

Burza przybrała na sile i smagnęła błyskawicami pięciu kolejnych wojowników. Jednego z nich, brata Ulzorsa, impet cisnął na ziemię. Wokół widzieli zeszlone kratery, w miejscach gdzie błyskawice uderzyły w grunt z siłą głowic penetrujących. Burza osłonowa zdawała się eksplodować nad polaną, przykrywając ją jakby kopułą, pod którą naładowane elektrycznie powietrze miażdżyło ich niczym kleszcze.

Megarachnidzi pojawiali się pojedynczo lub parami. Pierwszy dostrzegł ich Katz i zawiadomił resztę oddziału. Szare stawonogi kręciły się na obrzeżach lasu łądyg. Potem zebrały się w dużą grupę i ruszyły w stronę Astartes.

– Na Terrę! – zakrzyknął z entuzjazmem Lucjusz. – To się nazywa prawdziwa bitwa!

Obcych była ponad setka. Świergocząc i terkocząc, zbliżali się ze wszystkich stron, błyskawicznie przebijając tylnymi odnóżami i coraz szybciej zacieśniając pierścień okrążenia.

– Formować szyk kolisty i szykować boltery – rozkazał Tarvitz. Wbił swój miecz w rdzawą glebę obok siebie i zdjął z ramienia bolter. Inni poszli w jego ślady. Saul zauważył, że Lucjusz nie odłożył mieczy.

Fala megarachnidów zbliżała się błyskawicznie, zamykając pierścień wokół obronnego szyku Dzieci Imperatora.

– Przygotować się – zawołał Tarvitz. Lucjusz stał w postawie szermierczej, ewidentnie zadowolony, że Tarvitz wziął na siebie ciężar dowodzenia.

Słyszeli suche trzaski i świergotanie zbliżających się obcych, które mieszało się z tupotem czterystu drobiażących odnóży.

Tarvitz skinął głową w stronę brata Bullego, najlepszego Strzelca w oddziale.

– Na twój znak.

– Dziękuję, kapitanie. – Bulle uniósł bolter, wycelował. – Dopuszczamy ich na dziesięć metrów! Strzelać do wyczerpania amunicji!

– Potem miecze! – zakrzyknął Tarvitz.

Kiedy coraz ciaśniejszy szereg megarachnidów znalazł się w odległości dziesięciu i pół metra, Bulle dał znak.

– Ognia!

Boltery skupionych w kręgu Astartes plunęły ogniem i zagrzmiały, a ich odgłos dał się słyszeć mimo łoskotu burzy. Przedni szereg obcych zachwiał się i przeredził, na ziemi pozostały rozerwane, metaliczne szczątki.

Zgodnie z rozkazem Bullego Astartes strzelali do opróżnienia magazynków. Potem dobyli mieczy, by stawić czoła nadciągającym wrogom. Megarachnidzi rozbili się o obronny szyk jak fala o skałę. Rozgorzał gorączkowy zgiełk metalu uderzającego o metal, obwieszający starcie ludzkich mieczy z metalicznymi odnóżami obcych. Tarvitz widział, jak Lucjusz w ostatniej chwili wysuwa się przed szereg i tnie wokół siebie mieczami, rąbiąc wrogów na kawałki.

Bitwa trwała trzy minuty, ale jej impetu wystarczyłoby na trzy godziny. Zginęło pięciu Astartes. Na czerwoną ziemię runęły dziesiątki megarachnidów. Zastanawiając się później nad przebiegiem starcia, Tarvitz uświadomił sobie, że nie pamięta żadnych szczegółów. Kojarzył tylko, że odrzucił bolter i uniósł miecz, dalej zaś walka przypominała serię niewyraźnych, rozmazanych obrazów. Kiedy się zakończyła, stał wśród posieczonych zwłok, drżąc z wysiłku i

roniąc wokół krople białej posoki, która pokryła jego pancerz oraz klingę broni. Megarachnidzi wycofywali się tak samo szybko, jak zaatakowali.

– Przegrupować się! – Tarvitz ze zdziwieniem usłyszał swój głos wydający rozkazy.

– Patrzcie! – zawołał Katz. Tarvitz spojrział i zobaczył, jak z kipiącego chmurami i błyskawicami nieba nadlatują jakieś kształty.

Megarachnidzi występowali w więcej niż jednej postaci.

Latające stwory spadły z nieba na długich, szklistych skrzydłach, które były tak szybko, że widać było tylko rozmazane smugi; wydawały przy tym natarczywy, buczący odgłos. Ich ciała miały kolor lśniącej czerni, a odwłoki wyglądały na znacznie dłuższe i pełniejsze niż u ich naziemnych kuzynów. Wąskie odnóża miały skrzyżowane i podkurczone na kształt podwozi z żelaznych prętów.

Latające stwory porywały Astartes z ziemi, unosząc w ciemnych objęciach ostrych kończyn. Wojownicy szamotali się, próbowali wyrywać i strzelali, ale i tak w ciągu kilku sekund czterech lub pięciu wojowników zostało uniesionych pod burzowe niebo.

Szyk rozsypał się. Astartes rozbiegli się, próbując uniknąć atakujących z nieba skrzydlatych stworzeń. Tarvitz wykrzykiwał rozkazy, próbował przywrócić porządek, ale wiedział, że jego wysiłki są daremne. Kucnął i uniknął przelatującego nad nim, buczącego monotonnie kształtu. Spojrział w górę i zdążył zobaczyć grzebień kostny na głowie stwora, wygięty w długi, złowrogi hak.

W pobliżu przeleciał kolejny skrzydlaty, powitany natychmiast rykiem bolterów. Tarvitz skoczył, ciął wysoko, próbując odegnać lecącego stwora. Odgłos bijących skrzydeł był tak natarczywie głośny, że wprawiał w drgania przeponę. Tarvitz dźgnął mieczem, ale potwór bez wysiłku uniknął jego pchnięcia, po czym gwałtownie zmienił kierunek lotu, złapał jednego z Astartes i wzbil się z nim w powietrze.

Inny ze skrzydlatych porwał z ziemi Lucjusza. Trzymając go odnóżami, zaczął się unosić. Lucjusz wrywał się dziko, usiłował dźgać za siebie. Na próżno.

Tarvitz zerwał się do biegu i pochwycił towarzysza w chwili, kiedy ten odrywał się od ziemi. Pchnął mieczem obok niego, ale uderzenie tylnego odnóża wytrąciło mu broń z ręki. Trzymając Lucjusza, również zaczął się unosić.

– Puść! Puść! – zakrzyknął Lucjusz.

Tarvitz widział, że stwór trzyma przyjaciela za jego przypiętą na plecach tarczę. Szarpnął się, wy dobył nóż bojowy i zaczął przecinać pasy. Ustąpiły pod naciskiem ostrza i obaj spadli na rdzawą ziemię z wysokości dziesięciu metrów.

Latające stwory odleciały, zabierając z sobą dziesięciu Astartes. Kierowały się w stronę widocznych w oddali białych bulw. Tarvitz nie musiał nawet wydawać rozkazu. Pozostali wojownicy natychmiast pobiegli za oddalającymi się punktami na niebie.

Dogonili je na przeciwległym skraju polany. Trzy białe bulwy rzeczywiście były drzewami i Lucjusz przekonał się, że jednak do czegoś służą.

Ciała porwanych Astartes zostały ponabijane na ciernie drzewa. Zwapniałe kolce grubości pali przebijały pancerze, nie pozwalając się wyrwać. Skrzydlaci megarachnidzi pożerali ciała unieruchomionych Dzieci Imperatora. Stwory złożyły nieruchome skrzydła, które okrywały ich jak długie, szkliste peleryny, i pełzały po skamieniałych drzewach, rozrywając płyty pancerzy hakowatymi grzebieniami, żując i gryząc wydarte spod nich mięso.

Tarvitz wraz z pozostałymi zatrzymali się pod drzewami i przyglądali się temu z niemym obrzydzeniem. Po białych cierniach i krępych pniach spływała krew ich braci.

Dzieci Imperatora nie były jednak jedynymi ofiarami nadzianymi na ciernie. Zwisały z nich również inne zwłoki, obrane z mięsa do kości. Wśród szczątków wokół korzeni widać było czerwone płyty pancerzy szturmowych.

Wiedzieli już, jaki los spotkał Krwawe Anioły.



TRZY

W PODRÓŻY

KIEPSKA POEZJA

TAJEMNICE

Podczas trwającej dwanaście tygodni podróży z Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście na Sto Czterdzieści Dwadzieścia Loken doszedł do wniosku, że Sindermann go unika.

Znalazł go w końcu wśród niekończących się półek Archiwum Trzeciego. Iterator siedział na metalowym krześle zaopatrzonym w podnośnik i przeglądał starożytne teksty znajdujące się na wysokich półkach jednego z mrocznych pomieszczeń w tylnej części archiwum. Nie docierały tu odgłosy pracy ani krzątania serwitorków spieszących gdzieś z naręczami zamówionych woluminów. Loken przypuszczał, że materiały zgromadzone w tej części zbioru nie interesowały większości uczonych.

Sindermann nie usłyszał jego nadejścia. Korzystając ze światła lampy wbudowanej w krzesło, w skupieniu wczytywał się w zmurszały, starożytny rękopis.

– Witaj – szepnął Loken.

Sindermann spojrział w dół i zauważył go. Na twarzy miał wyraz zaskoczenia, jakby obudził się właśnie z głębokiego snu.

– Garviel – szepnął. – Zaczekaj chwilę.

Odłożył manuskrypt na półkę. W koszu przytwierdzonym do krzesła znajdowało się kilka innych książek. Loken widział, że ręce odkładającego cenny rękopis Sindermanna drżały. Iterator

pociągnął za mosiężną dźwignię w poręczy krzesła i podnośnik złożył się teleskopowo, wydając ciche sapnięcie pneumatycznego mechanizmu.

Loken podał rękę podnoszącemu się iteratorowi.

– Dziękuję, Garvielu.

– Co tu robisz?

– Och, nic takiego. Czytam.

– Co czytasz?

Sindermann zerknął na książki w koszu przy krześle. Loken miał wrażenie, że w jego spojrzeniu było poczucie winy... albo wstydu.

– Przyznaję się – powiedział Sindermann. – Szukałem pocieszenia w starych i bardzo już niemodnych książkach. Beletrystyka z epoki przed Zjednoczeniem, odrobina poezji. Pozostały oczywiście tylko pojedyncze fragmenty, ale działają na mnie kojąco.

– Mogę? – spytał Loken, gestem wskazując na kosz.

– Oczywiście – powiedział Sindermann.

Loken usiadł na mosiężnym krześle, które jęknęło pod jego ciężarem. Wyjął z kosza kilka pozycji i się im przyjrzał. Strony były wystrzępione i wyblakłe mimo wysiłków archiwistów, którzy ewidentnie oprawili je na nowo.

– *Złoty wiek sumaturańskiej poezji* – odczytał pierwszy tytuł. – *Ludowe opowiadania dawnych Moskwinów. Kroniki Ursh*. Cóż to takiego?

– Pełna bohaterskich czynów beletrystyka, opowiadania z czasów krwawych wojen. I odrobina dość kunsztownej poezji.

Loken wyjął z kosza opasły tom.

– *Tyrania Panpacyfiku* – odczytał i przewrócił okładkę, by spojrzeć na kartę tytułową. – „Poemat epicki w dziewięciu pieśniach, opiewający rządy Narthana Dume...” Brzmi raczej nudno.

– Dzieło prostackie, chwilami wręcz wulgarne, napisane przez nadgorliwych poetów celem przydania nędznym czasom, w których przyszło im egzystować, mitycznego wymiaru. Darzę je jednak pewnym sentymentem, gdyż jako dziecko czytałem podobne książki. Baśnie i legendy z dawnych czasów.

– Lepszych?

Sindermann aż się wzdrygnął.

– Na Terrę, nie! Z czasów okropnych, pełnych mordów i nienawiści. Z czasów, kiedy ludziom groziło wyginięcie i nie wiedzieliśmy jeszcze, że Imperator położy kres upadkowi naszej cywilizacji.

– Znajdujesz w nich pociechę?

– Przypominają mi dzieciństwo. To zawsze koi i uspokaja.

– Potrzebujesz pociechy? – zapytał Loken, odkładając książki do kosza i patrząc na starca.

– Nie widzieliśmy się od...

– Od tego wypadku w górach – dokończył Sindermann, uśmiechając się smutno.

– Właśnie. Kilka razy odwiedziłem szkołę iteratorów, by posłuchać twych wykładów.

Jednak za każdym razem ktoś cię zastępował. Jak się miewasz?

Sindermann wzruszył ramionami.

– Przyznam, że bywało lepiej.

– Nadal dokuczają ci obrażenia?

– Jestem zdrowy na ciele, Garvielu, ale... – Sindermann postukał się w skroń gruzłowatym palcem. – Mój umysł nie odzyskał jeszcze równowagi. Nie miałem chęci na wykłady, bo przemawiające przeze mnie przekonania przygasły. To minie, ale do tego czasu potrzeba mi nieco samotności.

Loken przyglądał się staremu iteratorowi. Wydawał się bardzo kruchy, jak świeżo wyklute pisklę. Bardzo schudł i zbladł. Od krwawych wydarzeń w Szeptunach upłynęło dziewięć tygodni. Większość tego czasu spędzili w podróży przez osnowę. Sam Loken czuł, że doszedł już do siebie, ale na widok Sindermanna zdał sobie sprawę, że i jego rany nie do końca się zagoiły. Jako Astartes potrafił odsunąć od siebie traumę, ale Sindermann był zwykłym, wrażliwym śmiertelnikiem.

– Chciałbym móc jakoś...

Sindermann powstrzymał go ruchem dłoni.

– Nie ma potrzeby, Garvielu. Sam Mistrz Wojny okazał mi zaszczyt prywatnej rozmowy na temat tego, co wówczas zaszło. Rozumiem naturę owych wydarzeń i wiedza ta mnie wzbogaca.

Loken wstał z krzesła i wskazał je Sindermannowi. Iterator usiadł z wdzięcznością.

– Trzyma mnie blisko siebie – powiedział kapitan.

– Kto taki?

– Mistrz Wojny. Zabrał mnie i moją Kompanię na tę misję po to, by mieć mnie blisko i móc obserwować.

– Dlaczego?

– Ponieważ widziałem coś, co niewielu było dane zobaczyć. Ponieważ wiem, co energia osnowy potrafi zrobić z nieostrożnymi i słabymi.

– A więc nasz drogi wódz wykazał się wielką mądrością, Garvielu. Nie tylko dał ci zajęcie, którym możesz zająć umysł, ale dał ci też szansę na odbudowanie wiary w siebie. Nadal jesteś mu potrzebny.

Sindermann wstał i pokuśtykał wzdłuż rzędów ksiąg, wiodąc po ich grzbietach otwartą dłoń. Loken widział, że obrażenia starca nie wygoiły się wcale tak dobrze, jak twierdził. Wydawał się w pełni pochłonięty książkami.

Loken odczekał chwilę, po czym odezwał się.

– Pora na mnie – rzekł. – Wzywają mnie obowiązki.

Sindermann uśmiechnął się i pomachał mu na pożegnanie.

– Cieszę się z tej rozmowy – dodał Loken. – Brakowało mi tego.

– Mnie też.

– Do zobaczenia wkrótce. Może przyjdę na jeden z twoich wykładów. Wrócisz do pracy?

– Myślę, że już czas.

Loken wyjął z kosza książkę.

– Mówisz, że znajdujesz w nich pociechę?

– Tak.

– Mogę pożyczyć jedną z nich?

– Jeśli tylko obiecasz ją zwrócić. Co my tu mamy? – Sindermann pokuśtykał do Lokena i wziął książkę z jego ręki.

– Poezja sumaturańska? Nie sędzę, by przypadła ci do gustu. Może raczej to...

Wyjął z kosza inny tom.

– *Kroniki Ursh*. Szczegółowy zapis rządów Kalaganna w czterdziestu rozdziałach. Spodoba ci się. Bardzo krwawe, mnóstwo ofiar. Poezję zostaw mnie.

Loken przebiegł oczyma okładkę książki i włożył ją pod ramię.

– Dziękuję za radę. Skoro lubisz poezję, i ja mam coś dla ciebie.

– Naprawdę?

– Jeden z upamiętniaczy...

– Ach tak. – Sindermann skinął głową. – Karkasy. Mówiono mi, że za niego poręczyłeś.

– Oddałem komuś przysługę.

– A tym kimś jest Mersadie Oliton?

Loken zaśmiał się.

– Mówiłeś, że potrzebowałeś samotności, a mimo to nie umknęło ci nic z ostatnich wydarzeń.

– Taką mam pracę. Młodszy iteratorzy dbają, bym był na bieżąco. Powiedziano mi, że często się z nią widzisz. Jest ponoć twoją osobistą upamiętniaczką.

– Czy to źle?

– Ależ skąd! – Sindermann uśmiechnął się. – Na tym właśnie powinna polegać ich praca. Wykorzystaj tę znajomość, Garvielu. I pozwól, by i ona na niej skorzystała. Być może dzięki temu pewnego dnia w archiwach imperialnych pojawią się dzieła ambitniejsze niż te starocie.

– Karkasy miał zostać odesłany. Dzięki mnie pozwolono mu zostać na okres próbny, podczas którego miał mi przekazać całą swą pracę. Nie potrafię jednak nic z niej zrozumieć. Nie znam się na poezji. Czy mogę przysłać jego wiersze tobie?

– Naturalnie.

Loken odwrócił się, by odejść.

– Co to była za książka? – zapytał.

– Słucham?

– Kiedy przyszedłem, miałeś w koszu książki, ale byłeś zajęty studiowaniem innej. Wydawało mi się, że poświęcałeś jej całą uwagę. Odstawiłeś ją na półkę. Co to było?

– Kiepska poezja – odpowiedział Sindermann.



Flota udała się w stronę Rzeźni mniej niż tydzień po wydarzeniach w Szeptunach. Prośby o wsparcie stały się tak niepokojące, że dyskusje nad dalszymi priorytetami Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji stały się czysto akademickie. Mistrz Wojny podjął decyzję o natychmiastowym odlocie dziesięciu Kompanii, nad którymi objął osobiste dowodzenie. Większą część floty pozostawił pod rozkazami Varvarusa, mającego nadzorować odlot głównych sił z Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście.

Kiedy Dziesiąta Kompania została wybrana do udziału w operacji ratunkowej, Loken miał w związku z przygotowaniami zbyt wiele pracy, by zastanawiać się nad niedawnymi wydarzeniami. Obowiązki przyniosły mu ulgę. Należało przeformować drużyny i zastąpić poległych Astartes nowicjuszami i zwiadowcami z rezerwowych Kompanii Legionu. Musiał uzupełnić niedobory w drużynach Hellebore i Brakespur, a to oznaczało konieczność wybrania młodych kandydatów. Ich przyszłe losy leżały w jego rękach. Którzy z kandydatów byli najlepsi? Którzy zasługiwali na szansę dołączenia do szeregów prawdziwych Astartes?

Torgaddon i Aksymand wspomagali go w tym niełatwym zadaniu. Był im za to wdzięczny. Mały Horus zdawał się posiadać szczególny dar doboru właściwych kandydatów. Dostrzegał zalety w takich, których Loken nie brał pod uwagę, i wady tych, którzy przypadli Lokenowi do gustu. Aksymand zawdzięczał swą pozycję w kręgu Kwadry właśnie niezwykłym zdolnościom analitycznym, które i Loken miał teraz okazję docenić.

Kapitan postanowił samemu opróżnić cele poległych znajdujące się w koszarach Legionu.

– Wyreżymy cię razem z Vipusem – zadeklarował Torgaddon. – Masz ważniejsze sprawy na głowie.

– Chcę i powinienem zrobić to sam – odparł Loken.

– Pozwól mu, Tariku – powiedział Aksymand. – Ma rację. Powinien to zrobić sam.

Loken po raz pierwszy zaczął darzyć Małego Horusa sympatią. Nie sądził, by mogli zostać bliskimi przyjaciółmi, ale rozumiał teraz, że pozorna rezerwa i surowość Aksymanda były w istocie mądrością i szczerością.

Podczas sprzątanía urządzonych po spartańsku cel poległych Loken dokonał pewnego odkrycia. Wojownicy Legionu nie posiadali wielu prywatnych przedmiotów. Ot, kilka ubrań, parę trofeów oraz zwoje pergaminów ze słowami ślubów bitewnych. Wszystko to przechowywali z reguły w płóciennych, workowatych torbach pod prostymi pryzkami. Wśród osobistych rzeczy Xavyera Jubala znalazł jednak coś jeszcze. Był to mały srebrny medalion bez łańcuszka czy rzemienia. Miał wielkość monety i wyobrażał wilczy łeb na tle półksiężyca.

– Co to takiego? – zapytał Loken Nerona Vipusa, który pomagał mu w sprzątaníu celi.

– Nie mogę powiedzieć, Garvi.

– Chyba wiem – powiedział Loken, nieco rozdrażniony odpowiedzią przyjaciela. – I myślę, że ty też wiesz.

– Naprawdę trudno powiedzieć.

– W takim razie zgaduj – warknął Loken. Vipus nagle skupił uwagę na swym nadgarstku, gojącym się po wszczepieniu augmetycznego implantu. – Neronie...

– To może być medalion loży, Garvi – powiedział Vipus wymijająco. – Ale nie jestem pewien.

– Tak myślałem – powiedział Loken. Obrócił medalion w palcach. – Jubal należał więc do loży, tak?

– A jeśli nawet?

– Znasz moje zdanie na ten temat.

Oficjalna wersja głosiła, że wśród Adeptus Astartes nie istnieją ani loże wojowników, ani inne tajne bractwa. Powszechnie wiadomym było, że sam Imperator niechętnym okiem patrzył na podobne stowarzyszenia. Uważał je za niebezpiecznie zbliżone do sekt i kultów religijnych, takich jak Wyznanie Imperialne, zwane również Lectio Divinitatus, którego członkowie wierzyli, iż ukochany przez wszystkich Imperator jest wcielonym bogiem.

Nieoficjalnie jednak wśród Legionów Astartes istniały tajne bractwa i loże. Plotki głosiły, że działały również w ramach XVI Legionu, i to od dawna. Około sześćdziesięciu lat temu Wilki Luny wspomogły XVII Legion, Głoscielei Słowa, podczas wcielania do Imperium planety zwanej Davin. Był to świat barbarzyński, a rządziła nim kasta wojowników. Ich szlachetna postawa i zaciekłość w walce zaskarbiły im szacunek wśród Astartes wysłanych w celu pacyfikacji walczących klanów. Wojownicy z Davinu zarządzili sobą za pośrednictwem skomplikowanego systemu łóz, na wpół religijnych stowarzyszeń, z których każde oddawało cześć jednemu z gatunków lokalnych drapieżników. W wyniku dyfuzji kulturowej pewne tamtejsze praktyki zostały po cichu przejęte przez oba Legiony.

Loken zapytał kiedyś o to swego mentora Sindermana.

– Loże są raczej nieszkodliwym fenomenem – odpowiedział mu iterator. – Wojownicy zawsze poszukują braterstwa wśród sobie podobnych. Z tego, co mi wiadomo, wynika, że loże służą tworzeniu i utrzymywaniu więzi pomiędzy wojownikami znajdującymi się na różnym szczeblu dowodzenia. Stanowią swego rodzaju wewnętrzny związek, którego struktura przenika Legion na wskroś, nie konkurując z oficjalną hierarchią.

Loken nie był pewien, jak może wyglądać funkcjonowanie czegoś, co przenika Legion na wskroś, ale pomysł ten go niepokoił. Nie podobał mu się fakt utajnienia owych bractw, bo to

oznaczało, że ktoś chciał coś ukryć. No i sam Imperator, ukochany przez wszystkich, nie akceptował podobnych grup.

– Oczywiście nie mogę powiedzieć z całą pewnością, że loże naprawdę istnieją – zakończył wywód Sindermann.

Loken dał swoim podkomendnym do zrozumienia, że żaden z nich nie powinien mieć nic wspólnego z jakimkolwiek tajnym stowarzyszeniem.

Nigdy wcześniej nie zauważył żadnych oznak tego, by którykolwiek z Astartes służących pod jego rozkazami należał do loży. Teraz jednak znalazł ten medalion wśród osobistych rzeczy człowieka, który zmienił się w demona i pozabijał własnych braci.

Loken bardzo zaniepokoił się swym odkryciem. Poinformował Vipusa, że każdy z podkomendnych dysponujących informacjami na temat istnienia łóż powinien zgłosić się do niego. Jeśli uzna to za słuszne, może uczynić to na osobności. Kiedy następnego dnia Loken zajął się porządkowaniem znalezionych przedmiotów, odkrył, że medalion zniknął.

W ciągu paru ostatnich dni przed odlotem na Sto Czterdzieści Dwadzieścia kilka razy odwiedziła go Mersadie Oliton, prosząc o wstawiennictwo w sprawie Karkasego. Loken pamiętał, że rozmawiała z nim na ten temat już po powrocie z Szeptunów, wówczas jednak jego głowę zaprzętało coś innego. Niewiele go obchodził los jakiegoś upamiętniacza, zwłaszcza na tyle lekkomyślnego, by narazić się na gniew dowódców Ekspedycji.

Teraz jednak czuł, że potrzebuje zająć się czymś, co odciągnie jego uwagę od aktualnych problemów. Po rozmowie z Maloghurstem obiecał Mersadie, że wstawi się za jej przyjacielem.

Ignace Karkasy był poetą, a jego zachowanie wskazywało, że nie grzeszył inteligencją. Nie wiedział, kiedy należy się zamknąć. Podczas wizyty na powierzchni Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście oddalił się bez zezwolenia ani eskorty, upił się, a następnie głośnym pyskowaniem sprowokował grupę żołnierzy, którzy pobili go niemal na śmierć.

– Odeślą go na Terrę w niesławie – powiedziała Mersadie. – Odbiorą mu też certyfikat upamiętniacza. To nie w porządku, kapitanie. Ignace to dobry człowiek...

– Naprawdę?

– No dobrze, nie jest dobry. Jest nieokrzesany, uparty i irytujący. Jest też jednak wielkim poetą i zawsze mówi prawdę, nawet najbardziej niewygodną. Nie pobito go przecież za kłamstwo.

Karkasy wydobrzała już na tyle, że zwolniono go ze szpitala i osadzono w celi. Kiedy Loken poszedł z nim porozmawiać, jego oczom ukazał się człowiek o niechlujnym, wprost oplakany wyglądzie.

Kiedy Astartes wszedł i zapaliły się światła w celi, Karkasy zerwał się z pryczy.

– Panie kapitanie – zaczął – jestem niezmiernie wdzięczny, że zechciał pan zainteresować się moją żalosną osobą.

– Masz oddanych przyjaciół – powiedział Loken. – Ujęły się za tobą upamiętniaczki Oliton oraz Keeler.

– Kapitanie Loken, nie miałem o tym pojęcia. W istocie sądziłem, że nie mam żadnych przyjaciół. Mersadie jest bardzo dobrą osobą, o czym sam pan zapewne wie. Euphrati zaś... Słyszałem, że wmieszała się w jakieś kłopoty.

– Tak było.

– Czy jest zdrowa? Nic się jej nie stało?

– Nic jej nie jest – rzekł Loken, choć nie miał pojęcia, jak miewa się Euphrati Keeler. Nie spotkał się z nią, dostał tylko list z prośbą o wstawiennictwo w sprawie Karkasego. Podejrzywał, że wpłynęła na nią Mersadie Oliton.

Ignace Karkasy był okazałym mężczyzną, ale został ciężko pobity. Twarz miał nadal opuchniętą, a sińce zżółkły, nadając cerze niezdrowy kolor. Jego smutne oczy nabiegły krwią z pękniętych naczyń krwionośnych. Każdy ruch wydawał się sprawiać mu ból.

– Rozumiem, że jesteś człowiekiem, który mówi, co myśli – ciągnął Loken. – Uchodzisz za obrazoburcę.

– To prawda, to prawda – powiedział Karkasy, kręcąc głową. – Ale obiecuję, że się zmienię.

– Chcą się ciebie pozbyć. Odesłać do domu. Wyżej postawieni upamiętniacze uważają, że psujesz im reputację i szkodzisz ich misji.

– Panie kapitanie, jestem człowiekiem, który potrafi zepsuć czyjąś reputację poprzez znalezienie się w tym samym pomieszczeniu.

Loken uśmiechnął się. Zaczynał lubić tego człowieka.

– Rozmawiałem o tobie z adiutantem Mistrza Wojny, Karkasy. Istnieje możliwość, że będziesz mógł pozostać w załodze Ekspedycji warunkowo. Wystarczyłoby do tego wstawiennictwo oficera Astartes, takiego jak ja.

– Jakie to byłyby warunki?

– Najpierw chcę usłyszeć, czy chcesz zostać.

– Chcę zostać, panie kapitanie. Na Terrę, popełniłem błąd, ale chcę zostać. Chcę być częścią Ekspedycji.

Loken skinął głową.

– Mersadie uważa, że na to zasługujesz. Podobnie adiutant Mistrza Wojny, Maloghurst. Zdaje się, że ma słabość do osób, które wiele przeszły i potrzebują drugiej szansy.

– Panie kapitanie, nikt nigdy nie potrzebował jej tak bardzo jak ja.

– Przedstawię teraz warunki – powiedział Loken. – Jeśli ich nie spełnisz, wycofam moje poparcie i spędzisz czterdzieści długich i zimnych miesięcy na pokładzie masowca w drodze na Terrę. Po pierwsze więc, musisz zmienić swoje zachowanie.

– Oczywiście, panie kapitanie.

– Po drugie, będziesz się meldował u mnie co trzy dni, jeśli nie przeszkodzą mi obowiązki. Przedstawisz mi wówczas kopie wszystkich swoich prac. Wszystkich, czy to jasne? Zarówno tych nadających się do publikacji, jak i zwyczajnych bazgrołów. Chcę wiedzieć o wszystkim. Masz otworzyć przede mną duszę, Karkasy.

– Obiecuję, panie kapitanie. Ostrzegam jednak, że moja dusza jest rogata, podła i szpetna.

– Nie jestem zaskoczony. Trzeci warunek to właściwie pytanie. Czy często kłamiesz?

– Nie, panie kapitanie. Nigdy.

– Tak właśnie słyszałem. Jesteś ponoć prawdomówny do bólu i nigdy nie ukrywasz prawdy za pięknymi słówkami. Z tego właśnie powodu masz tak fatalną opinię. Mówisz o rzeczach, o których inni nie odważyliby się głośno wspomnieć.

Karkasy wzruszył ramionami i skrzywił się z bólu.

– Nie rozumiem, kapitanie. Czy jeśli odpowiem „tak”, pogrzebię swoje szanse?

– Odpowiedz.

– Kapitanie Loken, zawsze mówię wyłącznie prawdę, taką, jaką widzę. Choć zdarza mi się obrywać z tego powodu w barach dla żołdaków. I całym sercem potępiam ludzi, którzy kłamią lub celowo fałszują prawdę.

Loken skinął głową.

– Co wtedy powiedziałeś, Karkasy? Co takiego powiedziałeś uczciwym żołnierzom, że pobili cię niemal na śmierć?

Karkasy odchrząknął i znów się skrzywił.

– Powiedziałem... powiedziałem, że Imperium nie przetrwa. Że nic nie trwa wiecznie bez względu na to, na jakich fundamentach by nie stało. Powiedziałem, że aby przetrwać, będziemy zmuszeni do ciągłej walki.

Loken milczał.

– Czy to była właściwa odpowiedź, panie kapitanie?

– A czy coś takiego jak właściwe odpowiedzi w ogóle istnieje, panie Karkasy? Wiem jedno... Wysoki oficer Imperialnych Pięści niedawno powiedział mi to samo. Użył wprawdzie innych słów, ale ich znaczenie było identyczne. Nie odesłano go za to do domu. – Loken zaśmiał się i dodał: – Właściwie przypominam sobie, że jednak odesłano. Ale z innego powodu.

Spojrzał na Karkasego.

– Pora więc na trzeci warunek. Poręczę za ciebie i wezmę na siebie odpowiedzialność za twoje zachowanie. W zamian ty dalej będziesz mówił prawdę.

– Naprawdę? Jest pan pewien swojej decyzji?

– Prawda jest wszystkim, co mamy, Karkasy. Prawda odróżnia nas od obcych i zdrajców. Jak osądzi nas historia, jeśli nie spisujemy jej zgodnie z prawdą? Mówiono mi, że taki jest właśnie cel i misja upamiętniaczy. Będziesz więc mówił prawdę, tę niesmaczną i szpetną. A ja będę cię wspierał.



Po dziwnej i niepokojącej rozmowie odbytej w archiwum z Kyrilem Sindermannem Loken udał się w stronę śródokręcia, gdzie znajdowała się galeria będąca miejscem spotkań upamiętniaczy.

Karkasy jak zwykle czekał na niego pod wysokim łukiem wejścia do galerii. Było to ich ustalone miejsce spotkań. Z obszernej komnaty za nim dobiegały śmiechy, rozmowy i muzyka. Zarówno przed wejściem, jak i w środku sali w małych, lecz głośnych grupach rozmawiali nie tylko upamiętniacze, ale i członkowie załogi oraz wojskowi doradcy.

Galeria stanowiła jedną z wielu na okręcie flagowym sal przeznaczonych na zgromadzenia, parady i ceremonie wojskowe. Oddano ją do użytku upamiętniaczy, kiedy stało się jasne, że nie uda się odwieść ich od organizowania spotkań towarzyskich we własnym gronie. Atmosfera ciągłej zabawy nie pasowała do posępnego okrętu; miało się wrażenie, jakby na jednym z pokładów rozbił namiot objazdowy cyrk. Jednak w całym Imperium dowódcy okrętów

wojennych szli na podobne ustępstwa, przywykając z wolna do niewygodnej obecności dużych grup artystów i wolnomyślicieli. Natura upamiętniaczy była bowiem taka, że nie dało się ich kontrolować niczym pułku wojska. Charakteryzowali się niewyczerpaną potrzebą spotkań, rozmów i hulanek. Oddając im do dyspozycji galerię, dowódcy Ekspedycji ograniczali przynajmniej zasięg hałaśliwych i burzliwych zabaw.

Galerii nadano nazwę Kryjówka i od początku swego funkcjonowania zyskała ona sławę miejsca o dość podłej reputacji. Loken nie miał zamiaru wchodzić do środka i zawsze spotykał się z Karkasym u wejścia. Płynący z wnętrza swobodny śmiech oraz skoczna muzyka dziwnie kontrastowały z posępną i dostojną atmosferą innych pokładów „Mściwego Ducha”.

Karkasy skłonił się z szacunkiem przed nadchodzącym kapitanem. Siedem tygodni podróży wystarczyło, by wygoiły się jego obrażenia, a sińce niemal całkowicie znikły. Podał Lokenowi wydruk zawierający ostatnie utwory. Mijały ich grupki upamiętniaczy, z ciekawością i zaskoczeniem przyglądających się przedstawicielowi Astartes.

– Moje najnowsze wiersze – odezwał się Karkasy. – Jak obiecałem.

– Dziękuję. Do zobaczenia za trzy dni w tym samym miejscu.

– Jest coś jeszcze, kapitanie.

Karkasy podał Lokenowi czytnik danych. Nacisnął włącznik i na ekranie ukazały się pięknie zakomponowane zdjęcia. Zdjęcia Lokena i Dziesiątej Kompanii przygotowującej się do desantu. Zdjęcia sztandaru i szeregów Astartes. Wreszcie samego Lokena składającego śluby bitewne przed Targostem, Sedirae i członkami Kwadry.

– Euphrati prosiła, bym to panu oddał – powiedział Karkasy.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem, kapitanie. Ostatnio nikt jej zbyt często nie widuje. Stroni od towarzystwa.

– Od jak dawna?

– Od czasu Szeptunów.

– Opowiedziała ci, co się tam wydarzyło?

– Nie powiedziała ani słowa, kapitanie. Mówi, że nie ma o czym mówić. Że Pierwszy Kapitan powiedział jej, że nie ma o czym mówić.

– I ma rację. To piękne zdjęcia, z chęcią je zachowam. Dziękuję, Ignace. I przekaz moje podziękowania Keeler.

Karkasy skłonił się i ruszył w stronę wejścia do Kryjówki.

– Karkasy?

– Tak, kapitanie?

– Opiekuj się Keeler, proszę. Zróbcie to dla mnie, ty i Oliton. Zadbajcie, by nie była sama.

– Dobrze, kapitanie. Tak zrobimy.



Po sześciu tygodniach lotu, kiedy Loken zajęty był szkoleniem rekrutów, odwiedził go Aksymand.

– *Kroniki Ursh?* – mruknął zaskoczony, widząc tom pozostawiony przez Lokena obok maty treningowej.

– Dobra książka – powiedział kapitan.

– Czytałem ją z dużą przyjemnością jako dziecko – zgodził się Aksymand. – Dziś jednak sądzę, że jest raczej wulgarna.

– Chyba właśnie dlatego mi się podoba – odparł Loken. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Przyszedłem porozmawiać. Na osobności.

Loken zmarszczył brwi. Aksymand otworzył dłoń i pokazał mu srebrny medalion łoży.



– Chciałbym, abyś mnie wysłuchał – zaczął Aksymand, kiedy już znaleźli się w prywatnej zbrojowni Lokena. – Potraktuję to jak osobistą przysługę.

– Znasz moje zdanie na temat działalności łoż?

– Mówiono mi, co o nich myślisz. Podziwiam czystość twych przekonań, ale łoża nie ma żadnego złowrogiego celu. Masz na to moje słowo, a mam nadzieję, że coś to dla ciebie znaczy.

– Masz rację, znaczy. Kto powiedział ci o tym, że interesuje mnie ta sprawa?

– Nie mogę powiedzieć. Garviel, łoża spotyka się dziś wieczorem. Chciałbym, abyś uczestniczył w spotkaniu jako mój gość. Chcielibyśmy, żebyś został członkiem naszego bractwa.

– Nie jestem pewien, czy ja tego chcę.

Aksymand skinął poważnie głową.

– Rozumiem. Z uczestnictwem w spotkaniu nie wiążą się żadne obowiązki. Przyjdź, posłuchaj i sam podejmij decyzję. Jeśli nie spodoba ci się to, co zobaczysz lub usłyszysz, będziesz mógł odejść.

Loken nie odpowiedział.

– Jesteśmy po prostu grupą braci – kontynuował Aksymand. – Stanowimy bractwo wojowników, w którym wszyscy są sobie równi.

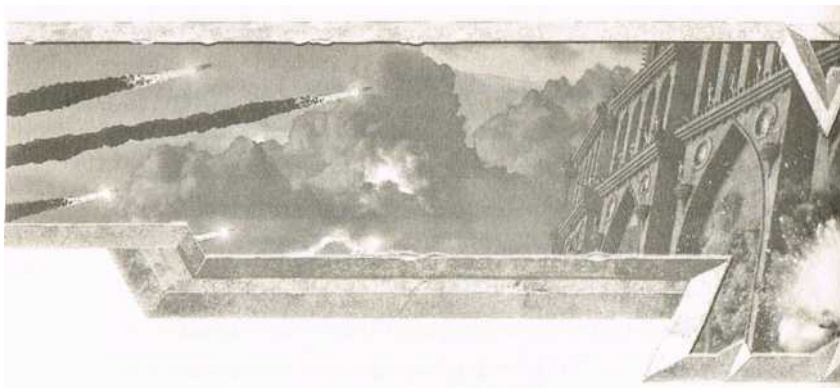
– Tak też słyszałem.

– Od czasu Szeptunów mamy wolne miejsce. Chcielibyśmy, żebyś to ty je zapełnił.

– Wolne miejsce? – zapytał Loken. – Masz na myśli miejsce Jubala? Widziałem jego medalion.

– Pójdiesz ze mną na spotkanie?

– Pójdę. Bo ty mnie o to prosisz.



CZTERY

DRZEWA RZEŹNI

DZIEŁO MEGARACHNIDÓW

MIŁO MI CIĘ POZNAĆ

Mimo że jego braci, wbitych na ciernie w koronie drzewa, nie dało się uratować, Tarvitz nie mógł pozostawić ich bez pomsty. Zbezczeszczenie dumnych, doskonałych ciał brukało honor Legionu.

Zebrał wszystkie materiały wybuchowe, jakie im pozostały, i zbliżył się do drzewa z Bulle i Sakianem.

Lucjusz został z resztą oddziału.

– To głupota – powiedział wcześniej. – Ładunki mogą być nam jeszcze potrzebne.

– Do czego? – zapytał Tarvitz.

Lucjusz wzruszył ramionami.

– Mamy tu wojnę do wygrania.

Saul Tarvitz prawie wybuchnął śmiechem. Chciał odpowiedzieć, że wszyscy są już martwi, że Rzeźnia pochłonęła już trzy Kompanie Krwawych Aniołów, a teraz, przez żądzę sławy Eidolona, miała pochłonąć również i ich. Tarvitz nie wiedział, ilu spośród Dzieci Imperatora pozostało przy życiu, ale jeśli inne grupy poniosły podobne straty, ogólna liczebność sił Legionu na planecie nie mogła przekraczać pół setki wojowników.

Pięćdziesięciu ludzi, nawet pięćdziesięciu Astartes, przeciwko niezliczonym wrogom. Nie mieli szans na zwycięstwo. To była rozpaczliwa, ostatnia walka i mogli liczyć tylko na to, że wcześniej z pomocą Imperatora uda im się zabić tylu megarachnidów, ilu tylko zdołają.

Nie powiedział o tym jednak Lucjuszowi, ale to tylko dlatego, że w pobliżu znajdowali się inni. Odwaga Lucjusza opierała się na braku kontaktu z rzeczywistością i gdyby Tarvitz przedstawił mu ich prawdziwe położenie, wybuchłaby między nimi kłótnia. A kłótnia między dowódcami była ostatnią rzeczą, jaką chcieli teraz oglądać ich bracia.

– Nie zamierzam tak zostawić tych drzew – stwierdził tylko Tarvitz.

Wraz z Bulle i Sakianem podbiegli do skamieniałego, białego pnia, trzymając się nisko przy ziemi, do chwili gdy znaleźli się w cieniu makabrycznych koron drzew. Siedzący wśród cierni skrzydlaci megarachnidzi nie zwrócili na nich uwagi. Wojownicy słyszeli odgłosy rwanego i przeżuwanego mięsa, a wokół kapała czarna krew.

Podzielili ładunki na trzy równe części i przymocowali je do pni. Bulle nastawił mechanizm zegarowy na czterdzieści sekund.

Biegiem ruszyli z powrotem na skraj lasu łądyg, gdzie krył się Lucjusz z resztą oddziału.

– Pospiesz się – Tarvitz usłyszał głos Lucjusza na kanale intervoxu.

Nie odezwał się.

– Szybciej, Saulu. I nie oglądaj się.

Tarvitz obejrzał się w biegu. Dwa skrzydlate stwory oddzieliły się od pożerającej ciała grupy i wzbiły się w powietrze. Ich skrzydła lśniły szkliście w żółtawym świetle, a błyskawice odbijały się w gładkich pancerzach. Wzleciały w górę, kołując wokół ciernistych drzew, i zaczęły obniżać lot, kierując się na biegnących Astartes. Słysząc już było monotonne, basowe buczenie skrzydeł, przypominające nagrane i spowolnione bzyczenie schwytej muchy.

– Biegiem! – krzyknął Tarvitz.

Sakian obejrzał się, potknął i upadł. Tarvitz zatrzymał się i zawrócił, by pomóc mu wstać. Bulle biegł dalej.

– Dwanaście sekund! Szybciej! – krzyknął, w biegu szykując bolter. Cofał się, celując do nadlatujących stworów.

– Padnij! – zawołał. Potem otworzył ogień.

Sakian padł, pociągnął Tarvitz na ziemię. Obaj potoczyli się po czerwonym piachu dokładnie w chwili, kiedy pierwszy ze skrzydlatych megarachnidów przeleciał nad nimi tak nisko, że podmuch jego skrzydeł wzbił chmurę rdzawego pyłu.

Poleciał dalej, prosto na Bullego, ale ten odgonił go, trafiając dwukrotnie z boltera.

Tarvitz podniósł wzrok i zobaczył drugiego skrzydlatego, który spadał z nieba prosto na nich, zamierzając porwać ofiarę z ziemi w taki sam sposób, jak porywano uwięzionych wśród gałęzi nieszczęśników.

Tarvitz spróbował odtoczyć się na bok. Czarna poczwara wypełniała mu już całe pole widzenia.

Huknął strzał. Sakianowi udało się unieść bolter i strzelał teraz w górę z minimalnej odległości. Pociski rozerwały tułów stwora w obłoku dymu i deszczu chitynowych odłamków. Skrzydlaty megarachnid zwałił się na ziemię, przygniatając swym ciężarem obu Astartes. Zaszamotał się i zatargał w przedśmiertnych spazmach i Tarvitz usłyszał, jak Sakian wydaje z siebie okrzyk bólu. Mocował się z martwym ciężarem cielska, pokrytymi białą posoką rękami próbując zepchnąć je na bok.

Ładunki eksplodowały.

Ognista fala uderzeniowa pomknęła ponad rdzawym gruntem, błyskawicznie rosnąc i rozprzestrzeniając się na wszystkie strony, paląc i obalając pobliskie łądygi. Podmuchał uniósł Tarvitz, Sakiana i przygniatające ich ciało w powietrze. Pchnięty jego impetem Bulle stracił grunt pod nogami i poleciał w tył. Pozostały skrzydlaty megarachnid próbował odlecieć, nie zdążył. Wybuch oderwał mu skrzydła i cisnął nim w gąszcz łądyg.

Eksplozja zrównała skamieniałe drzewa z ziemią. W kuli ognia zawaliły się jak upadające wieże, wokół sypnęło suchymi drzazgami i białym pyłem. Dwa lub trzy skrzydlate stwory próbowały wzbić się w powietrze, ale stały już w ogniu, a zasysająca tlen implozja wciągnęła je głębiej w płomienie.

Tarvitz podniósł się. Drzewa zamieniły się w stos płonących szczątków. W niebo biła gruba kolumna dymu i białego pyłu. Wokół spadały dymiące, tłące się odłamki.

Podniósł Sakiana na nogi. Uderzenie spadającego megarachnida złamało mu ramię powyżej łokcia, a kiedy porwał ich podmuch eksplozji, jego stan jeszcze się pogorszył. Wojownik stał niepewnie, ale jego usprawniony metabolizm już kompensował i łagodził skutki obrażenia.

Bulle wstał sam. Z wybuchu wyszedł bez szwanku.

Na kanale intervoxu odezwał się Lucjusz.

– Teraz jesteś zadowolony? – zapytał.



Poza zemstą za poległych braci i odzyskaniem honoru Legionu działanie Tarvitz miało jeszcze dwie niespodziewane konsekwencje. O drugiej nie wiedzieli przez jakiś czas, ale pierwsza stała się oczywista w mniej niż pół godziny.

Eksplozja sprawiła, że rozproszone Dzieci Imperatora zdołały nawiązać kontakt, co za sprawą zakłóceń nie było wcześniej możliwe. Dwa oddziały, pierwszy pod dowództwem kapitana Anteusa, drugi zaś samego Lorda Eidolona, zauważyły wybuch i kierując się na kolumnę dymu, dotarły do jego źródła. Łącznie oddział liczył teraz ponad pięćdziesięciu Astartes.

– Meldować – zażądał Eidolon, kiedy tylko zgromadzili się i zajęli pozycję na krawędzi polany, w odległości pół kilometra od zniszczonych drzew. Otwarty teren wokół zapewniał im możliwość obserwacji otoczenia na wypadek pojawienia się naziemnych megarachnidów. Gdyby zaś nadlecieli ich skrzydlaci kuzyni, mogli schronić się wśród łodyg.

Tarvitz najkrócej jak potrafił streścił wydarzenia, w jakich brała udział jego grupa od chwili lądowania. Lord Eidolon był jednym z najstarszych stopniem i pozycją oficerów Legionu, cieszącym się szczególnym zaufaniem Prymarchy. Nie znosił jakiegokolwiek poufałości nawet ze strony wyższych oficerów takich jak Tarvitz. Na podstawie jego zachowania Saul stwierdził, że Eidolon aż wrzał z gniewu. Operacja nie przebiegała tak, jak to sobie zaplanował. Tarvitz zastanawiał się, czy Eidolon kiedykolwiek przyzna się, że popełnił błąd, wydając rozkaz bezzwłocznego zrzutu, ale wątpił w to. Podobnie jak pozostali dowódcy

Dzieci Imperatora, Eidolon w jakiś sposób czynił ze swej pychy cnotę.

– Powtórz, co mówiłeś na temat drzew – polecił Tarvitzowi.

– Skrzydlate istoty używają ich jako żerowiska, panie.

– Tyle sam zrozumiałem – warknął Eidolon. – Te skrzydlate poczwary pozabijały mi ludzi. Widziałem też ciernie w koronach drzew. Mówisz jednak, że były tam i inne ciała?

– Zwłoki Krwawych Aniołów, panie – przytaknął Tarvitz. – Widziałem też ciała żołnierzy Armii Imperialnej.

– My nic takiego nie dostrzeżliśmy – wtrącił kapitan Anteus.

– To by wyjaśniało, co się z nimi stało – powiedział Eidolon. Anteus należał do wewnętrznego kręgu dowódców i Lord Komandor utrzymywał z nim znacznie bliższe stosunki niż Tarvitz.

– Macie jakiś dowód? – zapytał Anteus Tarvitz.

– Zniszczyłem drzewa, jak widzieliście.

– Nie masz więc dowodów?

– Dowodem jest moje słowo.

– Mnie to wystarczy. – Anteus uprzejmie skinął głową. – Nie miałem zamiaru cię urazić, bracie.

– Nie obraziłeś mnie.

– Zużyliście wszystkie ładunki? – zapytał Eidolon.

– Tak, panie.

– To było marnotrawstwo.

Tarvitz miał zamiar odpowiedzieć, ale zmilczał. Gdyby nie użył ładunków, ich siły nie mogłyby się połączyć, a na wpół objedzone zwłoki szlachetnych Dzieci Imperatora wisiałyby wśród cierni drzew bez krzty godności.

– To samo mu powiedziałem, panie – wtrącił Lucjusz.

– Co takiego?

– Że użycie wszystkich ładunków będzie marnotrawstwem.

– Co masz w ręku, kapitanie? – zapytał Eidolon.

Lucjusz uniósł odnóże obcego.

– Okrywasz nas hańbą – uniósł się Anteus. – Powinieneś się wstydzić używać wrażego oręża...

– Wyrzuć to, kapitanie – powiedział Eidolon. – Nie spodziewałem się tego po tobie.

– Tak, panie.

– Tarvitz?

– Panie mój?

– Krwawe Anioły będą potrzebowały dowodu śmierci swoich braci, jakiejś pamiątki, którą mogłyby przyjąć jako relikwię. Mówiłeś, że na drzewach wisiały części pancerzy. Idź i poszukaj ich. Lucjusz ci pomoże.

– Panie, czy nie powinniśmy zabezpieczyć...

– Wydałem ci rozkaz, kapitanie. Wykonasz go czy też honor bratniego Legionu nic dla ciebie nie znaczy?

– Chciałem tylko...

– Czy pytałem cię o radę? Czyżbyś został Lordem Komandorem i uzyskał jego uprawnienia?

– Nie, panie mój.

– To bierz się do roboty, kapitanie. Ty też, Lucjuszu. Wy czterej, pomóżcie im.



Burze osłonowe wytraciły impet i uspokoiły się. Niebo nad polaną stało się zadziwiająco czyste i blade, jakby nad Rzeźnią zapadała w końcu noc. Tarvitz nie miał pojęcia, jak długo trwa cykl dobowy planety. Od kiedy wylądowali, dzień musiał ustąpić nocy przynajmniej raz, ale w gąszczu łądyg i podczas szalejącej burzy nadejście wieczoru i ranka pozostało niezauważone.

Było jednak ciszej i chłodniej. Niebo przybrało kolor wyblakłego beżu, przez który przebijały połacie mroku. Nie wiał wiatr, błyskawice migotały w odległości wielu kilometrów. Tarvitzowi zdawało się, że dostrzega gwiazdy na ciemnych łątach nieboskłonu.

Poprowadził swą grupę między szczątki drzew. Lucjusz narzekał, jakby byli tu z winy Tarvitza.

– Zamknij się – powiedział mu Saul na prywatnym kanale voxu. – Potraktuj to jako zapłatę za podlizywanie się Lordowi Komandorowi.

– O czym ty mówisz?

– „Mówiłem mu, że to marnotrawstwo, panie” – odparł Tarvitz, przedrzeźniając Lucjusza w niewybredny sposób.

– Przecież to prawda! Mówiłem ci!

– Owszem, mówiłeś. Istnieje jednak coś takiego jak solidarność. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Bo jesteśmy przyjaciółmi!

– Czy tak zachowuje się przyjaciel?

– Jesteśmy Dziećmi Imperatora – powiedział Lucjusz poważnym tonem. – Dążymy do perfekcji we wszystkim, co robimy, ale nie ukrywamy swych błędów. Popełniłeś błąd. Uświadomienie sobie pomyłki stanowi krok na drodze do doskonałości. Czy nie tego uczy nas Prymarcha?

Tarvitz zmarszczył brwi. Lucjusz miał rację. Prymarcha Fulgrim uczył ich przecież, że tylko błędy i niedoskonałości mogą sprawić, że zawiodą Imperatora, a uświadamiając to sobie, zapobiegają przyszłym niedopatrzonom. Tarvitz życzyłby sobie, żeby ktoś przypomniał o tym Eidolonowi.

– I ja popełniłem błąd, używając tego ostrza – przyznał Lucjusz. – Bawiło mnie to, a to była część ksenosa. Lord Eidolon miał rację, karcąc mnie z tego powodu.

– Sam powiedziałem ci to samo. Dwa razy.

– To prawda, i jestem ci winien przeprosiny. Miałeś rację, Saulu. Przepraszam.

– Nie ma za co.

Lucjusz położył rękę na naramienniku Tarvitz'a i zatrzymał go w miejscu.

– Jest za co. Ja za dużo gadam, a ty zawsze jesteś taki zamknięty w sobie. Przepraszam, że ciągle z tego żartuję. Mam nadzieję, że nadal jesteśmy przyjaciółmi.

– Oczywiście.

– Twoja niezłomna wierność filozofii Legionu jest twoją największą zaletą – mówił Lucjusz. – Ja z kolei popadam czasem w obsesję i to jest niedoskonałość mojego charakteru. Być może mógłbyś pomóc mi ją przezwyciężyć. Mógłbym się od ciebie wiele nauczyć. – W jego głosie zabrzmiała owa dziecinna nuta, za którą Tarvitz polubił go od początku ich znajomości. – Poza tym – dodał Lucjusz – ocaliłeś mi życie. Nie podziękowałem ci jeszcze.

– Rzeczywiście, ale nie ma takiej potrzeby, bracie.

– Zatem mamy to z głowy, tak?

Pozostali Astartes czekali, aż Tarvitz i Lucjusz skończą prywatną rozmowę. Gdy obaj kapitanowie dołączyli do nich, ruszyli na poszukiwania.

Eidolon wyznaczył im do pomocy Bullego, Pherosta, Lodorotona i Tykusa. Wszyscy należeli do drużyny Tarvitz'a. Eidolon ewidentnie odgrywał się na nim i jego ludziach i Tarvitz'a bolał fakt, że inni musieli cierpieć z powodu niełaski, w jakiej się znalazł.

Saul miał zresztą wrażenie, że Eidolon nie ukarał go za zmarnowanie ładunków wybuchowych, tylko za to, że ich oddział dokonał od chwili lądowania więcej niż wszystkie pozostałe grupy.

Dotarli do zniszczonych drzew i weszli w hałdy tłącego się popiołu. Szczątki kamiennych cieni wystawały z nich jak jelenie poroże, poczerńiałe i gdzieś tam pokryte przypalonymi skrawkami mięsa.

– Co mamy robić? – zapytał Tykus.

Tarvitz westchnął i przyklęknął wśród szczątków drzew. Zaczął przesiewać przez obleczone w rękawice palce biały pył.

– Właśnie to – powiedział.



Pracowali przez blisko dwie godziny. Zaczął zapadać zmierzch i temperatura gwałtownie spadała. Pojawiły się gwiazdy, a nad niekończącym się lasem łądyg wyraźnie zamigotały widoczne na tle nocnego nieba nitki odległych błyskawic.

Z kopiałego pogorzelniska unosił się żar, wprawiając w drżenie zimne nocne powietrze. Garściami przesiewali popiół i udało im się odnaleźć dwa powyginane naramienniki z pancerzy Krwawych Aniołów oraz czapkę oficera Armii Imperialnej.

– Czy to wystarczy? – zapytał Lodoroton.

– Szukajmy dalej – odrzekł Tarvitz. Spojrzał w stronę pozycji zajmowanej przez oddział Eidolona. – Jeszcze godzina, potem skończymy.

Lucjusz znalazł hełm Krwawego Anioła z tkwiącym wciąż wewnątrz niego fragmentem czaszki, a Tykus napierśnik należący do jednego z Dzieci Imperatora.

– Weźmiemy je ze sobą – oświadczył Tarvitz.

Wówczas właśnie Pherost znalazł coś, co prawie go zabiło.

Był to jeden ze skrzydlatych megarachnidów, popalony i niemal pogrzebany w stosie popiołu, ale wciąż żywy. Kiedy Pherost rozgarniał popiół, skurczony i pozbawiony skrzydeł czarny potwór rzucił się na niego, dżgając hakowatym wyrostkiem.

Pherost stracił równowagę, upadł na plecy i zsunął się z kupy popiołu. Potwór ruszył na niego, ciągnąc swe okaleczone ciało i poruszając bezużytecznymi szczątkami skrzydeł.

Tarvitz doskoczył i dobił stwora pchnięciem miecza. Skrzydlaty był tak poraniony, że jego truchło zapadło się wokół klingi jak zwęglony papier. Ze zwłok wypłynęła gęsta, kleista posoka.

– W porządku? – spytał Tarvitz.

– Zaskoczył mnie, to wszystko – odpowiedział Pherost z lekceważącym uśmiechem.

– Bądźcie ostrożni – ostrzegł Saul pozostałych.

– Słyszycie? – zapytał Lucjusz.

Wokół zapanowały całkowita cisza i ciemność, przywodzące na myśl nadejście głębokiej nocy. Wszyscy Legioniści wzmocnili czujniki dźwięku w swych hełmach, a wtedy usłyszeli klekot i świergot, na który pierwszy zwrócił uwagę Lucjusz. Na skraju lasu łądyg światło gwiazd odbijało się w pancerzach ruchliwych, metalicznie połyskujących postaci.

– Wrócili – stwierdził Lucjusz, patrząc na Tarvitz.

– Tarvitz do dowódcy – Saul odezwał się do komunikatora voxu. – Wróg na skraju lasu.

– Widzimy ich, kapitanie – odpowiedział natychmiast Eidolon. – Zostańcie na miejscu, dopóki...

Połączenie urwało się, jakby ktoś je zagłuszał.

– Powinniśmy wracać – powiedział Lucjusz.

– Tak – zgodził się Tarvitz.

Wszyscy usłyszeli nagły hałas, kiedy oddalony o pół kilometra oddział Eidolona otworzył ogień. Widzieli płomienie wylotowe bolterów i słyszeli huk wystrzałów. W stroboskopowym świetle ostrzału dało się dostrzec rozedrgane i szare jak cynk postacie megarachnidów.

Pozycja oddziału Eidolona została zaatakowana.

– Ruszajmy! – krzyknął Lucjusz.

– Nie pomożemy im teraz – powiedział Tarvitz.

Sześciu Astartes zeszło ze szczątków drzew i zajęło pozycję obronną. Od strony lasu łądyg nadciągali megarachnidzi, widoczni tylko dzięki światłu gwiazd i błyskawic. Były ich setki. Maszerowali w równych, uporządkowanych szeregach. Wśród nich pojawiły się inne, znacznie większe kształty. Musiała to być kolejna, nieznana dotąd odmiana megarachnidów.

Oddział Tarvitz wycofał się z pogorzeliska na otwartą przestrzeń polany, trzymając się nisko przy ziemi. Po prawej, od strony oddziału Lorda Eidolona, słyszeli odgłosy walki.

– Co oni robią? – spytał Bulle.

– Patrz – przerwał mu Tarvitz.

Szeregi megarachnidów wspięły się na szczyt stosu szczątków. Wokół jego podstawy rozstawili się wojownicy, zajmując pozycje strażnicze. Inni obcy rozeszli się po stosie i zaczęli porządkować go z nieludzką szybkością i precyzją. Tarvitz widział, że zajmują się tym zarówno wojownicy, jak i podobni do nich przedstawiciele odmiany, której górne odnóża zamiast w ostrza przekształciły się w łopатовate wyrostki. Z niezwykłą dokładnością megarachnidzi zaczęli przesiewać resztki i wynosić je w gąszcz łądyg. Pracowali w zespołach, mechanicznie i sprawnie.

Z lasu wyłonili się więksi pobratymcy wojowników, tacy, których Tarvitz wcześniej nie widział. Były to ogromne bestie o krótkich, masywnych odnóżach i potężnych odwłokach. Poruszając się ociężale, zaczęły przeżuwać resztki drzew olbrzymimi żuwaczkami. Mniejsze stwory biegały wokół olbrzymów, wysnuwając z kądziółków przednich w ich odwłokach pasma białego tworzywa; poruszały przy tym odnóżami z dziwną delikatnością. Szybko krzepnący, włóknisty materiał znosiły na oczyszczone miejsce i zaczynały sklejać z niego nowy pień.

– Odbudowują drzewa – szepnął Bulle.

Widok był niezwykły. Potężne megarachnidy tkające białą masę pożerały szczątki wysadzonych przez Tarvitz pni i przerabiały je na budulec. Mniejsze pracowicie wznosiły z niego zaczątek nowych drzew na placu oczyszczonym przez pobratymców.

W mniej niż dziesięć minut większość terenu została oczyszczona i na miejscu starych drzew widać już było trzy odbudowane pnie. Budowniczywie podchodzili co chwilę z naręczami wilgotnej, mlecznobiałej mazi, po czym zwracali na nią płyn ze swych narządów gębowych. Całość mieszała w materiał przypominający cement. Ich odnóża wirowały i jak kielnie kształtowały nowe pnie.

Pół kilometra za nimi wciąż trwała bitwa. Lucjusz raz za razem oglądał się w tamtym kierunku.

– Powinniśmy wracać – powiedział. – Lord Eidolon nas potrzebuje.

– Jeśli nie będzie w stanie wygrać bez naszej szóstki, to znaczy, że nie miał szans. Wysadziłem te drzewa i nie będę beczynnie patrzył, jak je odbudowują. Kto jest ze mną?

– Ja – powiedział Bulle. Dołączyli do niego Pherost, Lodoroton i Tykus.

– No dobrze – powiedział Lucjusz. – Co zamierzasz?

Tarvitz jednak szarżował już na budowniczych z mieczem w ręku.



Bój, który stoczyli, był czystym szaleństwem. Wśród chłodu nocy sześciu Astartes z mieczami i bolterami w rękach zaatakowało stada megarachnidów. Najpierw na ich atak zareagowali strażnicy rozstawieni wokół placu budowy. Lucjusz i Bulle wyszli im naprzeciw i wyrznęli do nogi. Tarvitz i Tykus wykorzystali to i zaatakowali nadal zajętych pracą budowniczych. Pherost i Lodoroton byli tuż za nimi. Krótkimi seriami rozstrzelali stwory próbujące zająć z boku atakujących.

Tarvitz skoczył na jednego z monstrualnych tkaczy i rozpruł jego potężny odwłok ciosem miecza. Polał się ciekły cement, tryskający jak ropa z wyciśniętego wrzodu, a stwór przewrócił się i zaczął rozpaczliwie przebierać krótkimi odnóżami. Wojownicy megarachnidów przeskoczyli nad powalonym gigantem i zaatakowali Astartes. Tykus zastrzelił dwóch z nich w powietrzu, w pół skoku. Trzeciemu, który był już bardzo blisko, odrąbał łeb. Megarachnidzi tłoczyli się wszędzie, krzżeli się jak mrówki.

Lodoroton zdążył zabić ośmiu, w tym jednego giganta, zanim dopadł go jeden z wojowników i odgryzł mu głowę. Jakby tego było za mało, potem porąbał zwłoki, rozbryzgując wokół strumienie krwi i rozrzucając fragmenty ciała. Bulle zabił go jednym strzałem i wojownik upadł na wznak.

Lucjusz przerąbywał się przez szeregi strażników, których wokół niego stale przybywało. Tym razem nie bawił się w finezyjną szermierkę. Walka z tyloma przeciwnikami była wystarczająco trudna i bez tego.

Zanim go dopadli, zdążył zabić szesnastu. Pod ciosami jego miecza padł właśnie megarachnid o łopatomatych odnóżach z naręczem białej mazi. Umierając, zalał nią Lucjusza, który upadł z nogami i rękoma zlepionymi mokrą substancją. Próbował się oswobodzić, ale organiczne tworzywo zaczęło już tężeć i twardnieć. Skoczył ku niemu jeden z wojowników, atakując wszystkimi czterema ostrymi odnóżami.

Tarvitz przestrzelił go na wylot i obalił na ziemię. Stał nad Lucjuszem, by bronić go przed obcymi bestiami. W sukurs przyszedł mu też Bulle, strzelając i rąbiąc na wszystkie strony. Pherost walczył, by do nich dołączyć, ale padł, przebity na wylot zdradzieckim, wymierzonym w plecy pchnięciem. Tykus zbliżył się, cofając się przed napastnikami. Trzej nadal zdolni do walki Astartes rozstrzelali i rąbali zbliżających się wrogów. Leżący u ich stóp Lucjusz próbował się uwolnić i wstać.

– Zdejmij to ze mnie, Saul! – wrzeszczał.

Tarvitz chciał mu pomóc, chciał obrócić się i zerwać krępującą powalonego przyjaciela maz, ale nie mógł. Nie miał czasu. Wojownicy megarachnidów byli wszędzie wokół, świergotali i klekotali, nacierali i dźgali. Gdyby choć na chwilę odwrócił się plecami, byłoby po nim.

Pod czystym nocnym niebem poniósł się grom. W bitewnym zamieszaniu Tarvitz nie zwrócił na to uwagi, biorąc dźwięk za znak powracającej burzy osłonowej. Pomylił się.

Z nieba spadały rozgrzane do czerwoności meteory, uderzając ciężko w rdzawą ziemię wokół nich, najpierw dwa, potem cztery, dwanaście, dwadzieścia.

Kapsuły desantowe.

Zgiełk bitwy przebił huk wielu strzelających jednocześnie bolterów i zawodzący jęk miotaczy plazmowych. Z nieba nadal spadał deszcz kapsuł.

– Patrzcie! – zawołał Bulle. – Tam!

Megarachnidzi prawie już ich ogarnęli. Tarvitz zgubił gdzieś bolter, a w krętwie i natłoku wrogów ledwo mógł unieść miecz. Poczuł, jak nieustanny napór obcych powoli przeważa szalę starcia.

– ...szycie mnie? – zabrzmiało nagle na kanale ogólnym intervoxu.

– Co? Powtórz!

– Jesteśmy sługami Imperatora! Czy są tu nasi bracia?

– Tak! Na Terrę...

Przerwał mu huk eksplozji, potem seria wystrzałów. Fala uderzeniowa przetoczyła się przez masy nacierających przeciwników.

– Za mną! – zawołał niski, władczy głos. – Za mną i odeprzeć ich!

Znowu potoczył się grom eksplozji. Szare cielska rozpadały się wśród kul ognia; w powietrze, jak suche szczapy, wlatywały oderwane, segmentowane kończyny. Jedna z nich z impetem uderzyła w zasłonę hełmu Tarvitz'a i obaliła go na plecy. Świat zawirował przed oczyma.

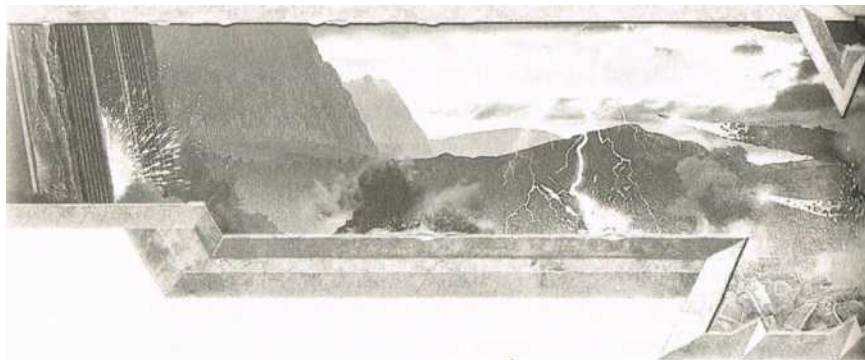
Jak przez mgłę zobaczył wyciągniętą ku sobie rękę. Rękę Astartes w białej, pancernej rękawicy.

– Wstawaj, bracie.

Saul chwycił wyciągniętą dłoń i poczuł, jak ktoś stawia go na nogi.

– Dziękuję – podniósł głos, przekrzykując zgiełk szalejącej wokół bitwy. – Kim jesteś?

– Na imię mi Tarik, bracie – powiedział jego wybawca. – Milo mi cię poznać.



PIĘĆ

NIEFORMALNE FORMALNOŚCI

PSY ŁAŃCUCHOWE

NIE MOGĘ POWIEDZIEĆ

Nikt nie zawiadomił oficerów Sto Czterdziestej Floty Ekspedycyjnej, kogo mieli za moment powitać na pokładzie. Loken uważał to za złośliwość graniczącą z okrucieństwem, za którą w jego przekonaniu musiał stać sam Maloghurst.

„Mściwy Duch” oraz towarzyszące mu okręty eskorty majestatycznym manewrem zajęły pozycję na orbicie wysoko ponad planetą. Stały burta w burtę z jednostkami Sto Czterdziestej Ekspedycji oraz innymi statkami, które przybyły im z pomocą. Z okrętu flagowego wysłano na pokład „Mizerykordii” ciężko opancerzony prom.

Matannual August wraz z Eshkerrusem, adiutantem Eidolona, stał na pokładzie desantowym w otoczeniu swych dowódców. Zebrali się, by powitać dowódców posiłków przybyłych z Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji, którzy musieli należeć do XVI Legionu Astartes. Wszyscy z wyjątkiem Eshkerrusa zdradzali objawy zdenerwowania. Przybycie Wilków Luny, najslawniejszych i wzbudzających największą grozę Astartes, każdego przyprawiało o drzenie.

Kiedy wysunęła się rampa desantowa promu i wśród obłoków pary na pokład zeszło dziesięciu Wilków Luny, zapadła cisza. Cisza ta jednak szybko ustąpiła stłumionym westchnieniom, gdy jasnym się stało, że owych dziesięciu wojowników nie stanowiło straży honorowej kapitana Kompanii, ale było to dziesięciu kapitanów w pełnym, odświeżonym rynsztunku.

Pochód otwierał Pierwszy Kapitan, który pozdrowił Matanuala Augusta znakiem imperialnego Orła.

– Jestem... – zaczął.

– Wiem, kim jesteś, panie – wyszeptał August i skłonił się głęboko, drżąc na całym ciele. Niewiele było w Imperium osób, które nie znałyby Pierwszego Kapitana Abaddona i jego groźnej reputacji. – Witam na pokładzie i...

– Sza, Mistrzu – powiedział Abaddon. – Nie mnie będziesz witał.

August, nie rozumiejąc, spojrzał w górę. Abaddon cofnął się o krok, zajmując swe miejsce w szeregu kapitanów, którzy stanęli po obu stronach rampy, po pięciu z każdej strony, tworząc szpaler honorowy. Wszyscy stali na baczność, zamarli w bezruchu, kierując wzrok przed siebie i trzymając dłonie na główkach mieczy.

Z wnętrza promu wyszedł Mistrz Wojny. Wszyscy obecni na pokładzie, z wyjątkiem dziesięciu kapitanów oraz Matanuala Augusta, natychmiast padli na kolana.

Horus zszedł po rampie. Sama jego obecność przyciągała niepodzielną uwagę wszystkich obecnych, wywołując niemal nieznośne napięcie. Sam Mistrz Wojny zresztą z pełnym rozmysłem i w bardzo prosty sposób sprawiał, że to napięcie narastało jeszcze bardziej.

Nie uśmiechał się.

August stał przed nim z szeroko rozwartymi oczyma, na przemian otwierając i zamykając usta, co nadawało mu wygląd wyrzuconej na brzeg ryby.

Eshkerrus, który sam wręcz pozieleniał z wrazenia, spojrzał na niego i szarpnął za krawędź odświętnego munduru.

– Ukorz się, głupcze! – syknął.

Ale August nie był w stanie się ruszyć. Loken wątpił, czy stary Mistrz Floty byłby w stanie przypomnieć sobie w owej chwili własne imię. Horus zatrzymał się i spojrzał na niego z góry.

– Nie pokłonisz się, panie? – zapytał.

Kiedy August zdołał w końcu odpowiedzieć, jego głos brzmiał jak dziecinny szept.

– Nie mogę – powiedział. – Nie pamiętam, jak to zrobić.

Wówczas Mistrz Wojny po raz kolejny wykazał, że jest wprost niezrównanym przywódcą. Sam przyklęknął na jedno kolano i skłonił głowę przed Matanuałem Augustem.

– Przybyłem z pomocą najszybciej jak mogłem, panie – powiedział i objął Augusta. Uśmiechnął się. – Cenię ludzi, którym duma nie pozwala ugnać karku w mojej obecności.

– Uklęknąłbym, gdybym mógł, panie mój – odparł August, już spokojniejszy i jakże wdzięczny Mistrzowi Wojny za jego nieformalne zachowanie.

– Wybacz mi, Matanualu... mogę się tak do ciebie zwracać? „Mistrzu” brzmi tak formalnie. Wybacz mi, że nie uprzedziłem o swym przybyciu. Nie znoszę pompy i formalności, a gdybym cię uprzedził, zapewne zgotowałbyś mi uroczyste powitanie. Żołnierze w galowych mundurach, orkiestra, chorągiewki... Muszę ci wyznać, że tych chorągiewek szczególnie nie znoszę.

Matanual August zaśmiał się. Horus wstał i spojrzał na klęczące wokół z pochylonymi głowami postacie.

– Wstańcie, proszę. Dość tych ukłonów. Wolę okrzyki radości lub oklaski od pokornych hołdów.

Oficerowie floty powstali, wznosząc okrzyki i klaszcząc. Jak łatwo zdobył ich serca, pomyślał Loken. Poszliby za nim w ogień, teraz i na wieki.

Horus przywitał się osobno z każdym z oficerów i dowódców. Loken zauważył Eshkerrusa w galowym półpancerzu i purpurowo-złoty szatach, który skłonił się na powitanie. Widział, że adiutant Eidolona zachowywał się sztucznie i był wyraźnie nieswój.

– Hełmy! – zakomenderował Abaddon i wszyscy kapitanowie odsłoniли głowy. Już mniej uroczyście postąpili naprzód, by utworzyć eskortę oddzielającą wodza od naporu nieustannie wiwatującego tłumu.

Horus szepnął coś na stronie Abaddonowi, nie przerywając odbierania ukłonów od zgromadzonych. Ezekail skinął głową. Dotknął komunikatora na obojczyku pancerza, uaktywniając prywatny kanał voxu. Kiedy przemówił do pozostałych członków Kwadry, posłużył się cthońskim, językiem bitewnym Legionu.

– Narada wojenna za pół godziny. Bądźcie gotowi odegrać swe role.

Wszyscy wiedzieli, co to oznacza. Wraz z Abaddonem weszli w tłum.



Zebrali się na naradę na pokładzie strategium „Mizerykordii”. Była to obszerna rotunda tuż za głównym mostkiem barku. Mistrz Wojny zasiadł u szczytu długiego stołu. Członkowie Kwadry również usiedli, a wraz z nimi miejsca zajęli również August, Eshkerrus oraz dziewięciu

najstarszych stopniem dowódców okrętów oraz oficerów armii. Pozostali kapitanowie Legionu Wilków Luny zasiedli wśród oficerów niższego szczebla, których tłum wypełniał amfiteatr wokół pokładu.

Mistrz Floty Matanual August wyświetlał hololityczne modele i wykresy mające uzupełniać nakreślony zwięźle obraz sytuacji. Horus patrzył i słuchał uważnie; dwa razy poprosił Augusta o powtórzenie jakichś szczegółów.

– A więc wysłaliście wszystkie dostępne siły w pułapkę? – zaczął obcesowo Torgaddon, kiedy tylko August skończył mówić.

August szarpnął głową jak uderzony.

– Panie, ja tylko...

Mistrz Wojny uniósł dłoń.

– Tariku, jesteś zbyt surowy. Mistrz August wykonywał tylko rozkazy kapitana Frome.

– Proszę o wybaczenie, panie mój. – Torgaddon się skłonił. – Cofam, co powiedziałem.

– Niesłusznie – wtrącił się Abaddon. – Zgadza się, że było to bezsensowne marnotrawstwo sił. Przepadły trzy Kompanie Astartes, nie mówiąc o jednostkach armii...

– Pod moimi rozkazami nic takiego by się nie mogło stać – mruknął Torgaddon. August zamrugał szybko, wyglądał tak, jakby starał się nie rozplakać.

– To niewybaczalne – dołączył się Aksymand. – Po prostu niewybaczalne.

– Mimo to wybaczymy mu – powiedział Horus.

– Czy naprawdę powinniśmy, panie? – zapytał Loken.

– Zdarzało mi się dokonywać egzekucji za mniejsze przewinienia – warknął Abaddon.

– Proszę – powiedział August, biały jak płótno, wstając z miejsca. – Zasluguję na karę.

Błagam jednak...

– Szkoda kuli – rzucił Aksymand.

– Wystarczy – przerwał Horus. – Matanual popełnił błąd. Prawda, Matanualu?

– Tak, panie.

– Stopniowo posyłał wszystkie swe siły w strefę wojny, aż zabrakło mu ludzi – ciągnął Horus. – To tragedia, ale czasem tak się dzieje. Ważne, że teraz jesteśmy tu my i zaradzimy sytuacji.

– Co z Dziećmi Imperatora? – chciał wiedzieć Loken. – Czy nie przyszło im do głowy zaczekać?

– Na co niby? – zapytał Eshkerrus.

– Na nas – wyszczerzył zęby Aksymand.

– Cała Ekspedycja znajdowała się w niebezpieczeństwie – odparł Eshkerrus, a jego oczy zwęziły się niebezpiecznie. – Przybyliśmy na miejsce pierwsi. Byliśmy winni naszym braciom, Krwawym Aniołom...

– Co takiego? Śmierć? – zapytał Torgaddon.

– Trzy Kompanie Krwawych Aniołów... – zaczął Eshkerrus podniesionym głosem.

– Prawdopodobnie dawno nie żyją – przerwał mu Aksymand. – To był znak, że planeta jest pułapką. A wy i tak w nią weszliście.

– My... – zaczął Eshkerrus.

– A może Lordowi Eidolonowi po prostu zapachniała wojenna chwała? – zapytał Torgaddon.

Eshkerrus zerwał się z miejsca. Zmierzył Torgaddona wściekłym spojrzeniem.

– Obrażasz honor Dzieci Imperatora, kapitanie.

– Chyba tak. Co z tego? – zapytał Torgaddon.

– Jesteś więc nędznym i prostackim...

– Adiutancie Eshkerrusie – wtrącił się Loken – nikt z nas nie przepada za Torgaddonem, chyba że mówi prawdę. Ja w tej chwili lubię go bardzo.

– Wystarczy, Garvielu – powiedział Horus cicho. – Uciszcie się wszyscy, a ty, adiutancie, usiądź. Moje Wilki Luny wyrażają się surowo, bo sytuacja ich niepokoi i wprawia w osłupienie. Siły Imperium pokonane. W walce z niezwykle zajadłym wrogiem utracono trzy pełne Kompanie Astartes. Sytuacja ta smuci mnie i wielce zasmuci również Imperatora, kiedy o niej usłyszy.

Horus wstał z miejsca.

– Raport, który mu złożę, będzie brzmiał, jak następuje. Kapitan Frome podjął słuszną decyzję o przystąpieniu do ataku, gdyż planeta jest gniazdem plugawych obcych. Jego odwaga zasługuje na uznanie. Mistrz August również podjął słuszną decyzję, Wspierając działania kapitana siłami armii, choć utracił w ten sposób większość podlegających mu oddziałów. Lord Komandor Eidolon słusznie uczynił, przystępując do ataku bez wsparcia, gdyż każde inne działanie w obliczu zagrożenia życia obywateli Imperium byłoby przejawem tchórzostwa. Chciałbym także podziękować wszystkim dowódcom okrętów, którzy zmienili kurs i pospieszyli na pomoc Ekspedycji. Od tej chwili my się tym zajmujemy.

– W jaki sposób, panie? – zapytał butnie Eshkerrus.

– Przypuścicie atak? – chciał wiedzieć August.

– Rozważymy dostępne możliwości i poinformujemy was o naszej decyzji. To wszystko.

Oficerowie opuścili pokład strategium, a za nimi udali się kapitanowie Sedirae, Marr, Moy, Goshen, Targost oraz Qruze, pozostawiając Mistrza Wojny w towarzystwie Kwadry.

Kiedy pokład opustoszał i zostali sami, Horus spojrział na Astartes z zadowoleniem.

– Dziękuję, przyjaciele. Dobrze się spisaliście.



Loken szybko uczył się, w jaki sposób Mistrz Wojny wykorzystywał Kwadrę. Coraz bardziej podziwiał go też jako urodzonego polityka. Aksymand na osobności, tuż przed wejściem na pokład promu, przygotował Lokena do roli, jaką ten miał odegrać.

– Sytuacja jest zła, a wódz jest zdania, że pogorszyły ją błędy i niekompetencja części dowódców. Zasłużyli na naganę tak surową, by ze wstydu poczuli chęć zapadnięcia się pod ziemię. Ale... jeśli ma sprawić, by Sto Czterdziesta Ekspedycja na powrót stała się zdolna wykonywać powierzone jej zadania, musi zaskarbić sobie podziw, szacunek i niezachwianą lojalność jej dowódców. Nie może zaś liczyć na to, jeśli zacznie od nagan.

– A więc to Kwadra ma ich zganić?

– Właśnie – uśmiechnął się Aksymand. – Wilki Luny i tak wzbudzają lęk, niech więc to nas się boją. Nas nienawidzą. To my damy wyraz niezadowoleniu i od nas wyjdą wszystkie oskarżenia o niekompetencję. Graj więc swą rolę i mów bez ogródek, krytykuj do woli. Niech się wiją ze wstydu. Dostaną nauczkę, ale Mistrz Wojny będzie uważany za łagodnego rozjemcę.

– Mamy być jego psami łańcuchowymi?

– Aby sam nie musiał warczeć. Dokładnie tak. Chce, byśmy im dopiekli i dali nauczkę, którą popamiętają i z której wyciągną wnioski. W ten sposób będą widzieli w nim rozjemcę uwielbianego za rozsądek i spokój. Jeśli dobrze się spisujemy, wszyscy będą czuli się skarceni, ale będą też kochać Mistrza Wojny za to, że okazał litość i odwołał swoje psy. Wszyscy uważają, że największą zaletą Horusa jest jego talent jako wojownika. Nikt nie oczekuje, że będzie zarazem genialnym politykiem. Obserwuj go i ucz się, Garvi, a zrozumiesz, dlaczego Imperator wybrał go na swego zastępcę.



– Dobrze się spisaliście – Horus z uśmiechem chwalił członków Kwadry. – Garvielu, twój ostatni komentarz był wprost cudownie celny. Eshkerrus był wściekły.

Loken skinął głową.

– Od chwili, kiedy go zobaczyłem, zrobił na mnie wrażenie człowieka, który chce uchronić własną głowę przed odpowiedzialnością. Dobrze wie, że popełnionych zostało wiele błędów.

– To prawda – zgodził się Horus. – Nie oczekuj jednak, że w najbliższym czasie znajdziesz wśród Dzieci Imperatora wielu przyjaciół. Duma leży w ich naturze.

Loken wzruszył ramionami.

– Mam już przyjaciół, panie. Nie potrzeba mi nowych.

– August, Eshkerrus i tuzin innych oficerów otrzyma formalne ostrzeżenia oraz zarzut niekompetencji, kiedy tylko zakończymy tu sprawy – powiedział Mistrz Wojny lekko. – Ale dopiero wówczas. Póki co morale jest dla nas kwestią kluczową. Musimy zaplanować przebieg wojny.



Około pół godziny później Matanual August wezwał ich na mostek. W burzach szalejących nad Sto Czterdzieści Dwadzieścia powstała nagle dziura. Znajdowała się niemal dokładnie nad miejscem lądowania Dzieci Imperatora.

– Nareszcie – powiedział August. – Okazja do lądowania.

– Gdybym tylko miał oddział Astartes, natychmiast przygotowałbym zrzut – mruknął do siebie Eshkerrus.

– Ale nie masz, co? – zadrwił Aksymand. Eshkerrus zmierzył go złym spojrzeniem.

– Wykorzystajmy okazję – namawiał Mistrza Wojny Torgaddon. – Następna może się szybko nie nadarzyć.

– Burza może wrócić – powiedział Horus, wskazując hololityczny model pogody planety.

– Chcesz przecież zdobyć ten świat, panie – drążył Torgaddon. – Pozwól mi poprowadzić pierwsze uderzenie. – Losowanie wskazało, że w razie ataku to Torgaddon ze swoją Kompanią będzie pierwszy. Towarzyszyć mu miały Kompanie kapitanów Sedirae, Moya i Targosta.

– Bombardowanie orbitalne – powtórzył Horus, przypominając mu, jaki uzgodniono sposób ataku.

– Ktoś mógł tam przeżyć – nie ustępował Torgaddon.

Mistrz Wojny odszedł na bok wraz z Kwadrą i cicho odezwał się po cthońsku.

– Jeśli zgodzę się na zrzut, powtórzę błąd Augusta i Eidolona, za który niedawno kazałem wam ich zganić.

– To co innego – odparł Torgaddon. – Oni na ślepo posyłali tam kolejne oddziały. Nie zalecam powtórzenia owej głupoty, ale ta dziura wśród burzy...

Niczego podobnego nie zanotowano od wielu miesięcy.

– Jeśli tam, w dole, przeżyli nasi współpracownicy – odezwał się Mały Horus – to zasługują na ostatnią próbę ratunku.

– Ja pójdę – powiedział Torgaddon. – Może uda mi się ich znaleźć. Na pierwszy znak, że pogoda się zmienia, wycofam ludzi na orbitę i będziemy mogli przygotować baterie floty.

– Nadal zastanawia mnie sprawa tej muzyki – powiedział Mistrz Wojny. – Wiemy już coś na ten temat?

– Tłumacze nie skończyli jeszcze pracy – odparł Abaddon.

Horus spojrzał na Torgaddona.

– Podziwiam twoje współczucie dla naszych współpracowników, Tariku, ale moja odpowiedź brzmi: nie. Nie zamierzam powtórzyć błędów Augusta i Eidolona i posłać ludzi na...

– Panie? – Matanual August zbliżył się, trzymając w ręku czytnik danych.

Horus odczytał tekst.

– To potwierdzona informacja?

– Tak, Mistrzu Wojny.

Horus spojrzał na kapitanów Kwadry.

– Mistrz Voxu wykrył transmisje nadawane na powierzchni, w rejonie dziury w warstwie burzy. Nasze komunikaty i wezwania pozostają bez odpowiedzi, ale ktoś tam nadaje. Na imperialnej częstotliwości. Wygląda to na komunikację pomiędzy drużynami lub pojedynczymi braćmi.

– Ktoś przeżył – powiedział Abaddon. Na jego twarzy malował się wyraz szczerzej ulgi. – Na Terrę i Imperatora, ktoś mimo wszystko przeżył.

Torgaddon tylko patrzył na Mistrza Wojny, uparcie, w milczeniu. Nie musiał nic mówić.

– Dobrze – powiedział Horus. – Ruszaj.



Kapsuły desantowe stały rzędem w wyrzutniach na piątym pokładzie „Mściwego Ducha”. Wojownicy zapinali uprząże bezpieczeństwa, a pokrywy zamykały się wokół nich jak płatki pancernych zarodników, stwardniałych i gotowych na nadejście jesieni. Zabrzmiały syreny i narastające wycie mechanizmów wyrzutni, które poczęły gromadzić energię, wypełniając przy tym pokład desantowy zapachem ozonu.

Mistrz Wojny stał na uboczu i z założonymi na napierśniku ramionami obserwował pośpieszne przygotowania.

– Raport meteorologiczny? – rzucił.

– Bez zmian w układzie frontu burzowego, panie – odarł Maloghurst, patrząc na swój czytnik.

– Ile to już trwa?

– Osiemdziesiąt dziewięć minut.

– Dobrze się sprawili, przygotowując zrzut w tak krótkim czasie – powiedział Horus. – Ezekailu, wyraż moje uznanie dowódcom drużyn. Niech wiedzą, że jestem z nich dumny.

Abaddon skinął głową. W pancernej rękawicy trzymał cztery zwitki pergaminu zawierające treść ślubów bitewnych.

– Aksymandzie? – zapytał.

Mały Horus wystąpił naprzód.

– Ezekailu, mogę? – zapytał Loken.

– A chcesz?

– Luc i Serghar wysłuchali i poświadczili moje śluby przed Szeptunami. A Tarik jest mi przyjacielem.

Abaddon spojrział na Mistrza Wojny, który niemal niedostrzegalnie skinął głową. Abaddon oddał pergaminowe zwitki Lokenowi.

Loken z Aksymandem u boku wysłuchał ślubów bitewnych czterech kapitanów. Mały Horus dzierżył bolter, na który wszyscy ślubowali.

Kiedy było po wszystkim, Loken wręczył każdemu z nich pasek pergaminu.

– Powodzenia – powiedział. – I pochwalcie sierżantów drużyn. Sam Mistrz Wojny podziwia sprawność ich przygotowań.

Verulam Moy uczynił znak Orła.

– Dziękuję, kapitanie Loken – powiedział i odszedł w stronę oczekującej kapsuły, wzywając po drodze dowódców drużyn.

Serghar Targost uśmiechnął się do Lokena i uściskał jego dłoń. Stojący obok niego Luc Sedirae wykrzywił się drapieżnie. Jego błękitne oczy lśniły z żądz walki.

– Jeśli nie znów na tym pokładzie... – zaczął Sedirae.

– ...niech będzie nam dane spotkać się u boku Imperatora – dokończył Loken.

Sedirae zaśmiał się i pobiegł z radosnym okrzykiem w stronę swej kapsuły. Targost założył hełm i oddalił się w przeciwnym kierunku.

– Luc aż wrze z chęci do bitki – powiedział Loken do Torgaddona. – A jak twój nastrój?

– Doskonale. – Torgaddon uśmiechnął się i z brzękiem pancerza uściskał najpierw Lokena, a potem Aksymanda.

– Luperkal! – wraz z zaciśniętą pięścią wzniosł okrzyk i ruszył biegiem w stronę czekającej kapsuły.

– Luperkal! – zawtórowali mu Loken z Aksymandem.

Obaj odwrócili się i ruszyli w stronę miejsca, gdzie stał Abaddon wraz z Maloghurstem i Mistrzem Wojny.

– Zawsze w tych chwilach odczuwam zazdrość – mruknął Mały Horus do Lokena.

– Ja też.

– Zawsze chcę być na ich miejscu.

– Wiem. Ja zawsze odczuwam też niepokój.

– Przed czym, Garvielu?

– Że więcej ich nie zobaczę.

– Zobaczysz.

– Jak możesz być tego pewny, Horusie?

– Nie mogę powiedzieć – odparł Aksymand z celową ironią, a Loken nie mógł powstrzymać wybuchu śmiechu.

Wszyscy obserwatorzy opuścili pokład i stanęli za tarczami termicznymi. Nagła zmiana ciśnienia oznajmiła otwarcie barier energetycznych, oddzielających dotąd pokład od próżni otwartego kosmosu. Wyrzutnie zawyły wściekle od nagromadzonej energii.

– Wódz zezwala na start – oznajmił Abaddon wśród ryku maszynierii.

Kapsuły runęły w dół wyrzutni niczym pociski, z ogłuszającym hukiem, jedna po drugiej opuszczając okręt. Pokład desantowy zadrżał. Odgłos przypominał huk towarzyszący pełnej salwie burtowej.

Potem zapadła cisza, a maleńkie, opancerzone ziarenka, otulone w kokony błękitnych płomieni, pomknęły w stronę powierzchni planety.



„Nie mogę powiedzieć”.

Słowa te nękały Lokena od szóstego tygodnia podróży ku Rzeźni. Od chwili, gdy towarzyszył Małemu Horusowi na spotkaniu łoży.

Spotkanie odbywało się w jednej z ładowni rufowych, w zapomnianej i nieuczęszczanej części okrętu flagowego. Drogę przez mroczne korytarze oświetlały maleńkie świece.

Loken przybył w zwykłych szatach, jak poinstruował go Aksymand. Spotkali się na czwartym pokładzie śródokręcia i kolejką transportową udali na rufę. Potem szli już tylko w dół pograżonymi w mroku schodami dla obsługi technicznej.

– Uspokój się – powtarzał mu Aksymand.

Ale Loken nie potrafił. Sama idea łoż wprawiała go w niepokój, pogłębiony teraz przez fakt, że Jubal też należał do jednej z nich.

– Przekonasz się, że łoża różni się od twoich wyobrażeń o niej – uspokajał Aksymand.

Loken sam nie wiedział, co sobie wyobrażał. Tajne zgromadzenie? Sektę Lectio Divinitatus? Albo coś jeszcze gorszego, spisek zdrajców toczący serce Legionu?

Kiedy schodził mrocznymi schodami, jakaś niewielka część jego duszy miała nadzieję, że naprawdę zobaczy zgromadzenie czcicieli demonów. Byłby to dowód na to, że Jubal został dotknięty skazą osnowy jeszcze przed szturmem na Szeptuny. Dowód ten ujawniłby Lokenowi materialne źródło zła, na którym mógłby wyrzeć zemstę. Jednak większa część jego duszy pragnęła, by było inaczej. Członkiem zgromadzenia był wszak też Mały Horus Aksymand. Jeśli łoża stanowiła skazę w sercu Legionu, skaza ta sięgałaby bardzo głęboko. Loken nie chciał walki z Aksymandem, ale jeśli jego najgorsze podejrzenia sprawdziłyby się, musiałby zabić brata i członka Kwadry.

– Kto nadchodzi? – zapytał głos w ciemności. Loken widział zarys zakapturzonej postaci, której potężna budowa wskazywała nieomylnie na Astartes.

– Dwie dusze – odezwał się Aksymand.

– Wasze imiona? – zapytała postać.

– Nie mogę powiedzieć.

– Wejdźcie, przyjaciele.

Kiedy przekroczyli próg ładowni, Loken zawahał się. Obszerne pomieszczenie z biegnącymi wzdłuż ścian rusztowaniami rozświetlały świece i ogień płonący w metalowym pojemniku. Otaczały go zakapturzone postacie. Rozmigotane płomienie rzucały fantastyczne i niepokojące cienie we wszystkie zakamarki ładowni.

– Oto nasz nowy przyjaciel – oznajmił Aksymand.

Zakapturzone postacie odwróciły się.

– Niech pokaże znak – odezwał się znajomy głos.

– Pokaż im – szepnął mu Aksymand.

Loken powoli uniósł medalion, który dał mu Mały Horus. W blasku ognia błysnęło srebro. Kapitan zacisnął drugą dłoń na rękojeści ukrytego pod szatą noża bojowego.

– Niech pokaże twarz – powiedział inny głos.

Aksymand sięgnął i zdjął z głowy Lokena kaptur.

– Witaj, bracie wojownika – powiedzieli chórem zakapturzeni.

Aksymand zdjął własny kaptur.

– Przemawiam w jego imieniu – powiedział.

– Przyjmujemy. Czy przybył z własnej woli?

– Przybył na moje zaproszenie.

– Dość tajemnic – powiedział głos.

Wszyscy zdjęli kaptury i odsłonili twarze. Loken zamrugnął z zaskoczeniem.

Był tam Torgaddon, Luc Sedirae, Neron Vipus, Kalus Ekaddon, Verulam Moy i ponad dwa tuziny innych Astartes, zarówno wysokiej, jak i niższej rangi.

I Serghar Targost, do którego należał znajomy głos. To on musiał być mistrzem loży.

– Nóż nie będzie ci potrzebny – powiedział łagodnie Targost, zbliżając się o krok i wyciągając dłoń. – Możesz odejść w każdej chwili, nikt nie będzie cię niepokoił. Możesz mi go oddać? Podczas naszych spotkań nie wolno nosić broni.

Loken wydobyl nóż i podał go Targostowi. Mistrz loży odłożył go na uboczu, w załomie filara.

Loken nadal patrzył po twarzach zgromadzonych. Nie tego się spodziewał.

– Tarik?

– Odpowiemy na każde twoje pytanie, Garvielu – zaczął Torgaddon. – Po to cię tu zaprosiliśmy.

– Chcemy, byś się do nas przyłączył – rzekł Aksymand. – Ale jeśli odmówisz, uszanujemy twą decyzję. Prosimy tylko, byś nie mówił nikomu o tym, co tu zobaczyłeś.

Loken zawahał się.

– Albo...?

– To nie groźba ani nawet warunek – wyjaśnił Aksymand. – Po prostu prosimy, byś zechciał uszanować naszą prywatność.

– Od dawna wiemy, że nie jesteś zainteresowany przystąpieniem do loży wojowników – włączył się Targost.

– Oględnie powiedziane – rzekł Loken.

Targost wzruszył ramionami.

– Rozumiemy powody twych obiekcji. Wielu Astartes podziela podobny pogląd. Dlatego też nigdy nie próbowaliśmy cię zwerbować.

– Co się zmieniło?

– Ty – odparł Aksymand. – Nie jesteś już zwykłym kapitanem, ale członkiem Kwadry. I natrafiłeś na dowód istnienia loży.

– Medalion Jubala... – domyślił się Loken.

– Medalion Jubala – potwierdził Aksymand. – Jego śmierć była tragicznym wydarzeniem i wszyscy go oplakujemy, ale to na ciebie miało ono największy wpływ. Wiemy o twojej potrzebie ekspiacji. Wiemy, że starasz się musztrą i treningiem jeszcze bardziej usprawnić działanie swej Kompanii, jakbyś czuł się winny temu, co się stało. Kiedy znalazłeś medalion, obawialiśmy się, że narobisz zamieszania i zaczniesz otwarcie pytać o tę sprawę.

– A więc zwabiliście mnie tu po to, by zmusić do milczenia?

– Garvielu – odezwał się Luc Sedirae – ostatnie, czego potrzeba Wilkom Luny, to szczerzy i szanowany kapitan oraz członek Kwadry, który postanowił ujawnić istnienie loży. Ucierpiałby na tym cały Legion.

– Doprawdy?

– Oczywiście – rzekł Sedirae. – Podejrzenia kogoś o twojej pozycji zmusiłyby do działania samego Mistrza Wojny.

– A on tego nie chce – dodał Torgaddon.

– On... wie? – zapytał Loken.

– Wydajesz się zaskoczony – powiedział Aksymand. – Czy nie byłoby jednak większym zaskoczeniem, gdyby Mistrz Wojny nie zdawał sobie sprawy z istnienia tego zgromadzenia? Wie, zawsze wiedział. Zawsze też udaje, że nie wie, w każdym razie dopóki nasze działania pozostają dyskretne.

– Nie rozumiem... – zaczął Loken.

– I dlatego tu jesteś – wtrącił się Moy. – Występujesz przeciw nam, ponieważ nie rozumiesz, czym jest łoża. Jeśli chcesz nas zwalczać, lepiej, byś wiedział, z czym właściwie walczysz.

– Dość już usłyszałem – powiedział Loken. – Odchodzę. Nie martwcie się, nic nikomu nie powiem, nie narobię zamieszania. Ale bardzo mnie wszyscy rozczarowaliście. Któryś z was może jutro oddać mi nóż.

– Proszę cię... – zaczął Aksymand.

– Nie, Horusie! Spotykacie się w tajemnicy, a tajemnica jest wrogiem prawdy. Tego uczy nas Imperator! Bez prawdy jesteśmy niczym! Ukrywacie się, skrywacie twarze... dlaczego? Wstydzicie się? Bo powinniście, na kły piekieł, powinniście! Sam Imperator, ukochany przez wszystkich, wyraził o was swe zdanie, sam Imperator nie akceptuje waszej działalności!

– Ponieważ jej nie rozumie! – zawołał Torgaddon.

Loken w kilku krokach przeszedł przez całą ładownię, aż stanął twarzą w twarz z Torgaddonem.

– Nie wierzę, żeś to powiedział – warknął.

– Taka jest prawda – powiedział nieustępliwie Torgaddon. – Imperator nie jest bogiem, ale jest podobny bogom. Jest tak bardzo odległy od reszty ludzkości, jedyny i niepowtarzalny! Nie ma nikogo, kogo mógłby zwać bratem. Nikogo! Nawet błogosławieni Prymarchowie są mu tylko synami. Imperator jest mądry, mądry ponad wszelkie wyobrażenie. Kochamy go i poszlibyśmy za nim na zatracenie. Ale on nie rozumie, czym jest braterstwo, a my właśnie braterstwa tu szukamy.

Zapadła cisza. Loken odwrócił się od Torgaddona, nie chcąc spoglądać mu w twarz. Pozostali otoczyli ich kręgiem.

– Jesteśmy wojownikami – ciągnął Targost. – To nasze rzemiosło i cel. Istnieją dla nas tylko wojna i służba. Tak jest od zawsze, od początków Astartes. Jedyna więź, jakiej nie określa nasza służba, to więź braterstwa.

– Temu właśnie służy loża – podjął Sedirae. – Jest okazją do swobodnych spotkań, rozmów i zwierzeń, nieskrępowanych wymaganiami struktury dowodzenia i szarży. Aby stać się częścią naszego cichego zgromadzenia, wystarczy spełnić jeden warunek. Wystarczy być wojownikiem.

– W naszym towarzystwie – powiedział Targost – każdy ma prawo otwarcie mówić o swych problemach, wątpliwościach, pomysłach i marzeniach bez obaw o to, że zostanie wyśmiany bądź skarcony przez dowódcę. Loża stanowi sanktuarium wolnego ducha dla wszystkich wojowników.

– Rozejrzyj się – zachęcił Aksymand, wiodąc dłonią po zebranych. – Spójrz na nich, Garvielu. Kapitanowie, sierżanci, szeregowi bracia. Gdzie indziej mogliby spotykać się na równych prawach? Podczas naszych spotkań rangi nie obowiązują. Doświadczony dowódca może swobodnie rozmawiać z młodym nowicjuszem. Dzielimy się tu wiedzą i doświadczeniem, omawiamy nowe pomysły i odkrywamy łączące nas ideały. Funkcja mistrza loży, którą piastuje Serghar, istnieje tylko po to, by nasze spotkania odbywały się w sposób zorganizowany.

Targost przytaknął skinieniem głowy.

– Horus ma rację. Garvielu, czy wiesz, od jak dawna istnieje nasze zgromadzenie?

– Dziesiątki lat...?

– Nie, dłużej. Być może nawet tysiące lat. Loże istniały już u zarania Legionów, a podobne zgromadzenia działają też w Armii Imperialnej i innych organizacjach wojskowych. Historia łóż sięga czasów starożytnych, czasów przed Wojnami o Zjednoczenie. Nie jesteśmy sektą ani wynaturzonym kultem religijnym, tylko bractwem wojowników. W niektórych Legionach łóż nie ma wcale, w innych zaś istnieją. W naszym Legionie istnieją od zawsze. Czerpiemy z tego siłę.

– W jaki sposób? – zapytał Loken.

– Bo łączą one więzią wojowników, których dzieli ranga lub przydział służbowy, albo takich, którzy w innych warunkach nie poznaliby nawet swoich imion. Jak wszystkie Legiony, i nasz działa dzięki sztywnej hierarchii łańcucha dowodzenia, w którym każdego, od wodza do szeregowego wojownika, obowiązuje lojalność. Lojalność wobec drużyny, oddziału, Kompanii.

Loża wzmacnia jednak więź biegnącą na wskroś tej struktury, pomiędzy drużynami czy Kompaniami. Można powiedzieć, że to nasza tajna broń, prawdziwa siła Wilków Luny, która spaja nas w całość.

– Gdybyś miał nieść ze sobą na wojnę tuzin włóczni – powiedział cicho Torgaddon – łatwiej byłoby nieść je razem. Najłatwiej jednak byłoby związać je ze sobą, prawda?

– Jeśli to miała być metafora, nie udało ci się – rzekł Loken.

– Chcę coś powiedzieć – do rozmawiających dołączył Kalus Ekaddon. Wystąpił naprzód i stanął przed Lokenem. – Było między nami nieco złej krwi – powiedział bez ogródek.

– To prawda.

– Drobną kwestią, ot, rywalizacją na polu walki. Przyznaję, że po bitwie o Wysokie Miasto serdecznie cię nienawidziłem. Oznaczało to, że choć służymy temu samemu panu i wyznajemy te same zasady, w przyszłości zawsze byłyby między nami tarcia. Rywalizacja. Mam rację?

– Chyba tak...

– Nigdy z tobą nie rozmawiałem – ciągnął Ekaddon. – W każdym razie nie prywatnie. Nie obracamy się w tych samych kręgach. Powiem ci jednak tyle, że słuchałem, co mówiłeś tu dzisiaj, wśród przyjaciół. Słyszałem, jak gorliwie bronisz swych racji, i poczułem do ciebie szacunek. Mówisz, co myślisz. Masz zasady. I jutro, Lokenie, bez względu na to, jaką podejmiesz decyzję, spojrzę na ciebie w nowym świetle. Nie doświadczysz ode mnie żadnych przykrości, bo poznałem, kim jesteś. – Ekaddon zaśmiał się głośno. – Na Terrę, Lokenie, prosty to przykład, ale i ze mnie prosty człowiek. Loża pozwala nam zobaczyć w bracie człowieka.

Wyciągnął dłoń. Loken uścisnął ją po chwili.

– To już coś – rzekł Ekaddon. – A teraz idź już, jeśli chcesz odejść. Wino i rozmowy czekają.

– Zostaniesz z nami? – zapytał Torgaddon.

– Zostanę. Przynajmniej na razie.



Spotkanie trwało dwie godziny. Torgaddon przyniósł wino, a Sedirae zdobyte gdzieś chleb i mięso. Nie było żadnych rytuałów, żadnego oddawania czci demonom. Wojownicy – bracia – siedzieli w małych grupach i rozmawiali, a potem słuchali opowieści Aksymanda o stoczonych ongiś wojnie z obcymi, z której doświadczenia mogły przygotować ich do

nadchodzących bitew. Na koniec Torgaddon opowiedział kilka dowcipów. W większości słabych.

Kiedy był właśnie w trakcie opowiadania szczególnie skomplikowanej i wulgarnej anegdoty, do Lokena podszedł Aksymand.

– Jak myślisz, skąd wziął się pomysł stworzenia Kwadry? – zapytał ściszym głosem.

– Stąd?

Aksymand skinął głową.

– Kwadra nie posiada żadnego oficjalnego statusu ani władzy. To nieformalne zgromadzenie, ale Mistrz Wojny bardzo je sobie ceni. Utworzono je jako jawne przedłużenie niejawnego bractwa, choć związki między tymi dwiema grupami dawno już zanikły. Obie są nieformalne, obie też są wplecione w oficjalną strukturę rządzącą naszym życiem. I sądzę, że wszyscy na tym korzystamy.

– Niepokoiły mnie moje demoniczne wyobrażenia o loży – wyznał Loken.

– Wiem. To przez tę twoją zasadniczość, która jest twoją wielką zaletą. Garvi, za nią cię kochamy i za nią właśnie loża chciałaby powitać cię w swoim gronie.

– Czy będę musiał złożyć przysięgę? Przejść przez te same teatralne korowody, co przy wstąpieniu do Kwadry?

Aksymand zaśmiał się.

– Ależ nie! Jeśli chcesz być jednym z nas, jesteś jednym z nas. Zasady są bardzo proste. O tym, co zachodzi podczas spotkań, nie rozmawiamy z nikim spoza loży. To jest dla nas czas swobody. Nasi bracia, zwłaszcza młodszy stopniem, muszą czuć, że mogą tu mówić bez skrępowania i obawy przed konsekwencjami. Powinieneś kiedyś posłuchać, co niektórzy z nich mają do powiedzenia.

– Chętnie.

– To dobrze. Otrzymasz medalion, symbol naszego bractwa. Jeśli ktoś zapyta cię o sprawy związane z lożą, odpowiedz po prostu: „Nie mogę powiedzieć”. To wszystko.

– Źle was osądziłem – przyznał Loken. – Moja wyobraźnia bardzo to wyolbrzymiała, podsuwając mi najgorsze domysły.

– Rozumiem, zwłaszcza biorąc pod uwagę sprawę biednego Jubala i twoją zasadniczość.

– Czy mam... zastąpić Jubala?

– To nie do końca tak działa – wyjaśnił Mały Horus. – Jubal był wprawdzie członkiem loży, ale od lat nie przychodził na spotkania. Dlatego przed twoją inspekcją zapomnieliśmy schować jego medalion. Oto ostrzeżenie, którego szukałeś, Garvielu. Nie fakt, że Jubal należał do loży, ale że nie bywał na spotkaniach. Nikt z nas nie wiedział, co dzieje się w jego głowie. Gdyby przyszedł do nas i podzielił się wątpliwościami, moglibyśmy może zapobiec koszarowi, do jakiego doszło w Szeptunach.

– Mówiłeś przecież, że mam kogoś zastąpić – powiedział Loken.

– Tak, Udon. Brakuje nam go.

– Udon należał do loży?

Aksymand skinął głową.

– Od dawna. Przy okazji, nie bądź zbyt surowy dla Vipusa.

Loken podszedł do płonącego w metalowym pojemniku ognia, obok którego siedział Neron Vipus. Żółte płomienie tańczyły wśród mroku, od czasu do czasu sypiąc w ciemność snopem iskier. Vipus wyglądał na zakłopotanego. Przez cały czas dotykał miejsca, w którym jego nowa dłoń łączyła się z nadgarstkiem.

– Neronie?

– Garvielu. Obawiałem się tej chwili.

– Dlaczego?

– Ponieważ ty... nie chciałeś, by któryś z twoich ludzi należał...

– Wybacz mi, jeśli się mylę, gdyż jestem tu nowy – przerwał mu Loken. – Sądziłem jednak, że loża ma być miejscem otwartości i swobody, nie zakłopotania.

Neron uśmiechnął się, skinął głową.

– Byłem członkiem loży, zanim jeszcze zostałeś moim dowódcą. Szanowałem twoje zdanie, ale nie mogłem opuścić bractwa. Ukrywałem swoją przynależność. Rozważałem, czy nie zaprosić cię do wstąpienia do loży, ale sądziłem, że mnie za to znienawidzisz.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem – powiedział Loken. – Nie mógłbym cię znienawidzić.

– Ale kiedy znalazłeś medalion Jubala i zapytałeś mnie o niego...

– Powiedziałeś tylko: „Nie mogę powiedzieć”. Jak przystało na członka loży.

Neron parsknął śmiechem.

– Skoro o tym mówimy, to byłeś ty, prawda?

– Co takiego?

– To ty zabrałeś medalion Jubala?

– Powiedziałem kapitanowi Aksymandowi, że się nami interesujesz, gdyż myślałem, że powinien wiedzieć. Ale nie, Garvi. Nie ja zabrałem medalion.



Kiedy spotkanie dobiegło końca, Loken ruszył z powrotem jednym z wielkich tuneli konserwacyjnych biegnących wzdłuż zęzy okrętu. Z rdzewiejącego sklepienia kapąła woda, a na powierzchni powstałych na pokładzie sadzawek lśniły tęczowo oleiste plamy.

Dogonił go Torgaddon.

– No i? – zapytał.

– Zaskoczyła mnie twoja obecność na spotkaniu – rzekł Loken.

– Mnie twoja również – odparł Torgaddon. – Taki sztywniak jak ty? Kto by pomyślał.

Loken zaśmiał się. Torgaddon podbiegł i skoczył, by klepnąć dłonią biegnącą pod sklepieniem rurę. Wylądował, rozchlapując wokół oleistą wodę.

Loken parsknął, pokręcił głową i poszedł w jego ślady, trafiając wyżej niż Torgaddon.

Echo uderzenia poniosło się wzdłuż tunelu.

– Pod komorą silnika – powiedział Torgaddon – tunele są dwa razy wyższe, ale i tak potrafię dotknąć sklepienia.

– Kłamca.

– Pokażę ci.

– Zobaczymy.

Przez jakiś czas obaj szli w milczeniu. Torgaddon gwizdał *Marsz Legionu*, głośno i fałszywie.

– Nie masz nic do powiedzenia? – nie wytrzymał w końcu.

– O czym?

– Wiesz, o czym.

– Myliłem się. Teraz rozumiem więcej.

– No i?

Loken zatrzymał się i spojrzał Torgaddonowi w oczy.

– Martwi mnie jedna rzecz – powiedział. – Loża spotyka się w sekrecie, a więc musi być dobra w dochowywaniu tajemnic. A ja nie lubię tajemnic.

– Dlaczego?

– Jeśli ktoś jest dobry w ich dochowywaniu, kto wie, jakie sekrety skrywa?

Torgaddon wytrzymał tak długo, jak mógł. Potem ryknął śmiechem.

– Nie wytrzymam, nie ma mowy. Zasadniczy do bólu.

Loken uśmiechnął się, ale kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał poważnie.

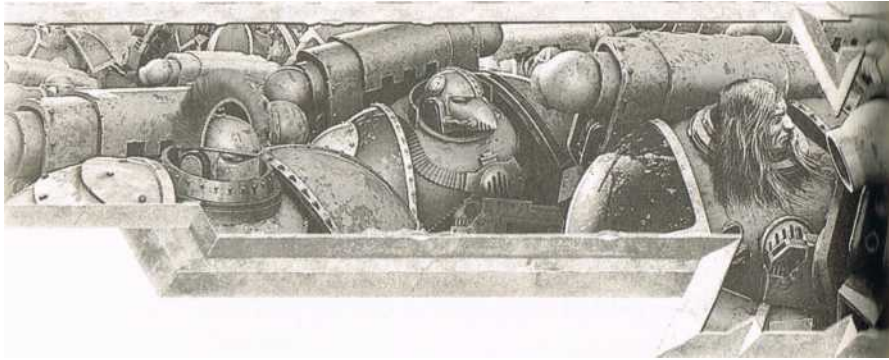
– Ciągłe mi to powtarzasz. Ale ja mówię poważnie, Tariku. Członkowie loży ukrywają się tak dobrze, bo przywykli do tajemnicy. Wyobrażasz sobie, co jeszcze mogliby ukryć?

– Na przykład to, jaki z ciebie sztywniak? – zadrwił Torgaddon.

– To chyba żadna tajemnica.

– Masz rację, wszyscy o tym wiedzą – zachichotał Torgaddon. Po chwili zapytał: – Przyjdiesz na następne spotkanie?

– Nie mogę powiedzieć – odparł Loken.



SZEŚĆ

INSTRUMENT WOLI

SZCZEGÓLNE ZDJĘCIE

IMPERATOR STRZEŻE

Na polanę spadły cztery pełne Kompanie Wilków Luny i ci megarachnidzi, którzy nie zdążyli uciec w las przed ich furią, zostali bez wyjątku wyrżnięci. Nad polem bitwy zawisła kolumna dymu, w mroku zimnej nocy potężna i czarna jak zbocze góry. Rdzawą ziemię pokrywały ciała obcych, skurczone niczym opiłki metalu.

– Kapitan Torgaddon – przedstawił się oficjalnie Wilk Luny, splatając dłonie w znak Orła.

– Kapitan Tarvitz – powiedział Saul. – Składam wyrazy podziękowania i uszanowania za waszą pomoc, kapitanie.

– To dla mnie zaszczyt, Tarvitz – odparł Torgaddon. Rozejrzył się po zasnutym dymem pobojowisku. – Naprawdę przypuściłeś atak na czele pięciu ludzi?

– Wymagała tego sytuacja – potwierdził Tarvitz.

Niedaleko od nich Bulle uwalniał właśnie Lucjusza z oklejającego go cementu.

– Żyjesz? – zapytał Torgaddon.

Lucjusz skinął głową z markotną miną i odszedł na bok, gdzie zajął się czyszczeniem swego idealnego pancerza z kawałków tworzywa. Torgaddon patrzył na niego jeszcze przez chwilę, po czym jego uwagę zajęły napływające intervoxem meldunki.

– Ilu masz ludzi? – zapytał Tarvitz.

– Siły uderzeniowe w liczbie czterech Kompanii – rzucił Torgaddon. – Wybacz na chwilę... Druga Kompania, do mnie! Luc, zabezpiecz perymetr i sprowadź Dewastatorów. Serghar, obejmij lewą flankę. Verulam... czekam! Weźmiesz prawe skrzydło.

Vox zatrzeszczał od potwierdzeń.

– Kto tu dowodzi? – zapytał ktoś.

– Ja – oznajmił Torgaddon i odwrócił się.

Depcząc dymiące gruzowisko pancernymi podszwami, zbliżał się do nich Lord Eidolon we własnej, dumnej osobie, w asyście tuzina Dzieci Imperatora.

– Jestem Eidolon – przedstawił się.

– Torgaddon.

– W tych okolicznościach zapomnę o tym, że się nie ukloniłeś – rzekł Eidolon.

– Za nic nie potrafię wyobrazić sobie okoliczności, w których miałbym się uklonić – odparował Torgaddon.

Przybocznicy Eidolona wyszarpnęli z pochew noże.

– Coś ty powiedział? – zapytał jeden z nich.

– Powiedziałem, żebyście pochowali te koziki, chłopcy, zanim któregoś nimi pokaleczę.

Eidolon uniósł dłoń i jego ludzie schowali noże.

– Dziękuję za pomoc, Torgaddon. Nasza sytuacja była poważna. Wiem też, że Wilki Luny nie znają manier ni ogłady, puszczę więc twój komentarz mimo uszu.

– Jak dla ciebie: kapitanie Torgaddon – odparł Tarik. – Jeśli cię w jakiś sposób uraziłem, zapewniam, że zrobiłem to celowo.

– Zapłacisz mi za to! – warknął Eidolon i zerwał z głowy hełm, zmuszając swój udoskonalony genetycznie organizm do zaradzenia skutkom radioaktywnego wiatru. Torgaddon poszedł w jego ślady i spojrzeli sobie w oczy, z bliska, napierśnik w napierśnik.

Tarvitz obserwował konfrontację z niedowierzaniem. Nigdy wcześniej nie widział, by ktoś w podobny sposób przeciwstawił się Eidolonowi.

Lord Komandor górował nieco nad Torgaddonem, z którego twarzy nie schodził cień uśmiechu.

– Jak chcesz to rozegrać, Eidolon? – zapytał. – Masz może życzenie wrócić do domu z łbem wepchniętym w zadek?

– Jesteś zwykłym kundlem – wysyczał Eidolon.

– Będziesz się musiał lepiej postarać – odparł Torgaddon. – Jestem zwykłym kundlem i jestem z tego dumny. Wiesz, co to jest?

Wskazał palcem wiszące nad nimi gwiazdy.

– Gwiazda? – zapytał zbity z tropu Eidolon.

– Tak, być może. Nie wiem. Ważne jest to, że ja dowodzę siłami interwencyjnymi Wilków Luny, których zadaniem jest ocalić wasze żalosne tyłki. Rozkaz taki wydał mi sam Mistrz Wojny, który jest tam, wśród gwiazd, i uważa cię za kretyna. I nie omieszka przy pierwszej okazji podzielić się swą opinią z Fulgrimem.

– Nie śmiej kłaść imienia mego Prymarchy, bękarcie. Horus...

– No masz... – westchnął Torgaddon i oburącz pchnął Eidolona w napierśnik. – On jest Mistrzem Wojny. – Drugie pchnięcie. – Twoim Mistrzem Wojny. Z szacunkiem, do cholery!

Eidolon zawahał się.

– Oczywiście, że poważam powagę osoby Mistrza Wojny.

– Czyżby? Jesteś tego pewien? To świetnie, Eidolon, bo jego osobę reprezentuję ja. Jestem instrumentem jego woli. Będziesz więc zwracał się do mnie tak, jakbyś zwracał się do Mistrza Wojny, i będziesz okazywał mi szacunek! Mistrz Wojny Horus uważa, że popełniłeś fatalne błędy w ocenie sytuacji. Ilu braci tu zrzuciłeś? Kompanię? A ilu zostało? Serghar? Stan sił.

– Trzydziestu dziewięciu, Tariku – odezwał się głos w komunikatorze. – Być może więcej, ale trzeba będzie przeszukać stopy zwłok.

– Trzydziestu dziewięciu. Tak ci było spieszno do wojennej chwały, że zmarnowałeś ponad połowę Kompanii. Gdybym to ja był... Prymarchą Fulgrimem, odrąbałbym ci łeb i zatknął go na palu. Zresztą Mistrz Wojny może jeszcze zechcieć to zrobić. Zrozumiałeś mnie, Lordzie Eidolon?

– Tak – powiedział powoli Eidolon. – Zrozumiałem, kapitanie.

– Może więc zechcesz teraz dokonać inspekcji swych sił? – zasugerował Torgaddon. – Jestem pewien, że wróg wkrótce wróci, tym razem w większej liczbie.

Eidolon patrzył przez chwilę na Torgaddona jadowitym wzrokiem, potem założył hełm.

– Nie zapomnę tej zniewagi, kapitanie.

– W takim razie nie zmarnowałem tu czasu – odparł Torgaddon, zakładając własny hełm.

Eidolon odszedł, zwołując swych rozproszonych ludzi. Torgaddon odwrócił się i zauważył, że przygląda mu się Tarvitz.

– Masz coś do dodania? – zapytał.

Tarvitz chciał dodać, że od lat pragnął powiedzieć Eidolonowi to samo, ale na głos rzekł tylko:

– Co mam robić?

– Zbierz swoją drużynę i bądź gotów. Kiedy znów uderzą, chciałbym wiedzieć, że jesteś po mojej stronie.

Tarvitz uczynił na napierśniku znak Orła.

– Możesz na mnie liczyć. Skąd wiedzieliście, gdzie jesteśmy?

Torgaddon wskazał na spokojne niebo.

– Wykorzystaliśmy wyrwę w burzy.



Lucjusz nadal był zajęty czyszczeniem pancerza. Tarvitz pomógł mu wstać.

– Ten Torgaddon to obmierzły łajdak – odezwał się Lucjusz, który podsłuchiwał całą rozmowę.

– A ja go lubię.

– Nie słyszałeś, jak zwracał się do Lorda Eidolona? To pies!

– Lubię psy – stwierdził Tarvitz.

– Zabiję go za tę bezczelność.

– Nie rób tego – ostrzegł Tarvitz. – Nie wolno ci, a gdybyś spróbował, musiałbym cię skrzywdzić.

Lucjusz zaśmiał się jak z dobrego żartu.

– Mówię poważnie – dodał Tarvitz.

Lucjusz roześmiał się jeszcze głośniejsze.



Zebranie całości sił na polanie trwało nieco ponad godzinę. Torgaddon za pośrednictwem towarzyszącego jego oddziałom astrotelepaty nawiązał kontakt z flotą. Burze osłonowe szalały z niesłychaną furiją nad okolicznymi lasami łądyg, ale niebo bezpośrednio nad polaną wciąż było czyste.

Kiedy jego ludzie szykowali się do walki, Tarvitz obserwował Torgaddona i towarzyszących mu kapitanów, pogrążonych w zacieklej, gniewnej dyspucie z Eidolonem i Anteusem. Wyglądało na to, że nie zgadzają się, co czynić dalej.

Po jakimś czasie Torgaddon opuścił grupę. Tarvitz domyślił się, że zrobił to po to, by kolejnym komentarzem nie zaognić kłótni z Eidolonem.

Torgaddon obszedł pozycje stojących na straży Astartes, odbył z niektórymi krótkie rozmowy i dotarł w końcu do miejsca, gdzie stał Tarvitz.

– Wyglądasz na porządnego człowieka, Tarvitz – zauważył. – Jak możesz znosić tego waszego Lorda Komandora?

– Moim obowiązkiem jest go znosić – odparł Tarvitz. – Moim obowiązkiem jest służyć. Jest moim dowódcą, a przebieg jego służby jest godny podziwu.

– Nie sądzę, by ta kampania została wliczona w poczet jego tryumfów – skrzywił się Torgaddon. – Powiedz mi, zgadzałeś się z jego decyzją, by dokonać tu zrzutu?

– Nie jest moją rzeczą zgadzać się lub nie – odparł Tarvitz. – Wykonywałem rozkazy. Jest moim dowódcą.

– To już wiem – westchnął Torgaddon. – No dobrze, Tarvitz. Tak między nami, braćmi Astartes. Zgadzałeś się z jego rozkazami?

– Naprawdę nie...

– Dajże spokój. Uratowałem ci życie. Odpowiedz szczerze, a będziemy kwita.

Tarvitz zawahał się.

– Uważałem je za nieco lekkomyślne – przyznał. – Sądziłem, że Lordem Eidolonem powoduje ambicja, nie zaś troska o bezpieczeństwo Kompanii lub zaginionych ludzi.

– Dziękuję za szczerść.

– Czy mogę jeszcze przez chwilę być szczerzy?

– Oczywiście.

– Podziwiam cię, kapitanie – dodał Tarvitz. – Zarówno za twoją odwagę, jak i bezpośredniość. Pamiętaj jednak, proszę, że my, Dzieci Imperatora, jesteśmy bardzo dumni. Nie lubimy, gdy ktoś publicznie obnaża nasze błędy lub nas poniża. Nawet wówczas, kiedy czynią to Astartes należący do najszlachetniejszych Legionów.

– Mówiąc „my”, masz na myśli Eidolona?

– Nie. Mam na myśli nas.

– Bardzo dyplomatycznie powiedziane – rzekł Torgaddon. – Na początku Krucjaty Dzieci Imperatora przez jakiś czas walczyły u naszego boku, zanim osiągnęły liczebność pozwalającą na samodzielne działanie.

– Wiem, kapitanie. Pamiętam te czasy, choć byłem wówczas tylko szeregowym wojownikiem.

– Wiesz więc także, jak wielkim szacunkiem wasz Legion cieszył się wśród Wilków Luny. Sam byłem wówczas tylko młodszym oficerem, ale pamiętam wyraźnie, że Horus powiedział... jak to było? Że Dzieci Imperatora są wcieleniem ideału Adeptus Astartes. Między Horusem i waszym Prymarchą istnieje szczególna więź, którą Horus bardzo sobie ceni. Wilki Luny walczyły podczas tej wielkiej wojny u boku niemal wszystkich Legionów. Nadal uważamy was za najlepszych wojowników, z jakimi mieliśmy zaszczyt służyć.

– Miło mi to słyszeć, kapitanie.

– W jaki sposób tak bardzo się zmieniliście? – zapytał Torgaddon. – Czy Eidolon jest typowym przedstawicielem kadry, która obecnie wami dowodzi? Jego arogancja mnie zadziwia. Uważa się za chodzącą doskonałość.

– Nasz etos nie polega na dążeniu do doskonałości, kapitanie – odparł Tarvitz. – Polega na dążeniu do czystości. Często jednak jest ona mylona z poczuciem wyższości. Wzorem jest dla nas Imperator, ukochany przez wszystkich. Staramy się go naśladować, i dlatego czasem możemy wydawać się wyniośli i arogancy.

– Czy kiedykolwiek zastanawialiście się jednak nad tym, że choć jak najwierniejsze naśladowanie Imperatora jest chwalebne, to nie można uzurpować sobie jego pozycji? Imperator jest jedyny w swoim rodzaju. Naśladujcie go we wszystkim, ale nie uważajcie się za równych jego osobie. Nikt nie jest taki jak Imperator.

– Mój Legion to rozumie – powiedział Tarvitz. – Czasem jednak niewłaściwie to okazujemy.

– Pycha nie ma nic wspólnego z czystością – ciągnął Torgaddon. – A w arogancji i nadmiernej pewności siebie nie ma nic godnego podziwu.

– Lord Eidolon wie o tym.

– Powinien to lepiej okazywać. Wprowadził was w morderczą pułapkę i nawet nie okazał skruchy.

– Jestem pewien, że Lord Komandor we właściwym czasie podziękuje wam za udzieloną nam pomoc i...

– Nie chcę jego podziękowań – przerwał mu Torgaddon. – Jesteście nam braćmi, mieliście kłopoty, więc przybyliśmy z pomocą. To wszystko. Ale ja musiałem osobiście przekonywać Mistrza Wojny do wydania rozkazu zrzutu, ponieważ uważał, że wysłanie kolejnych wojowników na śmierć w walce z nieznanym wrogiem w nieznanym terenie jest czystym szaleństwem. A to właśnie zrobił Eidolon w imię honoru i dumy.

– Jak udało ci się przekonać Mistrza Wojny? – zapytał Tarvitz ze zdziwieniem.

– Wcale mi się nie udało – rzekł Torgaddon. – To wy go przekonaliście. Burza nad tym obszarem ustała i przechwyciliśmy wasze komunikaty. Dowiedliście, że nadal żyjecie, a wówczas Mistrz Wojny natychmiast nakazał nam was wyciągnąć.

Torgaddon spojrział na zamglone gwiazdy.

– Burze są ich najskuteczniejszą bronią – myślał na głos. – Jeśli mamy zmusić ten świat do uległości i wcielić do Imperium, będziemy musieli znaleźć sposób na to, jak je pokonać. Eidolon zasugerował, że kluczem mogą być cierniste drzewa. Że działają jak wzmacniacze lub generatory nawałnic. Powiedział też, że kiedy tylko zniszczył te drzewa, burza nad tym obszarem ustała.

Tarvitz znieruchomiał.

– Lord Eidolon tak powiedział?

– To były jedyne sensowne słowa, jakie padły z jego ust. Powiedział, że kiedy tylko podłożył ładunki i wysadził drzewa, burza ustąpiła. To ciekawa teoria. Mistrz Wojny chce, abym wykorzystał dziurę w burzy i wyciągnął stąd wszystkich, ale Eidolon upiera się, by znaleźć inne drzewa i również je zniszczyć, aby powiększyć wyłom w obronie wroga. Co o tym myślisz?

– Myślę, że... mój pan Eidolon ma rację – powiedział Tarvitz.

Bulle, który stał niedaleko i słyszał ich rozmowę, nie mógł dłużej milczeć.

– Proszę o głos, kapitanie – zaczął.

– Nie teraz, Bulle – uciął Tarvitz.

– Kapitanie, ja...

– Słyszałeś, co powiedział kapitan, Bulle – wtrącił się podchodzący do nich Lucjusz.

– Jak cię zwą, bracie? – spytał Torgaddon.

– Bulle, kapitanie.

– Co chciałeś powiedzieć?
– To nieważne – prychnął Lucjusz. – Brat Bulle niepotrzebnie się wtrąca.
– Ty jesteś Lucjusz, tak? – dociekał Torgaddon.
– Kapitan Lucjusz.
– A Bulle był jednym z tych, którzy osłaniali cię, kiedyś leżał na ziemi?
– Tak, i jestem dumny, że służy pod moimi rozkazami.
– W takim razie pozwól mu mówić.
– To byłoby niestosowne – zaprotestował Lucjusz.
– Myślę, że jako dowódca sił interwencyjnych przewyższam cię rangą – powiedział Torgaddon. – Ja będę więc decydował, komu wolno mówić. Bulle? Mów, bracie.

Bulle niepewnie spojrzał na Lucjusza i Tarvitz.

– To był rozkaz – rzucił Torgaddon.
– To nie Lord Eidolon zniszczył drzewa, kapitanie. Zrobił to kapitan Tarvitz, i to tylko dlatego, że nalegał. Lord Eidolon upomniął go z tego powodu, twierdząc, że zmarnował ładunki wybuchowe.

– Czy to prawda? – zapytał Torgaddon.

– Tak – przyznał Tarvitz.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Ponieważ nie godziło się pozostawić ciał poległych braci w tak haniebnym miejscu.

– I pozwoliłbyś, by to Eidolon zebrał pochwały za ten czyn?

– Jest moim dowódcą.

– Dziękuję ci, bracie – powiedział Torgaddon do Bullego. Spojrzał na Lucjusza. – Skarć go lub ukarż w jakikolwiek sposób za to, co powiedział, a upewnię się, by Mistrz Wojny cię zdegradował. – Następnie zwrócił się do Tarvitz: – To zabawne i nie powinno mieć znaczenia, ale jednak ma. Teraz kiedy wiem, że to ty zniszczyłeś te drzewa, pomysł szukania następnych wydaje mi się bardziej sensowny. Eidolon potrafi najwyraźniej rozpoznać cudze dobre koncepty. Chodźmy zatem ściąć jeszcze kilka drzew, Tarvitz. Pokażesz mi, jak to się robi.

Torgaddon oddalił się, wydając po drodze rozkazy wymarszu. Tarvitz i Lucjusz popatrzyli na siebie, po czym Lucjusz odwrócił się i odszedł.



Astartes opuścili polanę i wkroczyli w gąszcz łądyg. Znowu znaleźli się w strefie burzy. Torgaddon rozkazał utorować drogę dla reszty oddziałów Terminatorom. Dowodził nimi Trice Rokus. Na dany przez niego znak ciężko opancerzeni, przypominający czołgi Astartes uaktywnili ciężkie ostrza łańcuchowe i zaczęli wyrąbywać szeroką ścieżkę przez las łądyg.

Przez dwadzieścia kilometrów parli naprzód pod pokrywą smaganych błyskawicami chmur. Dwukrotnie atakowały ich małe grupy megarachnidów. Astartes zwarli szeregi i wykorzystując przewagę odległości, uzyskaną dzięki szerokiej ścieżce, rozstrzelali atakujących z bolterów.

Krajobraz począł się zmieniać. Docierali najwyraźniej do krawędzi szerokiego płaskowyżu, grunt przed nimi zaczął stromo opadać. Porastające kamieniste zbocza łądygi stały się rzadsze, z trudem wczepiały się w bogate w tlenki żelaza skały. Pod nimi rozciągała się szeroka dolina ryftowa. Jej gąbczastą, podmokłą glebę pokrywały tysiące małych, stożkowatych drzew, przypominających z tej wysokości grzyby w ściółce. Wykonane one były z tego samego mlecznobiałego materiału, co cierniste pnie na polanie. Sterczały z podłoża jak żelazne ćwieki.

Po zejściu w dolinę Astartes zorientowali się, że jej podłoże stanowi bagno, które przecinają podłużne, wąskie jeziora o wodzie zabarwionej na pomarańczowo z powodu wysokiego stężenia tlenków żelaza. Jeziora przypominały zadane pazurami rany w glebie. W ich powierzchniach odbijały się błyskawice szalejących w górze burz.

W powietrzu roiło się od żylastych, szarych insektów, latających wśród wyziewów stęchłego powietrza. Polowały na nie większe stwory, trzepoczące skrzydłami i ruchliwe jak nietoperze, łowiące swe ofiary w locie.

U ujścia ryftu odkryli kolejnych sześć pokrytych cierniami drzew. Stały niczym dziwny gaj w zalegającej okolicę ciszy. Na cierniach dostrzegli resztki zwłok oraz pancerzy. Były to szczątki Krwawych Aniołów i żołnierzy Armii Imperialnej. Nie znaleźli tam jednak żadnych śladów skrzydlatych megarachnidów, choć nad odległym o pięćdziesiąt kilometrów lasem łądyg krążyły dziko ich czarne, złowieszcze kształty.

– Wysadzić – rozkazał Torgaddon. Moy skinął głową i odszedł, by zebrać i przygotować ładunki wybuchowe. – Znajdź kapitana Tarvitza – zawołał za nim Torgaddon. – On wie najlepiej, jak to zrobić.



Loken pozostał na pokładzie strategium przez pierwsze trzy godziny po rozpoczynającym operację zrzucie, wystarczająco długo, by z radością odebrać transmisję astropaty Torgaddona. Siły uderzeniowe zabezpieczyły miejsce zrzutu i połączyły się z pozostałymi przy życiu ludźmi Lorda Eidolona. Co dziwne, atmosfera stała się po tym jeszcze bardziej napięta. Astartes na okręcie czekali na podjęcie przez Torgaddona dalszych decyzji taktycznych. Abaddon na wszelki wypadek postawił w stan gotowości eskadrę desantowców stormbird, mającą w razie konieczności ewakuować wszystkich z planety. Aksymand w milczeniu przechadzał się po pokładzie. Mistrz Wojny naradzał się z Maloghurstem w swym sanktuarium.

Loken przez jakiś czas opierał się o reling biegnący wokół pokładu, obserwując krzątających się na mostku poniżej oficerów i dyskutując o strategii i taktyce z Tybaltem Marrem. Marr i Moy byli obaj Synami Horusa i przypominali Mistrza Wojny tak bardzo, że wyglądali niemal jak bliźniacy. W pewnym momencie dziejów Legionu przyłgnęły do nich przydomki Albo oraz Lub, odzwierciedlające fakt, że byli niemal nie do odróżnienia i każdy z nich mógłby z powodzeniem zastąpić drugiego.

Obaj byli dobrymi oficerami polowymi, a każdy z nich zgromadził na swym koncie dość zwycięstw, by obdzielić nimi kilku kapitanów, choć żaden nie mógł poszczycić się tryumfami takimi, jak te Sedirae czy Abaddona. Obaj byli dokładni i skuteczni i obaj przejawiali praktyczne i sumienne podejście do dowodzenia. Byli też jednak Wilkami Luny i to, co wśród ich braci uchodziło za zwykłą sumiennność, dla innych Legionów mogło stanowić niedościgły wzór do naśladowania.

Słuchając Marra, Loken doszedł do wniosku, że zazdrości on swemu „bliźniakowi” udziału w misji. Horus najczęściej posyłał do walki albo obydwu, albo żadnego z nich. Potrafili doskonale współpracować i uzupełniali się tak, jakby w jakiś sposób każdy z nich potrafił odgadywać myśli drugiego. Losowanie udziału w misji było jednak bezstronne i sprawiedliwe. Moy miał szczęście, Marr tym razem nie.

I teraz Marr miał wyraźną potrzebę, by potokiem wymowy zagłuszyć niepokój o los brata. Po jakimś czasie dołączył do nich przy relingu Qruze.

Iacton Qruze stanowił relik z czasów początków Legionu. Był już stary i dość męczący w obejściu, a rangę Kapitana Legionu piastował od momentu założenia oddziału. Stracił na znaczeniu, kiedy Imperator powierzył dowodzenie Horusowi. Ukształtowała go poprzednia

epoka, niespokojne czasy Wojen o Zjednoczenie. Był upartym i nieco swarliwym zabytkiem minionych tradycji Legionu.

– Bracia – Qruze powitał Lokena i Marra. Nadal nie pozbył się nie do końca może świadomego zwyczaju salutowania pięścią przyciśniętą do napierśnika, zgodnie z tradycją z czasów przed Zjednoczeniem, kiedy to upowszechnił się symbol imperialnego Orła. Miał pociągłą, ogorzałą twarz, pokrytą głębokimi bruzdami i zmarszczkami, a jego włosy pokrywała siwizna. Mówił cichym głosem i oczekiwał, że dzięki temu inni będą zwracać na jego słowa bacniejszą uwagę. Uważał też, że z tego właśnie powodu w końcu nadano mu przydomek Cichego.

Loken znał jednak prawdę. Umysł Iactona Qruze nie działał już tak samo sprawnie jak dawniej, wojownik często wydawał się zmęczony, a jego rady oraz komentarze zazwyczaj nie miały wiele wspólnego z sytuacją. Nazywano go Cichym, gdyż nie warto było go słuchać zbyt uważnie.

Qruze wierzył, że młodszy Legioniści uważają go za swego mądrego mentora. Nikt nie miał serca wyprowadzić go z błędu. Kilkukrotnie na drodze dyskretnych, zakulisowych działań próbowano pozbawić go dowodzenia Kompanią. Zwykle działo się tak wtedy, kiedy sam Qruze starał się o pozycję Pierwszego Kapitana.

Gdyby brać pod uwagę wyłącznie lata spędzone w służbie, powinien był objąć ją dawno temu. Loken sądził, że Mistrz Wojny litował się nad Qruzem i nie miał sumienia przenieść go w stan spoczynku; był on irytującym reliktem, traktowanym przez pozostałych dowódców z równą dozą sympatii i zniecierpliwienia. Nie potrafił przyjąć do wiadomości tego, że Legion rozwinął się i zmienił, on zaś pozostał w tyle.

– Nie minie dzień, jak będzie po wszystkim – oświadczył Qruze pewnym tonem. – Wspomnicie moje słowa, młodzicy. Jeszcze dzień i wódz wyda rozkaz ewakuacji.

– Tarik dobrze sobie radzi – zauważył Loken.

– Młody Torgaddon ma szczęście, ale nie uda mu się doprowadzić kampanii do końca. Wspomnicie moje słowa, rzekłem. Dzień, nie dłużej.

– Chciałbym tam być – powiedział Marr.

– Takie myślenie to głupota – pouczył go Qruze. – To zwykła operacja ratunkowa. Nie mieści mi się w głowie, co pchnęło Dzieci Imperatora do wejścia w tę piekielną pułapkę. Służyłem z nimi dawno temu, we wczesnych dniach ich Legionu. Opowiadałem wam o tym?

Wojownicy jak się patrzy. Wilki niejednego się od nich nauczyły, jeśli idzie o obyczajność i ogładę! Wzorowi wojacy. We Wschodnich Rubieżach wręcz zawstydzali nas swym kunsztem! Ale to było dawno.

– Na pewno – zgodził się Loken.

– Tak właśnie. – Qruze nie zauważył ironii w jego głosie. – Nie mieści mi się w głowie, co chcieli osiągnąć.

– Może chcieli wygrać wojnę? – zaryzykował Loken.

Qruze spojrział na niego niepewnie.

– Kpisz ze mnie, Garvielu?

– Nigdy, kapitanie. Nie ośmieliłbym się.

– Mam nadzieję, że dostaniemy rozkaz zrzutu – zaburczał Marr. – I to niedługo.

– Na pewno nie – oznajmił kategorycznie Qruze, gładząc siwiejącą kozołą bródkę zdobiącą pobrużdżoną twarz. Nie miał w sobie nic z Syna Horusa.

– Wzywają mnie obowiązki – powiedział Loken. – Bywajcie, bracia.

Marr spojrział na niego z irytacją, ponieważ niecznie zostawiał go w towarzystwie Cichego. Loken mrugnął do niego i na odchodnym usłyszał jeszcze, że Qruze zaczyna właśnie jedną ze swych niekończących się i męczących opowieści.

Loken udał się na dolne poziomy okrętu, gdzie mieściły się koszary Dziesiątej Kompanii. Jego ludzie czekali na rozkazy, niektórzy byli już w pancerzach, inni przygotowywali broń i ekwipunek. Czeladnicy zbrojmistrzów oraz serwitorki pracowali przy tokarkach i ruchomych wózkach z narzędziami, dokonując ostatnich precyzyjnych poprawek i dopasowując płyty pancerzy. Wszystko to były jednak tylko próby zabicia czasu. Loken wiedział, że jego Kompania od wielu tygodni znajduje się w stanie pełnej gotowości bojowej.

Niespiesznie zreferował sytuację Vipusowi oraz pozostałym dowódcom drużyn, następnie zaś zamienił kilka słów z nowymi rekrutami, przyjętymi do służby w Kompanii w przeciągu ostatnich paru tygodni. Oni właśnie byli najbardziej spięci, bo Sto Czterdzieści Dwadzieścia mogła wkrótce stać się miejscem ich chrztu bojowego jako pełnoprawnych Astartes.

Loken wycofał się w końcu do samotni swej prywatnej zbrojowni i przez jakiś czas oddawał się pewnym ćwiczeniom mentalnym, mającym wyostrzać koncentrację. Kiedy się znudził, wydobyl wypożyczoną od Sindermana książkę.

Podczas podróży na Sto Czterdzieści Dwaście nie udało mu się przeczytać zbyt dużej części *Kronik Ursh*. Nie pozwolił mu na to czas. Przewrócił grube, pożółkłe kartki i znalazł miejsce, w którym przerwał lekturę.

Zgodnie z zapewnieniem Sindermana *Kroniki* były opowieścią brutalną. Na ich kartach co rusz łupiono, palono lub wydawano na pastwę nuklearnej zagłady całe miasta. Morza regularnie spływały krwią, nieboskłon zasnuwały popioły, a pobojuwiska pokrywały nieprzeliczone stosy kości pokonanych. Wśród tego krajobrazu maszerowały miliardowe armie żołnierzy, a nad ich głowami powiewały w porywach radioaktywnego wiatru miliony sztandarów. Bitwy opisywano jako wirowiska kling zderzających się z najeżonymi kolcami hełmów, nad którymi unosiły się odgłosy rogów, a wszystko to rozgrywało się w dzikim świetle salw artyleryjskich i płomieni zniszczenia. Dzieło wychwalało okrutne występki bezlitosnego tyrana Kalaganna.

Lektura przynosiła Lokenowi wiele zadowolenia. Logika ustępowała często pola fantastycznym wydarzeniom, a ramy realizmu wielokrotnie bywały bezlitośnie naginane. Opisy walk pełne były czynów, jakich nie mógłby dokonać: żaden wojownik w erze przed Zjednoczeniem. Należeli oni wszak do hord technobarbarzyńców, których poskromili dopiero stworzeni właśnie w tym celu proto-Astartes, zakuci w prymitywne jeszcze pancerze wspomagane zwane „Grom”. Wielcy generałowie Kalaganna, Lurtois i Shang Khal oraz – w dalszej części dzieła – Quallodon, opisywani byli na sposób pasujący raczej do Prymarchów. To właśnie oni w drugiej połowie Ery Zamętu podbili dla Kalaganna niemal niezmierzone imperium.

Loken raz czy drugi przeskoczył kilkanaście stron do przodu. Zorientował się, że w późniejszej części książki opisany jest upadek Kalaganna oraz wydarzenie o apokaliptycznym znaczeniu, zdobycie Ursh przez siły Zjednoczenia. Przeczytał kilka opisów wojowników wroga, noszących pancerze z emblematem błyskawicy, który służył Imperatorowi za osobisty symbol przed oficjalnym wprowadzeniem Orła jako znaku Imperium. Oni to wprowadzili zwyczaj salutowania zaciśniętą w znak Zjednoczenia pięścią, którego do dziś nie pozbył się Qruze. Opisy ich pancerzy jednoznacznie wskazywały na Wzór I „Grom”. Loken zastanawiał się, czy w książce pojawi się wzmianka o samym Imperatorze, a jeśli tak, to w jakim przedstawiono go świetle. Był też ciekaw, czy uda mu się rozpoznać imiona jakichś z proto-Astartes.

Czuł jednak, że winien przeczytać książkę od deski do deski, że jest to winien Sindermannowi. Wrócił więc do miejsca, gdzie przerwał. Szybko wciągnął go opis kampanii

Shang Khala przeciw armiom Konklawe Nordafriki. Shang Khal zebrał liczną hordę pospolitego ruszenia z południowych państw satelickich Ursh i użył jej w celu zapewnienia wsparcia swym głównym siłom, w tym słynnym Lansjerom Tupelova oraz Czerwonym Machinom.

Technodemagodzy Nordafriki dysponowali znacznie większą liczbą cudów dawnej technologii niż władca Ursh i przyczyną wojny były zwykła zazdrość i pospolita chciwość. Kalagann pożałował bowiem technologii Konklawe i chciał zagarnąć ją dla siebie.

Marsz armii Shang Khala przez Konklawe Nordafriki znaczył szlak ośmiu walnych bitew, z których każda warta była epopei. Najważniejsza była ta pod Xozer. W ciągu dziewięciu dni walk maszyny bojowe, słynne Czerwone Machiny, nieustannym bombardowaniem zrównały z ziemią agroponiczne pastwiska, zamieniając je na powrót w pustynię, której wydarto je niegdyś z takim trudem. Pokonały zasieki laserowe i lśniące od klejnotów mury zewnętrznego konklawe i zbombardowały dzielnicę władców brudnymi bombami jądrowymi. Dzieła zniszczenia dokończyli Lansjerzy Tupelova, którzy przez wyłom w umocnieniach wleli się falą wyjących, oszalałych fanatyków do ogrodów Xozer. I tak zniszczeniu uległ ostatni skrawek raju na wyniszczonej, zdeprawowanej planecie, zdeptany i zdewastowany przez bezrozumnych berserkerów.

Loken miał chęć znów przeskoczyć kilka stron, gdyż narracja ustąpiła miejsca niekończącemu się wyliczaniu wojennych zasług. Jego wzrok padł jednak na dziwne zdanie. Cofnął się i odczytał je ponownie. W sercu dzielnicy władców stoczono jeszcze jedną, pomniejszą bitwę, ledwo zasługującą na wzmiankę na kartach książki. Szturmom długo opierał się jeden bastion, murengon. Za murami owego sanktuarium ostatni hierofanci konklawe oddawali się, jak głosił tekst, „scionomancji przy świetle płomieni ich stojącego w ogniu państwa”.

Shang Khal chciał szybko zakończyć podbój. Dlatego wysłał Anulta Keysera z zadaniem zgniecenia oporu sanktuarium. Keyser był marszałkiem Lansjerów Tupelova. Mógł też dzięki długom honorowym wezwać na pomoc szwadron Romy, myśliwców pilotowanych przez najemników, których bogato zdobione maszyny wedle legendy nigdy nie lądowały, lecz przynależały całkowicie do domeny powietrza. Podczas szturm murengonu oneirokrytycy Keysera – Loken rozumiał, że chodzi o „interpretatorów snów” – ostrzegli go przed scionomantami oraz ich sztuczkami.

Kiedy tylko rozpoczęła się bitwa, sprawdziły się ostrzeżenia oneirokrytyków. Scionomanci użyli swej magii. Na wojska Keysera spadła plaga owadów, których gęste jak tropikalny deszcz roje zasnuły słońce. Zatykały przewody wentylacyjne, wyloty luf i otwory obserwacyjne pojazdów oraz uszy, oczy i usta żołnierzy. Woda wrzała bez ognia. Silniki przegrzewały się lub eksplodowały. Żołnierze obracali się w kamień lub ich kości zamieniały się w maź albo też ciała pokrywały się im wrzodami i pęcherzami i odpadały od kości. Inni tracili rozum. Niektórzy stali się demonami i zwrócili się przeciw swoim.

Loken raz jeszcze przeczytał ostatnie zdanie: „...a gdzie nie panowały insekty ani szaleństwo, ówdzie ciała mężów pęcherzami się pokrywały i przemieniały na podobieństwo daimonów, plugawych onych bestyj, podobnych ajfritom i d'jinnom, które pustynie jeno zamieszkują. Na taki sposób przemienieni zwrócili się przeciw swoim i skrwawione ich kości ogryzać poczęli...”.

„Niektórzy stali się demonami i zwrócili się przeciw swoim”.

Sam Anult Keyser zginął z rąk jednego z demonów, który jeszcze kilka godzin wcześniej był jego lojalnym zastępcą, Wilhymem Mardolem.

Kiedy Shang Khal o tym usłyszał, wpadł w szal. Udał się na miejsce szturmu w asyście swych „piewców”, najwyraźniej jakiegoś rodzaju magów. Ich wodzem czy też mistrzem był niejaki Mafeo Orde, który w jakiś sposób z pomocą piewców stoczył z hierofantami walkę na odległość. Księga w irytujący sposób pomijała szczegóły dalszych wydarzeń, niemal jakby sam autor nie pojmował ich do końca. W tekście często przewijały się takie słowa, jak „czarnoksięstwo” i „magya”, pozbawione jakichkolwiek wyjaśnień. Pełno było też inwokacji do mrocznych, pierwotnych bóstw, których imiona musiały być znane ówczesnym czytelnikom. Od początku książki Loken napotykał nawiązania do „czarnoksięskich mocy Kalaganna” oraz „nauk niewidzialnych”, na których opierała się potęga Ursh. Uważał je jednak za przesadne zabiegi literackie. Teraz po raz pierwszy czarnoksięstwo zostało przedstawione w tekście jako fakt.

Ziemia drżała, jakby wstrząsana grozą. Niebo rozdarło się niczym jedwab. Wielu żołnierzy Ursh usłyszało nawołujące ich głosy zmarłych. Ludzie, błagając o pomoc, stawali w ogniu i błądzili wokoło, skapani w pełgających płomieniach, które parzyły, ale nie spopielaly ich ciał. Prowadzona na odległość wojna pomiędzy piewcami i hierofantami trwała sześć dni, a kiedy dobiegła końca, starożytną pustynię spowijał śnieg, a niebo przybrało barwę krwi. Szwadron

Romy zmuszony został do ucieczki, gdyż szalejące na niebie, wyjące anioły groziły straceniem ich maszyn.

Kiedy nastał koniec, wszyscy piewcy z wyjątkiem samego Orde nie żyli. Po murengonie pozostała dymiąca dziura w ziemi i ohydnie stopione, zeszkłone szczątki murów. Wszyscy hierofanci zginęli.

Na tym skończył się rozdział. Loken uniósł wzrok. Lektura tak go pochłonęła, że bał się, że przegapił alarm lub wezwanie. W zbrojowni panowała jednak cisza, a na panelu komunikacyjnym nie mrugała ani jedna dioda.

Zaczął czytać następny rozdział, ale była to opowieść o toczonej na dalekiej północy wojnie przeciw ruchomym miastom Tajgi. Znów przeskoczył kilka stron w poszukiwaniu jakiejś wzmianki o Ordem lub czarnoksięstwie, jednak nie znalazł na ten temat ani słowa. Sfrustrowany odłożył książkę.

Czyżby Sindermann dał mu ją celowo? Po co? Dla żartu? Celem ostrzeżenia? Loken postanowił dokładnie przestudiować dzieło i zwrócić się do mentora z wszelkimi pytaniami.

Na razie jednak miał dosyć. Czuł, że jego umysł spowijała mgła, a przed walką chciał go oczyścić. Podszedł do panelu komunikacyjnego obok drzwi i włączył intervox.

- Tu oficer wachtowy. Czym mogę służyć, kapitanie?
- Jakież wieści od naszych na powierzchni?
- Sprawdzę, kapitanie. Nie, nie mam dla pana żadnych informacji.
- Dziękuję. Proszę mnie informować na bieżąco.
- Tak jest.

Loken wyłączył komunikator. Wrócił do miejsca, gdzie odłożył *Kroniki*, podniósł je i zaznaczył stronę. Za zakładkę służył mu wąski pasek pergaminu oddartego z jednego ze ślubów bitewnych. Zamknął książkę i podszedł z nią do poobijanego metalowego kufra, w którym przechowywał swój skromny dobytek. Jak na tak długie życie, zgromadził niewiele przedmiotów. Przypomniawszy sobie równie mizerny dobytek Jubala. Kto uprzętnie moje rzeczy, jeśli zginę? – zastanawiał się. Co z nich zachowa, a co wyrzuci? Większość była bezwartościową zbieraniną drobiazgów, które miały jakiegokolwiek znaczenie tylko dla niego. Rękojeść noża bojowego, którego klingę złamał, podrzynając grdykę zielonoskórego watażki. Długie, zetlałe już i wyblakłe pióra hakodziobego stwora, który kilkadziesiąt lat wcześniej niemal zabił go na

Bathasarze. Brudny, pordzewiały drut z pętłami na obu końcach, którym zgarotował bezimiennego wodza eldarów, kiedy w trakcie walki stracił całą broń.

To była walka. Prawdziwy sprawdzian jego umiejętności. Postanowił, że kiedyś będzie musiał opowiedzieć o niej Oliton. Jak dawno to się wydarzyło? Wieki temu, choć wspomnienia w jego pamięci nadal były tak wyraźne, jakby zdarzyło się to ledwie wczoraj. Dwaj wojownicy, których kaprys wojennego losu pozbawił wszelkiej broni, polujący na siebie wśród szelestu liści smaganego wiatrem lasu. W tej walce liczyły się cierpliwość, wytrwałość i umiejętności. Kiedy w końcu zabił swego wroga, z podziwu niemal zapłakał nad jego ciałem.

Pozostał po tym tylko drut i wspomnienie. Kiedy zginie i Loken, pozostanie sam drut. Ktokolwiek będzie przeglądać jego dobytek, zapewne wyrzuci go, biorąc za niepotrzebny kawałek zwykłego żelastwa.

Natrafił dłonią na coś, *co* było warto zachować. Czytnik danych, który dał mu Karkasy. Zdjęcia Keeler.

Loken usiadł na pryczy i włączył urządzenie, by przejrzeć zdjęcia. Szczególne zdjęcia. Dziesiąta Kompania w szyku paradnym, szykująca się do wojny na pokładzie desantowym. Sztandar Kompanii. Sam Loken na tle żywych barw sztandaru. Znów Loken, składający śluby bitewne. Ujęcie Kwadry: Abaddon, Aksymand, Torgaddon i on sam, a wraz z nimi Targost i Sedirae.

Zdjęcia były wspaniałe. Stanowiły najcenniejszy materialny dar, jaki w życiu otrzymał. Był to zarazem dar najbardziej niespodziewany. Loken miał nadzieję, że dzięki Oliton uda mu się pozostawić po sobie jakieś świadectwo, na którym zyskają przyszłe pokolenia. Wątpił jednak, by jego dziedzictwo przerosło znaczeniem te obrazy.

Zamknął plik i miał zamiar wyłączyć czytnik, kiedy po raz pierwszy zauważył, że w pamięci znajduje się jeszcze jeden zapis, w części głównej pamięci czytnika, umieszczony tam być może z rozmysłem, by nie odkryto go przypadkiem. Jego obecność zdradzała teraz tylko maleńka cyfra 2.

Chwilę zabrało mu dostanie się do głównej pamięci. Znalazł folder wyglądający jak katalog z usuniętymi obrazami. Opatrzony był jednak nazwą.

Poufne.

Loken otworzył go. Na małym wyświetlaczu pojawił się kolorowy obraz. Patrzył na niego ze zdziwieniem. Pierwsze zdjęcie było ciemne, niemal nieczytelne, kolory i kontrast miało źle ustawione. Przewinął do kolejnej fotografii, i do następnej.

I zamarł w pełnej grozy fascynacji.

Widział Jubala, a raczej to, w co Jubal zamienił się przed śmiercią. Zaśliniona, oszalała masa cieleśka, pędząca mrocznym korytarzem w stronę obiektywu.

Zdjęć było więcej. Uchwycone na nich oświetlenie zdawało się nienaturalne, jakby układ optyczny piktera miał trudności z odczytem obrazu. Na pierwszym planie widniały wyraźne, pojedyncze krople krwi i potu, zamarłe w powietrzu. Stwór na drugim planie, bryzgający tymi ohydnyymi cieczami, był rozmyty i rozmazany, ale nadal wstrętny.

Loken wyłączył czytnik i najszybciej jak potrafił zaczął zdejmować z siebie pancerz. Kiedy został w samym kombinezonie z mimetycznego polimeru, opinającym jego ciało od kostek po nadgarstki, szybko założył długi, brązowy, konopny habit z kapturem. Porwał czytnik i bransoletę z komunikatorem i wyszedł ze zbrojowni.

– Neronie!

Vipus zjawił się natychmiast, w pełnym pancerzu, choć bez hełmu. Na widok stroju Lokena spojrzął na niego ze zdziwieniem.

– Garvi? Gdzie twój pancerz? Co się dzieje?

– Muszę coś sprawdzić – odpowiedział pośpiesznie Loken, zapinając na nadgarstku bransoletę komunikatora. – Przejmiesz dowodzenie na czas mojej nieobecności.

– Ja.

– Wrócę niedługo. – Loken nie słuchał go. Uniósł nadgarstek, by dostroić komunikator do częstotliwości intervoxu Vipusa. Małe diody kontrolne na bransolecie i obojczyku pancerza Vipusa najpierw zamrugały, a potem zaświeciły się jednocześnie. – Jeśli sytuacja ulegnie zmianie lub zostaniemy wezwani, skontaktuj się ze mną natychmiast. Nie zamierzam porzucać obowiązków, ale muszę coś zrobić.

– Co takiego?

– Nie mogę powiedzieć.

Neron Vipus zawahał się, potem skinął głową.

– Jak sobie życzysz, bracie. Zastąpię cię i będę informował o wszelkich zmianach.

Patrzył, jak jego kapitan w pośpiechu skręca w korytarz inspekcyjny i znika w ciemnościach.



Karta nie szła Karkasemu do tego stopnia, że w końcu stwierdził, iż nadszedł najwyższy czas, by upić partnerów. Grali w szóstkę, otoczeni przez tłum znudzonych obserwatorów, a ich stół znajdował się w boksie pod tylną ścianą Kryjówki. Widzieli w górze złożone łuki sklepienia arkadowego sali. W długiej komnacie kłębił się tłum złożony z upamiętniaczy, żołnierzy na przepustkach, odpoczywających po służbie oficerów floty oraz kilku iteratorów, znajdujących się w galerii prywatnie lub służbowo. Wszyscy jedli, pili, grali i rozmawiali. Rozlegał się gwar rozmów i śmiechy oraz szklany szczeł kieliszków. Ktoś grał na violi. Kryjówka w krótkim czasie stała się centrum towarzyskim okrętu flagowego floty.

Zaledwie tydzień lub dwa wcześniej mocno już zalany młodszy inżynier mówił Karkasemu, że ani na pokładzie „Mściwego Ducha”, ani na żadnym innym znanym mu okręcie nigdy dotąd nie było miejsc, gdzie można się było pośmiać i spotkać z innymi. Ludzie zadowalali się pićm po służbie lub grą w karty, nie mieli jednak gdzie się spotykać. Dopiero bohema upamiętniaczy sprowadziła ze sobą na pokład okrętu swe nawyki i zwyczaje, które przyciągały żołnierzy i mechaników jak płomień ćmy.

Iteratorzy oraz niektórzy starsi rangą dowódcy floty kręcili nosami na coraz powszechniejsze wyjścia do Kryjówki, nikt jednak nie próbował ich ograniczać. Kiedy Komnenus zgłosił zastrzeżenia względem niedozwolonych hulanek na pokładzie „Mściwego Ducha”, ktoś – Karkasy podejrzewał o to samego Mistrza Wojny – przypomniał mu, że rolą upamiętniaczy jest nawiązywanie kontaktów i bratanie się z załogą. Do Kryjówki ściągały więc tłumy żołnierzy i oficerów marynarki, mających nadzieję na spotkanie jakiegoś nieszczęsnego poety lub kronikarza, który upamiętniłby ich przemyślenia i doświadczenia dla potomności. Przeważnie jednak chcieli się po prostu napić, pograć w karty lub poznawać dziewczęta.

Karkasy był zdania, że było to jak dotąd największe osiągnięcie programu upamiętniaczy: udało się im przypomnieć żołnierzom, że są w końcu ludźmi i należy im się nieco rozrywki.

Poza tym mógł dzięki temu ogrywać ich w karty.

Grali w grę zwaną *targe main*, używając talii kwadratowych kart, które Karkasy wypożyczył niegdyś Mersadie Oliton. Przy stole poza Karkasem siedziało również dwóch innych upamiętniaczy, a także młodszy oficer pokładowy, sierżant armii oraz kanonier. Za żetony

służyły im wióry wyłupane beztrąsko przez kogoś z jednej ze złoczonych kolumn podtrzymujących sklepienie. Karkasy musiał przyznać, że upamiętniacze doprowadzili oddaną im do użytku galerię do straszego stanu. Kolumny zostały w połowie odarte z pozłoty, freski na ścianach pokryto graffiti i przejawami radosnej twórczości literackiej. Na powierzchni obłoków pomiędzy ramionami starożytnych bohaterów wypisano ułożone naprędce strofy, a samych herosów na wieczność ozdobiono komicznymi brodami lub opaskami na oko. Całe połacie ścian i sklepienia zostały zamalowane na biało, aby twórcy nie cierpieli na brak miejsca do pisania, kiedy tylko najdzie ich muza.

– Opuść sobie to rozdanie – oznajmił Karkasy i wstał z fotela, zgarniając ze stolika nędzny stosik złotych wiórów. – Przyniosę coś do picia.

Pozostali gracze pomrukami zadowolenia wyrazili aprobatę, a sierżant rozdał karty. Młodszy oficer pokładowy zaklaskał nawet, unosząc dłonie ponad bezwładnie opartą o blat głowę.

Karkasy zaczął przepychać się przez tłum, aby znaleźć Zinkmana. Zinkman, rzeźbiarz z zawodu, dysponował trunkiem zawsze, choć nikt nie wiedział, skąd go brał. Chodziły plotki, że Zinkman miał cichą umowę z kimś w służbie kontroli klimatu okrętu, kto na boku zajmował się destylacją. Karkasy pamiętał, że rzeźbiarz jest mu winien co najmniej jedną butelkę, którą przegrał do niego w *merci merci* dwa wieczory temu.

Zapytał o Zinkmana parę osób siedzących przy dwóch kolejnych stolikach albo zebranych w luźne grupki. Dźwięki violi ucichły i rozległy się brawa, a kompozytor, Carnegi, wspiął się na stół. Carnegi miał niezły baryton i zazwyczaj dawał się namówić do śpiewania popularnych arii lub piosenek na życzenie.

Karkasy miał życzenie.

Siedząca na stołkach i fotelach grupa, obok której przechodził, wybuchła naraz głośnym śmiechem, słuchając fragmentu utworu napisanego i odczytywanego przez jednego z upamiętniaczy. W kolejnym z boksów pod ścianą Karkasy dojrzał Ameri Sechloss, pochłoniętą spisywaniem swego nowego dzieła, kreślonego czerwonym atramentem na ścianie własnoręcznie pobielonej kradzioną farbą do kadłuba. Zamalowała w ten sposób obraz Imperatora tryumfującego na Cyclonis. Karkasy pomyślał, że komuś zapewne się to nie spodoba. Pod rozchlaną farbą widział fragmenty postaci Imperatora, ukochanego przez wszystkich.

– Zinkman? Czy ktoś widział Zinkmana? – zapytał.

– Chyba jest tam – wskazał jeden z upamiętniaczy obserwujących Sechloss przy pracy.

Karkasy odwrócił się i stanął na palcach, by spojrzeć ponad cizbą we wskazanym kierunku. Kryjówka była tego wieczoru szczególnie zatłoczona. Zobaczył, jak do sali wchodzi potężna postać. Odziany w szatę z kapturem olbrzym górował nad tłumem, przewyższając najwyższą nawet osobę w pomieszczeniu. Przybysz nie był zbudowany jak zwykły człowiek. Poziom hałasu nie opadł, ale jasne było, że mężczyzna zwracał uwagę. Ludzie szeptali do siebie i wskazywali go sobie spojrzeniami.

Karkasy przecisnął się przez tłum. Jako jedyny z obecnych odważył się podejść do przybysza. Zakapturzony stał pod łukiem wejścia, lustrując tłum i szukając kogoś wzrokiem.

– Pan kapitan? – upewnił się Karkasy, zaglądając pod kaptur. – Kapitan Loken?

– Karkasy. – Loken ewidentnie czuł się nieswojo.

– Czy to mnie pan szuka? Myślałem, że mamy spotkać się jutro.

– Szukam Keeler. Jest tutaj?

– Tutaj? Ależ nie. Nie bywa w tym miejscu. Kapitanie, pan pozwoli ze mną. Na pierwszy rzut oka widać, że chce pan stąd wyjść.

– Naprawdę?

– Pańskie zakłopotanie i niepewność są widoczne na pierwszy rzut oka. Poza tym kiedy się tu spotykamy, zawsze staje pan w wejściu. Chodźmy.

Wyszli z zatłoczonego przejścia na pogrążony w ciszy i półmroku korytarz. Mijały ich grupki osób zmierzających do Kryjówki.

– Sprawa musi być naprawdę ważna, skoro zdecydował się pan wejść do środka.

– Rzeczywiście – przyznał Loken. Nie zdejmował kaptura, nadal spięty i sztywny. – Muszę porozmawiać z Keeler.

– Rzadko odwiedza miejsca publiczne. Teraz znajduje się zapewne w swej kwaterze.

– Gdzie to jest?

– Mógł pan zapytać oficera wachtowego o numer jej pokoju.

– Pytam ciebie, Ignace.

– A więc to aż tak ważna i aż tak prywatna sprawa – domyślił się Karkasy. Kiedy Loken nie odpowiedział, Karkasy wzruszył ramionami. – Zaprowadzę pana.

Skierował kapitana na pokład mieszkalny, gdzie znajdowały się kwatery upamiętniaczy. Wśród niosących echa metalowych chodników panował chłód, a ściany pokrywały zacieki.

Niegdyś koszarowali tu oficerowie armii, ale teraz, podobnie jak w Kryjówce, nie pozostał tu nawet ślad po wojskowej dyscyplinie. Z niektórych kwater przez uchylone lub niedomknięte pokrywy włazów dobiegały dźwięki muzyki. W innym pomieszczeniu słychać było czyjś historyczny śmiech, a w jeszcze innym odgłosy gwałtownej kłótni pomiędzy mężczyzną i kobietą. Do ścian przyklejono plakaty z ogłoszeniami, hasłami i wierszami, a także esejami o naturze człowieka i wojny. Gdzieś tam dostrzeżono również freski, niektóre doskonałe, inne zaś całkiem prymitywne. Na pokładzie pełno było najróżniejszych śmieci, od papierów i pustych butelek po porzucony but.

– To tutaj – powiedział Karkasy. Metalowe drzwi kwatery Keeler były zamknięte. – Czy mam...? – Gestem wskazał drzwi.

– Tak.

Karkasy zastukał pięścią, poczekał na odpowiedź. Po chwili zabębnił raz jeszcze, tym razem mocniej.

– Euphrati? Euphrati, jesteś tam?

Drzwi otworzyły się i w zimnym powietrzu korytarza rozszedł się zapach rozgrzanych ciał. W progu stał szczupły, młody mężczyzna ubrany tylko w nie do końca zapięte spodnie od munduru polowego. Wyglądał na żyłastego twardziela, a na twarzy miał hardy wyraz. Na jego ramionach widniały wytatuowane numery służbowe, a na zawieszonym na szyi łańcuszku kołysały się nieśmiertelniki.

– Czego? – warknął.

– Chcę się zobaczyć z Euphrati.

– Spieprzaj – warknął żołnierz. – Ona nie chce cię widzieć.

Karkasy cofnął się o krok. Mężczyzna sprawiał niebezpieczne wrażenie.

– Uspokój się – powiedział Loken, zdejmując kaptur i patrząc na żołnierza z góry. – Uspokój się, a nie zapytam cię o nazwisko i jednostkę.

Żołnierz patrzył na Lokena rozszerzonymi oczyma.

– Nie... nie ma jej tutaj – powiedział.

Loken przycisnął się obok niego. Mężczyzna próbował go zatrzymać, ale kapitan złapał go za nadgarstek i wykręcił mu ramię obezwładniającym chwytem.

– Nie rób tego więcej – poradził i puścił go, pchnąwszy delikatnie. Żołnierz padł na kolana.

Pokój był niewielki i bardzo zagracony. Większą część podłogi zajmowały rozrzucone ubrania i zmierzwiona pościel, a na niskim stoliku oraz na półkach piętrzyły się stopy butelek i brudnych naczyń.

Keeler stała w kącie, obok niepościelonej pryczy. Owinęła się prześcieradłem i wpatrywała w Lokena pogardliwym wzrokiem. Wyglądała na zmęczoną i chorą, jej włosy były w nieładzie, a oczy głęboko podkrążone.

– W porządku, Leef – powiedziała do żołnierza. – Zobaczymy się później.

Mężczyzna założył bluzę mundurową i buty, po czym wyszedł, obrzucając Lokena ostatnim, morderczym spojrzeniem.

– Dobry z niego człowiek – powiedziała Keeler. – Opiekuje się mną.

– Żołnierz?

– Tak. Bratam się z wojskowymi. Czy Ignace musi tu być?

Karkasy nadal stał w drzwiach.

– Dziękuję za pomoc – powiedział mu Loken. – Do zobaczenia jutro.

Upamiętniacz pokiwał głową.

– W porządku – powiedział. Odwrócił się z wyraźną niechęcią i odszedł.

Loken zamknął metalowe drzwi. Spojrzał na Keeler, która nalewała właśnie przejrzystego płynu do kieliszka.

– Skusi się pan? – zapytała, podnosząc butelkę w jego stronę. – Nie chcę uchybić gościnności.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Aha. Tak myślałam, Astartes nie piją. Kolejna ludzka wada, której was pozbawiono.

– W pewnych okolicznościach i nam zdarza się napić.

– Ale teraz, jak rozumiem, one nie zachodzą...? – zapytała Keeler i odstawiła butelkę, unosząc jednocześnie kieliszek.

Podeszła do pryczy, jedną ręką podtrzymując prześcieradło, drugą zaś unosząc kieliszek do ust. Usiadła, nie uroniwszy ani kropli trunku, podwinęła nogi i skromnie zasłoniła się prześcieradłem.

– Wiem, po co pan przyszedł, kapitanie – zaczęła. – Jestem tylko zaskoczona. Spodziewałam się pana dawno temu.

– Przepraszam. Drugi plik jak dotąd uchodził mojej uwadze, znalazłem go dopiero dzisiaj.

– Jak się panu podobały zdjęcia?

– Są zadziwiające. Te z pokładu desantowego są szczególnie pochlebne. Zamierzałem wysłać pani wiadomość z podziękowaniem. Raz jeszcze przepraszam. Ten drugi zestaw fotografii jest jednak...

– Problematyczny? – zapytała.

– Co najmniej. – Skinął głową.

– Proszę usiąść – powiedziała. Loken zdjął szatę wierzchnią i ostrożnie usiadł na metalowym zydłu stojącym obok zagraconego stolika.

– Nie wiedziałem, że istnieją jakieś zdjęcia z tych wydarzeń.

– Sama nie wiedziałam, że je zrobiłam – odparła Keeler, popijając z kieliszka. – Chyba zapomniałam. Kiedy Pierwszy Kapitan zapytał mnie wówczas, czy utrwaliłam jakiegokolwiek obrazy, zaprzeczyłam. Byłam zaskoczona, kiedy później je znalazłam.

– Dlaczego je pani do mnie przysłała?

Wzruszyła ramionami.

– Nie jestem pewna. Musi pan zrozumieć, kapitanie, że... nie byłam sobą. Przez jakiś czas było ze mną bardzo źle. To przez szok. Było źle, ale jakoś przez to przesłam. Teraz wróciłam do równowagi, odzyskałam spokój. Bardzo pomogli mi przyjaciele, Ignace, Sadie i inni. Byli dla mnie bardzo dobrzy. Bez nich mogłam sobie coś zrobić.

– Coś zrobić?

Przez chwilę bawiła się kieliszkiem, wbijając wzrok w podłogę.

– Miałam koszmary, kapitanie Loken. Straszne wizje we śnie i na jawie. Płakałam bez powodu i zbyt dużo piłam. Udało mi się zdobyć pistolet i przez długie godziny zastanawiałam się, czy wystarczy mi sił, by go użyć.

Podniosła na niego wzrok.

– Właśnie wtedy, w tej... czarnej studni rozpacz... wtedy wysłałam panu te zdjęcia. Myślę, że to było wołanie o pomoc. Zresztą nie jestem pewna, nie pamiętam. Jak powiedziałam, to już minęło i czuję się dobrze. Trochę mi głupio, że zawracałam panu głowę, zwłaszcza że tak długo trwało, zanim te zdjęcia do pana trafiły. Zmarnował pan tylko swój czas.

– Cieszę się, że czuje się pani lepiej. I nie zmarnowałam czasu. Musimy porozmawiać o tych zdjęciach. Kto jeszcze je widział?

– Nikt. Tylko pan i ja.

– Nie pomyślała pani, że dobrze byłoby poinformować o ich istnieniu Pierwszego Kapitana?

Keeler pokręciła głową.

– Nie, przynajmniej nie wtedy. Gdybym poszła z tymi zdjęciami do władz, skonfiskowaliby je i pewnie zniszczyli, a mnie opowiedzieliby bajeczkę o dzikiej bestii. Bo Pierwszy Kapitan był najzupełniej pewien, że to była dzika bestia, jakiś kseno potwór. Był też najzupełniej pewien, że powinnam trzymać buzię na kłódkę. Ze względu na morale, oczywiście. Te zdjęcia trzymały mnie przy życiu, przypominały mi, że nie oszalałam. Dlatego je panu wysłałam.

– Czy mnie nie uważa pani za przedstawiciela władz?

Zaśmiała się.

– Pan tam był, Lokenie. Był pan tam i widział to na własne oczy. Dlatego postanowiłam zaryzykować i wysłać te fotografie. Miałam nadzieję, że jakoś pan zareaguje i może...

– I co?

– I powie mi prawdę.

Loken zawahał się.

– Proszę się nie martwić – uprzedziła jego odpowiedź. Wstała, by znów napełnić kieliszek. – Teraz już nie chcę jej znać. Dzika bestia. To była dzika bestia. Pogodziłam się z tym. Nie oczekuję, że po tak długim czasie sprzeniewierzy się pan rozkazom i powie mi coś, czego przysiągł nie mówić nikomu. To był głupi pomysł, którego żałuję. Moja kolej, by pana przeprosić.

Spojrzała na niego i podciągnęła obsuwający się brzeg prześcieradła.

– Skasowałam wszystkie kopie. Wszystkie, kapitanie. Ma pan na to moje słowo. Jedyne istniejące egzemplarze ma teraz pan.

Loken wyjął czytnik, rozgarnął piętrzące się na stoliku naczynia i położył na nim urządzenie. Keeler przez dłuższą chwilę patrzyła na czytnik, po czym wypięła zawartość kieliszka jednym haustem.

– Kto by pomyślał – powiedziała. Kiedy ponownie napełniała kieliszek, drżała jej ręka. – Nawet sama obecność tych zdjęć mnie przeraża.

– Sądzę, że jednak nie pogodziła się pani z tym, co się stało – powiedział Loken.

– Naprawdę? – parsknęła. Odstawiła kieliszki przeczesła palcami krótkie włosy. – Do diabła z tym. Skoro pan tu jest...

Podeszła do stolika i wzięła czytnik.

– Dzika bestia, co? Zwierzę?

– Jakiś rodzaj niebezpiecznego drapieżnika, zamieszkującego...

– Za przeproszeniem, kapitanie, to zwykle pieprzenie.

Wetknęła czytnik w otwór niewielkiego edytora. Wokół urządzenia leżały piktery i zapasowe obiektywy. Edytor zaszumiał, a potem wyświetlacz rozjaśnił się zimnym, białym blaskiem.

– Co pan sądzi na temat niezgodności zdjęć?

– Jakich niezgodności?

– Takich. – Sprawnie wpisała kilka komend i wybrała właściwy plik. Dźgnięciem palca w wyświetlacz powiększyła pierwszą fotografię, która natychmiast wypełniła cały ekran.

– Na Terrę, nie mogę na to patrzeć. – Odwróciła się.

– Niech pani to wyłączy, Keeler.

– Nie. Niech pan się przyjrzy. Widzi pan te zakłócenia, te zniekształcenia obrazu? Musiał pan przecież je zauważyć. To coś wygląda tak, jakby raz za razem pojawiała się i zniknęła!

– Błąd sygnału piktera. Zapewne okoliczności oraz słabe oświetlenie...

– Potrafię używać piktera, kapitanie, i umiem rozpoznać skutki złego oświetlenia, błysk na soczewce czy zniekształcenia cyfrowe. Tu nic podobnego nie ma. Proszę spojrzeć.

Wywołała na wyświetlaczu drugie zdjęcie i zaczęła objaśniać, gestykulując jedną ręką, patrząc na obraz tylko kątem oka.

– Proszę spojrzeć na tło. A teraz na krople krwi na pierwszym planie. Idealne ujęcie, jeśli nie liczyć obrazu tego czegoś. Nigdy nie widziałam podobnego efektu na zdjęciach zrobionych tak dokładnym pikterem. Ta „dzika bestia” nie istnieje w tej samej rzeczywistości co jej otoczenie. Widać to na moich zdjęciach, było to też widać wtedy. Przyjrzał się pan tym fotografiom uważnie?

– Nie – zaprzeczył Loken.

Keeler powiększyła kolejne zdjęcie. Spojrzała na nie, po czym odwróciła wzrok.

– Tutaj, widzi pan? Powidok. Jest na wszystkich klatkach, ale tu jest najwyraźniejszy.

– Nie rozumiem...

– Zwiększę kontrast i usunę część rozmazań wywołanych ruchem. – Przez chwilę pracowała za konoletą edytora. – Już. Teraz pan widzi?

Loken widział. Regulacja kontrastu wyostrzyła to, co dotąd było tylko widmową smugą na tle koszarnej postaci. Dostrzegł zarys ludzkiej postaci w tej samej co potwór pozycji. Choć obraz był niewyraźny, nie dało się zaprzeczyć, że powykręcane ciało i wrzeszcząca twarz należały do Xavyera Jubala.

– Poznaje go pan? – zapytała. – Ja nie, ale potrafię rozpoznać fizjonomię i budowę Astartes. Dlaczego mój pikter miałby zarejestrować coś takiego? Chyba że...

Loken nie odpowiedział.

Keeler wyłączyła wyświetlacz, wyjęła czytnik i rzuciła kapitanowi, który zręcznie go złapał. Z powrotem usiadła na pryczy.

– To właśnie miał mi pan wyjaśnić – powiedziała. – Po to wysłałam panu te zdjęcia. Kiedy czułam, że zaczyna wciągać mnie otchłań szaleństwa, chciałam, żeby pan przyszedł i wszystko mi wyjaśnił. Teraz już nie chcę. Czuję się dobrze. Dzika bestia. To była tylko dzika bestia.

Loken patrzył na czytnik. Ledwo potrafił sobie wyobrazić, co przeszła Keeler. Wydarzenie dotknęło wszystkich, którzy byli przy nim obecni, ale on sam, Neron i Sindermann zaznali pewnej pociechy: wiedzieli, co dokładnie zaszło. Znali prawdę. Keeler jej nie знаła, ale była bystra i inteligentna i dostrzegła, że bajeczka o dzikiej bestii nie trzyma się kupy. Zniekształcenia obrazu upewniły ją, że Pierwszy Kapitan coś ukrywał. I musiała radzić sobie z tą myślą sama.

– Co to pani zdaniem było?

– Coś tak okropnego, że nie powinniśmy nigdy poznać prawdy – odparła. – Na Terrę, Loken, niech się pan nade mną teraz nie lituje. Nie chcę wiedzieć.

– Nic nie powiem – odrzekł. – Nie mogę. To była dzika bestia. Euphrati... jak dałaś sobie z tym radę?

– Co pan ma na myśli?

– Mówisz, że czujesz się lepiej. Co ci pomogło?

– Mówiłam panu, przyjaciele.

Loken wstał, wziął butelkę i podszedł do pryczy. Usiadł na krańcu materaca i napelnił podany przez nią kieliszek.

– Dziękuję – powiedziała. – Znalazłam w sobie siłę. Znalazłam w sobie...

Przez chwilę Loken był pewien, że powie „wiarę”.

– Ufność. Znalazłam w sobie ufność w Imperium. W Imperatora. W pana.

– We mnie?

– Nie w pana osobiście, ale w Astartes, w Armię Imperialną, we wszystkie rodzaje sił zbrojnych ludzkości, strzegące życia podobnych mi śmiertelników. – Wypiła łyk i uśmiechnęła się. – Widzi pan... Imperator strzeże.

– Oczywiście, że tak.

– Nie, źle mnie pan rozumie. – Keeler objęła okryte prześcieradłem kolana. – On naprawdę nas strzeże. Strzeże ludzkości, broni nas wszystkich za pośrednictwem Legionów, armii, maszyn bojowych Mechanicum. Zdaje sobie sprawę z zagrożeń, jakie na nas czyhają. Pan i panu podobni wojownicy jesteście mu potrzebni, by strzec nasze ciała przed krzywdą, nasze umysły przed szaleństwem, a nasze dusze przed zatraceniem. Teraz to rozumiem. Tego nauczył mnie ten koszmar i jestem za to wdzięczna. Kosmos jest pełen niebezpieczeństw, których ludzkość nie jest w stanie nawet pojąć. Dlatego on nas strzeże. Przed prawdą, której widok sprowadziłby na nas oblęd. Dlatego nie jest nam dane ją poznać. Po to stworzył was.

– Zaszczepny to cel – przyznał Loken.

– Wtedy, w Szeptunach... ocalił mnie pan, prawda? Rozstrzelał pan to coś na kawałki. Teraz znów mnie pan ratuje, zatrzymując prawdę tylko dla siebie. Czy to boli?

– Co?

– Ukrywana prawda.

– Czasami.

– Pamiętaj, Garvielu... Imperator jest nam prawdą i światłem. Kto mu ufa, tego on strzeże.

– Kto ci o tym powiedział? – zapytał Loken.

– Przyjaciel. Garvielu, martwi mnie tylko jedno. Nie mogę przestać o tym myśleć. Wy, Astartes, jesteście absolutnie lojalni. Polegacie na sobie nawzajem i nigdy nie zdradzacie swych tajemnic.

– Tak, ale co to ma...

– Myślę, że dziś powiedziałbyś mi prawdę, gdyby nie lojalność wobec twoich braci. Podziwiam ją, ale pomyśl: jak daleko ona sięga? Cokolwiek stało się w Szeptunach, sądzę, że miał z tym coś wspólnego jeden z twoich współbraci. Ale wy zwarliście szeregi i nie ujawniliście

niczego. Co takiego musiałyby się zdarzyć, abyś – powodowany lojalnością wobec ludzkości – porzucił lojalność wobec Legionu?

– Nie rozumiem – przyznał.

– Rozumiesz. Czy jeśli znów brat zwróci się przeciw bratu, pomożesz to ukryć? Ilu musi się sprzeniewierzyć, abyś zaczął działać? Jeden? Drużyna? Cała Kompania? Jak długo zdołasz dochować tajemnicy? Co musiałyby się zdarzyć, abyś zerwał więzi braterstwa i zakrzyknął: „Tak nie można!”?

– Sugerujesz rzecz niemożliwą...

– Wcale nie, i ty dobrze o tym wiesz. Jeśli coś może się stać jednemu z was, może stać się też innym. Wszyscy jesteście perfekcyjnie wyszkoleni, idealni, identyczni. Maszerujecie na rozkaz i na rozkaz robicie, co tylko wam każą. Loken, czy znasz choć jednego Astartes, który wystąpiłby przed szereg? Odważyłbyś się na to sam?

– Ja...

– Gdybyś dojrzał ślad zepsucia, czy sprzeniewierzyłbyś się wojskowej dyscyplinie i zaczął je zwalczać? Dla większego dobra, dla dobra ludzkości?

– Nigdy do tego nie dojdzie – powiedział Loken. – Sugerujesz wybuch wojny domowej. To godzi w samą istotę Imperium, takiego, jakim stworzył je Imperator. Dopóki Horus jest Mistrzem Wojny nic podobnego nie ma prawa się stać. Imperium jest silne jednością celu. Istnieją głosy sprzeciwu, Euphrati, ale istnieją też wojny, zarazy i głód. Imperium cierpi, ale nie upada, przeciwnie, umacnia się cierpieniem. I rośnie w siłę.

– To zależy od tego – zauważyła – gdzie brzmiały owe głosy sprzeciwu.

Bransoleta komunikatora na nadgarstku Lokena zabręczczała. Uniósł dłoń i nacisnął przycisk nadawania.

– Idę – rzucił krótko. Spojrzał na Keeler. – Dokończymy tę rozmowę, Euphrati.

Skinęła głową, a on pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Bądź zdrowa. Pamiętaj, że masz przyjaciół.

– Jesteś moim przyjacielem? – zapytała.

– Możesz być tego pewna – odparł. Wstał i wziął swoją szatę.

– Garvielu – zawołała za nim.

– Tak?

– Skasuj te zdjęcia, proszę. Zrób to dla mnie. One nie powinny istnieć.

Skinął głową, otworzył drzwi i wyszedł w chłód korytarza.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Keeler wstała z pryczy i pozwoliła, by prześcieradło opadło z niej na podłogę. Nago podeszła do szafki, uklękła i otworzyła drzwiczki. Wyjęła dwie świece oraz mały posążek Imperatora. Postawiła je na szafce, po czym zapaliła knoty. Na koniec wyszperała w szafce broszurkę o pozaginanych rogach, którą dał jej Leef. Druk był tani i prymitywny, źle powielony starą, mechaniczną prasą. Krawędzie kartek poplamiała farbą, a sam tekst zawierał wiele błędów.

Keeler nie dbała o to. Otworzyła broszurkę na pierwszej stronie i zaczęła czytać, pochylając głowę przed prowizorycznym ołtarzem.

– Imperator Ludzkości jest nam Światłem i Drogą. Wszystko, co czyni, czyni dla dobra ludzkości, która jest jego ludem. Imperator jest Bogiem, a Bóg jest Imperatorem. Imperator strzeże. Oto nauka Lectio Divinitatus...



Loken biegł korytarzem pokładu zajmowanego przez upamiętniaczy, a pęd rozwiewał połę jego szaty. Słysząc było syreny alarmowe. Z kwater upamiętniaczy spoglądały twarze ciekawskich.

Uniósł bransoletę do ust.

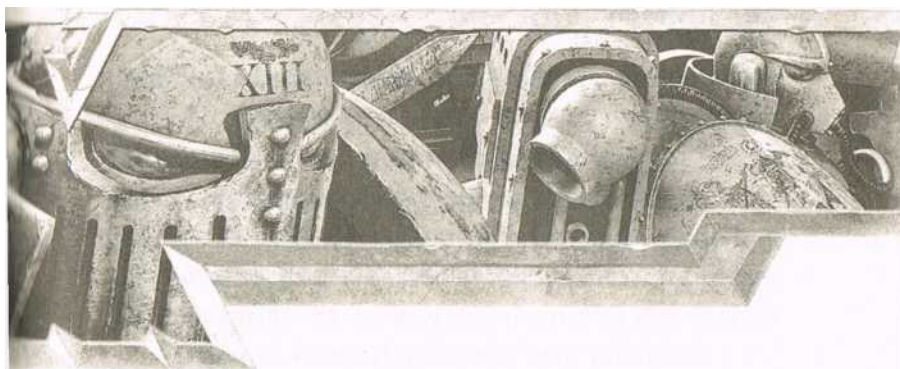
– Melduj, Neronie! Co się dzieje? Chodzi o Tarika?

Rozległ się trzask zakłóceń voxu i z bransolety dobiegł głos Vipusa:

– Coś się dzieje, Garvi. Wracaj szybko.

– Ale o co chodzi?

– Niedaleko naszej pozycji z osnowy wyszedł okręt. To bark Sanguinius, Garvi. Przybył Sanguinius we własnej osobie.



SIEDEM

PAN ANIOŁÓW

BRATERSTWO W KRAINIE PAJĄKÓW

ZAKAZ

Zaledwie dwa tygodnie wcześniej, podczas jednego z prywatnych wywiadów, Loken w końcu opowiedział Mersadie Oliton o Wielkim Tryumfie na Ullanorze.

– Nie będziesz w stanie sobie tego wyobrazić – powiedział.

– Postaram się.

Loken uśmiechnął się.

– Adepti Mechanicum wyrównali powierzchnię całego kontynentu, aby posłużyła za arenę tryumfu.

– Jak to wyrównali?

– Użyli przemysłowych miotaczy termicznych i machin geokształtujących. Obalili pasma górskie, a uzyskanym w ten sposób budulcem wypełnili doliny. Pozostała tylko niezmiernie płaska powierzchnia wyłożona odłamkami skał. Zajęło im to wiele miesięcy.

– Powinno być wiele stuleci!

– Nie doceniasz możliwości Mechanicum. Pracę wykonały cztery pełne floty robocze. Zbudowali scenę godną Imperatora, dość wielką, by na jej jednym krańcu zapadała noc, na drugim zaś zaczynał się dzień.

– Przesadza pan! – prychnęła wesoło.

– Zdarzyło mi się kiedyś przesadzać?

Oliton pokręciła głową.

– Musisz zrozumieć, że to było wydarzenie jedyne w swoim rodzaju. Tryumf na Ullanorze oznaczał koniec i początek pewnej epoki. Imperator, ukochany przez wszystkich, dobrze o tym wiedział. Rozumiał, że pamięć po tym wydarzeniu nie może zagać. Świętowaliśmy wszak koniec kampanii przeciw zielonoskórym, koniec pewnego etapu Krucjaty oraz koronację Mistrza Wojny. Dla Astartes miała to również być okazja, by pożegnać Imperatora, który po dwustu latach osobistego przewodzenia Krucjacie wracał na Terrę. Wszyscy płakaliśmy, kiedy powiedział nam, że odchodzi z pola walki. Czy potrafisz to sobie wyobrazić, Mersadie? Sto tysięcy płaczących wojowników?

Pokiwała.

– Szkoda, że nie było tam żadnego upamiętniacza. Warto byłoby utrwalić w jakiś sposób chwilę, która zdarza się raz na epokę.

– To była prywatna uroczystość.

Znów się roześmiała.

– Sto tysięcy Astartes, cały kontynent zrównany z ziemią specjalnie na tę okazję, a pan nazywa to prywatną uroczystością?

Loken spojrzał na nią poważnie.

– Nadal nas nie rozumiesz, prawda? Wciąż starasz się mierzyć ludzką miarą.

– Przepraszam.

– Nie ma za co – powiedział, widząc wyraz jej twarzy. – Mimo skali przedsięwzięcia to naprawdę była prywatna uroczystość. Sto tysięcy Astartes. Osiem milionów żołnierzy Armii Imperialnej. Całe Legiony Tytanów, niebosiężnych jak stalowe lasy. Setki dywizji pancernych, tysiące szwadronów czołgów. Okręty wojenne na niskiej orbicie, a na ich tle przelatujące nieskończone eskadry myśliwców i bombowców. I sztandary, tak wiele sztandarów...

Zamilkł na chwilę, pogrążony we wspomnieniach.

– Adepti Mechanicum zbudowali drogę. Była szeroka na pół i długa na pięćset kilometrów, biegła środkiem kontynentalnej sceny. Po obu jej stronach co pięć metrów stały żelazne pale, na które wbito czaszki zielonoskórych, trofea zdobyte podczas wojny o Ullanor. Za nimi, po obu stronach, ciągnęły się betonowe baseny wypełnione płonącym prometeum. Żar był niesłychany. Defilowaliśmy tą drogą, przechodząc obok podestu, na którym stał Imperator. Podest był jedyną pozostawioną przez Mechanicum częścią planety wystającą ponad jej

powierzchnię, a wycięto go z podnóża pradawnej góry. Przemaszerowaliśmy wszyscy, a potem w szyku paradnym zebraliśmy się na równinie poniżej podestu.

– Kto maszerował?

– Wszyscy. Obecnych było czternaście Legionów, w całości lub reprezentowanych przez pojedyncze Kompanie. Pozostali toczyli wojny zbyt daleko, by dotrzeć na Ullanor. Wilki Luny stały się oczywiście w komplecie. I było tam dziewięciu Prymarchów, Mersadie. Dziewięciu! Horus, Dorn, Angron, Fulgrim, Lorgar, Mortarion, Sanguinius, Magnus i Khan. Pozostali przysłali ambasadorów. Cóż to był za widok, nie wyobrażasz sobie.

– Nadal się staram.

Loken pokręcił głową.

– Ja nadal staram się uwierzyć, że sam tam byłem.

– Jacy oni byli?

– Myślisz, że miałem okazję ich poznać? Byłem tylko jednym z tysięcy braci-wojowników maszerujących w szyku defiladowym. W życiu widziałem na własne oczy niemal wszystkich Prymarchów, większość jednak oglądałem tylko z daleka. Osobiście rozmawiałem z dwoma. Do czasu mojego wstąpienia do Kwadry nie poruszałem się w tak zacnych kręgach. Pamiętam Prymarchów jako odległe postacie. Nie mogłem wówczas uwierzyć, że przybyło ich aż tylu.

– Mimo to musiało to zrobić na panu ogromne wrażenie.

– Niezatarcie wrażenie. Każdy z nich był tak potężny, tak wielki i dumny. Wydawali się ucieleśniać poszczególne ludzkie cechy. Angron był uosobieniem gniewu, Dorn spokoju i nieugiętego ducha, zaś Magnus tajemnicy. No i oczywiście Sanguinius. Sanguinius był uosobieniem doskonałości i charyzmy.

– Słyszałam opowieści o jego przymiotach.

– Słyszałaś więc prawdę.



Jego długie, czarne włosy spowijał złoty szal, spływający na posmutniałą twarz. Na znak żałoby naznaczył policzki szarym popiołem.

W pobliżu stał sługa z kałamarzem i pędzlem, gotów namalować na jego twarzy rytualne łzy boleści, ale Prymarcha Sanguinius oddalił go przeczącym ruchem głowy.

– Mam prawdziwe łzy – powiedział.

Zwrócił się nie do swego brata Horusa, ale do Torgaddona.

– Pokaż, Tariku.

Torgaddon skinął głową. Wokół zebranych na pustym i samotnym zboczach góry wiał i zawodził wiatr, a płyty ich pancerzy rosły deszcz. Na dany przez Torgaddona znak Tarvitz, Bulle i Lucjusz wystąpili naprzód, unosząc trzymane w rękach relikwie.

– Panie mój – rzekł Torgaddon z niezwykłą u niego emocją w głosie – obecne tu Dzieci Imperatora, nie zważając na własne bezpieczeństwo, odzyskały te relikwie. Dlatego też słusznym jest, by oni sami ci je wręczyli.

– To ty uczciłeś tak moich braci? – zapytał Sanguinius Tarvitza.

– Ja, panie mój.

Sanguinius wyjął z jego rąk poobijany hełm Astartes i przyjrzał mu się dokładnie. W swym złotym pancerzu górował nad Tarvitzem. Jego napierśnik ozdobiony był rubinami, a także, podobnie jak napierśnik Mistrza Wojny, godłem wszystkowiedzącego Oka Terry. Rozległe, orle skrzydła Sanguiniosa były złożone na plecach. Zdobiły je srebrne pierścienie i sznury pereł.

Sanguinius obrócił hełm w dłoniach i spojrzał na wybitą wewnątrz punczę zbrojmistrza.

– Ósma Kompania, Rycerze Lamparty – powiedział.

Stojący u jego boku Mistrz Zakonu Raldoron zaczął szukać rangi w spisie ofiar.

– Nie kłopotuj się, Ral – powiedział Sanguinius. – Pamiętam ten znak. Kapitan Thoros. Będzie nam go brakowało.

Sanguinius oddał hełm Raldoronowi i skinął głową Tarvitzowi.

– Dziękuję za twój szlachetny czyn, kapitanie. – Spojrzał na Eidolona. – Tobie, Lordzie Komandorze, dziękuję zaś za to, że bezzwłocznie pospieszyłeś na pomoc kapitanowi Frome.

Eidolon skłonił się, jakby nie czuł na sobie ciężkiego spojrzenia Mistrza Wojny.

Sanguinius odwrócił się do Torgaddona.

– Najgorętsze podziękowania składam zaś tobie, Tariku. To dzięki tobie zakończył się ten koszmar.

– Wypełniałem tylko rozkazy mego Mistrza Wojny.

Sanguinius spojrzał na Horusa.

– Czy to prawda?

– Dałem Tarikowi nieco swobody – uśmiechnął się Horus. Postąpił krok naprzód i przygarnął Sanguiniusa do piersi. Żadnych dwóch Prymarchów nie było sobie tak bliskich, jak Mistrz Wojny i Anioł. Od przybycia Sanguiniusa pozostawali niemal nierozłączni.

Majestatyczny pan Krwawych Aniołów IX Legionu Astartes odsunął się od brata i powiódł wzrokiem po posępnym krajobrazie. U stóp poszarpanego wzgórza czekały w milczeniu setki pancernych postaci. Większość nosiła albo lśniąca biel Wilków Luny, albo tętniczą czerwień Krwawych Aniołów. Wyjątek stanowiły niedobitki Dzieci Imperatora zgromadzone w małej, purpurowo-złotej grupie. Za rzędami Astartes majaczyły w deszczu czarne sylwety maszyn bojowych, otaczających zgromadzenie jak widmowi żałobnicy. Jeszcze dalej, w szyku paradnym, stały zastępy Armii Imperialnej. Ich sztandary łopotały smutno na zimnym wietrze. Obok żołnierzy stały rzędy czołgów i transporterów opancerzonych, na które wspięło się wielu co bardziej ciekawskich żołnierzy, by lepiej widzieć uroczystości żałobne.

Oddziały Torgaddona przeorały spory pas krajobrazu, wysadzając wszystkie napotkane drzewa i ujarzmiając tym samym burze szalejące nad tą częścią Rzeźni. Niebo nabrało barwy plamistej szarości, przez którą gdzieś przebijały się nitki białych chmur. Padał nieustanny drobny deszcz, zamieniając odległe widoki w zamglone cienie. Na rozkaz Mistrza Wojny eskadry statków desantowych wylądowały we względnie bezpiecznej strefie pod niebem bez burz.

– Starożytni filozofowie Terry uczą nas w swych dziełach – zaczął Sanguinius – że zemsta jest niską pobudką, świadczącą o skazie charakteru. Dziś jednak trudno mi zachować szlachetność ducha. Pragnę oczyścić ten świat, by uhonorować pamięć moich poległych braci oraz tych, którzy oddali życie, próbując ich ratować.

Anioł spojrzął na swego brata, Prymarchę Horusa.

– Ale nie ma takiej potrzeby. Zemsta nie będzie konieczna. Ten świat zamieszkują ksenosi: nieprzejednany i groźny gatunek, który odmawia nawiązania cywilizowanego dialogu z Imperium Ludzkości, a zamiast tego wita nas wyłącznie przemocą. To wystarczający powód. Jak od początku Wielkiej Krucjaty uczy nas Imperator, ukochany przez wszystkich: wszystko, co wrogie ludzkości, musi zostać wyplenione w imię przetrwania Imperium. Jesteś ze mną, bracie?

– Razem spravimy Rzeźni rzeź – dokończył Horus.



Kiedy Mistrz Wojny wypowiedział te słowa, Astartes przystąpili do ofensywy, która trwać miała sześć miesięcy. Przy wsparciu armii oraz maszyn bojowych Mechanicum wojenna pożoga ogarnęła całą planetę, a rasa megarachnidów została wytępiona.

Była to wojna ze wszech miar chwalebna, choć niełatwa. Megarachnidzi nie cofali się przed naporem bez względu na to, jak wielu ich pobratymców padało. Wydawało się, że nie ma w nich ducha ani woli, które można by złamać. Nacierali bez wytchnienia, wylewając się falami z jaskiń i szczelin w rdzawej skorupie planety, dzień po dniu stawiając zaciekły opór. Bywały takie momenty, że wydawało się, iż ich zastępy są niewyczerpane, jak gdyby pod powierzchnią tego świata istniały niewyobrażalnie wielkie gniazda lub fabryki produkujące wciąż nowych wojowników, mających zastąpić swych poległych krewniaków. Wojownicy Imperium ani na moment nie pozwolili sobie, by nie doceniać megarachnidów. Był to wróg śmiertelnie niebezpieczny i odporny, a jego liczebność mogła wsączyć niepewność w serce każdego wojownika. „Zabicie pięćdziesiątej z tych bestii było równie trudne, jak powalenie pierwszej” – powiedział pewnego dnia Mały Horus.

Loken, podobnie jak wielu innych Wilków Luny, cieszył się z zaistniałych okoliczności. Po raz pierwszy od objęcia godności Mistrza Wojny wódz osobiście prowadził ich do walki. Pewnego deszczowego wieczoru na początku ofensywy, podczas narady w namiocie wodza, członkowie Kwadry próbowali delikatnie wyperswadować mu osobisty udział w bitwach. Abaddon zręcznymi słowami starał się przekonywać, że jego rola jako Mistrza Wojny jest dużo ważniejsza niż jako dowódcy polowego.

– Waszym zdaniem nie nadaję się na wojownika? – zapytał gniewnie Horus wśród bębnienia deszczu o płócienny dach namiotu.

– Jesteś zbyt ważny, panie – odparł Abaddon. – To tylko jeden świat, jedna kampania. Imperator obarczył cię obowiązkiem dbania o wszystkie światy i wszystkie prowadzone na nich kampanie. Twoim zadaniem...

– Ezekailu... – W głosie Mistrza Wojny zabrzmiała nuta ostrzeżenia. Przeszedł na cthoński, co było nieomylnym sygnałem, że jego umysł skupia się bez reszty na zadaniach wojennych. – Nie próbuj dyktować mi obowiązków.

– Ależ panie, nie śmiałbym! – powiedział natychmiast Abaddon, kłaniając się z szacunkiem.

– Ezekail użył właściwego słowa – Abaddonowi w sukurs przyszedł Mały Horus. –
Gdybyś, panie, odniósł ranę lub...

Horus wstał z miejsca, godząc w niego gniewnym wzrokiem.

– Drwisz z mych umiejętności jako wojownika, Mały? Czyżbyś zmiękł od czasu mego mianowania?

– Ależ nie, panie mój...

Wydawało się, że tylko Torgaddon dostrzegł cień rozbawienia skryty za maską gniewu Mistrza Wojny.

– Boimy się, że nie pozostawisz dla nas nawet skrawka chwały – powiedział.

Horus roześmiał się. Kapitanowie Kwadry zdali sobie sprawę, że z nich zakpił, i zawtórowali mu śmiechem. Horus klepnął Abaddona w ramię, Aksymanda zaś pieszczotliwie uszczypnął w policzek.

– Wygramy tę wojnę razem, moi synowie – powiedział. – Po to zostałem stworzony. Gdybym przypuszczał, że ranga Mistrza Wojny wiązać się będzie z wyrzeczeniem się bitewnej chwały na zawsze, nie przyjąłbym jej. Honor przypadłby komuś innemu. Guillimanowi, na przykład, albo Lionowi. Obaj przecież tak bardzo go pragną!

Znowu rozbrzmiał głośny śmiech. Cthonianie śmieją się groźnie i hałaśliwie, ale śmiech Wilków Luny jest jeszcze bardziej niepokojący i przesiąknięty groźbą.

Po naradzie Loken zastanawiał się, czy Mistrz Wojny po raz kolejny nie wykorzystał przypadkiem swego talentu politycznego. Całkowicie pominął główny temat dyskusji i pogodnie rozwiął ich obawy, odwołując się przy tym do ich wojowniczego etosu. W ten właśnie sposób przekazał im, że choć ceni ich rady, pewne decyzje podejmował będzie sam. Loken miał pewność, że powodem takiego obrotu sprawy była obecność Sanguinius. Mistrz Wojny nie mógł ścierpieć myśli o tym, że jego najdroższy brat miałby prowadzić wojnę samotnie. Horus nie potrafił oprzeć się pokusie walki ramię w ramię z Sanguiniusem, jak czynili to dawniej.

Horus nie mógłby bowiem znieść myśli o tym, że czyny jego ukochanego brata przyćmiły blask jego dokonań.

Widok obydwu Prymarchów na polu bitwy zapierał dech i zatrzymywał serce w piersiach. Dwaj bogowie wojny nacierający na czele fali wojowników w czerwieni i bieli. Dziesiątki razy podczas kampanii na Rzeźni dokonywali wspólnie czynów, które powinny zapisać się złotymi

zgłoskami w annałach dziejów Imperium, podobnie jak Ullanor lub jakikolwiek inny Wielki Tryumf. I stałoby się tak, gdyby historia potoczyła się inaczej.

Cały przebieg kampanii pełen był niezwykłych przewag oręża, o których powinni usłyszeć potomni, zwłaszcza że siłom zbrojnym towarzyszyli upamiętniacze.

Mersadie Oliton nie otrzymała zgody na wyprawę na powierzchnię planety wraz z wojskami, ale chłonęła każdy szczegół transmisji, codziennie nadawane wieści o postępach kampanii, o zwycięstwach i stratach. Kiedy Loken wraz ze swą Kompanią wracał na pokład okrętu flagowego celem odpoczynku i uzupełnienia ekwipunku, zarzucała go pytaniami i zmuszała do szczegółowego opisywania wszystkiego, co widział. Najbardziej interesowali ją oczywiście Horus i Sanguinius, ale jej uwagę pochłaniała każda jego opowieść.

Wiele bitew miało wprost epickie rozmiary. Tysiące Astartes wiodły dziesiątki tysięcy żołnierzy armii przeciw niekończącej się powodzi megarachnidów. Loken często nie znajdował słów na opisanie tego, co widział na własne oczy, i zdarzało mu się wtrącać wstrząsające zwroty zapożyczone z *Kronik Ursh*. Opowiadał jej o najważniejszych chwilach i wielkich wydarzeniach, których był świadkiem. Jak Luc Sedirae poprowadził swą Kompanię do ataku na hordę megarachnidów liczącą z górą dwa i pół tysiąca wojowników i wyrznął ich w pień w czasie krótszym niż pół godziny. Jak Sacrus Carminus, kapitan Trzeciej Kompanii Krwawych Aniołów, utrzymał linię obrony przeciw brzęczącym chmurom skrzydlatych stworów przez całe długie i pełne ohydy popołudnie. Jak Iacton Qruze mimo swego męczącego uporu okazał sprawność bojową i rozbił niespodziewany atak megarachnidów, dowodząc, że nie na darmo nosi wciąż rangę kapitana. Jak Tybalt Marr zwany Albo w ciągu zaledwie dwóch dni zajął pasmo górskie, dokonując w końcu czynu wyjątkowego. Jak megarachnidzi zaskakiwali wojowników Imperatora wciąż nowymi i coraz koszarniejszymi postaciami swego gatunku i jak gigantyczne, podobne maszynom bojowym stwory zostały dosłownie zgniecione i rozdeptane przez Tytany Mechanicum, na czele których stał potężny Dies Irae z Legionu Mortis. Jak Saul Tarvitz, wołący walczyć u boku Torgaddona niż aroganta Eidolona, dokonał kilku czynów tak sławnych, że w pojedynkę odnowił szacunek Wilków Luny do Dzieci Imperatora.

Tarvitz i Torgaddon w ogóle nawiązali więź braterstwa podczas długiej wojny o Krainę Pająków, przyczyniając się do rozluźnienia napięć między obydwoma Legionami. Loken słyszał plotki, że Eidolon okazywał początkowo niezadowolenie z postawy Tarvitz, ale i on w końcu pojął, że prosty akt braterstwa Saula oznaczał dla niego odkupienie win. Choć sam Eidolon nigdy

by się do tego nie przyznał, dobrze wiedział, że znalazł się w niełasce u Mistrza Wojny. Z czasem jednak jego obecność w namiocie narad zaczęła być tolerowana, a jego zdanie znów brano pod uwagę na równi z opiniami innych dowódców.

Do uspokojenia sytuacji przyczynił się również Sanguinius. Wiedział, że jego brat Horus zamierzał zganić Fulgrima za wyniosłą manierę, z jaką obnosili się od jakiegoś czasu jego Astartes. Fulgrim był Horusowi bliski niemal tak samo jak Sanguinius. Pan Aniołów z niepokojem obserwował rysującą się na ich przyjaźni rysę.

– Nie możesz pozwolić sobie na rozłam – powiedział Sanguinius. – Jako Mistrz Wojny musisz zjednać bezwarunkowy szacunek wszystkich Prymarchów, podobnie jak uczynił to Imperator. Ponadto przyjaźnisz się z Fulgrimem od tak dawna, że wszelkie spory między wami byłyby bolesne.

Rozmowa ta odbyła się podczas krótkiej przerwy w szóstym tygodniu kampanii. Raldoron wraz z Sedirae prowadzili główne uderzenie wśród położonych na zachodzie dolin i wąwozów u stóp pasma wyniosłych gór. Obaj Prymarchowie spędzili dzień na odpoczynku w obozie dowodzenia położonym o kilka godzin jazdy od linii frontu. Loken dobrze pamiętał przebieg owej rozmowy. Był obecny w namiocie wraz z braćmi z Kwadry, kiedy Sanguinius podniósł ten temat.

– Nie chcę sprzeczek – powiedział Horus. Jego osobiści zbrojmistrze właśnie zdejmowali z niego oblepiony błotem pancerz, obmywając przy tym ciało Mistrza Wojny z brudu. – Dzieci Imperatora od zawsze cechują się dumą, ale ta duma zaczyna przeradzać się w zuchwalstwo. Fulgrim musi znać swoje miejsce. Dość mam problemów z Angronem i jego napadami szału czy humorami Perturabo. Nie będę tolerował oznak braku szacunku ze strony tak bliskiego sprzymierzeńca.

– Błąd popełnił jednak Eidolon, nie Fulgrim – rzekł Sanguinius.

– Fulgrim mianował Eidolona Lordem Komandorem. Oznacza to, że ceni jego zalety, ufa mu i aprobuje jego zachowanie. Jeśli Eidolon uosabia charakter III Legionu, nie mogę tego tak zostawić. Nie chodzi tylko o ten jeden przypadek. Muszę wiedzieć, że mogę polegać na Dzieciach Imperatora.

– Dlaczego uważasz, że nie możesz?

Horus przerwał na chwilę, by sługa mógł umyć mu twarz, po czym splunął do podanej przez innego sługę miski.

– Bo wbili się w nadmierną pychę.

– Czyż nie wszyscy Astartes są dumni ze swego Legionu? – Sanguinius wypił łyk wina i spojrzał w stronę Kwadry. – Jesteś dumny, Ezekailu?

– Rozpiera mnie duma, panie – powiedział Abaddon.

– Jeśli mogę, panie – odezwał się Torgaddon. – Jest pewna różnica. Istnieje naturalna duma i lojalność wobec Legionu. Może ona stać się przyczyną przechwałek i rywalizacji pomiędzy Astartes. Ale Dzieci Imperatora wydają się pełni pychy i wywyższają się ponad nas. Spieszę jednak dodać, że nie wszyscy z nich są tacy.

Loken wiedział, że Torgaddon ma na myśli Tarvitza i jego podkomendnych, którzy stali się jego druhami.

Sanguinius pokiwał głową.

– Taki jest ich charakter. Zawsze tacy byli. Dążą do perfekcji, chcą być najlepsi we wszystkim, by naśladować doskonałość samego Imperatora. Nie starają się wywyższać. Wyjaśnił mi to sam Fulgrim.

– Fulgrim zapewne tak uważa – zgodził się Horus. – Ale perfekcjonizm objawia się wśród niektórych jego ludzi wywyższaniem. Miejsce dawnego szacunku zajęło pogardliwe poczucie wyższości. Obawiam się, że chowają urazę za nadany mi tytuł Mistrza Wojny. Nie będę tego tolerował.

– Nie sędzę, by chowali urazę – zaprzeczył Sanguinius.

– Być może, zazdroszczą jednak mojemu Legionowi związanej z nią pozycji. Wilki Luny zawsze uważane były za barbarzyńców bez ogłady. W ich piersiach biją serca z cthońskiego krzemienia. Dzieci Imperatora uważają Wilki za równe sobie tylko za sprawą niezrównanego przebiegu służby mojego Legionu. Moje Wilki nie potrzebują ozdób ani eleganckich manier. Jesteśmy nieokrzesani i cenimy sobie ten stan rzeczy bardziej niż ich wyszukaną etykietę.

– Może więc nadszedł już czas, by zrobić to, co sugerował ci Imperator – stwierdził Sanguinius.

Horus pokręcił mocno głową.

– Odmówiłem tego zaszczytu już na Ullanorze. Nie zamierzam wracać do tego tematu.

– Sytuacja uległa zmianie. Teraz jesteś wszak Mistrzem Wojny. Wszystkie Legiony Astartes muszą zdawać sobie sprawę ze statusu XVI Legionu. Być może niektórym z nich warto o tym przypomnieć.

Horus parsknął.

– Nie sądzę, by Russ zdecydował się musztrować swe hordy dzikusów i odziać ich w nowe szatki tylko po to, by zyskać szacunek.

– Leman Russ nie jest jednak Mistrzem Wojny – powiedział Sanguinius. – Sam Imperator zmienił należny ci tytuł właśnie po to, by żaden z nas nie miał wątpliwości co do zakresu twojej władzy oraz zaufania, jakim darzy cię nasz ojciec. Być może tak samo powinno się stać również z twym Legionem.

Kiedy później wraz z Abaddonem brnęli śladem Tytanów przez rozmywane deszczem rdzawe błoto, Loken zapytał, co Pan Aniołów miał na myśli.

– Na Ullanorze – powiedział Pierwszy Kapitan – ukochany Imperator doradził wodzowi, by zmienił nazwę XVI Legionu, żeby nikt nie miał wątpliwości, czyją reprezentujemy władzę.

– Jaką nazwę mieliśmy więc przyjąć? – zapytał Loken.

– Synowie Horusa – odparł Abaddon.



Szósty miesiąc kampanii miał się ku końcowi, kiedy pojawili się przybysze.

Statki Ekspedycji stojące na orbicie planety od kilku dni odbierały dziwne sygnały oraz ślady w eterze, sugerujące pobliską obecność statków gwiazdnych. Wszelkie próby zlokalizowania źródła owych sygnałów spełzły jednak na niczym. Powiadomiony o sytuacji Mistrz Wojny uznał, że są to oznaki rychłego przybycia dalszych posiłków, być może z Legionu Dzieci Imperatora. Statki patrolowe Mistrza Komnenusa oraz krążowniki eskorty nie namierzyły śladów fizycznej obecności żadnych jednostek, wiele z nich jednak zgłosiło wykrycie widm przypominających efekt towarzyszący rychłej retranslacji z osnowy Flota ekspedycyjna opuściła orbitę i utworzyła szyk obronny. „Mściwy Duch” oraz „Dumne Serce” zajęły pozycje w awangardzie, natomiast „Mizerykordia” wraz z „Czerwoną Łżą”, okrętem flagowym Sanguiniosa, objęły wysuniętą flankę.

Kiedy przybysze w końcu się ujawnili, uczynili to z szybkością i pewnością siebie, nadszczając w sile trzech okrętów od strony punktu retranslacji na skraju układu. Były to ogromne jednostki liniowe, których typ i napęd nie figurowały w imperialnych rejestrach.

Zbliżając się do okrętów floty, liniowce zaczęły nadawać sygnały wywoławcze. Były one niezwykle podobne do nieprzetłumaczalnych transmisji nadajników orbitalnych, porównanych przez Mistrza Wojny do muzyki.

Linowce miały ogromne rozmiary. Wizualizacje pokazywały smukłe srebrzystobiałe jednostki o wrzecionowatych kadłubach w kształcie królewskiego berła, ciężkich dziobach i szeroko rozstawionych dyszach napędowych. Największy okręt dwukrotnie przekraczał rozmiary „Mściwego Ducha”.

Na pokładach wszystkich jednostek floty ogłoszono alarm i stan gotowości. Aktywowano tarcze i otwarto przedziały artyleryjskie. Mistrz Wojny rozpoczął natychmiast przygotowania do wycofania sił lądowych z powierzchni planety i przetransportowania ich na pokłady okrętów. Pospiesznie przerwano starcia z megarachnidami i przegrupowano siły główne, zbierając je w pojedynczy korpus. Horus nakazał Komnenusowi nadać sygnały wywoławcze i nie otwierać ognia, dopóki ich flota nie zostanie ostrzelana. Istniało podejrzenie, że okręty należą do megarachnidów, które przybyły z odległych światów, by wspomóc swych pobratymców na Rzeźni.

Statki nie odpowiedziały na bezpośrednie wywołania, kontynuowały jednak nadawanie własnych, dziwnych sygnałów. Przybysze zbliżyli się na odległość strzału do utrzymywanych w szyku obronnym okrętów Ekspedycji.

A potem przemówili. Nie jednym głosem, ale chórem wypowiadającym te same słowa, wśród których pobrzmiwały te dziwne, muzykalne sygnały. Wyraźny komunikat został odebrany nie tylko przez operatorów voxu na pokładach wszystkich imperialnych jednostek, ale również przez astrotelepatów, z Ing Mae Sing na czele, którzy aż zadrżeli od siły transmisji. Przybysze mówili językiem ludzkości:

– Coście uczynili? Czy nie słyszeliście naszych ostrzeżeń?

CZĘŚĆ TRZECIA

STRASZLIWY SAGITARIUS



JEDEN

NIE POPEŁNIJ BŁĘDU

DALECY KUZYNI

RÓŻNICE OBYCZAJU

Nieoczekiwanym następstwem kampanii na Rzeźni flota ekspedycyjna znalazła się w gościnie u intereksów. Od samego początku owej gościny wśród dowódców zaczęły rozbrzmiewać głosy nawołujące do wojny.

Najbardziej hałaśliwy z nich należał do Eidolona, ten jednak znajdował się wciąż w niełasce i Mistrzowi Wojny łatwo było go ignorować. Poparł go jednak Maloghurst, a za nim także Sedirae, Targost, Goshen i Raldoron z Krwawych Aniołów. Zdania takich wojowników Horus nie mógł tak łatwo zbagatelizować.

Sanguinius czekał na decyzję Mistrza Wojny, nie opowiadając się za żadną ze stron. Wiedział, że Horus będzie potrzebował jego jednoznacznego poparcia.

Argumenty zwolenników wojny najlepiej wyraził Maloghurst. Twierdził, że intereksowie wywodzili się z tego samego pnia co poddani Imperatora, więzy krwi czyniły z nich więc zaginionych krewnych. Różnili się jednak zasadniczo, a owe różnice przebiegały tak głęboko, że same w sobie stanowiły powód do wojny. Kultura intereksów stanowiła całkowite zaprzeczenie fundamentów cywilizacyjnych Imperium zdefiniowanych przez samego Imperatora, dlatego nie można było tolerować jej istnienia.

Na razie jednak Horus wykazywał się tolerancją. Loken rozumiał jego powody. Wojownicy intereksów byli godni podziwu, a nawet sympatii. Charakteryzowali się wielką

szlachetnością i kiedy tylko wyjaśnione zostało początkowe nieporozumienie, nie przejawiali najmniejszych śladów wrogości wobec poddanych Imperatora.

Za sprawą dziwnego incydentu Loken poznał, co kierowało Mistrzem Wojny. Doszło do tego podczas trwającej dziewięć tygodni podróży z Rzeźni do najbliższej planety zamieszkaanej przez intereksów. Okręty Ekspedycji przemierzyły ową drogę, idąc śladem ogromnych, smukłych liniowców.

Kwadra zebrała się w prywatnym sanktuarium Horusa, gdzie po chwili wybuchła ostra dyskusja. Abaddon dał się przekonać zwolennikom rozpoczęcia działań wojennych, głównie za sprawą podszeptów Maloghursta i Sedirae. Był pewny swej racji i nie ustąpił nawet w obliczu odmowy Mistrza Wojny. Wkrótce rozmowa zamieniła się w kłótnię, a argumenty zaczęto wymieniać podniesionymi głosami. Loken z niedowierzaniem przyglądał się, jak Abaddon i Horus krzyczą na siebie. Widział wcześniej Abaddona w gniewie, zawsze jednak było to w ogniu walki. Nigdy wszelako nie był świadkiem, by sam wódz stracił cierpliwość. Wściekłość Horusa zaskoczyła go i niemal wywołała w nim strach.

Torgaddon jak zwykle starał się rozładować sytuację. Loken jednak wyraźnie widział, że nawet Tarik był zaskoczony i zaniepokojony gniewną wymianą zdań.

– Nie masz wyboru – warczał Abaddon. – Widzieliśmy już dość, by zdobyć pewność, że ich zwyczaje stoją w sprzeczności z naszymi! Musisz...

– „Musisz”? – zaryczał Horus. – Muszę? Należysz do Kwadry, Abaddonie! Twoją rolą jest doradzać! Znaj swoje miejsce! Nie sądz, że możesz dyktować mi, co mam robić!

– Nie muszę nic dyktować! Nie mamy wyboru, a ty sam dobrze wiesz, co należy zrobić!

– Wynoś się!

– W głębi serca wiesz, że innego wyjścia nie ma!

– Wynoś się! – ryknął ponownie Horus i cisnął swój puchar z taką siłą, że ten roztrzaskał się o pokład. Patrzył na Abaddona z zaciśniętymi z wściekłości zębami. – Precz mi z oczu, Ezekail, zanim uznam, że Pierwsza Kompania potrzebuje nowego kapitana!

Abaddon przez chwilę wpatrywał się w wodza gniewnym wzrokiem. Potem splunął na posadzkę i wypadł z komnaty. Pozostali członkowie Kwadry zamarli w milczeniu.

Horus odwrócił się z pochyloną głową.

– Torgaddonie – odezwał się cicho.

– Tak, panie mój?

– Idź za nim, proszę. Uspokój go. Powiedz, że jeśli pragnie mego przebaczenia, za godzinę lub dwie mogę się zgodzić go wysłuchać. Lepiej jednak byłoby, by mówił szeptem. I na kolanach.

Torgaddon skłonił się i wyszedł. Loken i Aksymand spojrzeli po sobie, zasalutowali sztywno, odwrócili się na pięcie i zamierzali pójść w jego ślady.

– Zostańcie – burknął Horus.

Zatrzymali się w miejscu. Kiedy się odwrócili, zobaczyli, że Mistrz Wojny kręci głową i ociera usta wierzchem dłoni. W jego oczach pojawił się cień uśmiechu.

– Na Terrę, synowie moi. Jak gorąco wrze niekiedy w naszych sercach lawa cthońskiej krwi.

Horus zasiadł na jednej z długich, wyłożonych poduszkami kanap i skinął na nich lekko.

– Cthonia. Planeta twarda jak skała, o gorącym, wulkanicznym sercu. Wszyscy znamy głębiny kopalń i panujący w nich żar. Wiemy, że lawa potrafi wybić ze skały bez ostrzeżenia. Nasza planeta ukształtowała nas na własne podobieństwo. Twardzi jak kamień, z lawą w żyłach. Siadajcie. Napijmy się wina. Wybaczcie mi ten wybuch. Bliżej, proszę. Połowa Kwadry nadal jest lepsza niż nic.

Usiedli na kanapie naprzeciw swego wodza. Horus wziął nowy puchar i nalał wina ze srebrnego dzbana.

– Mędrzec i milczek – powiedział. Loken nie był pewien, które określenie odnosiło się do niego. – Doradźcie mi. Podczas tej dyskusji obaj milczeliście.

Aksymand odchrząknął.

– Ezekail... miał słuszość – zaczął. Zamarł, widząc, jak Mistrz Wojny unosi brwi.

– Mów dalej, Mały.

– My... chodzi mi o to, że... nasza Krucjata opiera się na pewnej doktrynie. Tak jest od dwóch stuleci. Kierują nami prawa, które stanowią fundamenty Imperium. Nie są one kwestią uznaniową, bo obowiązek ich przestrzegania nałożył na nas sam Imperator.

– Ukochany przez wszystkich – rzekł Horus.

– Doktryna Imperatora prowadzi nas od zawsze. Nigdy się jej nie sprzeniewierzyliśmy... – Aksymand urwał, po chwili dodał: – Jak dotąd.

– Uważasz to za przejaw nieposłuszeństwa? – zapytał Horus. Aksymand wzruszył ramionami. – A ty, Garvielu? Podzielasz zdanie Aksymanda?

Loken spojrział Mistrzowi Wojny w oczy.

– Wiem, dlaczego powinniśmy wydać intereksom wojnę, panie – powiedział. – Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego ty nie chcesz, byśmy to uczynili.

Horus uśmiechnął się.

– Nareszcie ktoś, kto myśli. – Wstał i dzierżąc ostrożnie puchar, podszedł do ściany, na której widniał przepiękny fresk. Ukazywał Imperatora Wywyższonego, chwytającego wyciągniętą dłonią wirujące konstelacje.

– Gwiazdy – zaczął Horus. – Widzicie, jak chwyta je w locie? Konstelacje zodiaku wpadają mu w garść jak świetliki. Gwiazdy są przeznaczeniem ludzkości. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie powiedział mi przy naszym pierwszym spotkaniu. Byłem wtedy niemal dzieckiem, wyrosłem w biedzie i ignorancji. A on posadził mnie u swego boku i wskazał niebo. Te świetliste punkciki, powiedział, od wielu pokoleń czekają na to, byśmy je podbili. Wyobraź sobie, Horusie. Każda z tych gwiazd oznacza ludzką cywilizację, krainę pełną piękna i majestatu, bez wojen i niepokoju, bez rozlewu krwi i tyranii obcych despotów. Nie popełnij błędu, powiedział wtedy. Nie popełnij błędu, a gwiazdy będą nasze.

Mistrz Wojny powoli powiodł palcem po namalowanych konstelacjach, aż natrafił na dłoń Imperatora. Cofnął ramię i spojrział na Aksymanda i Lokena.

– Będąc zwykłym znajdą, na Cthonii rzadko widywałem gwiazdy. Niebo zasnuwał zwykle dym i pył z wielkich kuźni. Sami to zapewne pamiętacie.

– Tak – potwierdził Loken. Mały Horus skinął głową.

– W te nieliczne noce, kiedy gwiazdy były widoczne, myślałem o nich. Zastanawiałem się, czym są i co oznaczają. Te maleńkie, tajemnicze punkciki światła nie mogły przecież istnieć bez celu. Zastanawiałem się nad tym każdego dnia mego życia. Aż do przybycia Imperatora. Kiedy wyjaśnił mi, jak bardzo są ważne, nie byłem zaskoczony. Opowiem wam coś – ciągnął Horus, wracając do kanapy i siadając. – Pierwszą rzeczą, jaką dostałem od mego ojca w darze, była książka o astrologii. Prosta, ot, elementarz dla dzieci. Mam ją nadal. Ojciec zauważył mój zachwyty gwiazdami i chciał, bym poznał je i rozumiał.

Przerwał. Loken zawsze czuł się jak w transie, kiedy Horus mówił o Imperatorze „mój ojciec”. Od kiedy został członkiem Kwadry wiedział, że słowa te zawsze zwiastowały osobiste wspomnienia wodza.

– W książce były tablice zodiakalne. – Horus wypił łyk wina i uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Nauczyłem się ich wszystkich na pamięć. W jeden wieczór. Nie tylko nazw, ale też wchodzących w ich skład ciał niebieskich, wzorów, jakie tworzyły na niebie, i cech, z którymi je wiązano. Zapamiętałem wszystkie dwadzieścia znaków. Następnego dnia mój ojciec śmiał się, rozbawiony i uradowany moim głodem wiedzy. Wyjaśnił mi, że znaki zodiaku były zaledwie przestarzałymi, uproszczonymi modelami, że floty poszukiwawcze dawno już sporządziły dokładne mapy nieba. Powiedział mi też, że pewnego dnia każdemu ze znaków będzie odpowiadał syn, taki jak ja. Każdy z nich będzie wcieleniem cech przypisywanych jednemu ze znaków. Zapytał, który z nich lubię najbardziej.

– Co odpowiedziałeś, panie? – zapytał Loken.

Horus oparł się wygodnie i zaśmiał cicho.

– Odpowiedziałem, że podobają mi się wszystkie. Że cieszę się, że mogę w końcu nazwać iskry światła na nocnym niebie. Do gustu przypadł mi naturalnie Leos, ze względu na jego królewski i niepowstrzymany szal, no i Skorpos, który miał pancierz i potężne ostrze, by się bronić. Powiedziałem memu ojcu, że Tauromach odpowiada mi ze względu na mój własny upór, zaś Arbitos przemawia do mojego poczucia sprawiedliwości i równowagi. – Mistrz Wojny smutno pokręcił głową. – Mój ojciec rzekł wtedy, że choć podziwiał wybory, których dokonałem, zaskoczył go fakt, że nie zwróciłem uwagi na inny znak. Pokazał mi jeźdźca z łukiem, galopującego wojownika. Oto straszliwy Sagitarius, rzekł. Ze wszystkich znaków na niebie to on jest najbardziej rozmiłowany w wojnie. Silny, nieugięty i nieujarzmiony, chyży i nigdy niechybiający celu. W starożytności, jak mi powiedział, był to znak najpotężniejszy. Znak centaura, w połowie konia, w połowie człowieka. Znak łowcy. Starożytni go uwielbiali. W Anatolii, gdzie ojciec mój spędził dzieciństwo, centaur był powszechnie czczonym symbolem. Jeździec zbrojny w łuk był w owym czasie najpotężniejszym narzędziem wojny, uosobieniem podboju i zwycięstwa. Z czasem mity połączyły jeźdźca i wierzchowca w jedną istotę, doskonałe połączenie człowieka i broni. Tym właśnie musisz się stać, powiedział mi. Pewnego dnia staniesz na czele moich armii, moich własnych narzędzi wojny, jakby były częścią twego ciała. Pogalopujesz po niebie i nikt nie będzie w stanie ci się przeciwstawić. Na Ullanorze zaś dał mi to.

Horus odstawił puchar i pochylił się, by mogli dojrzeć bardzo stary pierścień, który nosił na małym palcu lewej dłoni. Czas zatarł wyryty na nim symbol. Lokenowi wydało się jednak, że dostrzega kopyta, ramię, napięty łuk.

– Wykonano go w Persji na rok przed narodzinami Imperatora. Straszliwy Sagitarius to teraz ty, powiedział. Jesteś moim Mistrzem Wojny, moim centaurem. W połowie człowiekiem, w połowie armią Imperium. Gdzie się nie zwrócisz, pójdą za tobą Legiony. Czego nie wskażesz, zniszczą. Galopuj dalej beze mnie, mój synu, a armia podąży za tobą.

Zapadła długa cisza.

– Sami więc rozumiecie – powiedział po chwili Horus i uśmiechnął się – że kiedy już udało mi się spotkać go osobiście, darzę Sagitariusa pewną sympatią.

Jego uśmiech był zaraźliwy. Loken i Aksymand zaśmiali się, pokiwali głowami.

– A teraz powiedz im, jaki jest prawdziwy powód – powiedział czyjś głos.

Wszyscy się odwrócili. Pod sklepieniem wysoko łukiem z tyłu sali, za zasłoną z białego jedwabiu, stał Sanguinius. Słyszał ich rozmowę. Pan Aniołów odgarnął jedwabną zasłonę i wkroczył do sali narad, muskając lśniącą tkaninę piórami swych skrzydeł. Miał na sobie prostą, białą szatę, spiętą w talii pasem ze złotych ogniw. Spokojnie jadł wybrany z miski owoc.

Loken i Aksymand natychmiast wstali.

– Siadajcie – powiedział Sanguinius. – Mój brat jest w nastroju do zwierzeń, może więc opowie wam całą prawdę.

– Nie sądzę... – zaczął Horus. Sanguinius przerwał mu, rzucając w niego jednym z tych małych czerwonych owoców.

– Opowiedz im resztę – zachichotał.

Horus złapał owoc, spojrzał na niego i odgryzł kawałek. Wierzchem dłoni starł sok z podbródka i spojrzał na Lokena i Aksymanda.

– Pamiętacie początek mojej opowieści? – zapytał. – To, co Imperator powiedział o gwiazdach? „Nie popełnij błędu, a gwiazdy będą nasze”.

Dojadł owoc i wyrzucił pestkę.

– Mój drogi brat Sanguinius ma rację, od zawsze jest bowiem moim sumieniem.

Sanguinius wzruszył ramionami. W wykonaniu olbrzyma ze skrzydłami gest ten wyglądał dziwnie.

– „Nie popełnij błędu” – ciągnął Horus. – Tylko trzy słowa. Zrozumcie mnie dobrze. Z woli Imperatora piastuję godność Mistrza Wojny. Nie mogę go zawieść. Nie mogę pozwolić sobie na błędy.

– Jakie błędy, panie? – zapytał Aksymand.

– Od tryumfu na Ullanorze popełniłem dwa, mój mały. Albo też brałem udział w popełnieniu dwóch błędów, a to wystarczy, gdyż wszystkie błędy Ekspedycji spadają ostatecznie na moje barki.

– Jakie błędy? – powtórzył Loken.

– Nieporozumienia. – Horus uniósł dłoń do czoła. – Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście. Moja pierwsza misja jako Mistrza Wojny. Ile krwi tam przelaliśmy, krwi wynikłej z nieporozumienia? Nie zauważyliśmy znaków i musieliśmy zapłacić za to wysoką cenę. Mój biedny, drogi Sejanus. Nadal mi go brakuje. Cała ta wojna, nawet ten koszmar w górach, który musiałeś znieść, Garvielu... to był błąd. Mogłem podjąć inne decyzje. Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście mogła stać się częścią Imperium bez rozlewu krwi.

– Nie, panie – rzekł Loken z mocą. – Ci ludzie zbyt mocno trzymali się swych obyczajów, a obyczaje te godziły w jedność Imperium. Wojna była koniecznością.

Horus pokręcił głową.

– Jesteś wyrozumiały, Garvielu, ale mylisz się. Zawsze istnieje inny sposób. Powinienem umieć przekonać ich bez jednego strzału. Imperator tak by postąpił.

– Nie jestem tego pewien – sprzeciwił się Aksymand.

– Potem Rzeźnia – ciągnął Horus, ignorując uwagę Małego Horusa. – Albo Kraina Pająków, jak nazywają ją intereksowie. Jak brzmi ta nazwa w ich języku?

– Urisarach – odpowiedział Sanguinius. – Wydaje mi się jednak, że słowo to nabiera właściwego znaczenia dopiero przy właściwym akompaniamencie.

– Niech więc będzie Kraina Pająków – powiedział Horus. – Znów nieporozumienie. Intereksowie pozostawili ostrzeżenia, zakazy lądowania, a my je zignorowaliśmy. Ten świat objęty jest embargiem jako azyl dla istot, które pokonali zbrojnie. A my weszliśmy prosto w pułapkę.

– Nie mogliśmy wiedzieć – stwierdził Sanguinius.

– Powinniśmy byli się domyślić! – warknął Horus.

– Tu leży podstawowa różnica pomiędzy filozofią Imperium i filozofią interesów – powiedział Aksymand. – My nie potrafimy znieść istnienia niebezpiecznej rasy obcych. Oni ich ujarzmiają, ale wzbraniają się przed wytępieniem. Pozbawiają ich tylko możliwości podróży międzygwiazdnych i skazują na wygnanie, zamieniając całą planetę w więzienie.

– My unicestwiamy – rzekł Horus. – Oni obywają się bez tak drastycznych metod. Kto jest bardziej humanitarny?

Aksymand wstał z miejsca.

– Podzielam zdanie Ezekaila – powiedział. – Tolerancja jest oznaką słabości. Interesowie zasługują może na podziw, ale łagodność i tolerancja, z jaką traktują niebezpieczne rasy kseno, zasługują tylko na potępienie.

– Nauczyli się współczucia nawet dla pokonanych wrogów – powiedział Horus. – Nauczyli też kinebrachów...

– Oto koronny argument! – odparł Aksymand. – Kinebrachowie są częścią ich kultury!

– Nie podejmę kolejnej przedwczesnej lub nieprzemyślanej decyzji – odrzekł Horus. – Podjąłem ich już zbyt wiele. Moje błędy rzutują na moją pozycję jako Mistrza Wojny. Zamierzam poznać i zrozumieć interesów, uczyć się od nich, być może pertraktować. Jeśli to nic nie da, rozważę użycie siły. To zacny lud. Może choć tym razem dla odmiany zdołamy się czegoś nauczyć.



Najtrudniej było przywyknąć do muzyki. Czasem brzmiała głośno i majestatycznie, zwłaszcza wtedy, kiedy do swych instrumentów siadali meturgiści. Czasem zaś była cicha niczym szept lub szmer, jak brzęczenie w uszach. Jednak niemal nigdy do końca nie cichła. Interesowie zwali ją arię i była podstawą ich metody komunikacji. Używali oczywiście języka, rozwiniętego ludzkiego narzecza przypominającego bardziej dialekty dawnej Terry niż język Cthonii, ale dawno przyjęli arię jako akompaniament wspomagający mowę oraz pracę tłumaczy.

Iteratorzy badali arię podczas podróży, jednak jej definicja wymykała się im. Była to w zasadzie wyższa matematyka, uniwersalny kod przekraczający bariery lingwistyczne, jednak matematyczne struktury wyrażano poprzez melodię i harmonię, które dla ucha laika brzmiały jak muzyka. Brzmiała w tle wszystkich transmisji głosowych interesów, a kiedy rozmawiało się z jednym z nich twarzą w twarz, słowom towarzyszył akompaniament meturgistów. Pełnili oni rolę tłumaczy posłów.

Jak wszyscy intereksowie, charakteryzowali się oni wysokim wzrostem. Nosili długie płaszcze z lśniącego, zielonego materiału, wykończone złotymi lamówkami. Za sprawą genetycznych manipulacji lub ingerencji chirurgicznych ich uszy były rozłożyste jak u nietoperzy lub innych nocnych stworzeń. W wysokie kołnierze płaszczy wpleciono im komunikatory, każdy z meturgistów nosił także zawieszony na piersi skomplikowany instrument. Składał się on z zestawu wzmacniaczy i spiralnych tub oraz cyfrowej klawiatury, na której nieustannie spoczywały palce muzyków. Z górnej części instrumentów wystawał wygięty na kształt łabędziej szyi ustnik, umożliwiający meturgistom dęcie, mruczenie lub wokalizowanie.

Pierwsze spotkanie między przedstawicielami intereksów i Imperium odbyło się w atmosferze rezerwy i ostrożności. Na pokład „Mściwego Ducha” weszli posłowie w eskorcie złożonej z meturgistów i żołnierzy. Posłowie byli bez wyjątku przystojni i szczupli, a ich wzrok przeszywał do szpiku kości. Nosili krótko ostrzyżone włosy, a jedną połowę twarzy zdobiły im skomplikowane, zapewne wytatuowane wzory. Mieli długie do kolan szaty z miękkiej, błękitnej tkaniny, pod którymi kryły się obcisłe ubrania z tego samego materiału, z jakiego uszyto płaszcze.

Żołnierze intereksów robili wrażenie. Z pokładu promu zeszło ich pięćdziesięciu pod komendą kilku oficerów. Byli wyżsi od posłów i odziani od stóp do głów w metaliczne, srebrzysto-szmaragdowe zbroje, zdobione insygniami w postaci szkarłatnych pasów. Zbroje te okrywały szczelnie ciała żołnierzy, lecz miały niemal delikatną konstrukcję i w niczym nie przypominały masywnych płyt pancerzy Astartes.

Żołnierze wzrostem dorównywali niemal Legionistom, ale nie posiadali ich potężnej budowy i w porównaniu z imperialnymi gigantami wydawali się wręcz drobni. Podczas pierwszego spotkania Abaddon mruknął do Lokena, że ich ozdobne pancerze zapewne nie wytrzymałyby nawet lekkiego klepnięcia wymierzonego pancerną rękawicą.

Broń intereksów wywołała znacznie więcej komentarzy. Większość żołnierzy nosiła na plecach miecze. Inni mieli włócznie o długich żeleźcach, opatrzone u podstawy kulistą przeciwwagą. Strzelcy zbrojni byli w refleksyjne łuki z ciemnego metalu, a do ud przypinali kołczany pełne długich, pozbawionych lotek strzał.

– Łuki? – szepnął Torgaddon. – Ich okręty są większe i potężniejsze od naszych, a mimo to noszą łuki?

– Zapewne mają znaczenie ceremonialne – mruknął Aksymand.

Na czubkach hełmów oficerowie intereksów mieli ząbkowane półokręgi, stanowiące zapewne oznakę rangi. Zasłony ściśle przylegających hełmów były dopasowane do rysów twarzy, czoła, nosa i kości policzkowych, z lśniącymi błękitną poświatą otworami optycznymi. Osłony ust i podbródka zostały bardzo rozbudowane i zawierały moduły komunikacyjne, przez co przypominały wysuniętą wojowniczo szczękę.

Za smukłymi żołnierzami pojawili się zbrojni o bardziej masywnej budowie. Byli krępi i znacznie mocniej zbudowani, a ich pancerze miały barwę brązu i złota. Loken przypuszczał, że jest to jakiś rodzaj ciężkiej piechoty, genetycznie wyposażonej w potężną masę mięśniową i przeznaczoną do walki wręcz, nie widział jednak u nich żadnej broni. Zbrojnych było dwudziestu, stali zaś po obu stronach oddziału pięciu czworonożnych maszyn. Zbudowano je na kształt ziemskich koni, z tym jednak wyjątkiem, że nie posiadały głów ani szyi.

– Roboty – szepnął Horus do Maloghursta. – Niech Mistrz Regulus przyjrzy im się dokładnie. Później będę chciał usłyszeć jego spostrzeżenia na ich temat.

Na czas ceremonii powitalnej pokład desantowy okrętu flagowego został całkowicie oczyszczony z maszyn i sprzętu technicznego. Po obu stronach hangaru ze ścian zwisały imperialne sztandary, a straż honorową pełniła Pierwsza Kompania w pełnym składzie. Astartes utworzyli szpaler nieruchomych wojowników, lśniących bielą swych pancerzy, a pierwszy szereg po każdej stronie zajmowali Justaerinowie odziani w czarne jak noc pancerze Terminatorów. Pomiedzy rzędami straży stał Horus w otoczeniu Kwadry, Maloghursta oraz innych ważnych osobistości floty, jak Ing Mae Sing. Mistrz Wojny i jego oficerowie nosili pancerze i ceremonialne płaszcze, Horus pozostał jednak bez hełmu.

Patrzyli, jak ciężki prom intereksów powoli wlatuje do hangaru i opada na lśniące płozy. Potem w jego części dziobowej otworzył się właz, którego srebrzysta pokrywa złożyła się i rozsunała jak skomplikowana figura z origami, i na pokład w asyście eskorty zeszli posłowie. Delegacja intereksów wraz z meturgistami oraz żołnierzami liczyła ponad sto osób. Wszyscy zatrzymali się w równym szeregu, posłowie z przodu, żołnierze zaś w idealnie symetrycznym rzędzie z tyłu. Moment wkroczenia delegacji na pokład poprzedziły trwające dwie standardowe doby negocjacje, pełne subtelnych zabiegów dyplomatycznych.

Horus skinął głową i wojownicy Pierwszej Kompanii jak jeden mąż unieśli broń do napierśników i pochylili głowy. Sam Mistrz Wojny ruszył w stronę delegacji, a jego płaszcz majestatycznie powiewał w rytm kroków.

Staął przed człowiekiem, którego wziął za przewodniczącego poselstwa, złożył dłonie w znak Orła i skłonił się.

– Witam was... – zaczął.

Kiedy tylko się odezwał, meturgiści wydobyli ze swych instrumentów cichą muzykę.

– To forma tłumaczenia – powiedział poseł, a jego słowom także akompaniowała melodia meturgii.

– Nieco kłopotliwa – uśmiechnął się Horus.

– Celem porozumienia się i uniknięcia niejasności – wyjaśnił poseł.

– Wydaje mi się, że dobrze się rozumiemy.

Poseł skłonił się lekko.

– Nakazę muzykom milczenie – rzekł.

– Nie – powiedział Horus. – Jeśli taki jest wasz obyczaj, zachowujmy się zgodnie z nim.

Poseł znów lekko się skłonił i rozmowa potoczyła się dalej przy akompaniamencie dziwnej melodii.

– Witam was w imieniu Imperatora Ludzkości, ukochanego przez wszystkich, oraz w imieniu Imperium Terry.

– W imieniu społeczności intereksów przyjmuję twe powitanie i przesyłam pozdrowienia.

– Dziękuję – rzekł Horus.

– Czy przybyliście z Terry? – zapytał poseł.

– Tak.

– Z pradawnej Terry, zwanej niegdyś Ziemią?

– Tak.

– Czy potraficie to udowodnić?

– Oczywiście. – Horus znów się uśmiechnął. – Jeżeli tylko sobie tego zażycycie.

Przez twarz posła przemknął dziwny grymas, przypominający wyraz bólu lub smutku. Spojrzał na swych towarzyszy.

– I my pochodzimy z Terry. Stamtąd przybyli nasi przodkowie wiele eonów temu i stamtąd wywodzi się nasz genetyczny rodowód. Jeśli istotnie przybyliście z Terry, spotkanie z wami jest dla nas epokowym wydarzeniem. Po raz pierwszy od tysięcy lat intereksowie nawiązali kontakt z dawno utraconymi kuzynami.

– Taki jest nasz cel – rzekł Horus. – Poszukujemy zaginionych rodów ludzkości, przed wiekami rzuconych w odległe rejony galaktyki.

Posel pochylił głowę.

– Jestem Diath Shehn, abrokariusz.

– Jestem Horus, Mistrz Wojny.

W muzyce granej przez meturgistów odezwała się fałszywa nuta, kiedy przekładali na dźwięki znaczenie słowa „Mistrz Wojny”. Shehn zmarszczył brwi.

– Mistrz Wojny? – powtórzył.

– Tak. Tytuł ten nadał mi Imperator Ludzkości, bym pełnił funkcję jego zastępcy.

– Groźny i wojowniczy tytuł. Czy wasza flota stanowi wyprawę wojenną?

– Posiada siły zbrojne. Kosmos jest zbyt niebezpieczny, byśmy mogli przemierzać go bez ochrony. Widzę jednak, abrokariuszu, że i wy dysponujecie imponującymi wojownikami.

Shehn zacisnął wargi.

– Przypuściliście gwałtowny atak na Urisarach, wykazując się wielką agresją i lekceważąc pozostawione przez nas transmisje orbitalne. Wygląda na to, że wasze siły zbrojne są liczne.

– Później omówimy rzecz szczegółowo, abrokariuszu. Jeśli konieczne będą przeprosiny, złożę je osobiście. Teraz jednak pozwól, bym powitał was w pokojowym duchu.

Horus odwrócił się i dał sygnał. Wszyscy wojownicy Pierwszej Kompanii zdjęli jednocześnie hełmy. Groźne wojenne maski zastąpiły rzędy ludzkich twarzy, demonstrujące nie wrogość, lecz otwartość.

Shehn i pozostali posłowie pokłonili się i złożyli salut, któremu towarzyszyła melodia meturgii. Wojownicy intereksów zdjęli zasłony własnych hełmów, odsłaniając harde oblicza.

Kiedy jednak hełmy zdjęli krępi wojownicy w brązach i złocie, oczom Astartes ukazały się twarze ksenosów.



Zwali się kinebrachami i byli zaawansowaną, dojrzałą rasą, posiadającą technologię umożliwiającą podróże międzygwiazdne od ponad piętnastu tysięcy lat. Kinebrachowie opanowali wiele światów w swym zakątku kosmosu, zanim Terra wkroczyła jeszcze w pierwszy Wiek Technologii, kiedy to podróże poza Układ Słoneczny odbywały się niemal po omacku i na pokładach statków rozwijających prędkość podświetlną.

Gdy zetknęli się z intereksami, ich cywilizacja powoli chyliła się już ku upadkowi. Pierwszy kontakt wywołał wojnę terytorialną, która trwała sto lat. Mimo przewagi technologicznej kinebrachów zwyciężyli w niej ludzie, nie unicestwili jednak przeciwników. Doprowadzono do rozejmu, częściowo za sprawą stworzenia arii, która umożliwiła nawiązanie kontaktu i porozumienie między obydwoma rasami. Stając przed perspektywą kontynuowania działań wojennych, które musiały zakończyć się ich wygnaniem, kinebrachowie postanowili zostać współobywatelami intereksów i współistnieć z nimi pokojowo. Ich słabnąca, starożytna cywilizacja zyskała w kontakcie z dynamicznie rozwijającymi się ludźmi. Połączeni już z nimi więzami kulturowymi kinebrachowie podzielili się osiągnięciami swej technologii. Przez następne trzy tysiące lat intereksowie i kinebrachowie prowadzili udaną i pokojową koegzystencję.

– Konflikt z kinebrachami był dla nas pierwszą znaczącą wojną z obcymi – wyjaśnił Diath Shehn. Wraz z pozostałymi posłami zasiadał w sali narad Mistrza Wojny. Obecni byli też członkowie Kwadry, a pod ścianami stali meturgiści, cicho akompaniując rozmowom. – Wiele się dzięki temu nauczyliśmy. Poznaliśmy swe miejsce w kosmosie, a także wartość współczucia, empatii i zrozumienia. Aria stanowi przedłużenie owych wartości i jest dla nas narzędziem komunikacji z obcymi. Wojna nauczyła nas, że nasze człowieczeństwo, a raczej nasze głęboko zakorzenione cechy człowiecze, takie jak język, stanowią przeszkodę w dojrzałych relacjach z innymi rasami.

– Komunikacja, nawet zaawansowana i dojrzała, czasem nie wystarcza – odezwał się Abaddon. – Z naszych doświadczeń wynika, że większość ksenosów jest do nas wrogo nastawiona. Porozumienie i pertraktacje z nimi nie wchodzą w grę.

Pierwszy Kapitan, podobnie jak wielu zebranych, czuł się nieswojo. Cała delegacja intereksów została wpuszczona do sali narad Mistrza Wojny i kinebrachowie stali teraz pod jej tylną ścianą. Abaddon nie spuszczał z nich wzroku. Byli mocno zbudowani, podobni do małp dawnej Terry. Ich oczy, osadzone w głębokich oczodołach pod wydatnymi czołami, stanowiły zaledwie iskry światła w mroku. Ciało mieli granatowoczarne i pomarszczone, a podstawy kanciastych czaszek porastały drobne i przypominające puch rdzawe włosy. Ich usta i nosy stanowiły jeden organ, podzielony na trzy części na końcu krótkich pysków, który mógł odsłaniać w pionie różowe i wilgotne nozdrza lub otwierać się w poziomie, ukazując rzędy

małych i ostrych jak u delfina zębów. Wokół kinebrachów unosiła się ziemista i wyraźna woń, nie tyle nawet nieprzyjemna, co całkowicie niehumanitarna.

– I my się o tym przekonaliśmy – przyznał Shehn. – Choć nasze doświadczenia z innymi rasami były bardziej pokojowe od waszych. Zdarzało się nam napotykać obcych, którzy unikali wszelkich prób kontaktu i atakowali przy pierwszej okazji. Konflikt zbrojny był wówczas jedynym wyjściem. Tak było w przypadku... jak ich nazwaliście?

– Megarachnidzi – powiedział Horus z uśmiechem.

Shehn skinął głową i również się uśmiechnął.

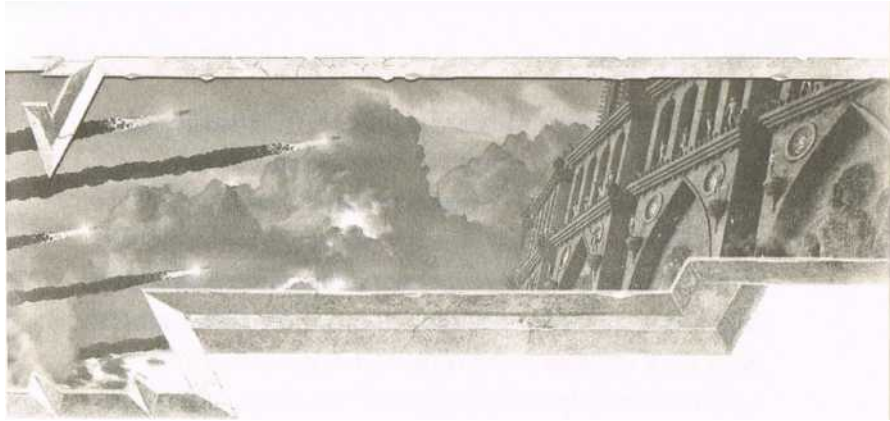
– Rozumiem starożytny źródłosłów tego słowa. Megarachnidzi byli rasą rozwiniętą, ale nie posiadali świadomości w naszym rozumieniu tego słowa. Ich jedynym celem było rozmnażanie się oraz powiększanie swego terytorium. Kiedyśmy ich napotkali, zajmowali już osiem układów planetarnych wzdłuż Obrzeża Shartiel na naszym terytorium. Istniało zagrożenie, że przypuszczą inwazję i wyduszą wszelkie życie na dwóch naszych światach. Wydaliśmy im wojnę, aby strzec interesów. Zwyciężyliśmy, ale nie istniała możliwość zawarcia rozejmu, ani nawet zawieszenia broni. Pojmaliśmy zatem wszystkich pozostałych przy życiu megarachnidów i wywieźliśmy ich na Urisarach. Pozbawiliśmy ich też technologii umożliwiającej podróże międzygwiazdne. Planeta stała się ich rezerwatem, w którym mogli egzystować, nie stanowiąc jednocześnie zagrożenia dla innych ras. Przekazniki orbitalne miały być ostrzeżeniem.

– Nie wzięliście pod uwagę eksterminacji? – zapytał Maloghurst.

Shehn pokręcił głową.

– Jakie mamy prawo, by wygubić całą rasę? W większości przypadków porozumienie jest możliwe. Megarachnidzi byli przypadkiem krańcowym, a jedynym humanitarnym rozwiązaniem okazało się wygnanie.

– Wasze podejście jest fascynujące – powiedział szybko Horus, widząc, że Abaddon ma na końcu języka jakiś komentarz. – Myślę, że przyszła pora na przeprosiny, abrokariuszu. Nie zrozumieliśmy waszych ostrzeżeń i celu istnienia Urisarach. Wtargnęliśmy na teren rezerwatu. Imperium przeprosza za to wykroczenie.



DWA

POSŁOWIE I POSELSTWA

XENOBIA

SALA PAMIĄTEK

Abaddon był wściekły. Kiedy tylko poselstwo intereksów zeszło z pokładu okrętu flagowego, w obecności reszty Kwadry dał upust złości.

– Sześć miesięcy! Pół roku wojny o Rzeźnię! Pół roku chwalebnych czynów i ofiar, a on przeprasza, jakby to był błąd? Nawet ci cholerni wielbiciel ksenosów przyznali, że pająki były tak niebezpieczne, że musieli zamknąć je w rezerwacie!

– Sytuacja jest niełatwa – tłumaczył Loken.

– To obraza honoru naszego Legionu oraz Legionu Krwawych Aniołów!

– Tylko człowiek silny i mądry wie, kiedy należy przeprosić – zauważył Aksymand.

– Ale tylko głupiec pertraktuje z ksenosami! – warknął Abaddon. – Czego nauczyła nas Kruczata?

– Że jesteśmy niezli w zabijaniu wszystkiego, co stawia nam opór? – zapytał Torgaddon.

Abaddon wlepił w niego groźny wzrok.

– Wszyscy wiemy, jak brutalny i okrutny jest kosmos. Musimy walczyć o nasze miejsce wśród gwiazd. Wymieńcie choć jedną rasę kseno, która nie ucieszyłaby się z upadku ludzkości.

Nikt nie odpowiedział.

– Tylko głupiec pertraktuje z ksenosami – powtórzył Abaddon. – Albo też z ludźmi, którzy ksenosów tolerują.

– Nazywasz Mistrza Wojny głupcem? – zapytał Loken.

Abaddon zawahał się.

– Nie. Oczywiście, że nie. Jestem sługą jego woli.

– Naszym obowiązkiem jako Kwadry – rzekł Aksymand – jest wyrażać wspólną opinię.

Torgaddon skinął głową.

– Nie – powiedział Loken. – Nie dlatego nas ceni. Musimy zdradzić mu nasze osobiste opinie, nawet jeśli są ze sobą sprzeczne, i pozwolić mu podjąć decyzję. Taki jest nasz obowiązek.



Spotkania z posłami intereksów trwały kilka następných dni. Czasem odbywały się na pokładzie „Mściwego Ducha”, czasem zaś wysłannicy Imperium odbywali rozmowy na pokładzie statku przybyszów, w komnatach lśniących od szkła i srebra, wypełnionych muzyką arii.

Posłowie nie dawali się łatwo rozszyfrować. Ich zachowanie wskazywało czasem, że traktują obywateli Imperium z góry, jak prymitywnych barbarzyńców. Mimo to jednak patrzyli na nich z ewidentną fascynacją. Terra i dziedzictwo ludzkości stanowiły podstawę ich mitów i historii. Nawet jeśli w kontakcie z rzeczywistością doznali rozczarowania, nie mogli po prostu zerwać kontaktu z własną przeszłością.

W końcu uzgodniono, że na najbliższej zamieszkaną przez intereksów planecie urządzone zostanie spotkanie na szczycie. Mistrz Wojny wraz ze swą żoną miał tam odbyć rozmowy z ważniejszymi od posłów przedstawicielami ich władz.

Mistrz Wojny słuchał rad wszystkich swych doradców, choć Loken był pewien, że decyzję już podjął. Niektórzy, jak Abaddon, twierdzili, że należy zerwać negocjacje i zebrać większe siły celem zajęcia terytorium intereksów. Mistrza Wojny tymczasem wzywały ważne sprawy, które zostały odłożone na czas wojny w Krainie Pająków. Co dzień astropaci floty otrzymywali nowe prośby o interwencję. Pięciu Prymarchów zwróciło się do Mistrza Wojny z osobistą prośbą o spotkanie w celu narady w sprawach strategii Krucjaty lub zagadnień związanych z działalnością Rady Wojennej. Jednym z nich był Lion, Prymarcha Mrocznych Aniołów, który nigdy wcześniej nie zwracał się do Mistrza Wojny z podobnymi prośbami. Nadarzała się okazja do ocieplenia stosunków z bratem, której Horus nie mógł przepuścić.

Trzydzieści sześć flot ekspedycyjnych prosiło o radę, zalecenia taktyczne lub pomoc wojskową. Przybywało też coraz bardziej niecierpiących zwłoki problemów politycznych. Rada

Terry domagała się udziału Mistrza Wojny w sprawach natury biurokratycznej. Już od dawna odkładał to na później, tłumacząc się udziałem w Krucjacie.

Towarzyszący Horusowi w większości jego codziennych obowiązków Loken miał okazję przekonać się osobiście, jak wielki ciężar nałożył na jego barki Imperator. Mistrz Wojny musiał godzić obowiązki dowódcy wojskowego, architekta dzieła powiększania Imperium, sędziego, taktyka oraz subtelnego dyplomaty.

Podczas trwającej sześć miesięcy wojny o Rzeźnię na orbitę planety przybyły nowe okręty, otaczając „Mściwego Ducha” wianuszkiem niczym interesanci. Była to reszta okrętów Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji dowodzonej przez Varvarusa. Okręty przybyły z Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście, którą pozostawiono rządowi biednego, samotnego gubernatora Rakrisa. Przybyło też czternaście jednostek Osiemdziesiątej Ósmej Ekspedycji. Jej dowódca, Trajus Boniface z Legionu Alfa, twierdził, iż przybyli na wieść o kłopotach Sto Czterdziestej Ekspedycji z zamiarem wsparcia wysiłków zbrojnych na Rzeźni. Szybko jednak okazało się, że pragnie on wykorzystać okazję i nakłonić Horusa do wsparcia jednostkami Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji ofensywy planowanej w opanowanym przez orków pasie Kayvas. Plan ten szykował od dawna Prymarcha Alfarius. Był to znak, że podobnie jak Lion, szuka on aprobaty i uznania ze strony Mistrza Wojny.

Horus przeglądał te dane w samotności swej prywatnej kwatery. Ofensywa w pasie Kayvas miała trwać pięć lat i wymagała udziału sił dziesięciokrotnie większych niż oddane do dyspozycji Mistrza Wojny.

– Alfarius chyba śni – mruknął, pokazując plany Lokenowi i Torgaddonowi. – Nie mogę wziąć w tym udziału.

Na pokładzie jednego z okrętów Varvarusa przybyła delegacja administratorów exactro tributi z Terry. Ich żądania o udzielenie audiencji były dla Mistrza Wojny najbardziej irytujące ze wszystkich. Na polecenie Malcadora Sygility i za aprobatą Rady Terry administratorzy zostali rozesłani w każdy zakątek powiększającego się nieustannie Imperium. Ogrom tego przedsięwzięcia sprawiał, że logistyka związana z programem rekrutacji milionów upamiętniaczy przypominała przy tym dziecinną zabawę.

Delegacji przewodziła Aenid Rathbone, wysoka, szczupła i urodziwa kobieta o rudych włosach i bladej cerze. Była osobą niezwykle wymagającą i miała do tego prawo. Rada Terry wydała dekret, nakładający na wszystkie Ekspedycje, Prymarchów, dowódców flot oraz

gubernatorów planetarnych obowiązek ściągania podatku. Dochód z opodatkowania miał zasilić skarbiec Imperium, którego wydatki zwiększały się wraz z granicami. Dlatego Rathbone nawet nie rozmawiała na inne tematy.

– Jeden świat nie jest w stanie dokonać tak gigantycznego wysiłku logistycznego i finansowego – objaśniała Mistrzowi Wojny sprawę nieco zbyt ostrym tonem. – Terra nie może ponosić całego ciężaru wydatków. Ludzkość włada tysiącami, a nawet milionami światów. Pora, by Imperium zaczęło się samo utrzymywać.

– Wiele niedawno wcielonych światów ledwo osiągnęło zgodność z imperialnymi dekretemi, pani – odpowiedział spokojnie Horus. – Zniszczenia wojenne i odbudowa stanowią dla nich wystarczające obciążenie. Podatki je zrujniają.

– Sam Imperator wydał taki rozkaz.

– Doprawdy?

– Malcador Sygilita, którego wszyscy wielbimy, sam mi o tym powiedział. Konieczne jest wprowadzenie podatków oraz mechanizmów administracyjnych umożliwiających ich regularne zbieranie.

– Gubernatorzy, którym nadaliśmy władzę nad podbitymi planetami, nie ucieszą się z tego – dołączył się Maloghurst. – Ich władza i autorytet jeszcze się nie umocniły. Za wcześnie mówić o podatkach.

– Sam Imperator wydał taki rozkaz – powtórzyła Rathbone.

– Imperator, ukochany przez wszystkich? – zapytał Loken. Jego słowa wywołały na twarzy Horusa szeroki, szczerzy uśmiech. Rathbone spojrzała na Lokena twardo.

– Nie jestem pewna, co pan implikuje, kapitanie – powiedziała. – Wypełniam powierzoną mi powinność.

Kiedy wraz z towarzyszącą jej świtą opuściła komnatę, Horus usiadł wygodniej. Został sam ze swymi najbliższymi doradcami.

– Długo uważałem, że to eldarzy pozbawią nas prymatu w galaktyce – powiedział. – Choć ich cywilizacja chyli się ku upadkowi, ich geniusz jest niezaprzeczalny i gdyby ktoś miał rozbić Imperium i zniewolić ludzkość, zapewne byłiby to oni. Potem sądziłem, że zielonoskórzy są większym zagrożeniem. Jest ich wszak tak wielu, a ich brutalna siła wydaje się niezłomna. Teraz jednak, przyjaciele, jestem przekonany, że wykończą nas poborcy podatkowi.

Wszyscy się roześmieli. Loken pomyślał o ostatnim utworze Karkasego. Większość jego wierszy oddawał Sindermannowi do zaopiniowania, ale podczas ostatniego spotkania Ignace wręczył mu, jak to określił, „nieudolną fraszkę”. Loken przeczytał wiersz. Była to dość obelżywa i mocno zjadliwa satyra wymierzona w poborców podatków. Nawet Loken ją docenił. Pomyślał, czy nie przytoczyć jej zgromadzonym, ale właśnie wtedy twarz Horusa pomroczyła.

– To tylko w połowie żart – powiedział. – Za pośrednictwem administratorów rada nakłada na niedawno wcielone światy ogromne brzemię, które może zagrozić jedności Imperium. Za wcześnie na tak surowe obciążenia. Dojdzie do buntów i powstań. Powiedz zwyciężonemu, że ma nowego władcę, a wruszy ramionami. Powiedz mu, że ów władca chce piątej części jego rocznych dochodów, a weźmie widły i wznieci rebelię. Aenid Rathbone i podobni jej administratorzy mogą zniszczyć to, co z takim trudem zbudowaliśmy.

Znów zabrzmiał śmiech zgromadzonych.

– Taka jest jednak wola Imperatora – zauważył Torgaddon.

Horus pokręcił głową.

– To nieprawda, choć Rathbone tak właśnie sądzi. Znam Imperatora tak, jak syn zna swego ojca. Nie zgodziłby się na to. Nie teraz, nie tak wcześnie. Zapewne jest zbyt pochłonięty pracą, by wiedzieć o tym dekrete. Rada podejmuje decyzje pod jego nieobecność. Imperator zbyt dobrze wie, jak delikatna jest sytuacja podbitych światów. Na Terrę, takie są skutki oddania władzy wykonawczej w zdobytym przez wojowników Imperium w ręce cywili oraz urzędników.

Wszyscy na niego patrzyli, nie wiedząc, co o tym myśleć.

– Mówię poważnie – powiedział Horus. – W niektórych układach planetarnych może z tego powodu dojść do wojny domowej. W najlepszym razie wprowadzenie podatków będzie miało negatywny wpływ na dalszy przebieg działań Ekspedycji. Administratorzy muszą zostać... odstawieni na boczny tor, przynajmniej na razie. Należy udostępnić im ogromne ilości materiałów wymagających dokładnego zbadania celem stwierdzenia wysokości należnych podatków. Należy zrobić to na każdej z planet i dodać do tego szczegółowe i zawiłe raporty wywiadowcze na temat jej statusu.

– To ich spowolni, ale nie na długo, panie – rzekł Maloghurst. – Administracja Terry wprowadziła odgórny system ustalania proporcjonalnej wysokości podatków dla każdej planety.

– Zrób, co będziesz mógł, Mal – powiedział Horus. – Opóźniaj działania Rathbone. Daj mi nieco czasu.

– Zajmę się tym – powiedział Maloghurst. Wstał i wciąż utykając, wyszedł z komnaty Mistrza Wojny.

Horus westchnął i zwrócił się do pozostałych zebranych.

– Wzywają mnie Lion i Alfarius.

– Oraz nasi pozostali bracia i inne Ekspedycje – dodał Sanguinius.

– Wydaje się jednak, że powinienem bezzwłocznie wrócić na Terrę i rozmówić się z radą w sprawie opodatkowania.

Sanguinius zachichotał.

– Nie do tego zostałem stworzony – przyznał Horus.

– Porozmawiajmy więc o interesach, panie – rzekł Erebus.



Erebus z Głosicieli Słowa dołączył do nieb dwa tygodnie wcześniej wraz z kontyngentem Varvarusa. Był postacią ponurą i złowieszczą, a na powierzchni szarego jak gładz pancerza Wzór IV wyryte miał inskrypcje sławiące jego czyny. Piastował rangę Pierwszego Kapelana xvii Legionu, równą mniej więcej godności Abaddona lub Eidolona. Należał do wewnętrznego kręgu dowódców swego Legionu i był w bliskich kontaktach z Kor Phaeronom oraz Prymarchą Lorgarem. Gdy się odzywał, mówił zawsze głosem cichym i spokojnym, zjednującym mu szybko szacunek każdego. Wilki Luny przyjęły go z otwartymi ramionami. Legion Mistrza Wojny łączyły z Głosicielami Słowa związki równie bliskie, co z Dziećmi Imperatora. Nie bez przyczyny Horus uważał Lorgara za jednego z najbliższych braci, zaraz obok Fulgrima i Sanguinusa.

Erebus, z którego czas i doświadczenie zrobiły nie tylko doskonałego wojownika, ale i znakomitego polityka, przybył prosić Mistrza Wojny o przysługę dotyczącą jego Legionu. Musiała to być nie lada przysługa, gdyż Lorgar nie posyłał Erebusa w sprawach błahych.

Erebus natychmiast po swym przybyciu zrozumiał, jak wielkie brzemie obowiązków spoczywa na Horusie. Odłożył cel swej misji, nie chcąc dodatkowo obciążać Mistrza Wojny, i służył mu za bezstronnego doradcę.

Za to właśnie szybko zdobył sobie podziw członków Kwadry, którzy powitali go jak wcześniej Raldorona. Abaddon i Aksymand służyli razem z Erebussem w kilku wojnach, Torgaddon zaś znał go od dawna. Wszyscy trzej nie potrafili powiedzieć o Pierwszym Kapelanie złego słowa.

Erebus od początku starał się nawiązać z Lokenem dobre stosunki, choć nie musiał się starać zanadto. Lokena nie trzeba było przekonywać. Przebieg służby i sława Erebusa sprawiały, że kapitan widział w nim osobę niemal tej rangi co Prymarcha. Był przecież przedstawicielem samego Lorgara.

Erebus jadał z nimi posiłki, uczestniczył w naradach, rozmawiał i pił wino po godzinach, a czasami zdarzało mu się też stawać przeciw nim w klatce szermierczej. W ciągu jednego popołudnia pokonał kolejno Torgaddona i Aksymanda, a obie walki trwały dość krótko. Potem zmierzył się z Saulem Tarvitzem i jego również powalił w końcu na matę. Tarvitz i Lucjusz przyszli na zaproszenie Torgaddona.

Loken zamierzał sprawdzić się przeciw Erebusowi, ale Lucjusz koniecznie chciał być pierwszy. Kapitanowie Kwadry polubili z czasem Tarvitzą, w czym niemałe zasługi położył Torgaddon. Lucjusz jednak nadal znajdował się poza kręgiem ich przyjaźni, bo za bardzo przypominał Eidolona. Zachowywał się jak pełne roszczeń, rozkapryszone dziecko.

– Idź pierwszy – powiedział Loken – skoro tak ci na tym zależy.

Dla wszystkich było jasne, że Lucjusz ze wszystkich sił stara się odzyskać honor swego Legionu, jego zdaniem utracony w chwili, kiedy Erebus obalił Tarvitzą wprawnym ciosem miecza.

Lucjusz dobył miecza i w lekkim rozkroku, trzymając ostrze wysoko i blisko ciała, stanął w klatce szermierczej. Wokół walczących zamknęły się półkule z żelaznych prętów. Erebus trzymał własną broń w nisko opuszczonej dłoni. Obaj rozebrani do pasa, zaczęli krążyć po klatce, a mięśnie na ich klatkach piersiowych prężyły się pod skórą. Był to wprawdzie trening, ale każdy błąd mógł kosztować ranę... lub życie.

Pojedynek trwał szesnaście minut, co samo w sobie czyniło z niego jedną z najdłuższych walk stoczonych kiedykolwiek w klatkach treningowych „Mściwego Ducha”. Bardziej niezwykle był jednak fakt, że w tym czasie walczący nie przerwali starcia ani na sekundę. Erebus i Lucjusz starli się z impetem i wymieniali ciosy z prędkością trzech lub czterech na sekundę. Był to nieustanny, rozmywający się przed oczyma balet kling i taniec walczących, w trakcie którego słychać było tylko brzęk zderzających się ostrzy.

Abaddon, Tarvitz, Torgaddon, Loken oraz Aksymand obserwowali starcie z fascynacją. W pewnej chwili poczęli klaskać i wznosić okrzyki, zachęcając szermierzy do dalszych wysiłków.

– On go zabije! – sapnął Tarvitz. – Przy tej szybkości, bez pancerza, to pewna śmierć!

– Dla kogo? – spytał Loken.

– Nie wiem, Garvi. Jeden albo drugi!

– Za szybko, za szybko! – śmiał się Aksymand.

– Loken walczy ze zwycięzcą! – zawołał Torgaddon.

– Nie ma mowy – powiedział Loken. – Widziałem z mieczem ich obu.

Pojedynek trwał. Erebus walczył defensywnie, w niskiej postawie szermierczej, przechodząc od parady do riposty bezbłędnie jak maszyna. Lucjusz tymczasem atakował, walcząc pełnym furii, błyskotliwym stylem. Trudno było nadążyć za wymianą ciosów.

– Jeśli myślisz, że stanę przeciw któremuś z nich... – zaczął Loken.

– A co? Nie dasz rady? – zadrwił Torgaddon.

– Nie.

– Jesteś następny. – Abaddon zaśmiał się i klasnął w dłoń. – Dla wyrównania szans damy ci bolter.

– Bardzo zabawne, Ezekailu.

W pięćdziesiątej dziewiątej sekundzie szesnastej minuty walki, zgodnie ze wskazaniem zegara klatki, Lucjusz zdobył zwycięskie trafienie. Związał klingę Erebusa, założył ostrzem dźwignię i wyrwał broń z jego rąk. Erebus cofnął się pod ścianę klatki ze sztychem miecza Lucjusza na gardle.

– Wystarczy! Wystarczy, Lucjuszu! – zawołał Aksymand, otwierając klatkę.

– Wybacz – powiedział Lucjusz, któremu wcale nie było przykro. Cofnął miecz i zasalutował Erebusowi. Jego nagie ramiona pokrywał pot.

– Dobra walka. Dziękuję, kapelanie.

– To ja dziękuję – uśmiechnął się Erebus, oddychając z wysiłkiem. Pochylił się i podniósł miecz. – Twój kunszt szermierczy jest niezrównany, kapitanie.

– Wychodź, Erebusie – zawołał Torgaddon. – Teraz kolej Garviela.

– O nie – powiedział Loken.

– Jesteś z nas najlepszym szermierzem – powiedział Mały Horus. – Pokaż mu, co potrafi Wilk Luny.

– Szermierka to nie wszystko – protestował Loken.

– Wejdz do klatki, zanim przyniesiesz nam wstyd – syknął Aksymand. Spojrzał na Lucjusza, który wycierał ręcznikiem swój zroszony potem tors. – Jesteś gotów, Lucjuszu?

– Zawsze.

– On jest szalony – szepnął Loken.

– Idzie o honor Legionu – mruknął Abaddon, popychając Lokena do klatki.

– Właśnie – powiedział Lucjusz – Czekam, Lokenie. Pokaż mi, jak walczą Wilki Luny. Pokaż, jak zwyciężacie.

– To nie tylko kwestia szermierki – powiedział Loken.

– Niech ci będzie – parsknął Lucjusz.

Erebus rzucił swój miecz Lokenowi.

– Twoja kolej, Garvielu.

Loken złapał broń w powietrzu, machnął na próbę raz i drugi. Wszedł do klatki i kiwnął głową. Półkule zamknęły się, zostawiając go w klatce z Lucjuszem.

Ten ostatni splunął i wzruszył ramionami. Zaczął okrążyć Lokena.

– Żaden ze mnie szermierz – rzekł Loken.

– A więc to nie potrwa długo.

– To nie będzie uczciwa walka.

– Jak chcesz – zawołał Lucjusz, podskakując w miejscu. – Zaczynaj.

Loken westchnął.

– Obserwowałem cię, sam rozumiesz. Wiem, jak walczysz, i umiem rozpoznać, co zrobisz.

– Chciałbyś.

– Przekonaj się. Atakuj.

Lucjusz skoczył. Loken zrobił krok w bok, nie unosząc miecza, i rąbnął nacierającego pięścią w twarz. Lucjusz upadł ciężko.

Loken rzucił miecz Erebusa na matę treningową.

– Chyba dowiodłem swej racji. Tak walczą Wilki Luny. Kluczem do zwycięstwa jest znac przeciwnika i pokonać go wszelkimi dostępnymi środkami. Wybacz, Lucjuszu.

Lucjusz wypluł krew wraz z odpowiedzią, której jednak nie dało się zrozumieć.



– Uważam, że powinniśmy porozmawiać o interesach, panie – nalegał Erebus.

– Powinniśmy – odparł Horus. – Ale już postanowiłem. Wszystkie te osoby głośno domagające się mojej uwagi nie są ważniejsze od faktu, że intereksowie są ważną cywilizacją zamieszkującą spory obszar kosmosu. I są ludźmi. Nie wolno nam ich ignorować. Musimy jasno stwierdzić, czy są dla nas wrogami, potencjalnymi sprzymierzeńcami, czy przyjaciółmi. Nie możemy zająć się czym innym i oczekiwać, że pozostaną w tym czasie bezczynni. Jeśli są wrogami, stanowią nie mniejsze zagrożenie niż zielonoskórzy. Udam się na spotkanie z ich przywódcami.



Xenobia była stolicą prowincji na obrzeżach terytorium intereksów. Posłowie dotąd ostrożnie opisywali zasięg ich cywilizacji, ale jasne było, że intereksowie zajmowali co najmniej trzydzieści układów planetarnych, a ich planety centralne znajdowały się w odległości jakichś czterdziestu tygodni podróży od okrętów Ekspedycji. Xenobia została wybrana na miejsce szczytu ze względu na jej wygodne położenie jako świata granicznego przestrzeni opanowanej przez intereksów.

Planeta zapierała dech w piersiach. Flota stała na orbicie głównego satelity Xenobii, skąd statek Mistrza Wojny został odeskortowany na lądowisko położone w obrębie Xenobii Principis, bogatego miasta na obszernych tarasach, stojącego nad brzegiem wielkiego morza amoniaku. Wbudowano je w schodzącą do morza zatokę. Kontynent pokrywała tu soczyście zielona dżungla, która wdzierała się między budynki. W rezultacie zabudowania – wieże z szarego kamienia ozdobione wieżyczkami z mosiądzu i srebra – wyrastały ponad drzewami i zaroślami jak szczyty gór.

Rośliny w większości miały kolor ciemnej zieleni, która w słabym świetle dnia wydawała się niemal czarna. Miasto schodziło ku morzu tarasami, a wśród zieleni pięły się w górę kamienne mosty. Tam, gdzie szare wieże i ozdobne wieżyczki wystawały ponad gęszcz roślinności, widać było zwieńczenia i dachy z wypolerowanego metalu, na których stały maszty z powiewającymi flagami.

Miasto nie było twierdzą. Ani na ziemi, ani na orbicie nie dostrzeżono żadnych umocnień, Horus nie miał jednak wątpliwości, że w razie potrzeby mieszkańcy potrafili się bronić. Intereksowie nie obnosili się ze swą wojskową dumą jak poddani Imperatora, ale nie należało nie doceniać ich technologii.

Mistrz Wojny przybył w asyście liczącej ponad pięćset osób. Byli wśród nich oficerowie Astartes, żołnierze eskorty, iteratorzy oraz wybrani upamiętniacze, ci ostatni za osobistym zezwoleniem Horusa. Prócz rozmów celem misji było zdobycie jak największej ilości informacji na temat intereksów i Mistrz Wojny miał nadzieję, że ciekawscy upamiętniacze zdołają zebrać dużą ilość materiału, który będzie ich cennym źródłem. Loken sądził też, że ich wódz stara się zmienić pierwsze wrażenie, które wywarli, gdyż wojskowy charakter Ekspedycji nappełnił posłów intereksów wyraźnym niesmakiem. Tym razem Horus przybył więc w otoczeniu zarówno wojowników, jak i nauczycieli, poetów, artystów.

Dla wszystkich przygotowano wykwintne kwatery w zachodniej części miasta, w dzielnicy zwanej Extranus, gdzie – jak ich uprzejmie poinformowano – przyjmowano wszystkich „gości i przybyszy”. Xenobia Principis stanowiła więc miasto kupców i dyplomatów, a celem wyodrębnionej dzielnicy było trzymanie wszystkich obcych w jednym miejscu. Imperialnej delegacji zapewniono również tłumaczy-meturgistów, służbę oraz szambelanów, którzy mieli za zadanie dbać o potrzeby gości i odpowiadać na ich pytania. Zezwolono im też na opuszczenie Extranusu w asyście abrokariuszy, którzy oprowadzili ich po cudach miasta.

Przedstawiciele Imperium Ludzkości zobaczyli wielkie zakłady przemysłowe i giełdy, muzea i filharmonie, archiwa i biblioteki. Prowadzono ich ulicami objętymi już zielonym zmierzchem, zalegającym pod baldachimem z szumiących drzew, pięknymi alejami i wystawnie zakomponowanymi placami, oprowadzano po niekończących się schodach, przecinających całe miasto arteriami stopni. Miasto pełne było niezwykłych budynków i szybko jasnym się stało, że intereksowie są mistrzami nie tylko nowoczesnej technologii, ale i starożytnej sztuki kamieniarskiej. Miejskie chodniki pełne były posągów i fontann, ale także nowoczesnych rzeźb ze światła i dźwięku. Staromodne wąskie okna oszklono szybami reagującymi na natężenie promieni słonecznych i ciepło. Drzwi kontrolowały automatyczne czujniki, a poziom jasności w pomieszczeniach regulowano ruchem dłoni. Wszędzie wokół słyhać było ciche melodie arii.

W Imperium wiele było miast, które przewyższały Xenobię Principis wielkością, rozmachem i wyniosłością budowli. Gigantyczne miasta-kopce Terry oraz srebrzyste iglice Prospero stanowiły pomniki cywilizacyjne, w porównaniu z którymi Xenobia Principis przypominała zwykłą wieś. Ale miasto intereksów było równie zaawansowane, co każda metropolia Imperium, a wszak mieli do czynienia jedynie ze stolicą planety na rubieżach ich terytorium.

Przybycie delegacji imperialnej uświetniła wielka parada, której kulminację stanowiło spotkanie z naczelnym dowódcą sił wojskowych Xenobii i jednocześnie zarządcą planety. Zwał się on Jephtha Naud i przewodniczył spotkaniu na szczycie, choć w delegacji interesów znajdowało się również wielu ważnych cywili. Był to znak, że interesowie postanowili podkreślić swą siłę militarną, podobnie jak Horus chciał, by tym razem zobaczono w nim nie tylko wojownika.

Bajecznie kolorowa parada miała skomplikowany przebieg. Maszerowali w niej liczni meturgiści, odziani w odświętne szaty i grający hymny, które stanowiły zarazem oprawę muzyczną widowiska i niewerbalny sposób na powitanie gości. Strzelcy i włócznicy w wypolerowanych zbrojach maszerowali długimi, równymi kolumnami, przystrojeni w wieńce z kwiatów, wstążek i liści. Za ludzkimi żołnierzami szli kinebrachowie, potężni i krępi w swych zbrojach, oraz szwadrony kawalerii dosiadającej robotów. Wierzchowcami były te same czworonożne i bezgłowe maszyny, które wchodziły w skład straży honorowej poselstwa. Tym razem nie były jednak bezgłowe. Strzelcy i włócznicy dosiadali ich jak koni. Zbroje wojowników i pancerze robotów łączyły się w jedną całość, przytwierdzając jeźdźców do wierzchowców. W ten sposób przypominali oni centaury, połączenie człowieka i robota, mit zrealizowany dzięki technologii.

Mieszkańcy Xenobii Principis tłumnie wylegli na ulice, by zobaczyć ich wszystkich. Wznosili okrzyki i śpiewali pieśni, zasypując trasę przemarszu serpentynami i płatkami kwiatów.

Parada kończyła się u stóp budynku zwanego Salą Eksponatów, miejsca mającego dla interesów najwyraźniej znaczenie wojskowe. Budowla była stara, o imponujących rozmiarach. Przypominała wcięte w strome zbocze muzeum, którego komnaty miały często po dwa lub trzy piętra wysokości. W ogromnych salach wystawowych zebrano egzemplarze najróżniejszej broni, od starożytnych mieczy i halabard po nowoczesne działa samobieżne. Każdy przedmiot zamknięto w lśniącej błękitnym blaskiem powłoce ochronnego pola siłowego.

– Sala Eksponatów jest zarówno muzeum broni i uzbrojenia, jak i arsenałem – powiedział Jephtha Naud, witając delegację Imperium. Był wysokim mężczyzną o szlachetnych rysach twarzy, której prawą połowę pokrywał skomplikowany wzór tatuażu. Jego oczy miały kolor złota. Nosił srebrzystą zbroję i płaszcz z płytek czerwonego metalu, wydający przy każdym poruszeniu odgłos przypominający odległe dzwoneczki. Przy Naudzie stał odziany również w zbroję adiutant, trzymający ozdobiony półkolistym godłem hełm zarządcy.

Choć Astartes przybyli w pancerzach, Mistrz Wojny miał na sobie tylko odświętne szaty i futrzany płaszcz. Kiedy szli przez komnaty muzeum, wykazywał żywe zainteresowanie eksponatami oraz objaśnieniami Nauda. Za każdym razem, kiedy rozpoznawał broń, wdawał się z nim w pełną szczerego entuzjazmu rozmowę.

– Próbuja zrobić na nas wrażenie – mruknął Aksymand do swych braci. – Muzeum broni? Patrzą na nas z góry! Pokazują, że są tak cywilizowani, że broń służy im za pamiątki i ciekawostki! To kpiny!

– Nikt nie będzie ze mnie kpił – warknął Abaddon.

Weszli do kolejnej komnaty, pełnej błękitnego blasku pola siłowego. Zebrane w niej eksponaty były bardziej niezwykle niż te do tej pory.

– Tu przechowujemy broń kinebrachów – wyjaśnił Naud przy akompaniamencie meturgii. – Oprócz tego mamy tu również egzemplarze oręża używanego niegdyś przez inne napotkane przez nas rasy. Kinebrachowie na znak służby intereksom ślubowali nie nosić broni bez zezwolenia, wydawanego wyłącznie na czas wojny. Ich technologia jest nieco bardziej zaawansowana od naszej i często ta broń jest na tyle niebezpieczna, by trzymać ją pod kluczem.

Naud przedstawił delegacji potężnego, odzianego w prostą szatę kinebracha imieniem Asherot. Pełnił on rolę Strażnika Eksponatów i był kustoszem zbioru oręża obcych. Asherot wyraźnie seplenił, gdy mówił ludzkim językiem, i po raz pierwszy obywatele Imperium byli wdzięczni za akompaniament meturgii. Aria zamieniała niewyraźną przemowę Asherota w jasny komunikat.

Większość zgromadzonej broni kinebrachów w ogóle nie przypominała uzbrojenia i trudno było domyślić się jej przeznaczenia. Były tam pudełka, dziwne ozdoby, pierścienie i obręcze. Naud ewidentnie oczekiwał pytań na ich temat, co stanowiłoby dowód wojowniczej natury poddanych Imperatora. Horus i jego oficerowie udali brak zainteresowania, którym pokryli zaniepokojenie obecnością obcego.

Ciekawość okazał tylko Sindermann. Kilka sztuk broni kinebrachów miało dość oczywiste przeznaczenie. Były to długie sztylety i miecze egzotycznej roboty.

– Daruj mi ciekawość, panie – zaczął uprzejmie iterator – ale dlaczego te sztylety i miecze uważane są za aż tak niebezpieczne? Klinga to przecież klinga, każda służy do tego samego celu.

– To broń poświęcona – wyjaśnił Naud. – Ostrza wykonane są z metalu posiadającego świadomość. Wykuli je miecznicy kinebrachów według prawideł pradawnej sztuki, dziś surowo

zakazanej. Nazywamy taką broń anatamą. Kiedy podobny brzeszczot zostanie poświęcony zabiciu określonego przeciwnika, świadomy metal staje się jego nieprzejednanym wrogiem, dążąc za wszelką cenę do zadania śmierci.

– W jaki sposób? – pytał Sindermann.

Naud uśmiechnął się.

– Kinebrachowie nigdy nie potrafili nam tego wyjaśnić. Proces wykuwania takiej broni wymyka się technicznemu wytłumaczeniu.

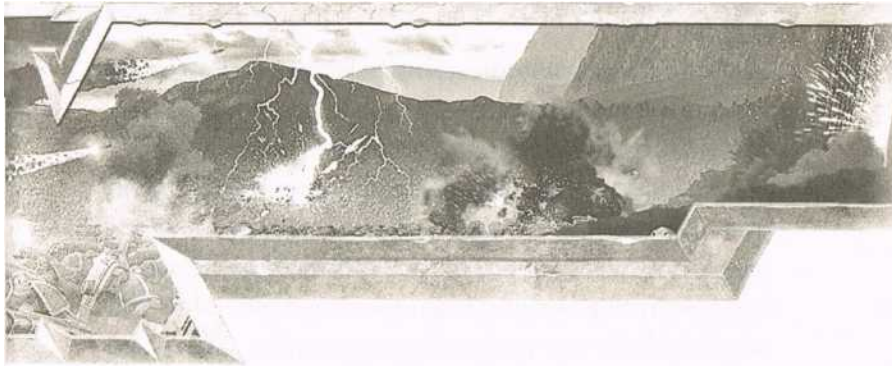
– Jak klątwa? – zapytał Sindermann. – Jak zaklęcie?

Aria grana przez meturgistów zabrzmiała fałszywie. Słowa Sindermanna niełatwo było przełożyć na język muzyki. Iteratora zaskoczyła odpowiedź Nauda.

– Tak. Myślę, że w taki sposób można by to opisać.

Zwiedzający ruszyli dalej. Sindermann zrównał się z Lokenem i szepnął:

– Żartowałem, mówiąc o klątwie, Garvielu. Ale on wziął to na poważnie. Traktują nas z wyższością i przynosi im to wyraźne zadowolenie, ale teraz zacząłem się zastanawiać nad źródłem ich arogancji. Czyżbyśmy wykryli u nich ślad pogańskich wierzeń?



TRZY

IMPAS

OŚWIECENIE

WILK I KSIĘŻYC

Kiedy Mistrz Wojny wszedł do sali, wszyscy wstali z miejsc. Zebrali się na naradę w obszernej komnacie w jednym z budynków dzielnicy Extranus. Przez duże okna z pancernego szkła roztaczał się widok na zabudowania miasta i bezmiar oceanu.

Horus zaczął w milczeniu, aż sześciu oficerów voxu wraz z serwitorami zakończy rutynowe poszukiwania urządzeń szpiegowskich. Odezwał się dopiero wtedy, gdy wychodząc z sali, włączyli oni przenośne urządzenie zakłócające. Dobiegające z oddali dźwięki arii natychmiast ucichły.

– Minęły dwa tygodnie i nadal nie osiągnęliśmy porozumienia – zaczął Horus. – Nie ustaliliśmy nawet wspólnego planu dalszych działań. Intereksowie wciąż traktują nas z mieszaniną ciekawości i ostrożności, i trzymają na dystans. Czy są jakieś uwagi?

– Wyczerpaliśmy wszystkie możliwości, panie – powiedział Maloghurst. – Obawiam się, że marnujemy czas. Intereksowie zadeklarują w końcu wolę nawiązania stosunków dyplomatycznych oraz handlowych, połączonych z ograniczoną wymianą kulturalną. Nie wejdą jednak w przymierze z Imperium.

– Możemy ich zmusić – powiedział cicho Abaddon.

– Każda próba użycia siły potwierdziłaby tylko ich opinię o nas – stwierdził Horus. – Nie możemy zmusić ich do uległości i wcielić do Imperium siłą.

– Ależ możemy – sprzeciwił się Abaddon.

– Ale nie powinniśmy – odparł Horus.

– Od kiedy zaczęliśmy się przejmować cudzymi uczuciami, panie? – zapytał Abaddon. – Różnimy się od nich, ale to nadal ludzie. Ich obowiązkiem i przeznaczeniem jest przyłączyć się do nas ku chwale Terry. Jeśli tego nie zrobią... – urwał. Horus zmarszczył czoło.

– Inne uwagi?

– Wydaje się oczywiste, że intereksowie nie mają zamiaru przyłączyć się do Imperium – odezwał się Raldoron. – Nie wezmą udziału w naszej Krucjacie, nie dzielą też naszych przekonań i ideałów. Szukają własnego przeznaczenia.

Sanguinius nie odezwał się. Pozwalał, by Mistrz Zakonu wyraził opinię Legionu, ale jego własne zdanie przeznaczone było tylko dla uszu Horusa.

– Być może obawiają się podboju – powiedział Loken.

– Być może słusznie się obawiają – wtrącił Abaddon. – Ich zwyczaje są wynaturzone do tego stopnia, że przed przyjęciem intereksów do Imperium musielibyśmy je wykorzystać.

– Nie rozpoczniemy tu wojny – powiedział Horus. – Nie stać nas na to. Konflikt z nimi zbyt wiele by nas teraz kosztował, bo podporządkowanie intereksów władzy Imperium nie byłoby łatwe. Zwłaszcza że ja wcale nie jestem przekonany, że musimy ich sobie podporządkować.

– Ezekail poruszył ważną kwestię – odezwał się cicho Erebus. – Cywilizacja intereksów zbyt różni się od naszej. Zapewne mieli po temu istotne powody, ale ich zwyczaje i kultura nazbyt się różnią od modelu wskazanego przez Imperatora. Jeśli nie wykażą chęci zmiany, będziemy zmuszeni uznać ich za wrogów naszej sprawy.

– Być może model Imperatora jest zbyt rygorystyczny – powiedział Mistrz Wojny sucho.

Zapadła cisza. Kilku obecnych wymieniło niepewne spojrzenia.

– Och, przestańcie! – przerwał ciszę Sanguinius. – Widzę wasze spojrzenia. Naprawdę macie obawy, że Mistrz Wojny rozważa przeciwstawienie się woli Imperatora? Jego ojca? – Zaśmiał się w głos, wywołując wśród zebranych kilka uśmiechów.

Abaddon się nie uśmiechał.

– Imperator, ukochany przez wszystkich – zaczął – powierzył nam misję uczynienia znanego kosmosu bezpiecznym dla ludzkości. Jego dekrety są jednoznaczne. Nie wolno nam tolerować obcych i pozbawionych kontroli psioników, mamy strzec się mroków osnowy i

jednoczyć rozrzucone ludzkie kultury. Takie jest nasze zadanie. Każdy sprzeciw stanowi świętokradztwo oraz wykroczenie przeciw jego życzeniom.

– Jednym z jego życzeń było, bym został Mistrzem Wojny – rzekł Horus. – Jako jego zastępca mam urzeczywistnić marzenie Imperatora o jedności. Krucjata wzięła swe początki z Ery Zamętu, Ezekailu, ery nieustannej wojny. Nasze bezwzględne podejście wynikało z faktu, że każda napotykana wówczas rasa kseno była otwarcie agresywna, a każda ludzka kultura, która nam nie sprzyjała, musiała być wrogiem. Wojna stanowiła jedyne wyjście. Nie było wtedy miejsca na subtelności. Ale od tego czasu minęły dwa stulecia i stajemy dziś przed innymi dylematami. Nasze zmagania w większości się zakończyły. Dlatego właśnie Imperator powrócił na Terrę i pozostawił nam zadanie dokończenia rozpoczętej przez niego pracy. Ezekailu, intereksowie nie są ani potworami, ani otwartymi wrogami. Sądzę, że gdyby Imperator był tu dziś z nami, pojąłby natychmiast potrzebę zmian. Nie chciałby, abyśmy zniszczyli to, czego niszczyć nie ma potrzeby. Powierzył mi godność Mistrza Wojny właśnie po to, bym podejmował podobne decyzje.

Powiódł wzrokiem po zebranych.

– Imperator ufa, że podejmę takie decyzje, jakie on sam by podjął. Ufa, że nie popełnię żadnych błędów. Jako Mistrz Wojny mam prawo do interpretowania jego edyktów. Nie zdecyduję się na użycie przemocy tylko dlatego, by niewolniczo się ich trzymać.



Nad miastem zapadł chłodny zmierzch. Uliczki nakryte koronami drzew rozświetlał biały blask latarni.

Loken pełnił tego wieczoru służbę wartowniczą. Wódz jadł kolację w pałacu Jephthy Nauda w towarzystwie ważnych osobistości. Horus zwierzył się członkom Kwadry, że miał nadzieję wykorzystać tę okazję do nakłonienia Nauda do bardziej konkretnych deklaracji. Liczył, że intereksowie zechcą w końcu uznać Imperatora za jedyne go władcę ludzkości. Podczas rozmów formalnych taka propozycja jak dotąd nie padła. Za radą iteratorów uznano ją na razie za zbyt ryzykowną. Zdanie na ten temat naczelnego dowódcy wojsk intereksów Mistrz Wojny pragnął poznać w atmosferze luźnej rozmowy, kiedy to każda uraza mogła zostać załagodzona lub uznana za domniemaną. Lokenowi pomysł ten się nie podobał, ufał jednak talentom dyplomatycznym wodza. Czas był delikatny, bo rozmowy trwały już od blisko trzech tygodni, nie przynosząc na razie żadnych konkretnych rezultatów. Dwa dni wcześniej Prymarcha

Sanguinius opuścił planetę i powrócił na terytoria podległe Imperium, zabierając ze sobą swych Krwawych Aniołów.

Horus nie chciał, by jego brat odleciał, ale była to mądra decyzja. Sanguinius podjął ją tylko po to, by dać swemu bratu więcej czasu na rozmowy z interesami. Sam zamierzał zająć się sprawami wymagającymi uwagi Mistrza Wojny i uspokoić w ten sposób głosy domagające się jego natychmiastowego powrotu z misji dyplomatycznej.

Dom Nauda był okazałym, wysokim na sześć pięter budynkiem położonym w pobliżu centrum. Bezpośrednio pod nim znajdował się jeden z większych tarasów miasta. Sama konstrukcja budowli oparta była na konstrukcji z czarnego żelaza, pokrytego mozaikami z lakierowanego drewna i kolorowego szkła. Interesowie niechętnie widzieli w swym mieście uzbrojonych przybyszy, ale dla osoby tak znacznej jak Mistrz Wojny uczynili wyjątek, zezwalając mu zabrać niewielką eskortę. Większość członków imperialnej delegacji spędzała noc w strzeżonych budynkach dzielnicy Extranus, której nie wolno było im opuszczać. Torgaddon oraz dziesięciu jego doborowych ludzi strzegło osoby wodza w sali jadalnej, zaś Loken i dziesięciu Astartes z Kompanii, którą dowodził, patrolowali resztę pałacu.

Loken wybrał do tego zadania szóstą drużynę taktyczną Walkure. Na jego rozkaz brat-sierżant Kairus rozstawił swych ludzi wokół wejść do jadalni i zaplanował prostą rotację patroli.

W pałacu panowała cisza taka, jak w całym mieście. Słysząc było jedynie szelest wśród liści wiejącej znad oceanu bryzy, plusk ozdobnych fontann oraz wszechobecną, stłumioną muzykę arii. Loken przemierzał trasę patrolu, chodząc od komnaty do komnaty, wychodząc z mroku w światło i znów wracając w ciemność nieoświetlonych sal. Większość pomieszczeń oświetlono wbudowanymi w ścianę lampami, których blask wydobywał się spomiędzy inkrustowanych szlachetnym drewnem i kolorowym szkłem paneli, rzucając wokół kolorową poświatę. Co jakiś czas kapitan spotykał jednego z Astartes patrolującego własny odcinek. Nie zatrzymując się, wymieniał z nimi kilka słów. Znacznie rzadziej widywał służących, którzy dostarczali dania do zamkniętej jadalni, albo też spotykał strażników Nauda. Byli to głównie opancerzeni włócznicy, którzy nie odzywali się wprawdzie ani słowem, ale oddawali mu uprzejmy salut.

Dom Nauda był pełen skarbów. Loken nie rozumiał znaczenia ani funkcji wielu z nich. Dzieła sztuki wyeksponowano w oświetlonych wnękach oraz na podestach zaopatrzonych w projektory ochronnego pola. Rozpoznawał i rozumiał zaledwie część z nich. Znajdowały się tam

portrety i popiersia, świetlne rzeźby, obrazy przedstawiające szlachtę intereksów, zwierzęta lub kwiaty, górskie pejzaże i pomysłowej konstrukcji modele planet, ukazujące ich przekrój jak warstwy cebuli.

Na jednym z niższych poziomów we wschodnim skrzydle domu Loken natrafił na coś, co szczególnie przykuło jego uwagę. Była to duża, stara księga, bogato iluminowana i zabezpieczona ochronnym polem. Zwrócił uwagę na krzykliwe miniatury przedstawiające diabły i upiory, anioły i cherubiny. Potem zauważył, że księgę spisano językiem charakterystycznym dla dawnych wieków Terry, podobnie jak *Kroniki Ursh*, których wciąż nie skończył czytać. Poruszył dłonią w polu statycznym księgi, przewracając strony aż do karty tytułowej. Drukowany drzeworytem tytuł głosił: *Niezwykła historia Zła, dla przestrogi Rodzaju Ludzkiego przed Czarnoksięstwem i zakusami Daimonów spisana.*

– Przykuwa oko, prawda?

Loken odwrócił się. Niedaleko stał oficer wojsk intereksów, przyglądając mu się ciekawie. Loken znał go, widywał już wcześniej wśród dowódców niższego szczebla należących do wewnętrznego kręgu oficerów Nauda. Był to Mithras Tuli. Kapitan nie rozumiał jednak, jak Tullovi udało się go tak bezszelestnie podejść.

– To niezwykle ciekawa rzecz – powiedział.

Tuli skinął głową i uśmiechnął się. Jego włócznia stała oparta o pobliską kolumnę. Nie nosił też zasłony na twarzy. Na Lokena patrzyło oblicze sympatyczne i szczere.

– Wspólne dziedzictwo – powiedział.

– Co takiego?

– Tak nazywamy rzeczy wystarczająco stare, by stanowić część i naszego, i waszego dziedzictwa. Jestem pewien, że ta książka ma takie samo znaczenie dla was, jak i dla nas.

– Rzeczywiście, ciekawa – przyznał Loken. Powodowany grzecznością odpiął zatrzask hełmu i zdjął go. – Czy coś się stało?

Tuli machnął uspokajająco ręką.

– Ależ nie, nic. Pełnię tu dziś służbę podobną do pańskiej, kapitanie. Dowodzę patrolami straży.

Loken pokiwał głową. Wskazał gestem leżącą na pulpicie księgę.

– Proszę mi o niej opowiedzieć, jeśli ma pan czas.

– Noc jest spokojna. – Tuli znów się uśmiechnął. Podeszedł bliżej i musnął pole siłowe, by przewrócić stronę. – Mój pan Jephtha bardzo ceni tę księgę. Napisano ją we wczesnych wiekach naszej historii, zanim jeszcze cywilizacja intereksów przyjęła to miano, podczas podróży z Terry. Istnieje bardzo niewiele podobnych egzemplarzy. To traktat potępiający czarnoksięstwo.

– I Naud dlatego tak go ceni?

– Ceni wartość księgi jako... jakież to było słowo...? A tak. „Ciekawostka”. – W głosie Tulla było coś dziwnego i Loken dopiero teraz zdał sobie sprawę, co konkretnie. To była pierwsza jego rozmowa z intereksem bez akompaniamentu granej przez meturgistów arii. – To mroczna i ponura księga – ciągnął Tuli. – Apokaliptyczna i przygnębiająca. Proszę to sobie wyobrazić, kapitanie... Osadnicy z Terry przemierzający kosmos, posiadający niezwykle zaawansowaną technologię, którzy jednocześnie obawiają się mroku do tego stopnia, że tworzą traktaty przeciw demonom.

– Demonom?

– Właśnie. Ta księga ostrzega przed czarnoksięstwem, praktykami demonologów oraz mrocznymi sztukami, za sprawą których człowiek może zmienić się w demona i zwrócić przeciw swoim.

„Niektórzy stali się demonami i zwrócili się przeciw swoim”.

– A więc... uważacie tę księgę za żart? Za relikwiarz czasów przesądu i zabobonu?

Tuli wzruszył ramionami.

– To nie żart, kapitanie. To po prostu przykład tradycyjnego, pełnego lęku podejścia do tych spraw. My, intereksowie, jesteśmy społeczeństwem dojrzałym. Rozumiemy, jakie zagrożenia niesie z sobą Kaos, i potrafimy ich unikać.

– Chaos?

Tuli zmarszczył brwi.

– Tak, kapitanie. Kaos. Wymawia pan to słowo tak, jakby nigdy wcześniej go pan nie słyszał.

– Znam to słowo, ale pan wymawia je, jakby miało szczególne znaczenie.

– Oczywiście, że ma – powiedział Tuli. – Żadna rasa we wszechświecie nie może podróżować wśród gwiazd, nie rozumiejąc natury Kaosu. Podstawy owej wiedzy zawdzięczamy naukom eldarów, ale i bez ich pomocy szybko byśmy je odkryli. Nie można przecież podróżować przez Immaterium, nie znając Kaosu... – urwał. – Na niebiosa! Pan naprawdę nie wie, prawda?

– O czym? – warknął Loken.

Tuli roześmiał się, ale w jego śmiechu nie było drwiny.

– A myśmy tak ostrożnie odnosili się do was i waszego wielkiego Mistrza Wojny, obawiając się najgorszego...

Loken zrobił krok w jego kierunku.

– Dowódco – powiedział – przyznaję się do niewiedzy i chciałbym, byś mnie oświecił, ale nie zniosę, byś ze mnie pokpiwał.

– Proszę mi wybaczyć.

– Daj mi powód. Oświeć mnie.

Tuli przestał się śmiać i zajął Lokenowi w twarz. Spojrzenie jego błękitnych oczu stało się nagle bardzo zimne i twarde.

– Kaos jest zgubą i przekleństwem ludzkości, Lokenie. Kaos przeżyje nas wszystkich i zatańczy na naszych kurhanach. Jedyne, co możemy zrobić, to zdawać sobie sprawę z zagrożeń i unikać ich, póki jesteśmy w stanie.

– To za mało – rzekł Loken.

Tuli pokręcił głową ze smutkiem.

– Bardzo się myliliśmy – powiedział.

– Względem czego?

– Względem was. Względem Imperium. Muszę natychmiast porozmawiać z Naudem i wyjaśnić mu sytuację. Gdybyśmy tylko wiedzieli wcześniej...

– Najpierw wyjaśnij to mnie. Tutaj, teraz.

Tuli przez dłuższą chwilę patrzył na Lokena w milczeniu, jakby rozważał, co zrobić. W końcu wzruszył ramionami.

– Kaos to pierwotna siła kosmosu. Gnieździ się w Immaterium... wy nazywacie je osnową. Jest źródłem absolutnego i całkowitego zepsucia i zła. Jest największym wrogiem ludzkości – zarówno nas, interesów, jak i was, poddanych Imperatora – ponieważ niszczy od środka niczym rak. Działa podstępnie. To nie rasa wrogo nastawionych obcych, których można pokonać lub zniszczyć. Kaos rozprzestrzenia się jak choroba. Leży u podstaw wszelkiego czarnoksiężstwa i magii. Kaos to...

Urwał, zawahał się i spojrzał na Lokena ze smutnym wyrazem twarzy.

– Kaos jest przyczyną tego, że trzymaliśmy was na dystans. Musicie zrozumieć, że kiedy nawiązaliśmy z wami pierwszy kontakt, przepełniała nas radość. Nareszcie, po tylu pokoleniach, kontakt z zaginionymi krewnymi, kontakt z Terrą! Było to marzenie nas wszystkich. Wiedzieliśmy jednak, że musimy zachować ostrożność. W ciągu tysiącleci, które upłynęły od naszych kontaktów z Terrą, mogło się zmienić tak wiele. W międzyczasie nastąpiła i minęła wszak era zamętu i zatracenia. Nie mieliśmy żadnej gwarancji, że pod ludzką postacią, podając się za wysłanników Terry i nowego Imperatora Ludzkości, nie przybyli do nas agenci Kaosu. Nie mieliśmy gwarancji, że ludzie zamieszkujący Terrę zachowali tę samą czystość, co interekswie, że nie skaził ich plugawy dotyk Kaosu.

– Nie jesteśmy...

– Pozwól mi dokończyć, Lokenie. Kaos w objawionej postaci jest brutalny i drapieżny. Stanowi nieokiełznaną i niezaspokojoną żądzę wojny i zniszczenia. Tego nauczyli nas eldarzy i kinebrachowie. Świadomi tego zagrożenia wojownicy o czystych sercach zwalczają Kaos w każdej z jego wojowniczych postaci. Powiedz mi, kapitanie, jak bardzo wojowniczy jest twój wygląd? Potężny, opancerzony, stworzony do walki i zniszczenia. A wasz wódz, którego beztrósko tytułujecie Mistrzem Wojny – Mistrzem Wojny? I cóż to za tytuł? Nie „imperator”, nie „dowódca”, ale właśnie „mistrz wojny”. Samo to słowo śmierdzi Kaosem. Tak bardzo chcemy przyjąć was do siebie, powitać i stanąć ramię w ramię, ale boimy się, Lokenie. Przypominacie nam o zagrożeniu, którego od dziecka uczono nas oczekiwać. O nadejściu niepowstrzymanego demona Kaosu i wojny. Boga zagłady o skrwawionych rękach.

– My tacy nie jesteśmy – powiedział wstrząśnięty i osłupiały Loken.

Tuli mocno pokiwał głową.

– Teraz to wiem. Widzę to na własne oczy. Popelniliśmy błąd, zwlekając ze szczerością. Nie ma w was skazy zepsucia. Jest tylko zaskakująca i niespodziewana niewinność.

– Próbujesz mnie obrazić?

Tuli zaśmiał się i objął dłońmi ogromną prawicę Lokena.

– Ależ nie. Nauczymy was, jak ustrzec się niebezpieczeństwa. Możemy być braćmi...

Nagle urwał i cofnął dłonie.

– Co się dzieje? – spytał Loken.

Tull słuchał głosu w komunikatorze. Jego twarz pomroczyła.

– Zrozumiałem – powiedział do mikrofonu w hełmie. – Wykonuję.

Znów spojrzał na Lokena.

– Ogłoszono alarm, kapitanie. Czy... przepraszam, trudno mi o to prosić po naszej rozmowie... ale czy zechce pan oddać broń?

– Moją broń?

– Tak, kapitanie.

– Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić. W tym budynku znajduje się mój dowódca.

Tuli odchrząknął i założył zasłonę hełmu. Sięgnął po swoją włócznię.

– Kapitanie Loken – głos Tulla dobywał się z głośników pod maską – żądam, by złożył pan broń.

Loken cofnął się o krok.

– Dlaczego?

– Nie potrzebuję żadnego powodu, do diabła! Jestem oficerem straży, znajdujemy się na terytorium intereksów. Złóż broń, kapitanie!

Loken założył hełm. Wyświetlacz nie pokazywał żadnych ikon. Sprawdził intervox i kanały bezpieczeństwa, próbując skontaktować się z Kairusem, Torgaddonem lub którymkolwiek z braci. Ale komunikacja była najwidoczniej zagłuszana.

– Zagłuszacie nas?

– Zagłusza was system bezpieczeństwa miasta. Oddaj broń, Lokenie.

– Nie mogę. Moim zadaniem jest strzec bezpieczeństwa Mistrza Wojny.

Tuli pokręcił głową.

– Sprytny jesteś. Bardzo sprytny. Prawie uwierzyłem, że jesteście niewinni.

– Tuli, ja nie wiem, co się dzieje.

– Ależ oczywiście – parsknął Tuli.

– Jeszcze przed chwilą rozmawialiśmy, rozumieliśmy się jak człowiek z człowiekiem.

Dlaczego to robisz?

– To sztuczka. Prawie mnie nabrałeś. Świetnie ci szło, ale zbyt wcześnie się zdradziłeś.

– Zdradziłem? Czym?

– Nie udawaj. Sala Ekspozycji płonie. Wykonaliście swój ruch, pora na naszą ripostę.

– Tuli – rzekł Loken ostrzegawczym tonem, kładąc dłoń na głowicy miecza – nie zmuszaj mnie do tego.

Z pełnym gniewu i żalu warknięciem oficer wojsk intereksów zamierzył się na Lokena włócznią.

Był zaskakująco szybki. Loken nie miał nawet czasu dobyć miecza. Zdołał tylko unieść osłonięte pancerzem ramiona, by zasłonić się przed ciosem, a potem przed dwoma następnymi. Lekka zbroja Tulla zdawała się nie tylko nie ograniczać ruchów podczas szermierczych manewrów, ale wręcz zwiększać ich szybkość. Tuli atakował płynnie, z wprawą, tnąc długim żeleźcem włóczni jak kosą, próbując zmusić Lokena do poddania się. Niezwykle ostra broń wyłobiała w pancerzu Lokena kilka głębokich bruzd.

– Tuli! Przestań!

– Poddaj się!

Loken nie chciał walczyć i nie wiedział, co tak nagle sprowokowało wojownika, ale nie zamierzał się poddać. W budynku był Mistrz Wojny, być może w niebezpieczeństwie. Loken musiał zakładać, że wszyscy obecni w pałacu przedstawiciele Imperium zostali pozbawieni możliwości komunikacji. Nie miał jak skontaktować się z grupą Mistrza Wojny, z pozostałymi siłami na planecie ani tym bardziej z flotą. Ale wiedział, że jego zadanie jest proste. Był bronią, narzędziem woli, którego jedynym celem jest chronić życie Mistrza Wojny. Nic więcej nie miało znaczenia.

Loken skupił się. Poczul siłę swych kończyn, nagle ciepło polimerowych mięśni przebudzonych pod pancerzem. W dole pleców poczul delikatne wibracje akumulatora, który posłusznie zareagował na jego niewerbalną komendę, kierując pełną moc w sztuczne mięśnie zbroi. Dotychczas odbijał tylko ciosy i pchnięcia włóczni, pozwalając Tullowi objąć płyty swego pancerza.

Postanowił, że wystarczy.

Machnął ramieniem, przechwycił cios, pięścią blokując żeleźce włóczni. Tuli zareagował płynnie, obracając się piruetem i wykorzystując impet, by wyprowadzić potężne pchnięcie w pierś przeciwnika. Nie trafił. Poruszając się równie szybko, Loken lewą ręką chwycił włócznię u podstawy grotu, zatrzymując pchnięcie cał od napierśnika. Zanim Tuli zdążył się wyrwać, Astartes prawicą uderzył w płaz ostrza i złamał je z metalicznym trzaskiem.

Tuli cofnął się, odzyskał równowagę i zamachnął na Lokena obciążonym tyłcem złamanej włóczni. Kapitan odbił dwa ciosy krawędziami rękawic. Tuli obrócił i przekreślił drzewce, i nagle cała broń zajaśniała od błękitnych iskier pola elektrycznego. Znowu zamachnął się ciężką

przeciwwagą, a kiedy zadał cios, rozległ się głośny huk. Wyładowanie elektryczne rzuciło Lokena przez całą salę.

Wyładował twardo na wypolerowanej posadzce i pojechał po niej, ślizgając się bezwładnie. Na jego napierśniku migotały błękitne iskry. Poczul w ustach smak krwi, a potem odezwał się krótki, natychmiast zamaskowany przez pancerz ból stłuczonego torsu.

Kapitan jednym skokiem zerwał się na nogi. Dobył noża bojowego. W wielokolorowym świetle sali krótka klinga zabłysła w jego pięści jak sople lodu.

Loken nie dał Tullowi szansy ponowienia ataku. Skoczył, zadając potężne, krzyżowe cięcia. Tuli cofnął się, sparował ciosy drzewcem, z którego imperialne ostrze wyłupało metalowe wióry.

Tuli odskoczył w tył i wy dobył miecz z pochwy na plecach. Ścisnął w prawej dłoni rękojeść broni dłuższej o dobre kilkanaście centymetrów od noża Lokena, lewą zaś uniósł złamaną włócznię. Kiedy znów zaatakował, zadawał ciosy z obu rąk.

Wyostrzone zmysły Lokena pozwoliły mu przewidzieć i przechwycić każde z uderzeń. Miecz Astartes migotał, odbijając ciosy z metalicznym brzękiem. Rzutem ciała skrócił dystans, wszedł za gardę Tulla i pchnął go ramieniem w pierś. Intereks zatoczył się, a Loken nie dał mu czasu na odzyskanie oddechu. Zamachnął się nożem bojowym i wybił z jego ręki drzewce, które potoczyło się po posadzce, syjąc iskrami wyładowań.

Starli się znowu, uzbrojeni tylko w ostrza, wymieniając błyskawiczne cięcia. Loken nie wątpił w swe umiejętności. Ostatnio wielokrotnie poddawał je próbie i ani razu go nie zawiodły. Tuli był jednak prawdziwym mistrzem miecza, a tajników szermierki uczył się od całkowicie innych niż Loken nauczycieli. Walczyli zupełnie różnymi stylami. Każde pchnięcie i cięcie jednego z nich było dla drugiego obce i nieznane. Każda milisekunda starcia była pouczająca i śmiertelnie niebezpieczna.

Dla Lokena stanowiło to fascynujące, nowe doświadczenie. Pomyślał, że Lucjusz wyniosłby z niego wiele radości i wiele nowych technik.

Ale tracił czas. Sparował kolejne cięcie Tulla, lewą ręką mocno chwycił go za prawy nadgarstek i precyzyjnie odrąbał w łokciu rękę z mieczem.

Tuli zatoczył się w tył, obficie brocząc krwią z kikuta. Loken odrzucił odrąbane przedramię. Złapał Tulla za twarz i miał zadać cios łaski, szybkie, pozbawiające głowy cięcie, kiedy zmienił zdanie. Uderzył płazem ostrza w skroń, pozbawiając przeciwnika przytomności.

Ciało przeleciało metr lub dwa i upadło u stóp jednego z eksponatów. Wokół niego szybko rosła kałuża krwi.

– Tu Loken, tu Loken! – krzyknął do mikrofonu. Odpowiedziała mu cisza i trzask zakłóceń. Przełożył nóż do lewej dłoni, prawą odczepił od biodra bolter i ruszył biegiem. Przebiegł trzy kroki, kiedy do sali wtargnęło dwóch strzelców. Zobaczyli go i unieśli napięte łuki.

Loken strzelił w ścianę obok nich. Zawahali się.

– Rzucić łuki! – rozkazał.

Bolter w jego dłoni sprawił, że żaden nie miał chęci na dyskusję. Odrzucili łuki i strzały. Loken wskazał gestem głowy bezwładne ciało Tulla, nadal trzymając ich na muszce.

– Nie chcę, by umarł – powiedział. – Opatrzcie mu ramię, zanim się wykrwawi.

Obaj łucznicy zawahali się, po czym pobiegli w stronę broczącego krwią ciała. Kiedy podnieśli wzrok, Lokena już nie było.



Wybiegł z korytarza, słysząc w oddali wystrzały z bolterów. Zobaczył przed sobą kolejnego ze strzelców, który posłał ku niemu coś, co wyglądało jak wiązka laserowa. Przeleciała obok ramienia Lokena, a wtedy kapitan wymierzył i powalił żołnierza jednym strzałem.

Nie miał czasu na litość.

Dwaj następni żołnierze zastąpili mu drogę, jeden z włócznią, drugi z łukiem. Astartes w biegu strzelił do obydwu, zanim zdążyli unieść broń. Siła eksplodujących pocisków z boltera rzuciła obu na ścianę, z której ześlizgnęli się na posadzkę. Abaddon nie miał racji. Zbroje intereksów nie były słabe; zostały wykonane po mistrzowsku. Jego pociski nie przebiły napierśników, ale siła uderzenia i wybuchu wyłączyła wojowników z walki, prawdopodobnie zamieniając przy tym ich organy wewnętrzne w papkę.

Usłyszał kroki i odwrócił się w miejscu. Zobaczył Kairusa i jednego z jego ludzi, Oltrentza. Obaj byli uzbrojeni.

– Co tu się dzieje, kapitanie? – krzyknął Kairus.

– Za mną – rozkazał Loken. – Gdzie reszta drużyny?

– Nie mam pojęcia – powiedział Kairus. – Vox nie działa!

– Zagłuszają nas – dodał Oltrentz.

– Naszym priorytetem jest bezpieczeństwo Mistrza Wojny – zakomunikował Loken. –

Trzymajcie się blisko, a...

Usłyszał strzały i zobaczył wokół siebie wiązki tnące powietrze. Zrozumiał, że to pociski, ale mknące tak szybko, że aż rozmazujące się w długą, świetlistą smugę. Oltrentz opadł na kolana, przebity pozbawionymi lotek strzałami.

Przebity na wylot.

Loken przypomniał sobie rozbawienie i niedowierzanie Torgaddona i słowa Aksymanda: „Zapewne mają znaczenie ceremonialne”.

Oltrentz padł na twarz, martwy, a w pobliżu nie było nawet konsyliarza, który mógłby zabezpieczyć genetyczne dziedzictwo Legionu.

Obok przeleciało więcej strzał. Loken poczuł uderzenie, a jego towarzysz zachwiał się z torsem przebitym na wylot.

– Kairus!

– Nie zatrzymuj się, kapitanie – powiedział Astartes z bólem w głosie. – Czyste trafienie.

Przeżyję!

Wyprostował się, uniósł bolter szturmowy i zaczął strzelać seriami. Pociski rozerwały się między kolumnami i Loken zobaczył, jak trzech strzelców pada. Ich zbroje pękły, ciała krwawiły. Pancerze puściły dopiero po sześciu lub siedmiu kolejnych trafieniach pociskami eksplodującymi.

Jak bardzo ich nie doceniliśmy, pomyślał kapitan. Ruszył przodem, a za nim kuśtykał Kairus. Jego rana przestała już krwawić; udoskonalone ciało zamknęło postrzał z obu stron, a jeśli nawet pocisk przebił po drodze jakiś istotny organ, jak każdy Astartes miał jeszcze zapasowy.

Razem wdarli się do głównej jadalni. W sali panował chaos. Torgaddon i jego oddział osłaniali Mistrza Wojny, prowadząc go w stronę południowego wyjścia z budynku. Nauda nigdzie nie było widać, ale intereksowie ostrzeliwali grupę Torgaddona z wejścia po przeciwnej stronie sali. W powietrzu rozrywały się pociski z bolterów. Wśród przewracanych krzeseł i stołów leżało kilka ciał, w tym jeden Wilk Luny. Loken i Kairus skoncentrowali ogień na wejściu.

– Tarik!

– Garvi! Dobrze cię widzieć!

– Co tu się stało?

– Nieporozumienie – ryknął Horus głosem, w którym brzmiała rozpacz. – To wielkie nieporozumienie!

W ścianę obok niego trafiło kilka strzał. Wypełnione dymem prochowym powietrze przecinały świetliste smugi. Jeden z ludzi Torgaddona padł jak skoszony, strzała na wylot przeszła jego hełm.

– Nieporozumienie czy nie, musimy się stąd natychmiast wydostać! – krzyknął Loken.

– Zakes, Cyclos, Regold! – okrzyknął swych ludzi Torgaddon, cały czas strzelając. – Zostańcie z kapitanem Lokenem i osłaniajcie nas!

– Do mnie! – zawołał Loken.

– Nie! – krzyczał Mistrz Wojny. – Nie możemy...

– Idź! – Loken po raz pierwszy w życiu podniósł głos na swego wodza.

Walka o wydostanie się z domu Nauda trwała następne dziesięć minut. Loken i Kairus dowodzili ariergardą złożoną z tych Astartes, których pozostawił z nimi Torgaddon. Sam Torgaddon wyprowadził Mistrza Wojny przez luki transportowe w piwnicy i dalej, na ulicę. Dwukrotnie Horus zapierał się, nie chcąc uciekać bez swych ludzi, zwłaszcza bez Lokena. W jakiś sposób Torgaddonowi udało się go jednak przekonać. Nigdy nie zdradził Lokenowi, jakich użył wówczas słów.

Kiedy w końcu wydostali się na ulicę, dołączyli do nich strażnicy z Kompanii Lokena, wzmacniając otaczający Mistrza Wojny mur ciał i pancerzy. Nie było z nimi Jaeldona. Nigdy się nie dowiedzieli, co się z nim stało.

Ariergarda Lokena wycofywała się metr po metrze przez główny hol wejściowy i luki załadunkowe. Dostali się pod ostrzał, głównie z luków, ale także z ciężkiej broni energetycznej. Wszędzie wokół rozbrzmiewało wycie syren i brzęczenie dzwonek alarmowych. Zakes padł w luku załadunkowym, kiedy biało-niebieska wiązka z działka energetycznego po prostu urwała mu głowę. Cyclos zginął nadziany strzałami jak jeź w drzwiach głównego holu. Nawet leżąc i krwawiąc z niezliczonych ran, próbował jeszcze strzelać, ale dwa następne pociski przybiły jego głowę do drzwi. Kairus dostał drugi raz, teraz w udo, próbując osłaniać Lokena. Regolda powaliła najpierw strzała, która przeszła przez wizjer i utkwiała w oku. Kiedy wstał, dostał drugi raz, w szyję. Już się nie podniósł.

Strzelając za siebie, Loken wywlókł Kairusa przez luk załadunkowy na ulicę.

Wokół zalegał rozjaśniany lampami mrok wieczoru, a nad ich głowami szumiały na wietrze drzewa. W oddali widzieli rudawą poświatę unoszącą się nad dużym budynkiem pośrodku tarasowej zabudowy miasta. Wokół wyły syreny.

– Nic mi nie jest – powiedział Kairus, choć jasne było, że ledwo stoi. – Mało brakowało, kapitanie.

Sięgnął i wyrwał z prawego naramiennika Lokena strzałę. Wojownik dostał w kolumnadzie i nawet jej nie zauważył.

– Ale trochę zabrakło, bracie – rzekł Loken.

– Idziecie czy nie? – krzyknął Torgaddon, zbliżając się do nich i zasypując gradem pocisków wrota luku.

– Co za bałagan – syknął Loken.

– Nie zauważyłem – parsknął Torgaddon. Odczepił od pasa ładunek wybuchowy i cisnął go w otwarte wrota.

Impet wybuchu wyrzucił ze środka gruz i chmurę dymu.

– Musimy odprowadzić Mistrza Wojny w bezpieczne miejsce – stwierdził Torgaddon. – Do Extranusu.

Loken przytaknął.

– Nie – powiedział czyjś głos.

Obejrzeni się. Za nimi stał Horus. Jego twarz oświetlały płomienie płonące we wrotach luku. W szeroko rozstawionych oczach też był płomień. Było widać, jak bardzo chciał teraz mieć na sobie nie uroczystą szatę i płaszcz z wilczego futra, ale bojowy pancerz.

– Z całym szacunkiem, panie mój – powiedział Torgaddon. – Jako twoja ochrona odpowiadamy za ciebie.

– Nie – powtórzył Horus. – Chrońcie mnie nadal, ale nie zamierzam uciekać. Popelniono tu dziś straszny błąd. Wszystko, co staraliśmy się osiągnąć, obróciło się w pył.

– Musimy więc wyciągnąć cię stąd żywego – nie ustawał Torgaddon.

– Tarik ma rację, panie – dodał Loken. – W tej sytuacji...

– Dosyć, synu, dosyć – przerwał mu Horus. Spojrzał w górę, na szemrzące gałęzie drzew.

– Co mogło tak urazić Nauda? Nazwał nas świętokradcami.

– Rozmawiałem z jednym z żołnierzy – powiedział Loken. – Zanim to się zaczęło. Opowiedział mi o Chaosie.

– Słucham?

– O Chaosie, naszym największym wspólnym wrogu. Bali się, że Chaos jest w nas i przywieśliśmy go ze sobą. Dlatego byli tacy ostrożni. Panie mój... o czym on mówił?

Horus spojrział na Lokena.

– Mówił o Jubalu. O Szeptunach. O osnowie. Czyś przyniósł tu ze sobą jej przekleństwo, Garvielu Lokenie?

– Nie, panie mój.

– A więc wina leży po ich stronie. Noszą skazę, której ukochany Imperator kazał mi się wystrzegać: ponad wszystko. Na bogów, miałem nadzieję, że jej tu nie znajdziemy, że będą wolni od niej, czysti. Że będą kuzynami, których moglibyśmy przygarnąć do piersi. Teraz znamy prawdę.

Loken pokręcił głową.

– Nie, panie, nie sądzę, by o to chodziło. Myślę, że oni gardzą Chaosem... osnową... tak samo jak my. Obawiali się tylko, że jego skaza jest w nas, a dziś coś kazało im wierzyć, że tak jest naprawdę.

– Niby co? – warknął Torgaddon.

– Tuli powiedział, że Sala Ekspонатów płonęła.

Horus skinął głową.

– O to nas oskarżyli. O kradzież, oszustwo i morderstwo. Ktoś włamał się do Sali Ekspонатów i zabił kustosza, a potem zrabował stamtąd broń.

– Jaką broń, panie? – zapytał Loken.

Horus pokręcił głową.

– Tego Naud mi nie powiedział. Przy stole bankietowym był zbyt zajęty oskarżaniem mnie o zbrodnię.

Powinniśmy pójść tam, gdzie to się zaczęło. Do Sali Ekspонатów.

Torgaddon parsknął szyderczym śmiechem.

– Nie ma mowy. Musimy doprowadzić cię w bezpieczne miejsce, panie. To nasz priorytet.

Mistrz Wojny spojrział na Lokena.

– Czy ty też tak uważasz?

– Tak, panie.

– W takim razie przykro mi, ale muszę zlekceważyć wasze priorytety. Doceniam i szanuję wysiłki, by mnie ratować. Wasza lojalność i trud nie zostaną zapomniane. Ale teraz zabierzcie mnie do Sali Ekspонатów.



Budynek Sali Ekspонатów stał w ogniu. Z okien niższych pięter buchał ogień, którego języki lizały już wyższe kondygnacje. Powitał ich brudny od sadzy i dymu utykający meturgista.

– Czy nie dość już nagrzeszyliście? – zapytał z jadem w głosie.

– Co takiego twoim zdaniem zrobiliśmy? – odpowiedział pytaniem Horus.

– Zamordowaliście Asherota. Podpaliliście Salę Ekspонатów. Mogliście poprosić o naszą broń. Nie musieliście dopuszczać się zbrodni, by ją zdobyć.

Horus pokręcił głową.

– Nie zrobiliśmy nic złego.

Meturgista zaśmiał się słabo, potem upadł.

– Pomóżcie mu – rozkazał Mistrz Wojny.

Z dławionego dymem czarnego nieba spadały płaty sadzy. Pożar ogarnął już las porastający dach Sali Ekspонатów i całą ulicę oświetlał blask płomieni. W powietrzu unosił się odór płonących roślin. Na niższych tarasach miasta zebrały się setki postaci patrzących na płomienie i dym. Xenobia Principis poddawała się grozie i panice.

– Od początku się nas obawiali – rzekł Horus. – A teraz to... Pomyślą, że mieli rację.

– Na schodach na taras zbierają się wojownicy wroga – zawołał Kairus.

– Wroga? – zaśmiał się gorzko Horus. – Od kiedy to nasi wrogowie? Są ludźmi, jak i my.

Spojrzał w nocne niebo, odrzucił głowę do tyłu i zakrzyczał, przeklinając gwiazdy. Potem jego głos ścichł do szeptu. Tylko Loken stał wystarczająco blisko, by go usłyszeć.

– Ojczy, dlaczego włożyłeś mi na barki to brzemień? Dlaczego mnie opuściłeś? Dlaczego? To zbyt trudne. To zbyt wiele. Dlaczego zostawiłeś mnie samego?

Zbliżali się żołnierze intereksów. Loken usłyszał odgłos kopyt na bruku i na tle płomieni zobaczył sylwetki metalowych centaurów, strzelców dosiadających czworonożnych maszyn. Noc zaczęły przecinać strzały, zasypując okoliczne ściany i chodnik deszczem stalowych łez.

– Panie mój, nie możemy czekać – ponaglił wodza Torgaddon. W dole zbierali się również włócznicy. Ich broń na tle pożaru przypominała las czarnych łądyg. Iskry wlatywały w niebo niczym niewysłuchane modlitwy.

– Stać! – zawołał Horus wielkim głosem. – W imieniu Imperatora Ludzkości! Żądam rozmowy z Naudem. Sprowadźcie go natychmiast!

Odpowiedziała mu tylko chmura strzał. Stojący obok Torgaddona Wilk Luny padł martwy, drugi zatoczył się ranny. Jedna ze strzał trafiła Mistrza Wojny w lewe ramię. Jego twarz nawet nie drgnęła. Wyciągnął ostrze z rany i patrzył, jak jego krew zrasza bruk. Podszedł do poległego Astartes, pochylił się i podniósł bolter i miecz.

– Ich błąd – powiedział do Lokena i Torgaddona. – Ich przeklęty błąd. Nie nasz. Skoro mają się nas bać, dajmy im prawdziwy powód.

Uniósł miecz.

– Za Imperatora! – zawołał po cthońsku. – Oświećmy ich!

– Luperkal! Luperkal! – odpowiedziała mu garstka wojowników.

Wyszli na spotkanie szarżujących centaurów, rozświetlając wąską ulicę płomieniami wylotowymi bolterów. Mechaniczne wierzchowce rozpadały się i upadały, zrzucając jeźdźców. Horus już atakował, rozpruwając mieczem stalowe rumaki i opancerzonych konnych. Jego pierwszy cios wyrzucił centaura w górę. Kopiący powietrze metalowy wierzchowiec zwałił się w szarżujące szeregi wraz z dosiadającym go strzelcem.

– Luperkal! – krzyczał Loken, walcząc po prawicy Mistrza Wojny, oburącz zadając ciosy mieczem. Torgaddon osłaniał wodza z lewej. Powalił trzech włóczników, po czym podniósł broń jednego z nich i zaczął okładać nią szarżujących wrogów. Żołnierze intereksów zostali zepchnięci w dół schodów. Niektórzy z krzykiem wypadli przez poręcz i spadli na leżące niżej tarasy.

Żadna z bitew, które Loken stoczył dotąd u boku Mistrza Wojny, nie była tak zacięta, tak smutna i tak brutalna. Szczerzący zęby w grymasie bitewnego szału i powalający ciosami miecza wrogów nadciągających ze wszech stron, Horus wydał mu się w owej chwili najszlachetniejszy. Wiele lat później, kiedy okrutny los sprawił, że wszystko przestało mieć sens, przypomniał sobie tę chwilę. Przypomniał sobie wówczas Horusa, Mistrza Wojny, szarżującego wąską, oświetloną blaskiem płomieni ulicą niczym wcielenie honoru i odwagi Imperium Ludzkości.

Żadne wydarzenie tak bardzo nie zasługiwało na uwiecznienie we freskach, wierszach i symfoniach jak chwila, kiedy Horus złożył świadectwo absolutnego oddania Tronowi Terry.

Oraz swemu ojcu.

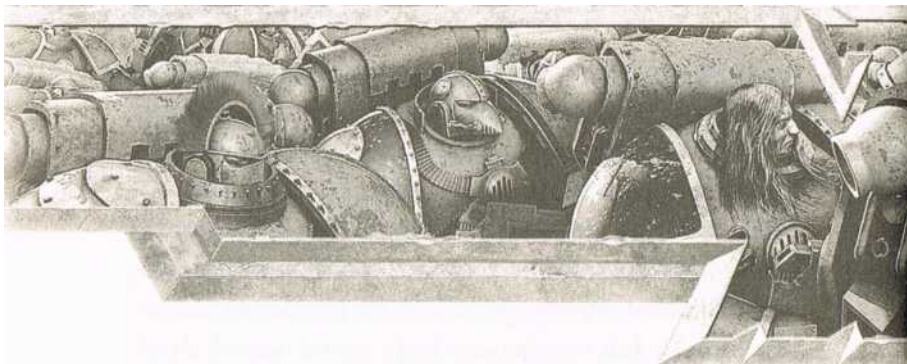
Żadne jednak nie powstały. Nienawistna przyszłość miała zatrzeć wszelkie wspomnienia o szlachetności tej chwili, by nikt nigdy nie był już w stanie w nią uwierzyć.

Żołnierze, którzy stali się ich wrogami, wypełnili i zatkali ulicę naporem swych zastępów, zmuszając Mistrza Wojny i jego nielicznych pozostałych przy życiu wojowników do desperackiej walki w kręgu, plecami do siebie. Przypominało to chwilę, którą Loken wyobraził sobie w zalanym wodą ogrodzie, składając przysięgę i za świadka biorąc księżyc. Takiej życzył sobie wówczas śmierci, w walce z nieznanym wrogiem ramię w ramię z Horusem.

Był zalany krwią, a jego pancerz został podziurawiony jak sito. Ale nie upadł. Przez bijący w niebo dym dostrzegł wiszący na obcym niebie księżyc.

Jego tarcza przeglądała się w lśniącym lustrze oceanu.

– Luperkal! – zawołał Loken raz jeszcze.



CZTERY

OSTATNIE ZDJĘCIA

SYNOWIE HORUSA

ANATAMA

– Co zginęło? – zapytała Mersadie Oliton.

– Twierdzili, że anatama.

– Jedna broń?

– Nie my ją skradliśmy – powiedział Loken, zdejmując z siebie resztki zniszczonego pancerza. – Nie skradliśmy niczego. Walczyliśmy i zabijaliśmy bez powodu.

Pokręciła głową. Z kieszeni wyjęła plik kartek zawierających ostatnie wiersze Karkasego. Przyszła do zbrojowni Lokena pod pretekstem dostarczenia ich. Naprawdę jednak chciała usłyszeć, co wydarzyło się na Xenobii.

– Opowiesz mi, co się stało? – zapytała.

Uniósł głowę. Jego twarz i ręce plamiła zakrzepła krew.

– Tak – powiedział.



Bitwa o Xenobię Principis trwała do świtu i w niedługim czasie ogarnęła całe miasto. Na pierwszy znak kłopotów i w obliczu braku kontaktu z Mistrzem Wojny i flotą Abaddon oraz Aksymand zmobilizowali dwie przebywające w dzielnicy Extranus Kompanie Wilków Luny. Na okolicznych ulicach interekswie poznali na własnej skórze gniew Astartes Imperatora. W ciągu

następnych kilku lat mieli go zaznać znacznie więcej. Abaddon dawał upust swej wściekłości do tego stopnia, że Aksymand musiał go kilka razy poskramiać.

Pierwsze z pomocą Mistrzowi Wojny, walczącemu w uliczce obok Sali Ekspozycji, dotarły oddziały Aksymanda. Musiały w tym celu wyrąbać sobie drogę przez doborowe oddziały Nauda. Siły Abaddona zajęły szturmem stacje kontrolne w kilku punktach miasta i przywróciły łączność. Okręty floty, na wieść o zagrożeniu życia Mistrza Wojny i zaatakowaniu jednostek Imperium, zajmowały już pozycje bojowe. W chwili kiedy okręty intereksów przystąpiły do ataku na flotę, Sedirae i Targost rozpoczęły desant na powierzchnię planety.

Przywrócenie łączności umożliwiło przeprowadzenie ewakuacji wszystkich obywateli Imperium z dzielnicy Extranus oraz stref ogarniętych walką.

Horus wysłał intereksom ostatni komunikat. Nie oczekiwał odpowiedzi i nie otrzymał jej. Przelano zbyt wiele krwi, by sytuację dało się załagodzić dyplomacją. Mimo to Horus wyraził głęboki żal z powodu rozwoju wydarzeń, potępił przedwczesne użycie siły przez intereksów i raz jeszcze kategorycznie zaprzeczył, aby poddani Imperatora winni byli jakichkolwiek zarzucanych im czynów.



Kiedy okręty Ekspedycji kilka tygodni później wróciły w imperialną przestrzeń, Mistrz Wojny ogłosił swój dekret. Oświadczył kapitanom Kwadry, że zmienił zdanie dotyczące swojej roli oraz związków XVI Legionu ze stanowiskiem Mistrza Wojny. Dlatego od tej pory Wilki Luny miały być znane jako Synowie Horusa.

Wieść o tej decyzji została dobrze przyjęta. Kyril Sindermann dowiedział się o niej od jednego ze swych iteratorów. Wyraził swą aprobatę dla postanowienia Mistrza Wojny i wrócił do książki, której przed nim nie otworzył nikt od tysiąca lat. W tłoku i zgiewku Kryjówki upamiętniacze – zwłaszcza ci, których Astartes ewakuowali z Extranusu – wznieśli radosne okrzyki i toasty za powodzenie Synów Horusa. Ignace Karkasy wychylił kielich za honor Legionu, a zwłaszcza kapitana Lokena. Potem zaś dla pewności wypił jeszcze jeden kielich.

Euphrati Keeler w swej kwaterze klęczała przed swym sekretnym ołtarzem i w prostych słowach Lectio Divinitatus dziękowała swemu bogu, Imperatorowi Ludzkości, za to, że zesłał im tak silnych i honorowych obrońców jak Synowie Horusa.



W szybach wentylacyjnych i wyciągach odprowadzających spaliny zawodził przeciąg. Do zęzy „Mściwego Ducha” rzadko zapuszczali się nawet najnędzniejsi majtkowie czy prymitywni protoserwitorzy. Tylko karaluchy i szczury prowadziły w rdzewiejących wnętrznościach starożytnego okrętu nędzną egzystencję.

Patrzył, jak światło jedynej świecy odbija się w klindze niezwyklej broni. Ostrze miało płomienisty kształt i było szare niczym krzemień, ale odbijało światło jak czystej wody diament. Wspaniała broń. Piękna broń, zdolna odmienić oblicze kosmosu.

Czuł, jak pulsuje w niej obietnica. I klątwa.

Erebus powoli opuścił anatamę, umieścił ją w zdobionej skrzynce i zamknął wieko.



– To wszystko?

– Próbowaliśmy – rzekł Loken. – Próbowaliśmy nawiązać z nimi więź braterstwa. Była to szlachetna próba i wymagała wiele odwagi. Wojna byłaby łatwiejszym rozwiązaniem. Próbowaliśmy. Nie udało się.

– Rozumiem.

Kapitan wydobyl proszek i szmatkę do polerowania, po czym zabrał się za usuwanie z napierśnika zadrapań i rys, choć wiedział, że to daremne. Tym razem bruzdy były zbyt głębokie. Będzie musiał wezwać zbrojmistrzów.

– Czyli to była tragedia? – zapytała Mersadie.

– Tak – odrzekł. – Ale nie stało się tak z naszej winy. Nigdy... nigdy dotąd nie czułem takiej pewności.

– Pewności?

– Pewności, że Imperator dokonał właściwego wyboru, czyniąc Horusa Mistrzem Wojny i swym zastępcą. Nigdy nie kwestionowałem tej decyzji, ale widząc go tam, widząc, czego starał się dokonać, poczułem pewność.

– Co teraz będzie?

– Z interesami? Przypuszczam, że podjęte zostaną rozmowy pokojowe. Sprawa nie jest paląca, bo interesowie nie mają większego znaczenia i nie wykazują zainteresowania sprawami Imperium. Jeśli pokoju nie uda się utrzymać, z czasem wysłana zostanie ekspedycja wojskowa.

– A co z nami? Czy możesz zdradzić mi, dokąd mamy się udać?

Loken uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Za miesiąc powinniśmy udać się na spotkanie niedaleko Sardis z Dwieście Trzecią Flotą Ekspedycyjną. Stamtąd rozpoczniemy podróż ku gromadzie Caiades. Będziemy jednak musieli nadłożyć nieco drogi. Mamy rozstrzygnąć drobny spór. Pierwszy Kapelan Erebus poprosił Mistrza Wojny o interwencję. Zabierze nam to może tydzień.

– A gdzie? – zapytała.

– Na małym księżycu – powiedział Loken. – W układzie planetarnym Davin.





O AUTORZE

Dan Abnett – urodzony w 1965 r. brytyjski autor komiksów i powieści. Mieszka i pracuje w Maidstone w hrabstwie Kent.

Pracował dla Marvel Comics jako scenarzysta, a jego dorobek w tej materii obejmuje ogromny zestaw prac z takimi legendami jak *X-Men* czy *Punisher* włącznie. Dla DC Comics przygotowywał m.in. scenariusze do serii *Legion of Superheroes* oraz *Superman*.

W swoim dorobku ma ponad 40 powieści, w zdecydowanej większości osadzonych w kultowych uniwersach Warhammer 40K i Warhammer. Ich łączna sprzedaż przekroczyła półtora miliona egzemplarzy. To właśnie Dan stworzył bestsellerową serię *Duchy Gaunta* (w 2012 r. Fabryka Słów rozpocznie jej wydawanie w Polsce), trylogię Inkwizytora Eisenhorna czy komiksowe serie: *Lone Wolves*, *Titan* oraz *Inquisitor Ascendent*.

W ramach monumentalnego cyklu *Warhammer 40K: Herezja Horusa* napisał – *Czas Horusa*, *Legion*, *Prospero Burns*. Ta ostatnia powieść trafiła na prestiżową listę bestsellerów New York Timesa, przez długi czas okupowała też pierwsze miejsca list przebojów SF w Wielkiej Brytanii i USA. W marcu 2012 r. Dan Abnett wydał kolejny tom tego cyklu: *Know No Fear*.